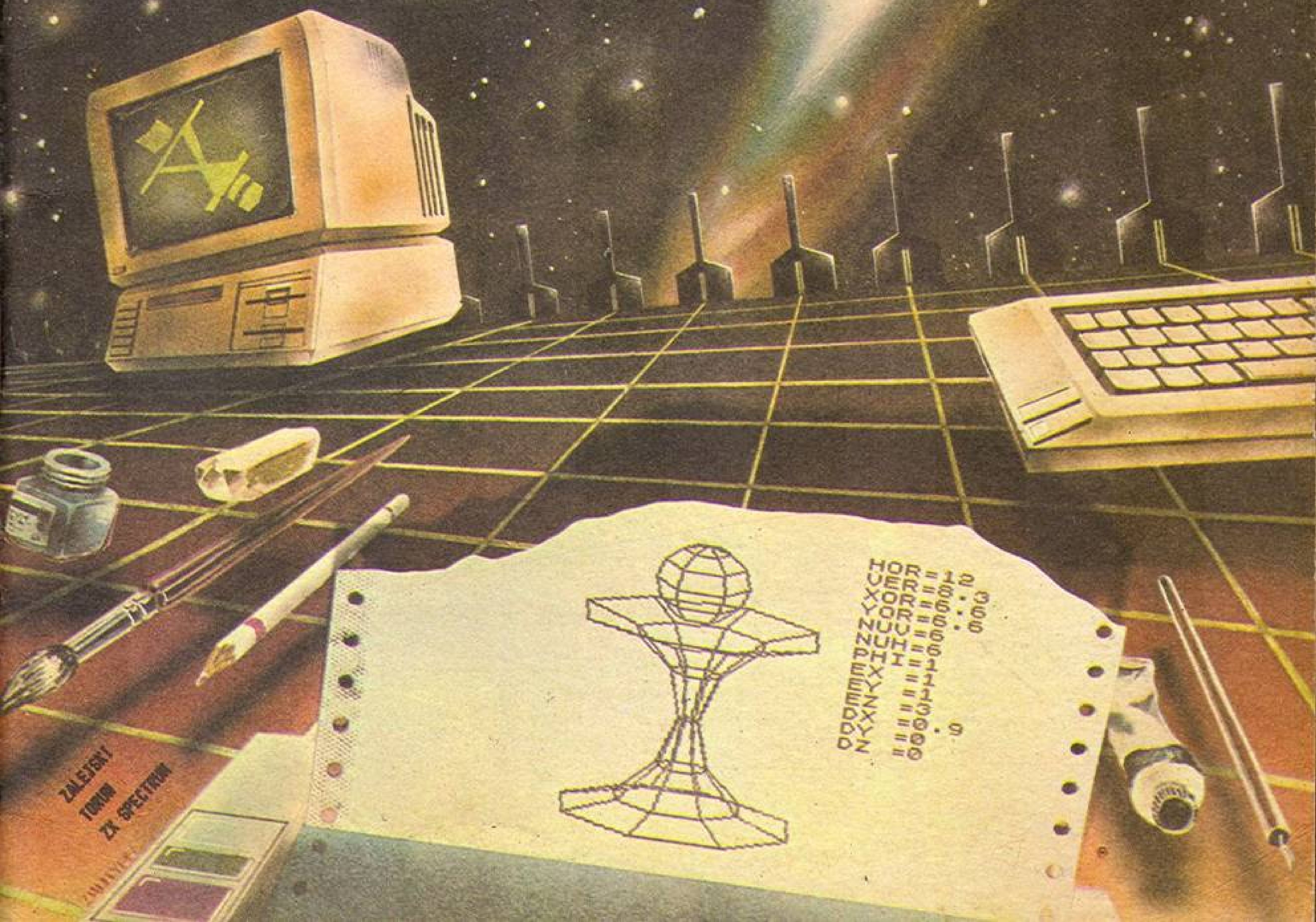
MIESIĘCZNIK
5 (32) MAJ 1985 CENA 50 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839

w numerze

KOMPUTER
JUŻ MALUJE
ALE JESZCZE
NIE PISZE



Dune – pustynna planeta

Franz Rottensteiner

Amerykański magazyn informacyjny „Time" określił niedawno „Dune" Franka Herberta mianem najbardziej znaczącej powieści SF wszechczasów. To, czy jest ona istotnie najbardziej znacząca wydaje się wątpliwe, z pewnością jednak książka należy do utworów odnoszących największe sukcesy i zajmuje wśród nich czołowe miejsce. A przecież jej narodziny nie były wcale tak obiecujące. „Dune World" i „The Prophet of Dune", publikowane początkowo w odcinkach w magazynie SF „Analog", nie mogły przez dłuższy czas znaleźć edytora! Ponad tuzin wydawców odrzucało tę ofertę, aż wreszcie książkę Franka Herberta wydał w 1965 roku Chilton w serii SF, w skromnym nakładzie 3.000 egz. Ale nawet tak nikła liczba egzemplarzy z trudem znajdowała nabywców, chociaż powieść zdobyła dwie najbardziej prestiżowe nagrody w Stanach: Hugo oraz Nebulę (pierwsza - to nagroda czytelników, druga – Stowarzyszenia Science Fiction Writers of America). Dziś „Dune" jest książką rozchwytywaną, kolejne części: „Dune Messiah" (1970), „Children of Dune" (1976), „The God Emperor of Dune" (1981) i Heretics of Dune" (1983) cieszą się coraz większym powodzeniem, a od kilku lat każdą pozycję z tego cyklu można odnaleźć na czołowych miejscach wszystkich amerykańskich list bestsellerów. Do 1981 roku sprzedano jej około 15 milionów egzemplarzy. Wzrosły również odpowiednio honoraria autora, przekraczając już od dawna poziom miliona dolarów. Za szósty tom cyklu – „Chapterhouse Dune" powstający właśnie w pracowni pisarza – Frank Herbert ma otrzymać ponad dwa miliony dolarów, bijąc na głowę takich pisarzy, jak Arthur C. Clarke, Robert A. Heinlein, Isaac Asimov, a nawet Carl Sagan, który za nie napisaną jeszcze powieść SF otrzymał dwa miliony!

Jako pierwsi zwrócili uwagę na Herberta fanatycy ekologii. Dlaczego? Otóż autor cyklu przedstawia w swoich utworach pustynną planetę Arrakis, zwaną również Dune, całkowicie odmienną pod względem ekologii, charakteryzującą się skrajnym brakiem wody – ostrzegając tym samym przed możliwą katastrofą, grożącą już w niedługim czasie Ziemi. Wprowadzając na karty swojej powieści Fremów, stwarza społeczeństwo wolnych, dumnych mieszkańców pustyni, którzy wykazują daleko idące podobieństwo do Arabów. Piaskowe robaki, olbrzymie istoty o długości kilkuset metrów, współpracują zgodnie z ludźmi, są wykładnią harmonijnego życia z naturą, odpowiadającego idealnie programom „zielonych". Na plan pierwszy wysuwają się wprawdzie niezliczone intrygi pałacowe wstrząsające imperium galaktycznym, ale to chyba czytelnikom nie przeszkadza. W centrum uwagi znajduje się planeta Arrakis, gdzie w olbrzymich fabrykach produkuje się zmieniający świadomość lek Spice, który w roku 10 000 umożliwia podróże międzygwiezdne wyłącznie za pomocą myśli. Produkcji tej zagrażają gigantyczne robaki piaskowe, powstało też potężne bractwo nawigatorów kosmicznych, które w wyniku rozmaitych intryg skłócając różne stronnictwa, sprawuje władzę nad zamieszkałymi planetami. Na dalszym planie działa wpływowy zakon kobiet „Bene Gesserit", starający się za pomocą nieokreślonych eksperymentów stworzyć nadczłowieka, Kwisaka Haderacha. Kolejne strony książki wypełniają zmagania rywalizujących ze sobą władców, intrygi, spiski, skomplikowane fortele mające pomóc w zdobywaniu władzy i wpływów, rozgrywane dzięki siłom „duchowym", tzn. za pomocą samej myśli. Powieść Herberta czyta się niemalże jak wznowienie książki Eugene'a Sue lub E. Bulwer-Lyttona wzbogaconej o elementy nowoczesnej techniki. Całość zawiera również wyraźne elementy religijno-mistyczne. Walki prowadzą ze sobą misjonarze religijni, prorocy, bogowie i arcykapłani wywodzący się ze świata przyszłości. Właśnie w połączeniu ekologii i władzy, w sferze zrozumiałej dla wszystkich, usianej jednak licznymi tajemnicami i misteriami, należy doszukiwać się przyczyn fenomenalnego sukcesu Herberta. Książka wychodzi naprzeciw oczekiwaniom ludzi, którzy poszukują sensu bytu, pseudoreligijnego zadowolenia, ale odpowiada również potrzebom gwałtownych konfliktów, sensacji, intryg – popularnych wśród amerykańskiego społeczeństwa małomiasteczkowego, innymi słowy – przenosi akcję telewizyjnych seriali „Dallas" czy „Dynasty", w przestworza galaktyki. Trywialne gadulstwo zastępuje tu mądrość życiową. Widać wyraźnie, że czytelnicy nie są jeszcze zmęczeni: świadczy o tym nie tylko wzrastająca liczba tomów cyklu, lecz sam fakt istnienia „autoryzowanego przewodnika" po pustynnej planecie, wydanej przez Willisa E.McNelly'ego (który oczywiście jest profesorem literatury) „Encyklopedii Dune". Encyklopedia ta, licząca 1117 stron, ukazała się już w języku niemieckim i zawiera wszystko, co mogłoby zainteresować najbardziej nawet zagorzałego fana. I wreszcie, po licznych próbach różnych reżyserów, m.in. Ridleya Scotta (twórcy „Obcego - ósmego pasażera Nostromo"), na ekrany kin zawitał film „Dune", superwidowisko o czasie projekcji 120 minut, które pochłonęło budżet 40 milionów dolarów, zainwestowany przede wszystkim w niezwykle wystawną inscenizację i cały arsenał efektów specjalnych. Podczas gdy bardziej utalentowani pisarze bywali rozczarowani filmowymi ekranizacjami swoich utworów, Frank Herbert aprobuje ją bez śladu zażenowania. Istotnie wszystko wskazuje na to, iż film „Dune" odniósł sukces na miarę „Gwiezdnych wojen", stanowiąc dosyć wierną ekranizację powieści. Jest to mieszanina wspaniałych scen filmowych, udanych zdjęć, sugestywnej muzyki (Tota i Briana Eno), dużej ilości patosu i przede wszystkim potężnej dawki gwiezdnej mistyki. Podobnie jak „Odyseja 2001" jest „Dune" filmem mistycznym, w którym wizjonerska wypowiedź góruje nad środkami technicznymi i niekiedy śmieszną maskaradą. David Lynch dokonał realizacji „Dune" z brawurową odwagą. Fabuła jest tu o wiele bardziej złożona, aniżeli w „Gwiezdnych wojnach". Książę Leto Atreides otrzymuje Arrakis jako lenno od cesarza imperium, lecz pozornie łatwe przejęcie planety, opuszczonej przez jego śmiertelnych wrogów, Harkonnów, okazuje się podstępem. Harkonni, wspierani przez zdrajcę, przystępują do ataku. Leto, torturowany, umiera. Jego syn, Paul Atreides, uznany przez Bene Gesserit na podstawie testów za potencjalnego nadczłowieka, ucieka wraz z matką na pustynię, gdzie znajduje schronienie u Fremów. Po licznych próbach męstwa, a zwłaszcza najtrudniejszej – jeździe na piaskowym robaku (na filmie istoty te w bardzo obrazowy sposób pełzną po piachu, rozwierając potężne pyski, czemu towarzyszą błyskawice, ich „znaki"), Paul Atreides, już jako Paul Muad'dib, prorok pustynny – ogłasza wyprawę krzyżową przeciw Harkonnom, niszczycielską orgię eksplozji fabryk produkujących „Spice". Nieco śmiesznym punktem kulminacyjnym, pełnym hollywoodzkiej teatralności, staje się atak robaków na fort kosmiczny cesarza. Postacią negatywną w całej tej historii jest baron Harkonnen, gruby sadysta, który unosząc się w powietrzu wypija krew z ciał swoich ofiar, w otoczeniu charakterystycznych typów zabójców, podobnie jak i on odrażających. Nie brakuje też oczywiście ogromnych maszyn bojowych, wielkich miast, tarcz obronnych, potężnych niszczycielskich orgii, demonstracji siły „duchowej" (co wygląda dosyć komicznie). Doprowadzona do perfekcji technika trikowa zniewala widza, jednakże na tle tej przemożnej techniki postacie wydają się nazbyt naiwne, a sztucznie zniekształcony, hipnotyzujący głos Bene Gesserit wywołuje salwy śmiechu. Licznym scenom pustynnym trudno jednak odmówić sugestywnej siły. Mimo wielu sprzeczności i śmieszności, mimo całej tej kosmicznej bzdury o intrygach i supermocach bohaterów (a może właśnie dlatego) wydaje się, że film „Dune" zyskał uznanie i sukces na miarę „Gwiezdnych wojen" i z czasem rozrośnie się do serialu wieloczęściowego.

Materiału literackiego, niezbędnego do ekranizacji, jest wystarczająco dużo. W przeciwieństwie do „Gwiezdnych wojen" serial ten ma jednak zadatki na dobry, ambitny film.

Przełożył
Mieczysław Dutkiewicz

Drugi literacki konkurs „Fantastyki" – 1985

Wszystkich (zawodowców i amatorów) namawiamy do wzięcia udziału w organizowanym przez „Fantastykę" konkursie na opowiadanie SF – 1985

Utwory nigdzie dotąd nie publikowane, o objętości nie przekraczającej 40 stron znormalizowanego maszynopisu, prosimy nadsyłać (w dwu podpisanych egzemplarzach, w kopercie z dopiskiem „KONKURS LITERACKI") pod adresem redakcji do dnia 31 XII 1985 roku.

- Dla autorów najwartościowszych opowiadań przewidziane są nagrody.
- Wszystkie teksty nagrodzone i wyróżnione ukażą się na łamach „Fantastyki" w całości lub we fragmentach i będą honorowane wg przyjętych stawek autorskich. Redakcja zastrzega sobie prawo ich pierwodruku.
- Istnieje możliwość opublikowania najlepszych tekstów w wydawnictwie książkowym, jak stało się to z opowiadaniami z pierwszego konkursu.
- Rozpatrujemy tylko znormalizowane maszynopisy (30 wierszy na stronie, 60 znaków w wierszu).
- Termin nadsyłania prac mija 31 XII 1985 r.

Redakcja

Ekwilibrystyka, z jaką się musi liczyć każdy, kto ma do czynienia ze zgrzybiałą poligrafią, plamiącym papierem i dążeniem do zadowolenia ekonomicznego rodzi czasem niebezpieczne związki między wydawcami a autorami.

Oto dość przewrotna przecież recepta na ostateczne uszczęśliwienie obu stron zainteresowanych: bierze się książkę bardzo młodego autora, błogosławi ją ogromnym nakładem. I nakład ten natychmiast znika spod lady. Tak dzieje się na przykład z fantastyką. Zyski?

Zarabia wydawca, zarabia autor niewąsko, choć ciągle jeszcze prawo autorskie karze go za popularność, zalecając stosowanie zmniejszającego się stopniowo honorarium w miarę wzrostu liczby egzemplarzy książki. Ale w tym wypadku ta kara za popularność wydaje mi się jednak usprawiedliwiona, nawet zbyt nikła. Albowiem w naszym ruchu wydawniczym obserwuje się kilka paskudnych grzechów.

Drukuje się mianowicie bardzo mało tytułów, dzięki czemu uszczęśliwia się skromną tylko liczbę pisarzy. Za to jednak koszty druku są niższe, a zysk wydawnictwa wyższy. Est modus in rebus. Dzieje się tak nie tylko w fantastyce. Jednakże właśnie w takich dziedzinach jak drukowanie książek mogących przynieść większe zyski, np. w SF, grzech ten popełnia się często, wydając – nawet w wydawnictwach znanych i od dawna zajmujących się edycjami utworów fantastycznych– kilka zaledwie tytułów rocznie.

Drugi wielki grzech, popełniany przez wydawców, to rezygnacja z atrakcyjnej oprawy graficznej, oprawy gwarantującej w dodatku trwałość książki. Na fantastyce, często uznawanej za twórczość drugo- czy trzeciorzędną, subkulturową, mści się to szczególnie. Brzydko wydana fantastyka zdaje się potwierdzać swój (rzekomo) parweniuszowski rodowód. Niestety, większość ostatnio wydawanych utworów SF jest zaprzeczeniem wszelkich bibliofilskich wartości, staje się czymś, czego nie godzi się dłużej przechowywać. Zresztą się nie da, bo to się zaraz rozleci.

Równocześnie grzechem, jakby z zupełnie przeciwnej strony działalności wydawniczej, wydaje mi się wypuszczanie ozdobnej wielce klasyki, w „nakładach półkowych". To samo dotyczy zresztą różnego

...3...2...1...



rodzaju leksykonów, różnych „who is who" i tym podobnych snobistyczno-krzyżówkowych dzieł, które ostatnio można dostać zamiast papieru toaletowego w skupach makulatury. „Nakład półkowy" to taki, który swoje ostateczne i główne przeznaczenie znajduje na półkach prywatnych bibliotek, a służy do chwalenia się swoim nerwem zbierackim i przydaje się czasem do rozwiązywania (co łatwiejszych) krzyżówek. Myślę, że na tego rodzaju edycje idzie sporo papieru. Lwią jednakże część puli papierowej pochłania szkolnictwo wszelkich szczebli. Czy wolno się odważyć na nazwanie produkcji podręcznikowej, bardzo u nas rozkwitłej, czymś także grzesznym? Autorami coraz to nowych podręczników dla szkół, zwłaszcza podstawowych, bywają często pojedynczy twórcy, lansujący przy tym nie tylko utwory największych mistrzów, lecz także maluczkich, maciupeńkich autorów, nie stroniący także od autolansowania.

Pretekstem do radosnej twórczości podręcznikowej bywa inicjacja reformy naszego szkolnictwa, rozgrywająca się w warunkach izb szkolnych przepełnionych coraz to nowymi i liczniejszymi pokoleniami najmłodszych współobywateli, którzy swoje dorosłe działania będą rozwijali dopiero w XXI wieku. Dopiero, toż to za zaledwie 15 lat. Już. Jaki to będzie ten wiek, trudno jeszcze przewidzieć. Jedno jest pewne: nie będzie to epoka typowej dla naszych czasów wiedzy podręcznikowej, która za moich szkolnych czasów, rzadko wspierana nowymi wydaniami książek do uczenia się, korzystała z cudownej instytucji antykwariatów, w których stare podręczniki pieczołowicie odnawiano i ciągle sprzedawano nowym pokoleniom.

Ale, jak powiedziałem, u progu XXI wieku, w wielu krajach, widać już dziś wyraźnie zmierzch starego, tradycyjnego typu uczenia. Gościliśmy właśnie w naszej redakcji znanego pisarza radzieckiego, którego powieść zamieściliśmy na naszych łamach („Fantastyka" nr 11-12/1983) – Jeremieja Parnowa i przedstawicielkę Wszechzwiązkowej Radzieckiej Agencji Autorskiej – Swietłanę Michajłową. Opowiadali oni, że u nich, podobnie zresztą jak i w wielu innych państwach, rozwija się reformę szkolnictwa z myślą o uczeniu s p o s o b ó w uczenia się, czyli zdobywania wiedzy. Tak bowiem dużo musi się już dzisiaj, tuż przed następnym stuleciem mieć różnego rodzaju wiadomości, tak wiele rzeczy trzeba znać, że wkuwanie z podręczników przestaje być przydatne. Natomiast od najmłodszych lat należałoby wdrażać się do najnowszych sposobów szybkiego zdobywania coraz to nowszych wiadomości – a więc jest to wielka stawka na komputeryzację już w ławach szkolnych, ba nawet w przedszkolach. Na tabliczki mnożenia szkoda pamięci – powiadają pedagodzy.

I wszystko to jest szczera prawda, z której jednak nasze dzieci zdają sobie znacznie lepiej sprawę niż dorośli. Sposoby zaś samodzielnego zdobywania wiedzy stają się znacznie bogatsze niż podręcznikowe. Co wszystko wcale nie oznacza, że wskazując na pewne grzechy polityki wydawniczej i odsłaniając nowe horyzonty niepapierowego zdobywania wiedzy, zaprzeczam jak gdyby swoim uprzednim wywodom, eksponującym sprawy książki. Chodziło mi właśnie o książki literackie, o lektury, które pobudzają cudownie inwencję, wyobraźnię i to w sposób, w jaki się żadnym Spielbergom nie śniło. W tym sensie książka ma szansę na wieczny byt, jako wyraz miłości do obrazów i refleksji w inny sposób poza książkowym, poza czytelniczym nie do wyrażenia i percypowania.

10 - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1 - 0

Adam Hollanek

■

MIESIĘCZNIK LITERACKI **Fantastyka**

00-640 WARSZAWA. UL. MOKOTOWSKA 5

Telefony 25 34 75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn. graf. literatury polskiej)
25 50 51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki, nauki)

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy, tel. 25-56-26.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: P.Z. Graf. RSW Łódź.

NR INDEKSU 35839 Zam. 1168/85 r.N-52 Nakład 140 000 egz. PL ISSN 0209-1631

Czytelnicy i „Fantastyka"

LĄDOWANIE XXVII

Oddzielne księstwa

Czasem wydaje mi się, że w dziedzinie fantastyki nasz kraj został podzielony na różne księstwa, z których każde prowadzi własną politykę edytorską, nie bardzo licząc się z potrzebami i dezyderatami czytelników. Dlaczego wydawnictwa, skąpiące tak ostatnio papieru na książki science fiction i wydające zaledwie po kilka pozycji rocznie, nie kierują się w ogóle opiniami, dlaczego nie liczą się z tym, co wy im sugerujecie? Czasem sądzę, że u nas w ogóle nie ma rozeznania co się na świecie dzieje z SF. Od czasu do czasu informujecie o nagrodach, o książkach – co z tego jednakże ukazuje się na rynku? Nic, oprócz krótkich utworów w Waszym miesięczniku.

Jerzy S. Nowak z Warszawy

Szanowny Panie Redaktorze. Czyta Wasze pismo mnóstwo ludzi. Prawdopodobnie nie czytają go ci, którzy książki u nas wydają, bo kierując się gustami waszych czytelników, takich chał by nie drukowali, jak np. niektóre tytuły, jakie wyszły ostatnio z „Iskier" albo ta starzyzna z „Alfy".

J. Gręda z Wrocławia

Jak to jest możliwe, że drukujecie już od kilku lat te swoje „Pożółkłe kartki", które tyle dyskusji na waszych łamach wywołują, ale przecież pokazują co z polskiej klasyki dałoby się u nas wydrukować. Tymczasem nikt się nawet nie pokusił o wydanie chociażby jednej pozycji, z tych co to pan Niewiadowski wybiera i we fragmentach pokazuje. Klasyka to u nas tylko Lem, a przecież jak udowodniliście właśnie w „Pożółkłych kartkach" to nieprawda. Mamy dobre tradycje, o które wydawcy w ogóle nie dbają.

Jerzy Niedbał ze Szczecina

Łagodnisie, łagodnisie

Dlaczego tak mało jest dobrych powieści SF na rynku księgarskim? Dlaczego wasz miesięcznik wychodzi ostatnio z takim opóźnieniem? Numer 10 otrzymałem dopiero w listopadzie, numer jedenasty dostałem 13 grudnia. Czy naprawdę wydawca nie potrafi postarać się o terminowe edycje?

Stanisław Morawicz (ekonomista) z Poznania

Łagodnisie, jesteście , łagodnisie. Wydawcom się podlizujecie i autorom. O wydawnictwach piszecie z takich szacunkiem, że padaj do nóżek, a autorów za byle co byście tam całowali, gdzie się nie całuje. Jak nie będziecie na lewo, na prawo chlastać za niedoróbki tekstów, za obrzydliwe serie wydawnicze, których twórcy nie liczą się zupełnie z gustem plastycznym Czytelników (te ordynarne zeszyty, zalegające półki księgarń), za bzdurne powieści debiutantów czy prawie debiutantów, to nikt się i z Wami redaktorami szanownego pisma – monopolistycznego, jedynego – liczyć nie będzie.

Wasz wielki przyjaciel
L. R. z Warszawy

Powiedzcie mi, czemu nasza krajowa literatura siląca się niby to na jakiś artyzm jest w gruncie rzeczy taka nudna, jak te wychwalane przez Was wypociny konkursowe. No może nie wszystkie, niektóre można było dopuścić, ale ja i inni czytelnicy to byśmy nawet połowy tego nie puścili na łamy, coście się odważyli zrobić.

Stały czytelnik z Katowic
Fan Zatwardziały

Dziękuję Waszej gazecie za publikację interesujących utworów, za komiks (kiedy nowy?), za bibliografię fantastyki polskiej, za recenzje, za krytyczne eseje, rozmowy z fantastami i wydawcami, za ilustracje. Dzięki pomocy pisma zdołałem nawiązać przyjacielskie kontakty z przyjaciółmi w polskich klubach fantastyki... Z niecierpliwością czekam na każdy nowy numer...

W. Borisow z Abakanu (ZSRR)

Koniecznie z autorami

Numer wrześniowy zatytułowany „Fantasy" bardzo mnie rozczarował. Mam szczęście posiadać „Władcę Pierścieni" Tolkiena, czytałem u Was „Pieśń dla Lyanny" i „Świat czarownic" i spodziewałem się podobnych nastrojów – tymczasem nic z tego. Właściwie poszczególnym pozycjom nie da się niczego zarzucić oprócz tego, że nie powinny (z wyjątkiem „Królestwa cieni") ukazać się w tak dumnie zatytułowanym numerze. Trochę za bardzo ambitnie podchodzicie do tematów. Za dużo rozmów o fantastyce, spraw organizacyjnych (kongresy, spotkania), a za mało fantastyki. Wiem, że usiłujecie kierować ruchem, ale to wymaga nieco innych działań... Konieczne rozmowy z autorami (ich fotografie). Bądźcie bardziej odważni. Na przykład trochę erotyki też nikomu nie zaszkodzi.

Leszek Domirski (elektronik) ze Starego Sącza

Zdecydowałem się w ramach lekcji poświęconych literaturze fantastyczno-naukowej (lektura obowiązkowa) dać upust potrzebom współczesnej młodzieży i jej produkt nie cenzurowany i nie retuszowany posyłam do przemyśleń bądź radosnej zadu ıy właśnie Panu, władającemu pismem, które owe dzieciaki-autorzy CZYTUJĄ.

Edyta Sobińska
(Szkoła Muzyczna nr 1 w Warszawie)

Oto próbki z zadań uczniów VI klasy na temat wycieczki poza Ziemię:

Na Marsie nie było zbyt przyjemnie, wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągała się srebrna, bulgocząca maź. Oglądaliśmy laboratoria. Kilka osób miało zawroty głowy, mdłości...

Dominika Woźnicka

Robot akurat pobierał kąpiel parową z rozpuszczonego prądu. Na nasz widok uśmiechnął się i powiedział, że ponieważ podobamy się, spełni życzenie wypowiedziane w myśli przez jednego z uczniów, a dowiedziawszy się, że w naszej klasie jest osiemnaścioro dzieci, wywołał ucznia z numerem (2.3 – 5: 10. V49 : 2 – 3² : V16 : 2. 1/2 + 2² – 4. Krótkie przeliczenie i uszczęśliwiona osoba występująca z szeregu. Robot... naciska kilka guziczków i wyjmuje z brzucha kolejno tace z napojami gazowanymi, ciastkami, batonami, lodami, winogronami, pomarańczami...

tekst nie podpisany

Przy użyciu laserów wydostaliśmy się z groty. Nasz poduszkowiec mógł się wznieść na dużą wysokość. A na jego pokładzie znajdowała się najnowocześniejsza broń termokosmiczna. Na etykiecie poduszkowca widniał napis mówiący, że można nim dolecieć do Ziemi. Podróż minęła bez ciekawszych wydarzeń, tylko prowadziliśmy wojnę z Marsjanami, którą oczywiście wygraliśmy...

Dariusz Skoraczewski

Gdy tylko moja klasa wyszła, dowiedziałem się, że tubylcy rozpoczęli bunt – tak więc zostałem sam. Buntownicy przenieśli mnie do więzienia, z którego wysyłam niniejszą historię... na Ziemię dla ostrzeżenia Ziemian przed podróżami na Księżyc.

Maciej Zieliński

W mieszkaniach panowała dziwna jasność i wszystkie sprzęty były zdalnie kierowane. Gdy chciałam podejść do krzesła, samo do mnie podjechało. Mili gospodarze poczęstowali nas dziwnym płynem wzmacniającym odwagę...

Magdalena Frelek

Okazało się, że władzę sprawował tam Fidrygał Wielki, który był srogi dla wszystkich przybyszów. Dowiedziawszy się o tym uczniowie wsiedli do powietrznej kolejki, która zawiozła ich do rakiety.

Marcin Mazurek

Nie wiem w jaki sposób wydostałem się z wnętrza Ziemi. Teraz leżę w domu na tapczanie i odpoczywam.

Anna Lemiszka

– Dlaczego wycieczka została zorganizowana tylko dla nas? – spytał wychowawczynię mały Łukasz. – Pan dyrektor uznał was za najgrzeczniejszą i najpilniejszą klasę w szkole, więc w nagrodę zafundował wam tę podróż...

Kasia Lalak

Gdy żegnaliśmy się z atomodami nagle otworzył się sufit i zostaliśmy wystrzeleni jak z katapulty na powierzchnię Księżyca. Przy lądowaniu ktoś Oli nadepnął na nogę. – Ty stary zbereżniku – wrzasnęła. Paweł zgubił fotografię (z kosmitami – przyp. red.) i powiedział: – I tak cię zastrzelę, tylko pomóż mi szukać. Przy wchodzeniu do kabiny Magda potknęła się. Wstała mówiąc: – Skandal.

Marcin Bortnowski

I my wreszcie lądujemy.

Redaktor

Uwaga czytelnicy!

Nasz Wydawca, KRAJOWE WYDAWNICTWO CZASOPISM, informuje:
*Począwszy od numeru 6/85 ulega zmianie cena „Fantastyki". Obecnie będzie ona wynosić **80 zł**. Konieczność podwyższenia ceny „Fantastyki" wynika ze znacznego wzrostu kosztów wydania. Od 1983 r. zwiększyły się one o ponad 60%. W tym okresie wzrosły koszty papieru o ponad 57%, a koszty druku o ponad 67%. Te dwie pozycje kosztów stanowią ponad 75% kosztów wydawania. Niestety, również wzrosły koszty transportu, energii, czynsze itd. Nowa cena w najniezbędniejszej wielkości pokrywa niezależny od Wydawcy wzrost poniesionych kosztów produkcji pisma.*

W stosunku do prenumeratorów, nowe ceny wejdą w życie z chwilą wygaśnięcia opłaconych okresów prenumeraty.

Robert Silverberg

Skrzydła nocy

(Nightwings)

1.

Miasto Roum wznosiło się na siedmiu wzgórzach. Mówią o nim, że kiedyś, w poprzednich cyklach, stanowiło stolicę ludzkości. Nie wiem, czy tak było naprawdę – nie znam się na historii tak dobrze, jak Pamiętający, gdyż jestem zwykłym Obserwatorem – lecz gdy wędrując z południa dotarłem o zmierzchu w pobliże miasta i ujrzałem je po raz pierwszy, zrozumiałem, że ogniś musiało być bardzo ważne. Do dziś zresztą pozostało potężnym, liczącym tysiące dusz grodem.

W oddali na tle zachmurzonego nieba widniały kanciaste bryły wież i murów obronnych, poza nimi zaś rozlewało się morze jasnego światła. Po mojej lewej ręce zachodzące słońce niknęło powoli za horyzontem, a błękitne, szkarłatne i fioletowe proporce chmur rozpościerały się w swoim wieczornym tańcu zwiastującym nadejście zmierzchu. Po prawej natomiast ciemności zadomowiły się już na dobre. Nie mogłem wprawdzie rozróżnić owych siedmiu wzgórz, lecz wiedziałem, że miasto, przed którym stoję, to na pewno ten słynny Roum, do którego prowadzą wszystkie drogi i patrzyłem nań pełen podziwu i szacunku dla wielkiego dzieła naszych praojców.

Przystanęliśmy na skraju długiej i prostej drogi, spoglądając na Roum.

– To piękne miasto – powiedziałem – i na pewno znajdziemy tu pracę.

Skrzydła siedzącej u mojego boku Avlueli poruszyły się nerwowo.

– I jedzenie? – zapytała dźwięcznym, wysokim głosem. – I dom? I wino?

– Będzie to wszystko.

– Jak długo tu szliśmy, Obserwatorze? – zapytała.

– Dwa dni. Trzy noce.

– Gdybym leciała, trwałoby to o wiele krócej, prawda?

– Dla ciebie. Prześcignęłabyś nas i nie zobaczylibyśmy się więcej. Czy chciałabyś tego?

Przysunęła się do mnie, tuląc twarz do szorstkiego materiału mojego rękawa. Zwinęła się niczym baraszkująca kotka i rozpostarła swoje skrzydła. Poprzez ich pajęczynowatą powierzchnię obserwowałem niknące za horyzontem słońce i ostatnie, igrające na niebie ogniki zmierzchu. Wdychałem zapach kruczoczarnych włosów dziewczyny, obejmując i przygarniając do piersi jej smukłe, młode ciało.

– Czy będziemy szczęśliwi w Roumie?

– Będziemy szczęśliwi – odpowiedziałem i roześmieliśmy się.

– To dlaczego nie pójdziemy tam już teraz?

Potrząsnąłem głową.

– Lepiej poczekajmy na Gormona. Powinien już wrócić ze swoich poszukiwań.

Nie chciałem jej mówić o swoim zmęczeniu. Była jeszcze dzieckiem, liczyła zaledwie siedemnaście wiosen. A ja, ja jestem stary. Może nie tak stary jak Roum, ale mam już swoje lata.

– Czy mogę polatać, zanim on wróci? – zapytała.

– Tak, leć.

Przykucnąłem przy swoim wózku i rozgrzewałem zmarznięte dłonie nad cicho pobrzękującym generatorem. Avluela tymczasem przygotowywała się do lotu. Najpierw zdjęła ubranie – jej skrzydła były zbyt słabe, nie zdołałaby wzbić się w niebo z dodatkowym obciążeniem – zwinnym ruchem pozbyła się okalających jej drobne stopy pęcherzy, ściągnęła szkarłatną tunikę i opinające łydki futrzane nagolenniki. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetliły jej zgrabną sylwetkę. Jak wszyscy Szybownicy, tak i ona była pozbawiona nadmiaru ciała. Miała małe piersi, płaskie pośladki i uda tak szczupłe, że wydawały się o wiele dłuższe niż były w rzeczywistości. Czy mogła ważyć pięćdziesiąt kilogramów? Wątpiłem. Kiedy tak na nią patrzyłem, poczułem się jak wstrętny, gruby i przykuty do ziemi połeć mięsa. A przecież wcale nie byłem taki ciężki!

Avluela klęknęła na poboczu, oparła końce palców na ziemi i pochyliła głowę, szepcząc rytualne formuły Klanu Szybowników. Odwróciła się do mnie plecami, a jej delikatne, tętniące życiem skrzydła zadrżały, łopocząc, niczym rozpostarte na wietrze żagle. Nie rozumiałem, jak te wątłe skrzydła mogły unieść nawet tak szczupłą istotę, jak Avluela. W niczym nie przypominające skrzydeł ptasich – żyłkowane i przeźroczyste, ubarwione w kilku miejscach, hebanowe, turkusowe i szkarłatne – przywodziły na myśl raczej motyla. Mocne wiązania przytwierdzały je do smukłych pleców dziewczyny, która nie miała ani potężnego mostka, ani nadzwyczaj rozwiniętych mięśni, tak potrzebnych wszystkim skrzydlatym stworzeniom. Wiedziałem jednak, że Szybownicy potrzebują czegoś więcej niż mięśni, by móc latać.

Zakończywszy przygotowania Avluela wystartowała. Rozpostarła swoje skrzydła, chwytając w nie wiatr, wzniosła się na kilka stóp i zawisła na chwilę pomiędzy niebem a ziemią, zagarniając nerwowo powietrze. Noc jeszcze nie zapadła, a skrzydła Avlueli były skrzydłami nocy. Dziewczyna nie mogła latać w dzień. Siła wiatru słonecznego przygniatała ją do ziemi, a pora, którą wybrała – pora psa i wilka – nie była najodpowiedniejszym czasem do lotów. Dzięki ostatnim, gasnącym już blaskom dnia dostrzegłem, jak opadła na ziemię bezradnie machając skrzydłami. Twarz wykrzywił jej grymas bólu i wysiłku. Dziewczyna skoncentrowała się, raz jeszcze wyszeptała formuły swojego bractwa, skłoniła nisko, odbiła od ziemi na wysokość głowy i nagle... poszybowała, lecąc płasko nad ziemią i trzepocząc z wysiłkiem skrzydłami. LEĆ, AVLUELO! LEĆ!

Dziewczyna wzniosła się, jakby swoim lotem chciała pokonać ostatnie, słabe promienie zachodzącego słońca.

Z prawdziwą przyjemnością obserwowałem unoszące się w mrokach nocy nagie ciało dziewczyny. Widziałem ją wyraźnie: moje oczy, chociaż stare, zachowały spostrzegawczość Obserwatora. Avluela wzniosła się już na pięć wysokości człowieka, a jej rozpostarte do maksimum skrzydła zasłaniały część murów Roumu. Pomachała mi ręką. W odpowiedzi posłałem jej całusa i kilka czułych słów. Obserwatorom nie wolno wstępować w związki małżeńskie ani mieć dzieci. Niemniej Avluela była dla mnie jak córka i czułem dumę obserwując jej powietrzne wyczyny. Wędrujemy ze sobą dopiero od roku – spotkaliśmy się w Ogypcie – a wydawało mi się, że znam ją od bardzo dawna. Avluela dodawała mi sił. Nie wiedziałem natomiast, co ja jej mogłem dać. Może opiekę, może coś, co łączyło się z jej przeszłością. Wiedziałem tylko tyle, że kochała mnie tak, jak ja ją kochałem.

Tymczasem Avluela wzniosła się bardzo wysoko. Krążyła, pikowała, robiła świece i piruety, wręcz tańczyła po niebie. Jej smukłe ciało zdawało się być jedynie dodatkiem do dwóch ogromnych skrzydeł, które migotały, błyszczały i drgały w ciemnościach nocy. Upojona wolnością wznosiła się coraz wyżej i wyżej, a ja czułem się cięższy niż kiedykolwiek. Nagle dziewczyna złożyła skrzydła i pomknęła w kierunku Roumu. Dostrzegłem tylko jej drobne stopy, końce skrzydeł i nic więcej. Westchnąłem.

Dlaczegóż musiałem się trząść z zimna, kiedy radosna i naga Avluela mknęła po niebie?

Minęła już dwunasta z dwudziestu godzin dnia i nadszedł czas mojego czuwania. Wdrapałem się do wozu, otworzyłem swoją skrzynię i przygotowałem instrumenty. Pożółkłe i wyblakłe tarcze, pozbawione osłon gołe igły wskaźników i plamy na obudowach przypominały mi o napadzie piratów, jaki przeżyliśmy na Oceanie Ziemi, lecz gdy rozpoczynałem przygotowania, zużyte, popękane dźwignie i suwaki ustępowały bez oporów pod naciskiem moich palców. Najpierw uczyniłem swój umysł czystym i wrażliwym, później dostroiłem się do aparatów. Rozpoczynałem

czuwanie czy też, jak zwykli o tym mówić inni: przetrząsanie gwiezdnych przestrzeni w poszukiwaniu wrogów ludzkości. Wcisnąłem kolejne przełączniki przeistaczając swój opróżniony umysł w integralną część aparatury.

Właśnie przełamywałem ostatnie bariery i wchodziłem w pierwszą fazę czuwania, gdy zza pleców dobiegł mnie czyjś dźwięczny głos.

– Jak leci, Obserwatorze?

Osunąłem się bezwładnie na burtę wozu. Ta brutalna ingerencja w moje zadanie spowodowała prawdziwy psychiczny nokaut. Przez kilka chwil zdawało mi się, że potężne imadło miażdży moje serce. Policzki zdawały się płonąć, wyschnięte gardło piekło, a załzawione oczy nie przystosowały się jeszcze do normalnych warunków. Szok minął po chwili. Odłączyłem się od aparatury i odwróciłem, trzymając ją w drżących rękach.

To był Gormon – trzecie ramię naszego małego trójkąta. Stał spokojnie, spoglądając na mnie z uśmiechem. Najwidoczniej moje otępienie bawiło go, lecz nie miałem siły, by wszczynać z tego powodu awanturę. Zresztą nie należy wdawać się w spory z pozaklanowcami.

– Jesteś zadowolony z poszukiwań? – zapytałem z wysiłkiem.

– Nawet bardzo. A gdzie jest Avluela?

Uniosłem palec ku niebu. Podniósł głowę.

– I cóż odkryłeś, Gormonie? – zapytałem.

– To, że miasto, przed którym stoimy, to Roum.

– Nikt nigdy w to nie wątpił.

– Ja wątpiłem! A teraz jestem pewien.

– Tak?

– Spójrz.

Wyciągnął spod tuniki ultrakieszeń. Położył ją na stole; otworzył na tyle, by wsunąć do niej rękę i wydobył coś długiego, ciężkiego i przypominającego biały kamień. Rozpoznałem to. Gormon trzymał w ręku fragment zniszczonej przez czas, marmurowej kolumny.

– To pochodzi ze świątyni imperialnego Roumu.

Gormon tryumfował.

– Nie powinieneś tego zabierać – powiedziałem.

– Poczekaj! – krzyknął wyciągając z ultrakieszeni garść metalowych dysków, które z brzękiem spadły do moich stóp. – Spójrz, monety. To głowy Cezarów!

– Czyje?

– To byli dawni wodzowie. Nie znasz historii minionych cykli?

Spojrzałem z zaciekawieniem w oczy Gormona.

– Mówiłeś, że nie należałeś do żadnego bractwa, Gormonie. A czy przypadkiem nie ukryłeś przed nami tego, że byłeś Pamiętającym?

– Spójrz na mnie, Obserwatorze. Czy ja mógłbym zostać członkiem jakiegoś bractwa? Czy któreś z nich przyjęłoby Odmieńca?

– To prawda – przyznałem, spoglądając na jego złote włosy, grubą, woskowatą skórę, spękane usta i oczy o czerwonych źrenicach.

Gormon był potworem. Pięknym w swoim rodzaju, lecz mimo wszystko potwornym, pozbawionym praw panujących w trzecim cyklu ludzkości Odmieńcem. Nie posiadał nawet swojego klanu, gdyż nigdzie takiego nie założono.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnął dalej Gormon.

Pojemność ultrakieszeni jest nieskończona. Można by w razie potrzeby ukryć w tej niewielkiej, niewiele większej od dłoni ludzkiej sakiewce połowę świata i jeszcze znalazłoby się trochę miejsca. Gormon wyciągnął z niej fragmenty mechanizmów, zwoje papirusów, wielkie, wykonane z czerwonego metalu przedmioty stanowiące niewątpliwie jakieś starożytne narzędzia, migocące szklane kwadraty, pięć kartek papieru – papieru! – i całe stosy innych zabytków.

– Spójrz, Obserwatorze! Oto plon mojej wyprawy. Myślisz zapewne, że zabrałem je ot tak, dla własnej przyjemności. Mylisz się jednak. Wszystkie te przedmioty są zarejestrowane, oznaczone wskazówkami, skąd pochodziły, ile lat liczą i gdzie zostały znalezione. Spójrz. Tu, przed nami leżą tysiąclecia Roumu.

– Nie sądzisz, że postąpiłeś niewłaściwie zabierając te rzeczy? – zapytałem go z powątpiewaniem.

– Dlaczego? Komu ich zabraknie? Kto w naszym cyklu interesuje się przeszłością?

– A Pamiętający?

– Oni nie potrzebują do swoich prac dowodów materialnych.

– A dlaczego ty je wziąłeś?

– Przeszłość mnie interesuje, Obserwatorze. Nie należę do żadnego klanu, a w ten sposób zdobywam wiedzę. Czy to źle? Czy dlatego, że jestem Odmieńcem, nie mogę mieć prawa do kultury?

– Oczywiście, że możesz. Ale rób to w taki sposób, żebyś nie przeszkadzał innym. O świcie wejdziemy do Roumu. Muszę znaleźć tam jakieś zajęcie.

– To nie będzie takie łatwe.

– Dlaczego?!

– Wielu jest Obserwatorów w Roumie! Miasto może nie potrzebować twoich usług.

– Zdobędę względy Księcia Roumu.

– Książę Roumu jest człowiekiem twardym, nieczułym i okrutnym.

– Słyszałeś o nim?

Gormon wzruszył ramionami.

– Co nieco. – Zbierał ostrożnie swoje skarby i wkładał je do ultrakieszeni. – Ale to jest twoja szansa, Obserwatorze! Chyba że masz inne wyjście?

– Ani jednego!

Wybuchnął śmiechem. – Ja nie.

Gormon znów zajął się swoimi skarbami. Jego słowa przygnębiły mnie do reszty. Jakiż on był pewny siebie w tym niezwykłym świecie! Ten pozaklanowiec, potwór, mutant. Człowiek o tak niesamowitym wyglądzie. Dlaczego był tak wesoły i beztroski! Nie obawiał się niczego i drwił sobie z każdego zagrożenia. Minęło zaledwie dziewięć dni od naszego spotkania w nadbrzeżnym mieście położonym u stóp wulkanu. Nie proponowałem mu wspólnej wędrówki. Gormon był sam sobie panem i nie pytając o zgodę ruszył z nami. A ja wobec nalegań Avlueli nie sprzeciwiałem się temu. O tej porze roku, kiedy zimno i wiatr grasowały po drogach na równi z dzikimi zwierzętami, taki towarzysz jak Gormon stanowił wielką pomoc dla starca i młodej dziewczyny. Lecz zdarzały się chwile takie jak ta, kiedy żałowałem swojej decyzji.

Kiedy ruszyłem z wolna ku swoim instrumentom, Gormon zapytał, jakby dopiero teraz przyszło mu to do głowy:

– Czy przeszkodziłem ci w czuwaniu, Obserwatorze?

– Tak – odpowiedziałem mu najmilej, jak tylko potrafiłem.

– Wybacz mi i wracaj do swojego czuwania. Nie będę ci już przeszkadzał.

Uśmiechnął się swoim krzywym, lecz jakże olśniewającym uśmiechem, którym potrafił zatrzeć ślad naszej niedawnej sprzeczki.

Powróciłem do swoich przyrządów. Przystosowując się do tabulatorów połączyłem się z nimi, lecz nie udało mi się wznowić czuwania. Czułem obecność Gormona i nie miałem pewności, czy pomimo swoich zapewnień nie przerwie mi znowu w najważniejszym momencie. Zrezygnowałem. Gormon stał akurat po drugiej stronie drogi i spoglądał w niebo, wypatrując Avlueli. Po chwili zorientował się, że patrzę na niego.

– Czy coś jest nie tak, Obserwatorze?

– Nie! Nie jest to najodpowiedniejszy moment do czuwania. Muszę poczekać.

– Powiedz mi, czy twoja aparatura odkryje wrogów Ziemi, kiedy pojawią się wśród gwiazd?

– Tak sądzę.

– I co dalej?

– Zawiadomię obrońców.

– I tym zakończysz dzieło swego życia?

– Być może.

– Ale dlaczego jest was tak wielu? Dlaczego nie ma jednego centrum poszukiwawczego? Po co trzyma się całą armię Obserwatorów?

– Im więcej jest kierunków obserwacji, tym większe są szanse natychmiastowego alarmu w razie inwazji.

– Zatem pojedynczy Obserwator może chodzić sobie po Ziemi nie wiedząc, że obcy są już na planecie?

– To mogłoby się zdarzyć. I właśnie dlatego jest nas tak wielu.

– Czasami myślę, że robicie to tylko dla własnego spokoju – Gormon roześmiał się. – Czy naprawdę wierzysz, że ta inwazja nastąpi?

– Wierzę – odpowiedziałem mu obrażonym tonem. – Gdyby tak nie było, już dawno rzuciłbym to wszystko.

– Ale po co kosmici mają podbijać Ziemię? Co mamy takiego prócz żałosnych pozostałości po dawnych imperiach? Czy chcieliby tego nędznego Roumu? Perrisu? Jorslem? Tych gnijących miast? Zdebilałych książąt! Zrozum wreszcie, Obserwatorze. Inwazja jest mitem, a twoje czuwanie nie służy niczemu! No powiedz, czy tak nie jest.

– Czuwanie jest moim rzemiosłem, tak jak twoim jest żart! Każdy ma swoją specjalność, Gormonie.

– Wybacz mi zatem – odpowiedział z udaną pokorą – i wracaj do swojego czuwania.

– Idę.

Pochyliłem się nad swoimi przyrządami i postanowiłem czuwać, nie zwracając uwagi na najbardziej nawet brutalne przeszkody. Ujrzałem gwiazdy. Tysiące gwiazd układających się w świetliste gwiazdozbiory, a mój umysł rejestrował automatycznie miriady światów.

– Czuwaj! – napominałem sam siebie. – Prowadź dalej obserwację wbrew szydercom.

Pogrążyłem się w czuwaniu.

Obejmując manetkę sprzęgła zespoliłem się z przenikającym przestrzeń promieniem energii i ruszyłem przez galaktykę w poszukiwaniu wrogich istot. Cóż to za ekscytujące uczucie! Cóż za niewypowiedziane piękno! Ja, który nigdy nie opuszczałem naszej planety, mknąłem przez lodowatą pustkę kosmosu, prześlizgując się od jednej gwiazdy do drugiej i spoglądałem na wirujące wokół nich planety. Wokół mnie pojawiały się twarze zamieszkujących je istot. Twarze bez oczu i twarze o dziesiątkach oczu. Zasiedlona przez ogromną liczbę ras galaktyka ukazała mi całą ich rozmaitość. Obserwowałem każdy jej zakątek, w którym mogły znaleźć schronienie wrogie siły. Sprawdzałem poligony, obozy wojskowe tak, jak to robiłem co dnia od czasu uzyskania pełnoletności. Cztery razy w ciągu doby poszukiwałem zapowiedzianych w przepowiedniach najeźdźców, którzy mieli objąć w posiadanie nasz świat.

Nie znalazłem niczego, a kiedy wyczerpany i spocony obudziłem się z transu, ujrzałem zstępującą z nieba Avluelę. Opadła lekko niczym piórko i podbiegła do wołającego ją Gormona. Potężne ręce Odmieńca objęły jej drżące ciało. Uścisk Gormona wydawał się pozbawiony uczuć, lecz zarazem biła z niego wielka radość. Kiedy ją puścił, Avluela podbiegła do mnie, krzycząc:

– Roum! Roum!

– Widziałaś go?

– Wszystko widziałam! Tysiące ludzi! Światła! Ulice! Targowiska! Ruiny liczące sobie kilka cykli! Roum jest wspaniały.

– Miałaś dobry lot?

– Cudowny.

– Pojedziemy tam o świcie. Muszę znaleźć pracę.

– Nie, Obserwatorze. Chodźmy teraz, teraz! – poczerwieniała z podniecenia Avluela buchała dziewczęcym wigorem. – To już tak blisko.

– Lepiej odpocznijmy tutaj. Nie chciałbym wchodzić do Roumu zmęczony.

– Odpoczniemy na miejscu. Zostaw to wszystko i chodź. Czuwałeś już, prawda?

– Tak.

– Więc chodź, w drogę. Do Roumu.

Spojrzałem na Gormona. Noc już zapadła i dawno nadszedł czas do rozłożenia obozu. Należało nam się kilka godzin snu.

Tym razem Gormon stanął po mojej stronie.

– Obserwator ma rację – powiedział Avlueli. – Chwila odpoczynku jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Wejdziemy do Roumu, kiedy wzejdzie dzień

2.

Droga była pusta. Ludzie, z wyjątkiem tych, którzy tak jak ja wędrowali z przyzwyczajenia i zawodowej konieczności, nie odczuwali już potrzeby podróży. Mimo to musieliśmy ustąpić z drogi, by przepuścić wóz członka Klanu Panów z tuzinem zerowców o pozbawionych wyrazu twarzach, zaprzęgniętych do dyszla. Podczas pierwszych dwóch godzin przepuściliśmy cztery takie szczelnie zamknięte zaprzęgi, kryjące Panów przed naszym wzrokiem. Wyprzedziło nas też kilka wypełnionych towarami sań, a ponad naszymi głowami przemykali od czasu do czasu Szybownicy.

Okolice Roumu były usiane śladami starożytności; pojedynczymi kolumnami, ruinami martwych akweduktów i fragmentami opuszczonych świątyń. To był Roum starożytny, lecz Roum następnych cykli również pozostawił tu swoje ślady: chałupy wieśniaków, kopuły dystrybutorów energii, szkielety domów mieszkalnych. Natknęliśmy się też przypadkiem na zwęglone szczątki jakiegoś starożytnego statku powietrznego. Gormon badał to wszystko skwapliwie, pobierając od czasu do czasu drobne próbki, a Avluela obserwowała go z szeroko otwartymi oczyma.

Wreszcie dotarliśmy do majestatycznych murów miasta. Wzniesione z wypolerowanego błękitnego kamienia, znakomicie dopasowane do siebie bloki wznosiły się na osiem wysokości człowieka. Droga wiodła wzdłuż murów aż do bramy. Wielkie wrota były otwarte. Kiedy zbliżyliśmy się, naprzeciw nas wyszedł zakapturzony człowiek, odziany w ciężkie szaty Pielgrzyma.

Wyglądał niesamowicie. W zasadzie nikt nie uznaje zwierzchnictwa Pielgrzymów, lecz gdy uczynią znak, należy ich wysłuchać.

Pielgrzym uczynił znak.

– Skąd przybywasz? – zapytał mnie zza kratownicy swojej maski.

– Z południa. Mieszkałem jakiś czas w Ogypcie. Później przebyłem Most Ziemi i wróciłem do Talii.

– Dokąd zmierzasz?

– Do Roumu. Mam zamiar zostać tu przez jakiś czas.

– Jak idzie czuwanie?

– Jak zwykle.

– Czy masz mieszkanie w Roumie?

Potrząsną głową.

– Liczymy na przychylność Losu.

– Los nie zawsze jest przychylny – odpowiedział zamyślonym głosem – a w Roumie nie brak Obserwatorów. Dlaczego wędrujesz z Szybowniczką?

– Dla towarzystwa! Dlatego, że jest młoda i potrzebuje opieki.

– A kim on jest?

– Pozaklanowcem: to Odmieniec.

– Widzę. Ale dlaczego przebywa z tobą?

– Jest silny, a ja jestem już stary i dlatego wędrujemy razem. Powiedz mi, Pielgrzymie, dokąd zmierzasz?

– Do Jorslem. Czy istnieje jakiś inny cel dla mojego Klanu?

Wzruszyłem ramionami. Wiedziałem przecież, że nie.

– Dlaczego nie wyruszysz ze mną do Jorslem? – zapytał Pielgrzym.

– Udaję się na północ, a Jorslem leży na południu, blisko Ogyptu.

– Byłeś w Ogypcie i nie odwiedziłeś Jorslem?

– Nie miałem czasu.

– Chodź zatem teraz. Wędrując w kompanii będziemy opowiadać o minionych czasach i o tych, które dopiero nadejdą. Będę ci towarzyszem w czuwaniu, a ty mnie w moich kontaktach z Losem. Zgadzasz się?

Ujrzałem przed oczyma obraz złotego Jorslem. Jego budynków, świętych ołtarzy, odmładzalni, w których starcy stawali się młodzieńcami, strzelistych wież i namiotów. Nie byłem jednak na tyle porywczy, by porzucić Roum i ruszyć do Jorslem.

– Ale moi towarzysze...

– Zostaw ich. Ja nie mogę podróżować z pozaklanowcami. Nie chciałbym też iść razem z kobietą. Możemy pójść sami do Jorslem, Obserwatorze. Ty i ja.

Avluela, która przysłuchiwała się naszej rozmowie stojąc u mojego boku, spojrzała na mnie z przerażeniem.

– Nie opuszczę ich – odpowiedziałem.

– Dobrze. Pójdę do Jorslem bez ciebie.

Pielgrzym wysunął spod swej szaty długą, bladą i kościstą rękę. Dotknąłem trwożliwie w geście pożegnania końców jego palców.

– Niech Los będzie łaskawy dla ciebie, przyjacielu – rzekł Pielgrzym. – A kiedy znajdziesz się w Jorslem, odszukaj mnie.

Oddalił się.

– Miałeś ochotę pójść z nim, co? – zapytał mnie Gormon.

– Myślałem o tym.

– Jak sądzisz: co jest ważniejsze, Roum czy Jorslem? Jorslem to święte miasto. Roum również, ale ma tę przewagę, że możesz w nim odpocząć za chwilę. Wydaje mi się, że nie byłbyś w stanie wyruszyć teraz w dalszą drogę.

– Może masz rację – odpowiedziałem i zbierając resztki sił ruszyłem do bram miasta.

Spoza wybitego w murze wąskiego okienka obserwowały nas czyjeś czujne oczy. Kiedy pokonaliśmy niemal połowę drogi do bramy, pojawił się w niej gruby Strażnik o ospowatej twarzy i obwisłych policzkach. Zatrzymał nas i zapytał, co chcemy robić w Roumie. Kiedy powiedziałem mu, do jakiego Klanu należę i w jakim celu przybyłem, chrząknął znacząco.

– Lepiej stąd idź, Obserwatorze! Potrzebujemy tutaj bardziej pożytecznych ludzi.

– Przecież czuwanie jest pożyteczne – odpowiedziałem mu uprzejmym głosem.

– Niewątpliwie. Niewątpliwie. – Spoglądał na Avluelę – A kim ona jest? Obserwatorzy żyją samotnie, o ile się nie mylę.

– Ona towarzyszy mi tylko w drodze.

Strażnik wybuchnął śmiechem.

– Myślę, że tę podróż będziesz zawsze mile wspominał. Przecież ona jest taka cherlawa. Ileż może mieć lat – trzynaście, czternaście. Zbliż się ślicznotko, niech sprawdzę, czy przypadkiem nie przemycasz czegoś?

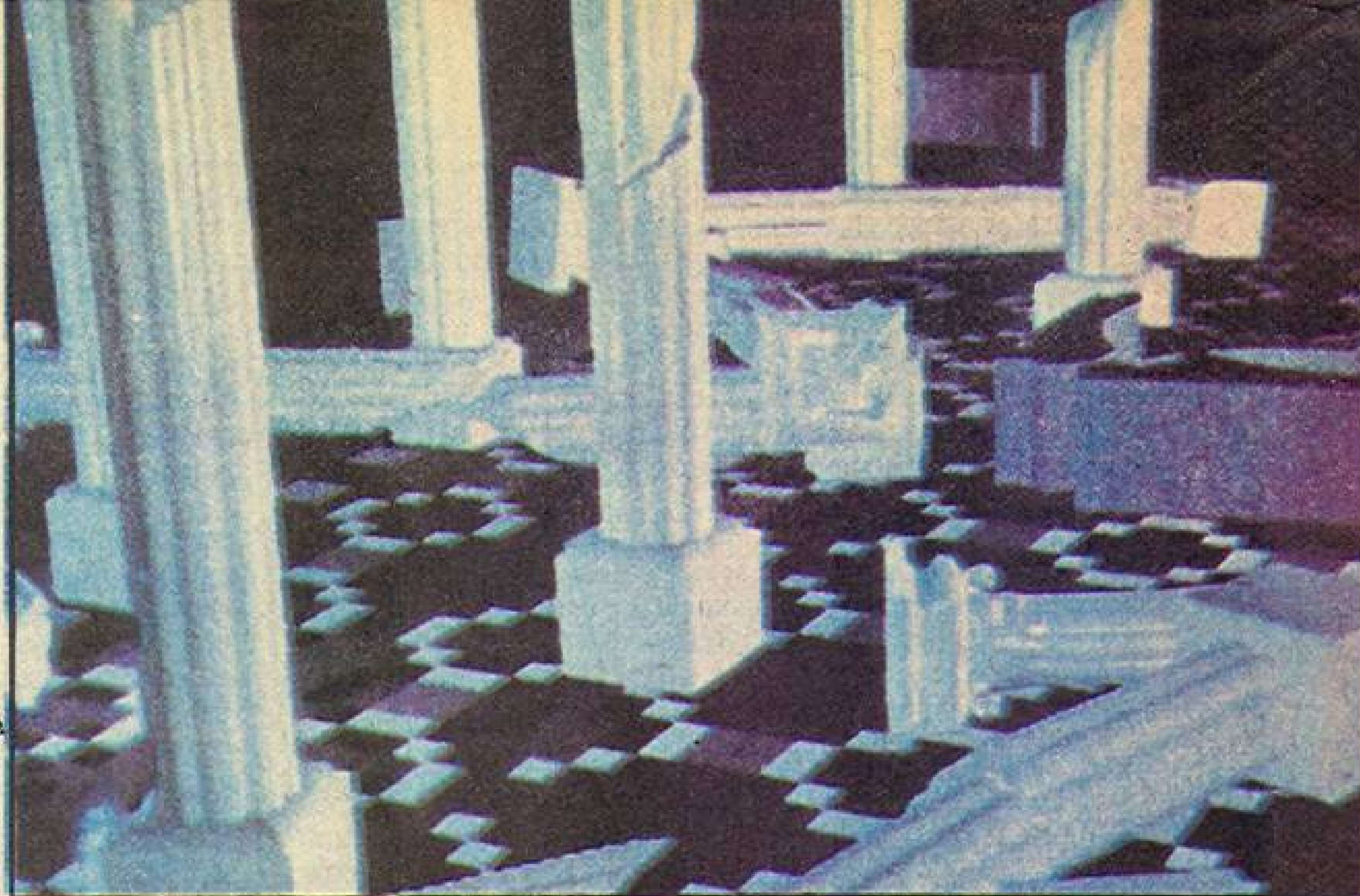
Obszukiwał ją pośpiesznie. Skrzywił się dotykając jej małych piersi i zmarszczył brwi, wyczuwając na plecach dziewczyny dwa pęcherze.

– Cóż to znaczy? Z tyłu jesteś lepiej wyposażona niż z przodu. Jesteś Szybowniczką? Czemu zgodziłaś się podróżować z tym starym, cuchnącym Obserwatorami...

Przedstawiając w Galerii „Fantastyki" grafikę, nazwaną umownie „komputerową", chcemy pokazać do czego zdolni są artyści wyposażeni w nowoczesne środki techniczne. Pomińmy milczeniem lichotę naszego druku i spójrzmy na możliwości „skrzyżowania telewizora z maszyną do pisania".

GALERIA

komputer



Oto symulacja lotu – kilka sekwencji z filmu treningowego dla pilotów. Sformułowane matematycznie trajektorie są wyobrażone w sposób ściśle graficzny, wizualny.
Spiralne kształty muszli, pokryte skomplikowanym wzorem, odbijającym i emitującym światło niczym obrazy Wielkich Mistrzów – to prace Yoichiro Kawaguchi. I on transponuje serie matematycznych równań i przekształceń w formy graficzne.
Zagadkową architekturę powalonych kolumn w pełnej pustki przestrzeni stworzył Richard Balabuck. Zamiast pędzla posługiwał się minikomputerem VAX II/780.
Inne obrazy – jakby bardziej znane: widok Saturna (efekt przetworzenia przez komputer danych z automatycznej sondy „Voyager") i „Kosmiczna taksówka". O tym ostatnim warto podać więcej informacji. Ta sekwencja z filmu „The Last Starfighter" jest wynikiem współpracy artystów Rona Cobba („Alien"), Gene Winfielda („Startrek", „Blade Runner") i firmy „Digital Productions" Johna Whitneya i Gary Demosa. Niezależnie fotografowane obrazy Ziemi i makiety auta zostały przepisane przez komputer „CRAY X-MP" na raster złożony z 24 000 000 punktów – dla porównania obraz telewizyjny zawiera ich niewiele ponad ćwierć miliona. Następnie wszelkie ruchy „taksówki" symulował komputer, co pozwoliło uniknąć tradycyjnych zdjęć makietowych. Identycznie wyprodukowano sceny batalistyczne z udziałem tradycyjnych już kosmicznych krążowników.
Przedstawiamy dwojakie zastosowanie komputera: jako środka wyrazu artystów, których ogranicza ostateczność pociągnięcia pędzlem, i jako środka przetwarzania danych dla uzyskania wyższej jakości

dokończenie na stronie 10



Mruknął coś jeszcze i zaczął obszukiwać Avluelę w taki sposób, że stojący za mną Gormon nie wytrzymał i rzucił się na niego z furią w ognistych oczach. Zdążyłem jednak zareagować na czas. Chwyciłem go za przegub i wytężając wszystkie siły powstrzymałem przed atakiem na Strażnika. Próbował wprawdzie uwolnić się i o mały włos by mu się to udało, lecz uspokoił się i spoglądając wściekle na Strażnika obserwował w milczeniu jego poczynania. Strażnik tymczasem obmacywał systematycznie Avluelę w poszukiwaniu, jak to sam określił, „przemytu". Wreszcie skończył. Odwrócił się do Gormona i powiedział z obrzydzeniem:

– A ty coś za jeden?

– Jestem pozaklanowcem, wasza łaskawość – odpowiedział Gormon chłodnym tonem. Musiał się upokorzyć. Pomimo swojego wynaturzenia on również był człowiekiem i pragnął dostać się do Roumu.

– Nie potrzebujemy potworów.

– Mało jem i dużo pracuję.

– Będziesz pracował jeszcze więcej, kiedy cię zneutralizują.

Gormon spojrzał na niego ze złością.

– Możemy wejść? – zapytałem Strażnika.

– Chwileczkę!

Włożył czepek kontaktowy i przymykając oczy usiłował połączyć się z silosem pamięciowym, krzywiąc się przy tym z wysiłku. Wreszcie skontaktował się i kilka sekund później otrzymał odpowiedź. Nie słyszeliśmy wprawdzie dialogu, lecz jego rozczarowana mina nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Jasne było, że nie znalazł żadnego powodu, dla którego mógłby nas zatrzymać i nie wpuścić do Roumu.

– Przechodzić – rzekł wreszcie – wszyscy troje. I pośpieszcie się.

Minęliśmy bramę.

– Mogłem go załatwić jednym ciosem – mruknął Gormon.

– Zneutralizowano by cię jeszcze przed zmierzchem. Wystarczyło trochę cierpliwości i jesteśmy w Roumie.

– Ale sposób, w jaki on...

– Wydaje mi się, że twój stosunek do Avlueli jest dosyć osobisty. Nie zapominaj jednak, że to Szybowniczka i obcowanie z pozaklanowcami jest jej zabronione.

Zignorował moją ripostę.

– Ona nie interesuje mnie bardziej niż ciebie, Obserwatorze, lecz nie mogłem znieść tego widoku. Zabiłbym go, gdybyś mnie nie powstrzymał.

– Teraz, kiedy weszliśmy już do Roumu, powinniśmy znaleźć sobie jakieś lokum – wtrąciła Avluela.

– Pozwólcie, że najpierw znajdę siedzibę swojego Bractwa. Powinienem zgłosić się w zajeździe Obserwatorów. Później poszukamy loży Szybowników, żeby coś zjeść...

– Po czym udamy się do pozaklanowego bagna, by błagać o nocleg – dokończył oschle Gormon.

– Litowałem się nad tobą, ponieważ jesteś Odmieńcem, ale widzę, że sam nieźle potrafisz rozczulać się nad sobą. Chodźmy.

Minęliśmy bramę i ruszyliśmy krętą uliczką prowadzącą do serca Roumu. Znajdowaliśmy się w zewnętrznym kręgu miasta, dzielnicy mieszkalnej składającej się z niskich, przysadzistych budynków zwieńczonych ciężkimi ekranami instalacji obronnych. Wewnątrz tego kręgu wznosiły się lśniące wieże, które dostrzegliśmy poprzedniego wieczora, pieczołowicie strzeżone od ponad dziesięciu tysięcy lat zabytki starego Roumu, targowiska, strefy przemysłowe, kopce komunikacyjne, świątynie Losu, silosy pamięci, azyle snu, pozaziemskie lunaparki, gmachy administracyjne, siedziby centralne najróżniejszych klanów.

Za rogiem dostrzegłem budowlę z drugiego cyklu o kauczukowej fasadzie złożonej z czepków kontaktowych. Zbliżyłem się i założyłem jeden z nich. W tej samej chwili moje myśli pomknęły na spotkanie z jednym z mózgów zgromadzonych w banku pamięci. Ujrzałem pofałdowaną powierzchnię mózgu pogrążonego w zielonym półmroku swojego pomieszczenia. Jeden z Pamiętających powiedział mi, że kiedyś, w minionych cyklach, ludzie budowali specjalne maszyny, które myślały za nich, lecz były jednocześnie zbyt wielkie i kosztowne. Pożerały też mnóstwo tak potrzebnej energii. Nie było to wprawdzie największe głupstwo naszych przodków, ale po co produkować sztuczne mózgi, kiedy co dnia umierają całe tuziny znakomitych ludzkich mózgów, które wystarczy umieścić w silosach pamięci. Że też nasi ojcowie nie potrafili ich wykorzystać! Aż trudno pojąć.

Przekazałem mózgowi dane o swojej przynależności do Bractwa i zapytałem go o lokalizację naszego zajazdu. Otrzymałem ją w tej samej chwili i ruszyliśmy w dalszą drogę. Avluela szła po prawej stronie, Gormon po lewej, a ja w środku, ciągnąc swój nieodłączny wózek z instrumentami.

Cóż za tłum! Nigdy nie widziałem takiego zamętu – ani w Ogypcie, ani w żadnym z miast, przez które wędrowałem ku północy. Ulice były wypełnione tłumem milczących i zamaskowanych Pielgrzymów, którzy przepychali się pomiędzy zaaferowanymi Pamiętającymi i zasępionymi Kupcami. Na sąsiednim pasażu mignęła nam lektyka jednego z Panów. Avluela zauważyła również kilku Szybowników, lecz stary obyczaj klanu zabraniał jej pozdrawiania ich przed oczyszczeniem. Z przykrością muszę stwierdzić, że i ja dostrzegłem wielu Obserwatorów, którzy spoglądając z niechęcią mijali mnie bez słowa powitania.

Oprócz nich zauważyłem też obecność Obrońców i całej gamy reprezentantów innych, mniej ważnych Bractw; Sprzedawców, Pomocników, Przemysłowców, Pisarzy, Łącznościowców i Transportowców. Wokół nich przemykał milczący tłum szarych ludzi i wszelkiego rodzaju kosmitów. W większości składali się nań turyści, lecz wśród nich krążyli też tacy, którzy przybyli tutaj, by pomóc mieszkańcom Ziemi. Widziałem też tajemniczo wyglądających, chromych Odmieńców, przemykających skrajem dróg. Żaden z nich nie miał jednak tak okazałej postaci, jak Gormon, który zdawał się być wyjątkiem w swoim rodzaju. Wszyscy inni kryli się ze swoją nakrapianą skórą, różnobarwnością, brakiem lub nadmiarem członków. Zdeformowani na tysiące sposobów niczym postacie powstałe w chorej wyobraźni artysty, stanowili prawdziwą zezująco-pełzająco-pokraczną społeczność. Byli złodziejami, dawcami mózgów i handlarzami organów, sprzedawcami skruchy i kupcami wiedzy, lecz żaden z nich nie czuł się pewnie wobec ludzi.

Wskazówki mózgu okazały się prawdziwe. W przeciągu niecałej godziny udało się nam trafić do zajazdu Obserwatorów. Poprosiłem, aby Avluela i Gormon pozostali na zewnątrz i wszedłem doń sam, ciągnąc za sobą swój nieodłączny wózek.

W niewielkiej sali przebywało kilkunastu Obserwatorów. Przywitałem ich tradycyjnym znakiem rozpoznawczym. Odpowiedzieli mi z ociąganiem. Czy to mają być strażnicy, na których spoczywa obowiązek ochrony Ziemi? Banda niedołęgów i szmatławców.

– Gdzie mogę się wpisać? – zapytałem.

– Jesteś nowy? Skąd przybywasz?

– Ostatnio zapisywałem się w Ogypcie.

– Lepiej byś zrobił, gdybyś tam został. Tutaj nie potrzebują Obserwatorów.

– Gdzie mogę się wpisać? – powtórzyłem.

Jakiś młody laluś wskazał mi palcem na umieszczony w końcu sali ekran. Zbliżyłem się i położyłem dłoń na jego powierzchni. Zapytano mnie; podałem swoje imię (jedynie Obserwator może poznać imię drugiego Obserwatora i to tylko pod warunkiem, iż znajduje się na terenie zajazdu). Płyta odchyliła się i wyszedł spod niej młody mężczyzna o zapuchniętych oczach. Na prawym policzku nosił znak Obserwatorów, lewy zaś pozostawał czysty, co świadczyło, że jest uczniem w naszym klanie:

– Źle zrobiłeś przybywając do Roumu – powiedział. – Jest nas tutaj zbyt wielu.

– Niemniej proszę o schronienie i pracę.

– Ktoś, kto ma takie poczucie humoru jak ty, powinien wstąpić do Klanu Błaznów – odpowiedział.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego.

– Zapoznaj się z prawami ustalonymi na ostatnim zjeździe naszego klanu. Zajazd nie może przyjąć więcej lokatorów niż ma miejsc. Żegnam, przyjacielu.

Byłem przerażony.

– Gdzie mam się udać? Co robić?

– Dam ci dobrą radę – odpowiedział łagodnym głosem. – Zdaj się na łaskę Księcia Roumu.

3.

Kiedy powtórzyłem te słowa Gormonowi, ów aż pokładał się ze śmiechu. Nagły wybuch wesołości zaróżowił mu policzki i poznaczył je cętkami pęczniejących pod skórą naczyń krwionośnych.

– Miłosierdzie Księcia Roumu – powtarzał – Miłosierdzie Księcia Roumu...

Odpowiedziałem mu oschle:

– Obyczaj każe, by w nieszczęściu zwracać się do lokalnych władców.

– Książę Roumu nie zna miłosierdzia. Każe ci zjeść swoje własne członki.

– Może powinniśmy odszukać lożę Szybowników – zaproponowała nieśmiało Avluela. – Tam dostaniemy coś do zjedzenia.

– Gormon nie dostanie – zaproponowałem – a mamy wobec siebie jakieś zobowiązania.

– Możemy wynieść mu coś na zewnątrz – odpowiedziała.

– Wolałbym najpierw odwiedzić dwór. Kiedy zorientujemy się dokładnie, jak wygląda nasza sytuacja, może znajdziemy jakiś sposób, by pozostać tutaj.

Avluela nie opierała się dłużej i ruszyliśmy drogą wiodącą do pałacu Księcia Roumu; masywnego gmachu dominującego nad ogromnym placem otoczonym kolumnami, który rozciągał się na przeciwległym brzegu przecinającej miasto rzeki. Wchodząc na plac zmieszaliśmy się ze skłębionym tłumem oblegających go żebraków. Wielu spośród nich pochodziło spoza Ziemi. Jakaś okropna istota o lepkich mackach i żylastej, pozbawionej nosa twarzy rzuciła się na mnie bełkocząc prośby o datek tak nachalnie, iż potrzebowałem pomocy Gormona, by się od niej opędzić. Nie na długo jednak. Kilka minut później inny, równie niezwykły stwór przypadł mi do stóp prosząc o zmiłowanie w imię Losu. Miał skórę pocętkowaną świetlistymi kraterami i nakrapiane oczami kończyny.

– Jestem tylko ubogim Obserwatorem – odrzekłem wskazując na swój wózek – i też przybyłem tutaj, by prosić o litość.

Stwór jednak pogrążył się już w opisywaniu swojej niedoli głosem tak miękkim, delikatnym i przerywanym wybuchami płaczu, że za namową Gormona wrzuciłem mu kilka pastylek odżywczych do torby, którą miał zawieszoną na szyi. Ruszyliśmy dalej przeciskając się przez ciżbę, lecz tuż przed bramą pałacu zatrzymało nas nowe, jeszcze okropniejsze widowisko: okaleczony Szybownik o powykręcanych i zdeformowanych kończynach. Jedno z jego na wpół rozwiniętych skrzydeł było poważnie uszkodzone a drugie niemal zupełnie zniszczone. Nieszczęśnik ów przepychał się ku Avlueli wołając za nią jakimś imieniem i płacząc łzami tak rzewnymi, iż spływając plamiły jasne futro jego nagolenników.

– Pozwól mi wejść do loży ze sobą – błagał ją. – Wyrzucono mnie stamtąd dlatego, że jestem ułomny, ale jeśli ty się mną zaopiekujesz...

Avluela usiłowała wytłumaczyć mu, że nie może nic dla niego uczynić, gdyż nie należy do tej loży, lecz nieszczęsny Szybownik nie opuszczał jej i dopiero kiedy Gormon odsunął delikatnie wychudzonego biedaka, mogliśmy ruszyć dalej.

Kiedy tylko minęliśmy bogato zdobiony portal, pojawiło się przed nami dwóch zerowców o dobrodusznym wyglądzie. Zapytali o cel naszej wizyty i odprowadzili nas do następnych drzwi, przy których stało dwóch pomarszczonych Rejestratorów. Rejestratorzy przywitali nas tym samym pytaniem, wymawiając je jednocześnie.

– Przybyliśmy tu, by prosić o miłosierdzie Księcia – odpowiedziałem im.

– Audiencja rozpoczyna się za kilka dni – rzekł Rejestrator stojący po prawej stronie. – Zapiszemy waszą prośbę.

– Ale my nie mamy gdzie spać – krzyknęła Avluela. – Jesteśmy głodni! Jesteśmy...

Uciszyłem ją. Gormon sięgnął do swojej kieszeni. W jego ręce, gdy ją wyciągnął, błyszczały jakieś przedmioty: złote monety, okruchy wiecznego metalu z wybitymi nań brodatymi obliczami o zakrzywionych nosach. Znalazł je podczas swoich wypraw w ruiny. Rzucił jedną z nich Rejestratorowi, który udzielił nam odmownej odpowiedzi. Człowiek ten schwycił ją w locie, potarł palcem jej powierzchnię i ukrył natychmiast w jakimś zakamarku swej odzieży. Drugi Rejestrator czekał. Gormon uśmiechnął się i podał mu następną monetę.

– Być może dostąpimy zaszczytu audiencji nadzwyczajnej – powiedziałem.

– Być może – zgodził się jeden z Rejestratorów. – Przechodźcie.

Weszliśmy więc do właściwego wnętrza pałacu i znaleźliśmy się w obszernej nawie przylegającej do skrzydła zawierającego salę tronową. Tutaj też roiło się od żebraków – tych, którzy posiadali dziedziczne koncesje – i całych hord Pielgrzymów, Gońców, Pamiętających, Muzyków, Pisarzy i Strażników. Słyszałem szmery modlitw, wdychałem zapach kadzideł i czułem wibrację ukrytych pod ziemią gongów. W minionych cyklach przybytek ten stanowił jedno z miejsc praktykowania starej religii – chrześcijaństwa. Gormon opowiedział mi o niej tyle, że znów pomyślałem o nim jak o Pamiętającym ukrywającym się pod maską Odmieńca. Zachował do dziś coś ze swojej świętości, stając się równocześnie siedzibą świeckich władców Roumu.

Lecz co zrobić, by ujrzeć Księcia? Po lewej stronie dostrzegłem małą, wypełnioną po brzegi kapliczkę, przed którą przesuwała się z wolna długa kolejka Sprzedawców i Gospodarzy. Zauważyłem też trzy czaszki umieszczone w budkach komunikacyjnych – wyjścia silosów pamięci – i siedzącego przed nimi atletycznej budowy Pisarza. Poprosiłem Gormona i Avluele, by poczekali na mnie i stanąłem na końcu ogonka.

Kolejka posuwała się powoli, krok po kroku i minęła dobra godzina, nim dotarłem do rozmównicy. Czaszki spoglądały na mnie z oburzeniem swoimi niewidzącymi oczyma. Spod ich szczelnie zamkniętych pokryw dobywał się cichy szum fluidów, dzięki którym funkcjonowały martwe mózgi, użyczając biliardów swoich komórek aparaturze mnemonicznej. Pisarz zdawał się również być zaskoczony widokiem Obserwatora w kolejce, lecz zanim zdążył zaprotestować, przemówiłem do niego.

– Jestem wędrowcem, który przybył, by prosić Księcia o łaskę. Moi towarzysze i ja nie mamy gdzie się schronić. Moje własne Bractwo przegnało mnie. Co powinienem zrobić? Jak mogę uzyskać audiencję?

– Przyjdź za cztery dni...

– Minęło już więcej niż cztery dni od czasu, gdy śpię pod gołym niebem. Teraz chciałbym odpocząć w bardziej ludzkich warunkach.

– Zajazdy publiczne...

– Ależ ja jestem członkiem klanu – zaprotestowałem. – Nikt nie przyjmie mnie do publicznego zajazdu, dopóki moje Bractwo posiadać będzie swój własny zajazd; a w nim odmówiono mi miejsca, gdyż nie znałem nowych przepisów. Widzisz zatem, w jakiej sytuacji się znalazłem.

– Powinieneś się ubiegać o audiencję specjalną – odpowiedział Pisarz znudzonym głosem. – Odpowiedź będzie negatywna, ale możesz zapytać.

– Gdzie?

– Tutaj. Przedstaw swoją prośbę.

Wyjawiłem przed czaszką swoją przynależność, jak również imiona i stan moich towarzyszy, po czym przystąpiłem do omówienia mojego przypadku. Wszystkie dane, które jej podawałem, zostały zarejestrowane i przetransmitowane do umieszczonych gdzieś we wnętrzu miasta mózgów. Kiedy skończyłem, Pisarz powiedział:

– Jeśli twoja prośba zostanie przyjęta, zawiadomimy cię.

– Czy mam czekać tutaj?

– Nie oddalaj się zbytnio od pałacu, jeśli chcesz mojej rady.

Zrozumiałem: teraz muszę dołączyć do legionów nieszczęśników tłoczących się na placu. Ilu z nich dostąpi łaski Księcia po trwającym miesiące (czy lata) czekaniu i zostanie wysłuchanych? Do tego czasu będę spać na bruku żebrząc o kawałek chleba i żywiąc się próżną nadzieją.

Kiedy ruszyliśmy w stronę wyjścia, mój czasomierz podszepnął mi, że nadszedł czas czuwania. Mogłem – był to mój przywilej – prowadzić czuwanie w każdym miejscu, bez względu na okoliczności. Zatrzymałem się więc, włączyłem przyrządy i ustawiłem wózek. Avluela i Gormon zatrzymali się u mojego boku. Przechodnie, którzy wchodzili bądź też wychodzili z pałacu, uśmiechali się znacząco na mój widok, nie mogąc drwić otwarcie. Czuwanie stało się rzeczą raczej niemile widzianą. Minęło już wiele czasu, a żaden z Obserwatorów nie odkrył ani śladu wrogów. Ja uważałem jednak, że każdy powinien wykonywać do końca swoje zadanie, nawet jeśli wygląda ono niepoważnie.

Uparłem się i na złość wszystkim rozpocząłem czuwanie. Obraz otaczającego mnie świata rozmył się i ruszyłem w przestworza, pogrążając się w znajomej rozkoszy. Odwiedzałem miejsca dobrze mi znane i takie, o których miałem mgliste pojęcie, a mój umysł ogarniał całą przestrzeń galaktyki. Czy formuje się gdzieś armia wrogów? Czy wrogie oddziały ćwiczą, by podbić Ziemię? Czuwałem cztery razy na dobę, a wraz ze mną wszyscy moi bracia – każdy o innej porze, by zapewnić ciągłość czuwania. I wierzcie mi, nie ma w tym nic śmiesznego.

Kiedy wychodziłem z transu, usłyszałem wysokie głosy.

– ... dla Księcia Roumu. Miejsce dla Księcia Roumu.

Zmrużyłem oczy, wstrzymałem oddech i uwolniłem się od os-

Robert SILVERBERG

Urodził się w 1935 roku. Zaczął publikować w wieku lat dwudziestu, jeszcze jako student, od razu bardzo dużo, i od razu zdobywając nagrodę Hugo (1956) dla najbardziej obiecującego młodego autora. Po kilku latach niezwykłej płodności pisarskiej Silverberg praktycznie przestał pisać (lata 1960–1963). Kiedy po przerwie wrócił do literatury SF, był właściwie innym pisarzem – tworzył rzeczy znacznie bogatsze literacko i myślowo i idąc pod prąd typowo amerykańskiej tendencji przeszedł od pisarstwa rozrywkowego do ambitnego artystycznie. Silverberg kilkakrotnie zapowiadał ostateczne rozstanie się z fantastyką, ale jak dotychczas zawsze do niej wracał. Najbardziej znane powieści to „Tower of Glass” (1970) – o budowie nowej wieży Babel, „The World Inside” (1971) – studium świata przeludnionego, „Dying Inside” (1972) o telepacie stopniowo tracącym swoje zdolności, „The Stochastic Man” (1975) – o człowieku odkrywającym w sobie zdolność przewidywania przyszłości. Ostatnie, bardzo popularne powieści „Lord Valentine's Castle” i „The Majipoor Chronicles” ciążą w stronę fantasy. Silverberg jest również autorem cenionych książek naukowych z dziedziny archeologii i historii kultury.

W Polsce ukazała się powieść „Człowiek w labiryncie” oraz kilka opowiadań.

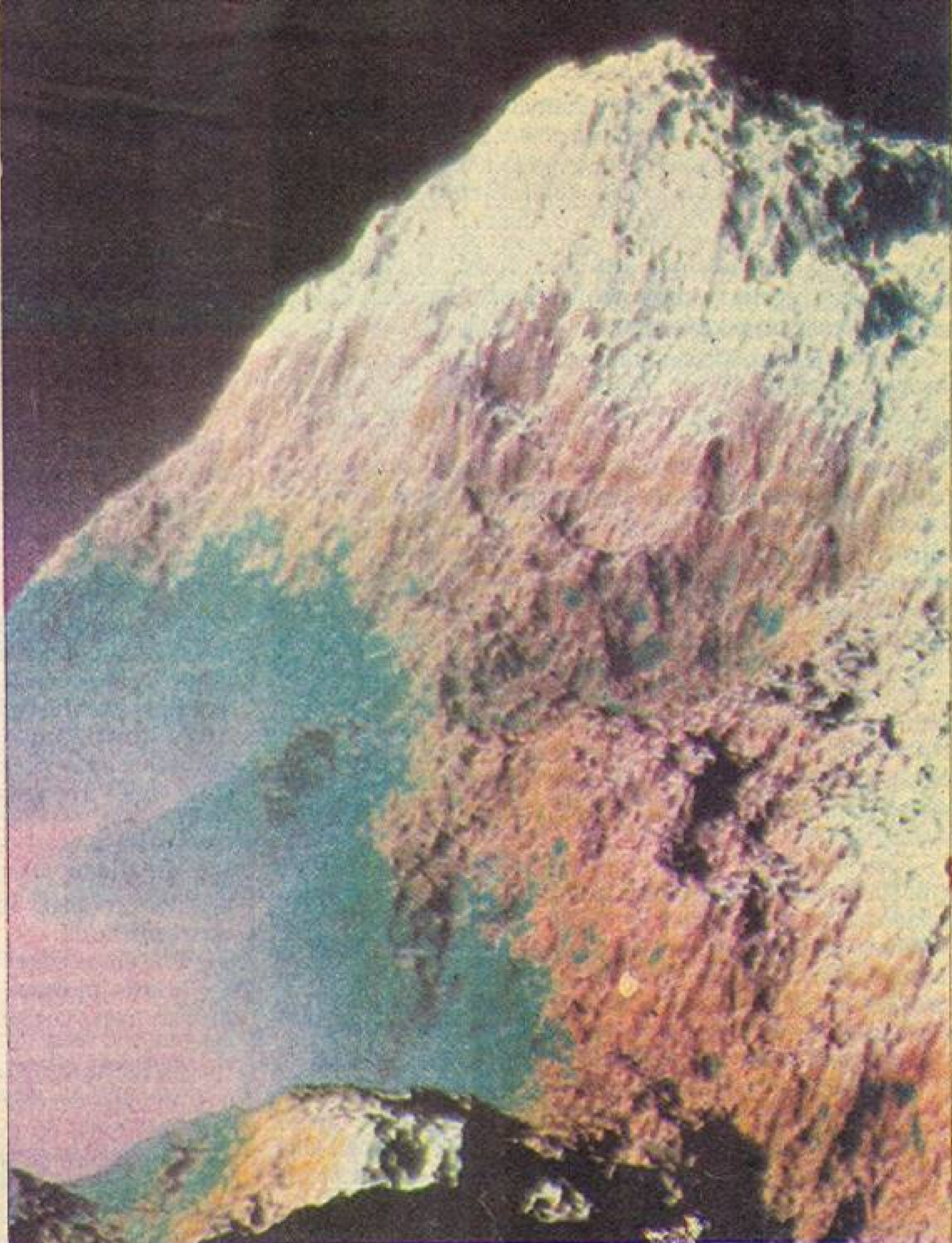
Za opowiadanie „Skrzydła nocy” (1968) Silverberg zdobył nagrodę Hugo oraz we Francji nagrodę Prix Apollo. (L. J.)



dokończenie ze strony 7

efektów, zazwyczaj użytkowych.
I tu wypada zastanowić się nad kilkoma pytaniami. Czy komputer jest jeszcze jednym aparatem fotograficznym czy nowym pięknym ołówkiem; ołówkiem, który pozwala w sekundę podejmować tysiące decyzji artystycznych? Czy sztuka posługiwania się komputerem to już „sztuka komputerowa"? Czy niezwykła kreatywność tego urządzenia, mnogość wyborów światła, koloru, kształtu nie zmieni artystów w „białe kołnierzyki", ślęczące godzinami nad właściwą formułą matematyczną? Odpowiadając sobie nie zapominajmy, że wielki Leonardo da Vinci też był rzemieślnikiem, a trafność jego wyboru potwierdzał tylko talent. Nie komputer.

(zalley)



GALERIA komputer

tatnich skutków koncentracji. Z głębi pałacu wynurzała się tymczasem przyozdobiona złotem lektyka. Niesiona przez całą hordę zerowców przesuwała się wzdłuż przestronnej nawy, otoczona przez czterech mężczyzn odzianych w bogate stroje i połyskliwe maski klanu Panów i poprzedzana przez trójkę przysadzistych Odmieńców o długich ramionach i krtaniach zmienionych do tego stopnia, iż upodobniły się do gardzieli ropuch. Oni to też wydawali z siebie te wysokie, piskliwe tony. Zdziwiło mnie to bardzo, że Książę ma na swoich usługach Odmieńców, nawet tak utalentowanych, jak ci.

Mój wózek stał na drodze tego wspaniałego orszaku. Właśnie zabierałem się do zamknięcia go i usunięcia na bok, gdy procesja znalazła się na mojej wysokości. Podeszły wiek i przemożny strach przed gniewem Księcia spowodowały, iż zadrżały mi ręce i nie pozwoliły dokończyć tej czynności. Mocowałem się z moim wózkiem z rosnącą wciąż niezgrabnością, a Odmieńcy zbliżyli się już na taką odległość, że ich okrzyki stały się wprost ogłuszające. Widząc to, Gormon podszedł do mnie ofiarowując pomoc, lecz odrzekłem mu, iż zabronione jest, aby jakakolwiek osoba spoza mojego klanu dotykała instrumentów. Odepchnąłem go i w tej samej chwili ujrzałem, że zbliżają się do mnie zerowcy z wyraźnym zamiarem przepędzenia za pomocą batów.

– W imię Losu! Jestem Obserwatorem – krzyknąłem.

I nadeszła antyfoniczna, pochodząca jakby z głębi ziemi, głośna, a zarazem spokojna odpowiedź:

– Puście go! To Obserwator.

W tym samym momencie wszyscy zastygli w bezruchu. Przemówił Książę Roumu.

Zerowcy cofnęli się. Odmieńcy umilkli. Tragarze postawili lektykę na ziemi, a wszyscy, którzy znajdowali się w pobliżu, usunęli w cień. Pozostaliśmy tylko my: Gormon, Avluela i ja. Połyskujące, plecione zasłony palankinu uniosły się. W tej samej chwili podbiegło dwóch Panów i wyciągnęło ręce w kierunku bariery sonicznej, by wspomóc swojego monarchę. Bariera rozproszyła się z cichym szmerem.

Ukazał się Książę Roumu.

Jakiż on był młody! Nie zdołał jeszcze w pełni osiągnąć wieku dorosłego; twarz miał gładką, a włosy czarne i gęste. Urodził się jednak, by rządzić i mimo swojego młodego wieku promieniował ogromnym autorytetem. Jego wąskie wargi wyglądały jak dwie cienkie nitki, zakrzywiony nos świadczył o agresywności, a zimne, niebieskie oczy przypominały jeziora bez dna. Przyodziany w złocony strój klanu Władców, na piersiach nosił podwójny krzyż Obrońców, a szyję przyozdabiała mu czarna szarfa Pamiętających. Władca mógł należeć do tylu Bractw, do ilu chciał, więc nie widziałem niczego zdrożnego w tym, że był Obrońcą, lecz zdziwiło mnie, że Książę nosił insygnia Pamiętających. Gwałtowność nigdy nie była cechą tego klanu.

Książę spojrzał na mnie z zaciekawieniem i powiedział:

– Wybrałeś złe miejsce do swego czuwania, starcze.

– To czas wybiera miejsce, Panie – odpowiedziałem. – Skąd mogłem wiedzieć, że zechcesz opuścić pałac.

– Nie odkryłeś wrogów podczas swojego czuwania?

– Nie, Panie.

Przygotowywałem się, by wykorzystać okazję, jaka się nadarzyła i poprosić Księcia o pomoc, ale widząc tę odrobinę zainteresowania, jaką mnie obdarzył, speszyłem się i nie śmiałem zwrócić na siebie jego uwagi, gdy odwrócił głowę, by przyjrzeć się moim towarzyszom. Najpierw marszcząc brwi spoglądał chwilę na Gormona, później przeniósł wzrok na Avluelę. Jego oczy rozbłysły, usta zadrżały, a delikatne nozdrza rozdęły się.

– Zbliż się tu, mała Szybowniczko – rozkazał i skinął palcem w jej kierunku. – Jesteś przyjaciółką tego Obserwatora?

Przerażona Avluela skinęła głową.

Książę wyciągnął rękę, przygarnął ją i wszedł do palankinu, by po chwili – z demonicznym uśmiechem, którego nie powstydziłyby się nawet piekielne bestie – zniknąć za opuszczonymi zasłonami. W tej samej chwili Panowie włączyli ponownie barierę soniczną. Orszak nie ruszał jednak dalej, ja również pozostałem. Milczałem, Gormon zaś wyglądał jak zaczarowany. Jego potężne, muskularne ciało było sztywne jak kłoda. Wolno wlokły się minuty, a milczący dworzanie nie pozwalali się zbliżyć do lektyki.

Wreszcie zasłony uniosły się i Avluela wyszła zza nich chwiejnym krokiem. Blada twarz dziewczyny miała dziwny wyraz; jej marmurowe policzki poczerwieniały. O mało nie upadła, lecz któryś z zerowców pochwycił ją i postawił obok lektyki. Skrzydła Avlueli rozwinęły się częściowo, napinając tunikę i to powiedziało mi, jak wielka była rozpacz dziewczyny. Zbliżyła się do nas chwiejnym krokiem, spojrzała na mnie smutnymi oczyma i z westchnieniem oparła się o potężną klatkę piersiową Gormona.

Tragarze podnieśli palankin i Książę opuścił swój pałac.

Kiedy wyszli, dziewczyna rzekła ochrypłym głosem:

– Książę pozwolił nam zamieszkać w Królewskiej Bursie.

4.

Oczywiście obsługa Bursy nie uwierzyła nam.

Gości Księcia lokowano zazwyczaj w Królewskiej Bursie mieszczącej się pośrodku malutkiego ogrodu kwiecistych paproci na tyłach pałacu.

Najczęstszymi klientami tej oazy spokoju byli Panowie, a czasami Władcy. Niekiedy zagościł tam również przybywający z misji poszukiwawczej Pamiętający, czy też dokonujący inspekcji punktów strategicznych Obrońca wysokiej rangi. Do niezmiernej rzadkości należało wpuszczenie do Bursy Szybownika. Przyjęcie Obserwatora było w zasadzie niemożliwe, a otwarcie drzwi przed Odmieńcem lub kimkolwiek z pozaklanowców zakrawało na skandal. Kiedy więc zawitaliśmy do Bursy, nasze pojawienie wzbudziło olbrzymią wesołość wśród służby. Najpierw śmiano się z nas. Później śmiech ustąpił miejsca irytacji i pogardzie.

– Wynoście się stąd! Żebracy! Kanalie! – zakrzyknięto w końcu.

– Książę ofiarował nam swoją gościnę – odpowiedziała Avluela obrażonym tonem. – Nie możecie wyrzucić nas za drzwi.

Wkrótce wszystko się wyjaśniło i wpuszczono nas do środka. Dostaliśmy osobne, lecz połączone ze sobą pokoje. Nigdy nie widziałem tak luksusowego wyposażenia i być może nigdy więcej nie uda mi się takiego ujrzeć. Nasze pokoje były długie, wysokie i przestronne. Wyposażono je w znakomicie ukrytą klimatyzację. Światła zapalały się na najmniejsze skinienie głowy, gdyż skupione pod sufitem kule zniewolonego światła importowanego z planet Spadającej Gwiazdy były przygotowane do służenia na każde, choćby najmniejsze skinienie. Okna otwierały się i zamykały na samą myśl gościa. Kiedy nie służyły niczemu, pokrywały się delikatną, półprzeźroczystą mgiełką pozaziemskiego pochodzenia, która oprócz funkcji czysto dekoracyjnych służyła także jako emiter znakomitych perfum o zapachach, jakie tylko można sobie wymarzyć. Pokoje te wyposażono także w osobiste czepki myślowe połączone z centralnymi bankami pamięci, jak również w linie, za pomocą których można było wezwać Służących, Pisarzy, Rejestratorów czy też Muzyków – o ile zaszła taka potrzeba. Oczywiście ludzie z tak skromnych klanów, jak mój, nie myśleli nawet o wykorzystywaniu innych ludzi, bojąc się gniewu, jaki mogli ściągnąć tym na swoje głowy. Na szczęście nie potrzebowałem niczyich usług.

Powstrzymałem się od zapytania Avlueli o to, co zdarzyło się w palankinie Księcia i czemu zawdzięczamy tę niezwykłą hojność. Mogłem sobie jednak wyobrazić bezgraniczną wściekłość Gormona, który gotów był przezwyciężyć wszystkie przeciwności losu w imię skrytej miłości, jaką żywił do małej i delikatnej Szybowniczki.

Rozgościliśmy się. Ustawiłem swój wózek pod osłoniętym muślinowymi draperiami oknem, przygotowałem go do następnego czuwania i umyłem się, słuchając dyskretnych tonów dobywających się ze ścian melodii. Potem położyłem się. Nieco później odwiedziła mnie Avluela – teraz już spokojna i wypoczęta. Rozmawialiśmy przez chwilę. Gormon nie odwiedził mnie jeszcze i nabrałem przekonania, że opuścił Bursę szukając towarzystwa wśród równych sobie pozaklanowców. Ale o zmierzchu, kiedy wyszedłem z Avluelą na dziedziniec Bursy, by podziwiać wschodzące na niebie Roumu gwiazdy, natknąłem się na niego. Dyskutował półgłosem z jakimś wychudłym osobnikiem o szczupłej twarzy przyozdobionej szarfą Pamiętających.

Na mój widok Gormon skinął głową i rzekł:

– Pozwól, Obserwatorze, że ci przedstawię mojego nowego przyjaciela.

Wymieniony musnął palcami swoją szarfę.

– Jestem Basil. Pamiętający – przedstawił się śpiewnym głosem. – Przybyłem z Perrisu, by zbadać tajemnice Roumu i mieszkam tu już kilka lat.

– Ten Pamiętający zna wiele ciekawych historii – wtrącił Gormon. – Basil zalicza się do największych mistrzów swojego Bractwa. Właśnie opowiadał mi o metodach odkrywania przeszłości. Otóż drąży się otwór poprzez warstwy osadu z Trzeciego Cyklu i za pomocą zasysających świdrów transportuje się grudki ziemi, aż dotrze się do najgłębszych warstw.

– Odkryliśmy właśnie katakumby imperialnego Roumu – uściślił Basil – oraz ruiny z czasów Wielkiego Niepokoju i wydrukowane na białym metalu księgi pochodzące z końca Drugiego Cyklu. Wszystkie te znaleziska zostaną wkrótce wysłane do Perrisu, by tam je zbadano, sklasyfikowano i zabezpieczono. Później je zwrócimy. Czy interesujesz się przeszłością, Obserwatorze?

– Oczywiście – odparłem z uśmiechem. – Ale ten oto Odmieniec pasjonuje się wręcz historią i zna ją tak dobrze, że czasami zaczynam wątpić w tę jego odmienność. Powiedz mi, Basilu, czy potrafiłbyś rozpoznać ukrywającego się Pamiętającego?

Basil długo przyglądał się dziwnej twarzy Gormona i jego umięśnionej sylwetce.



– To nie jest Pamiętający – rzekł wreszcie. – Ale wiem, że interesuje go starożytność. Zadał mi wiele mądrych pytań.

– Na przykład?

– Chciał poznać przyczyny powstawania klanów. Zapytał mnie, jak nazywał się chirurg-genetyk, twórca pierwszych Szybowników. Chciał również wiedzieć, skąd się wzięli Odmieńcy i czy to prawda, że ciąży na nich klątwa Losu.

– Czy znasz odpowiedzi na te pytania?

– Na niektóre.

– A powstanie klanów?

– Struktury Bractw pomogły w powstrzymaniu upadku i zniszczenia, jakie zapanowało pod koniec Drugiego Cyklu. Ziemia znalazła się pod kontrolą obserwujących nasz upadek kosmitów. Koniecznością stało się stworzenie instytucji, która pozwoliłaby człowiekowi znaleźć się wśród innych istot. I tak powstały pierwsze Bractwa: Władców, Panów, Gospodarzy, Sprzedawców i Sług. Później dołączyły do nich Klany Pisarzy i Muzyków, Błaznów i Gońców, a jeszcze później niezbędnymi stały się Bractwa Rejestratorów, a także Obserwatorów i Obrońców. Kiedy w Latach Magii stworzono Szybowników i Odmieńców, ich Bractwa dołączyły do reszty, a zerowcy...

W tym momencie wtrąciła się Avluela:

– Ależ Odmieńcy są pozaklanowcami!

Pamiętający dostrzegł ją dopiero teraz.

– Kim jesteś, moje dziecko? – zapytał.

– Jestem Avluela z Bractwa Szybowników. Podróżuję z tym Obserwatorem i Odmieńcem.

– Tak jak już wspomniałem obecnemu tutaj Gormonowi – podjął Basil – jego współbracia utworzyli pełnoprawny klan, ale około tysiąca lat temu został on rozwiązany przez Radę Władców. Przyczyną tej decyzji była nieudana próba opanowania przez pewną frakcję Odmieńców świętego miasta Jorslem. Od tamtej pory Odmieńcy stali się pozaklanowcami. Obecnie stoją tylko o jeden stopień wyżej od zerowców.

– Nie wiedziałem o tym – powiedziałem.

– Nie jesteś Pamiętającym – odpowiedział Basil z uśmiechem – i masz prawo o tym nie wiedzieć.

– Tak, to prawda.

– A ile jest klanów w tej chwili? – zapytał Gormon.

– Około setki, mój przyjacielu – rzekł Pamiętający. – Ale w większości są one bardzo małe, wręcz o zasięgu lokalnym. Ja zajmuję się jedynie Bractwami Pierwotnymi, nie wyłączając tych, które powstały na samym początku. To, co wydarzyło się podczas ostatnich stuleci, jest domeną innych Pamiętających. Czy chciałbyś się jeszcze czegoś dowiedzieć?

– Nic ważnego. Takie tam głupie pytania – odpowiedział Gormon.

– Wielka jest twoja ciekawość.

– Odkrywam świat i wszystko, co jest w nim interesującego! Czy to źle?

W tej samej chwili zbliżył się do nas Sługa i z respektem mieszającym się z pogardą przyklęknął przed Avluelą.

– Książę powrócił – rzekł do niej – i pragnie, byś towarzyszyła mu w pałacu.

Chociaż w oczach Avlueli pojawił się błysk strachu, jednak nie mogła odmówić.

– Czy mam iść za tobą? – zapytała.

– Jeśli sobie tego życzysz! Załóż odświętne szaty i uperfumuj się. Książę życzy sobie, byś ukazała mu się z rozpostartymi skrzydłami.

Avluela skinęła potakująco głową i ruszyła za Sługą.

Pozostaliśmy jeszcze przez chwilę w ogrodzie, kontynuując rozmowę. Basil opowiadał nam o Roumie dni starożytnych. Słuchałem go z zaciekawieniem, Gormon zaś przeszukiwał ciemności nieuważnym spojrzeniem. Wreszcie Pamiętający przeprosił nas i odszedł, by przepłukać wyschnięte gardło.

Kilka chwil później wprost przed nami otworzyły się drzwi i wyszła z nich Avluela. Dziewczyna szła jak lunatyczka. Była naga, otulała się jedynie przezroczystą zasłoną, spod której pobłyskiwało blado w świetle gwiazd jej kruche ciało. Rozwinięte skrzydła drgały lekko w powolnym rytmie skurczy. Prowadziło ją dwóch Służących, ujmując pod łokcie. Czynili to jednak tak, jakby prowadzili do pałacu senny majak dziewczyny, a nie ją samą.

– Leć, Avluelo, leć! – mruknął Gormon. – Uciekaj, póki jeszcze czas.

Dziewczyna zniknęła we wnętrzu pałacu. Odmieniec odwrócił się do mnie.

– Oddała się Księciu, by zapewnić nam schronienie.

– I mnie się tak zdaje.

– Gdybym tylko mógł, zniszczyłbym ten pałac!

– Kochałeś ją?

– To chyba oczywiste.

– Strzeż się tej miłości! – poradziłem mu. – Jesteś wprawdzie człowiekiem nie zrzeszonym, ale nie oznacza to wcale, że mógłbyś zdobyć Szybowniczkę. Tym bardziej taką, która została nałożnicą Księcia Roumu.

– Przeszła tam wprost z moich objęć.

– Posiadałeś ją?!!

Uśmiechnął się gorzko.

– I to nie jeden raz. W momencie największego uniesienia jej skrzydła drżały jak liście na wietrze!

Schwyciłem się balustrady, by nie upaść i nie roztrzaskać się o kamienie dziedzińca. Gwiazdy zawirowały mi przed oczyma, a stary Księżyc wraz ze swoimi dwoma bladolicymi towarzyszami wierzgał jak szalony po nocnym niebie. Byłem wstrząśnięty, niemal straciłem świadomość. Czy był to gniew przeciw Odmieńcowi, który pogwałcił kanony prawa? Czy też powodowała mną zazdrość o Gormona, który miał śmiałość dokonać tego, czego ja nie potrafiłem, a co było moim skrytym marzeniem?

– Mogliby za to wypalić ci umysł! Zniszczyć twoją duszę! A ty na dodatek uczyniłeś mnie swoim wspólnikiem.

– Cóż z tego. Książę rozkazał i został wysłuchany... Lecz nie był pierwszy. Musiałem o tym komuś powiedzieć.

– Zamilcz! Zamilcz!

– Czy zobaczymy ją jeszcze?

– Książęta często i szybko nudzą się swoimi nałożnicami. Może to potrwa kilka dni, a może wystarczy jedna noc, by do nas wróciła. Wtedy jednak skończy się książęca gościnność. Niemniej – dodałem z westchnieniem – niemniej pozostaniemy tu przez kilka nocy.

– A dokąd udasz się później?

– Zamierzam zostać jeszcze przez jakiś czas w Roumie.

– I będziesz spał pod gołym niebem? Nie wydaje mi się, by Obserwatorzy byli tu bardzo poszukiwani.

– Dam sobie radę. Później, być może, udam się do Perrisu. –

– Chcesz szkolić się u Pamiętających

– Chcę zobaczyć Perris. A ty? Co ciebie trzyma w Roumie?

– Avluela!

– Przestań o tym mówić!

– Dobrze – odpowiedział z gorzkim uśmiechem. – Ale ja poczekam, aż Avluela znudzi się Księciu. Wtedy znów będzie moja i zadbam o nasze dalsze życie. Nam, pozaklanowcom, też nie brakuje konceptu. Na pewno. Pomieszkamy tu przez jakiś czas, a później udamy się z tobą do Perrisu... O ile zgodzisz się, by towarzyszyli ci w tej podróży potwór i występna Szybowniczka.

Wzruszyłem ramionami.

– Porozmawiamy o tym, kiedy nadejdzie czas.

– Towarzyszyli ci już kiedyś Odmieńcy?

– Rzadko i raczej niedługo.

– Wyróżniasz mnie – zabębnił palcami o balustradę. – Ale nie chciałbym, byś mnie opuścił. Mam pewne powody, by wędrować razem z tobą.

– Jakież to?

– Chciałbym zobaczyć na własne oczy, co zrobisz, kiedy twoje przyrządy oznajmią ci, że inwazja już się rozpoczęła.

Skurczyłem się w sobie.

– To znaczy, że zamierzasz pozostać ze mną na dłużej.

– Nie wierzysz w to, że inwazja nastąpi wkrótce?

– Kiedyś nastąpi. Ale nie wkrótce.

Gormon parsknął śmiechem.

– Mylisz się. Najeźdźcy są już na Ziemi.

– Żartujesz chyba.

– Co z tobą, Obserwatorze? Straciłeś swoją wiarę? Przecież wiadomo już od tysiąca lat z okładem, że jakaś obca rasa pożądać będzie Ziemi, prowadzić mamiące rozmowy, a kiedy przybędzie na Ziemię, będzie zbyt późno, by stawić opór. Tak brzmi przepowiednia z końca Drugiego Cyklu.

– Wiem o tym dobrze, mimo iż nie jestem Pamiętającym – odwróciłem się ku niemu i wypowiedziałem te słowa tak głośno, jak jeszcze nigdy dotąd. – Wsłuchiwałem się w życie gwiazd przez okres dwa razy dłuższy niż trwa twoje życie, Gormonie. Lecz wiem, że czynności powtarzane po wielokroć często tracą swój sens. Jeśli powtórzysz swoje imię tysiąckrotnie, stanie się ono jedynie pustym dźwiękiem. Ja czuwam, dobrze czuwam, lecz niekiedy podczas nowych seansów myślę, że to czuwanie jest zwykłą stratą czasu.

Gormon uścisnął mi dłoń.

– Twoje wyznanie jest równie skandaliczne, jak to, którym dopiero co podzieliłem się z tobą. Strzeż się, Obserwatorze, inwazja jest bliska.

– Co ty możesz o tym wiedzieć.

– Pozaklanowcy mają również niejakie talenty.

Słowa te wprawiły mnie w zakłopotanie.

– Niezbyt przyjemnie jest być pozaklanowcem.

– Przyzwyczaiłem się. Taki stan ma też swoje dobre strony. Jestem wolny. Mogę rozmawiać swobodnie ze wszystkimi...

– Widziałem...

– Chodzę swoimi drogami, robię, co chcę. Mam zawsze zapewnione jedzenie i miejsce do spania. Cóż z tego, że jedzenie jest marne, a mieszkanie niewiele od niego lepsze. Kobiety lgną do mnie mimo wszystkich zakazów. A może właśnie dzięki nim. Nigdy też nie dręczyła mnie ambicja.

– Czy nigdy nie pragnąłeś wzbić się ponad własną szarość?

– Nigdy.

– Byłbyś o wiele szczęśliwszy, gdybyś został Pamiętającym.

– Jestem szczęśliwy taki, jaki jestem. Mogę mieć wszystkie radości Pamiętających bez brania na siebie ciążącej na nich odpowiedzialności...

– Jesteś próżny! – krzyknąłem. – Czy uważasz, że nienależenie do klanów jest cnotą?

– Jak inaczej znieść ciężar Losu? – Gormon zwrócił swój wzrok w stronę pałacu. – Pokora rośnie w sile, a potęga chyli się ku upadkowi. Możesz uważać te słowa za proroctwo, Obserwatorze! Książę dostanie nauczkę, nim minie lato. Wyłupię mu oczy, by ukarać go za zniewolenie Avlueli!

– To mocne słowa! Zdrada przemawia przez twoje usta!

– Powtarzam ci, że to proroctwo.

– Nigdy nie zdołasz zbliżyć się do niego na wystarczającą odległość – w zdenerwowaniu ciągnąłem dalej tak, jakbym uznał te brednie za prawdę. – Bo cóż mu zarzucisz? Jest Księciem! To ją powinieneś zganić! To ona powinna go odrzucić!

– Żeby kazał obciąć jej skrzydła albo, co gorsza, zabić. Nie, ona nie miała wyboru... Ale ja go dostanę – nagle, szybkim ruchem Odmieniec wysunął przed siebie swoje potężne umięśnione ręce i wbił je w wyimaginowane oczy. – Poczekaj, zobaczysz!

– Robi się późno – powiedziałem. – Muszę trochę odpocząć. Niedługo znów podejmę czuwanie.

– Czuwaj uważnie – odpowiedział Gormon.

5. Tej nocy, kiedy w moim pokoju rozpocząłem czuwanie czwarte i ostatnie tego dnia, odkryłem po raz pierwszy w swoim życiu pewną anomalię. Nie potrafiłem jej jednak wyjaśnić. Było to nieznane mi wrażenie, mieszanina dźwięków i smaków, uczucie kontaktu z przeogromną masą. Zatroskany czuwałem dłużej, niż zazwyczaj, lecz to, co zarejestrowałem, nie stało się dla mnie jaśniejsze pod koniec seansu, niż było na jego początku.

Kiedy zakończyłem czuwanie, zastanowiłem się nad ciążącym na mnie obowiązkiem.

Od dzieciństwa wpajano Obserwatorom, że należy reagować szybko. Obserwator nie powinien wahać się, gdy nad światem zawiśnie cień niebezpieczeństwa. Czy powinienem zatem powiadomić Obrońców? Podczas mojego życia ogłaszano alarm już czterokrotnie, za każdym razem okazywało się, że był to alarm fałszywy. Obserwatorzy, którzy ogłosili mobilizację bez powodu, drogo zapłacili za swoją pomyłkę. Pierwszy oddał swój mózg do banku pamięci, drugi został upokorzony przez neutralizację, trzeciemu odebrano instrumenty i przepędzono z Bractwa, czwarty zaś pozostał w swojej profesji stając się zarazem obiektem kpin wszystkich kolegów. Ze swojej strony nie widziałem żadnego powodu do obciążania tego, który spowoduje fałszywy alarm – chyba lepiej będzie, jeśli Obserwator ogłosi alarm za wcześnie, niż za późno. Lecz takie były prawa mojego klanu i musiałem ich przestrzegać.

Przemyślałem całą tę sytuację jeszcze raz i doszedłem do wniosku, że nie ma podstaw do ogłaszania alarmu. Gormon naopowiadał mi dzisiejszego wieczora takich rzeczy, że uczucie to mogło stanowić jedynie konsekwencję jego słów o inwazji.

Zaniechałem alarmu.

Udręczony, zakłopotany, wydany na pastwę sprzecznych uczuć, zamknąłem swój wózek i usnąłem kamiennym snem.

Obudziłem się o świcie i rzuciłem od razu do okna, oczekując widoku najeźdźców krążących po ulicach. Lecz wszystko pozostawało w spokoju. Zimowa szarówka zmroziła podwórzec, na którym zaspani Służący popędzali apatycznych zerowców. Z przepełnionym trwogą sercem rozpocząłem pierwsze czuwanie i zauważyłem z radością, że dziwne uczucia towarzyszące mi w poprzednim czuwaniu nie powtórzyły się. Nie wziąłem jednak pod uwagę tego, że w nocy mój umysł stawał się bardziej wyczulony, niż w dzień.

Zjadłem śniadanie i udałem się na podwórzec. Gormon i Avluela już tam byli. Mała Szybowniczka wyglądała na tak zmęczoną i osłabioną, że strzegłem się przed uczynieniem najmniejszej choćby aluzji do nocy, którą spędziła z Księciem. Odmieniec natomiast stał wsparty o bogato przyozdobiony motywami promienistych muszli mur. Gdy mnie spostrzegł, zapytał, jak przebiegało czuwanie.

– Nieźle – odparłem mu.

– Jakie masz plany na dzisiaj?

– Chciałbym zwiedzić Roum. Czy zechcecie mi towarzyszyć?

– Oczywiście – odpowiedział Gormon, a Avluela skinęła głową.

Jak turyści, którymi rzeczywiście byliśmy, ruszyliśmy w drogę, by zwiedzić wspaniałości goszczącego nas miasta. Gormon służył nam za przewodnika, chociaż zarzekał się, że nigdy nie był w tym mieście. Z wielkim znawstwem, nie ustępującym niczym uczoności Pamiętających, rozprawiał o wszystkim, co ujrzeliśmy idąc krętymi uliczkami miasta. Naszym oczom ukazały się rozproszone zabytki tysiącleci. Oglądaliśmy kopuły energetyczne z Drugiego Cyklu, Koloseum, gdzie w niewiarygodnie odległej epoce ludzie walczyli ze zwierzętami, niczym bestie w dżungli. Wśród ruin areny tego przerażającego miejsca Gormon wyjawił nam całą prawdę o okrucieństwie dawno minionych czasów.

Minęliśmy wzniesione u zarania Trzeciego Cyklu maszty fuzyjne służące do czerpania energii z wnętrza Ziemi. Maszty te działały jeszcze pomimo starości i pokrywającej je rdzy. Minęliśmy szczątki rozbitej maszyny meteorologicznej – potężnej kolumny wznoszącej się na dwadzieścia wysokości człowieka. Minęliśmy wzgórze, na którym spoczywały wykute w białym marmurze płaskorzeźby przedstawiające blade kielichy zimowych kwiatów – pozostałości Roumu Pierwszego Cyklu i skierowaliśmy się do centrum miasta. Wkrótce naszym oczom ukazało się zbocze najeżone strategicznymi amplifikatorami gotowymi do rzucenia całej potęgi Losu przeciwko najeźdźcom. Kilka chwil później dotarliśmy do targowiska, na którym goście z gwiazd nabywali odkopane przez krajowców okruchy starożytności. Gormon wmieszał się w tłum i zakupił kilka drobiazgów. Odwiedziliśmy także przeznaczony na użytek podróżników z przestrzeni Dom Rozkoszy, oferujący wszystko – od quasi-życia aż po lody namiętności. Później przekąsiliśmy w małej restauracyjce położonej na brzegu Tibru, gdzie obsługiwano również pozaklanowców. Gormon polecił nam dwie specjalności tego zakładu – dziwną substancję o papkowatej konsystencji i skrapiane kwaśnym, złocistym winem słodycze.

Po posiłku spacerowaliśmy pod arkadami kryjącymi się wśród setek pasaży, na których królowali sprzedawcy oferujący na swoich straganach towary pozaziemskiego pochodzenia, kosztowne Frykańskie błyskotki i wytwory rodzimych manufaktur. Wkrótce wydostaliśmy się na mały placyk przyozdobiony fontanną w kształcie łodzi, za którą wznosiły się spękane i zniszczone przez czas stopnie prowadzące na pokryty gruzem i chwastami taras. Posłuszni niememu rozkazowi Gormona przeszliśmy przez to ponure miejsce i zbliżyliśmy się do opuszczonego pałacu z początków Drugiego, jeśli nie Pierwszego Cyklu, wznoszącego się nad porośniętym dziką roślinnością wzgórzem.

– Oto miejsce, które nazywano środkiem świata – wyjaśnił nam Gormon. – Drugim miejscem pretendującym do tego tytułu jest Jorslem. Punkty te wyznaczono za pomocą mapy.

– Jak świat może mieć środek, skoro jest kulisty? – zapytała Avluela.

Gormon uśmiechnął się i wprowadził nas do wnętrza budynku. W chłodnej pustce pomieszczenia wznosił się ogromny globus wyryty w szlachetnym kamieniu, błyszczącym własnym, wewnętrznym światłem.

– Oto wasz świat – rzekł Gormon czyniąc górnolotny gest.

– Och! Tutaj jest wszystko! – zakrzyknęła Avluela. – Wszystko...

Globus był prawdziwym arcydziełem rąk ludzkich. Przedstawiał nadzwyczaj dokładnie kontury i ukształtowanie lądów, dna pozbawionych wody mórz i oceanów, wypalone powierzchnie pustyń, których sam widok wysuszał gardło oraz pełne życia i ruchu mrowiska miast. Spoglądałem na kontynenty: Eyropę, Frykę, Aję i Stralyę. Później przeniosłem wzrok na olbrzymi Ocean Ziemi i przemierzyłem długi, złoty język Mostu Ziemi, po którym jeszcze nie tak dawno wędrowałem.

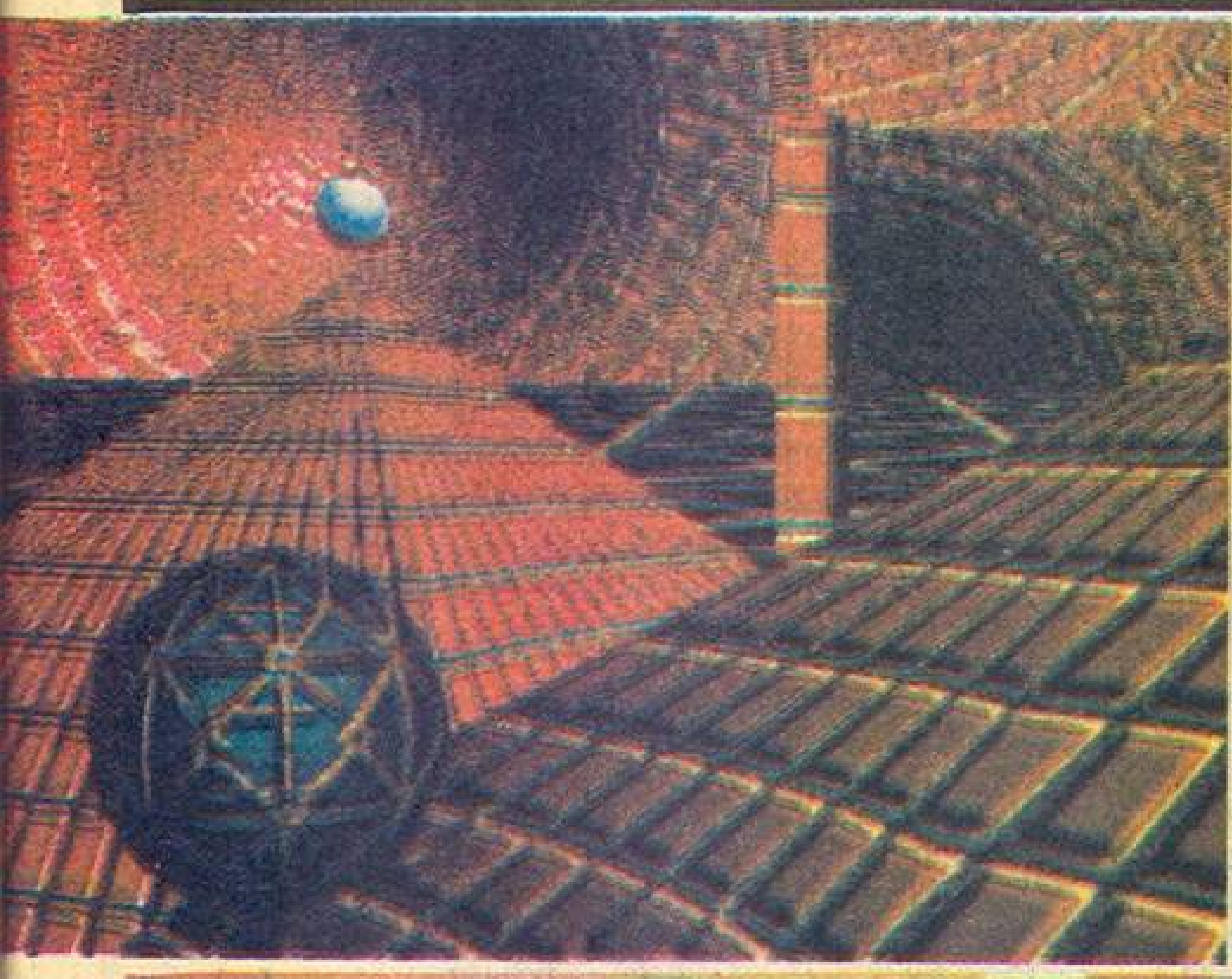
Avluela podbiegła do globusa i wskazała palcem na Roum, Ogypt, Jorslem, Perris. Dosięgnęła też wysokich gór Północnego Hindu i szepnęła:

– Oto miejsce moich urodzin. Kraina wiecznych lodów i sięgających Księżyca szczytów. Oto Królestwo Szybowników. – Jej palec ominął łukiem Fars i przesunął się aż po obrzeża przerażającej Pustyni Arabskiej i Ogypt. – Tam smutna i zrozpaczona spotkałam ciebie – uśmiechnęła się do mnie. – Pokaż nam miejsce twoich urodzin, Obserwatorze.

Nie bez zakłopotania obszedłem globus, z trudem prostując obolałe nogi. Avluela ruszyła za mną, a Gormon szedł powoli z tyłu, jakby go to wcale nie interesowało. Pokazałem małej Szybowniczce odległe wyspy, tworzące dwie długie smugi na Oceanie Ziemi – pozostałości Zaginionego Kontynentu – i wskazałem palcem moją rodzinną wyspę, tę zachodnią.



– Tutaj ujrzałem światło dnia.
– Jak daleko! – zdumiała się dziewczyna.
– I jak dawno! Niekiedy zdaje mi się, że działo się to co najmniej w połowie Drugiego Cyklu.
– Nie! To niemożliwe – krzyknęła Avluela przyglądając mi się, jakby mogło być prawdą to, że żyję od tysiącleci. Uśmiechnąłem się i pogładziłem delikatnie jej aksamitny policzek.
– Tylko tak mi się zdawało!
– Kiedy odszedłeś ze swoich stron?
– Miałem wtedy dwukrotnie więcej lat, niż ty masz teraz. Najpierw dotarłem tutaj – wskazałem na archipelag Południowych Wysp. – Przez dwanaście lat byłem Obserwatorem w Palasie. Później Los kazał mi przebyć Ocean Ziemi i udać się do Fryki. Usłuchałem. Mieszkałem przez czas jakiś w ciepłych krajach, po czym udałem się do Ogyptu, gdzie spotkałem tę oto maleńką Szybowniczkę.
Zamilkłem i spoglądałem jeszcze przez chwilę na wyspę, która były moją ojczyzną. W myślach nie byłem już starym i zmęczonym Obserwatorem; stałem się znowu młodym i pełnym życia człowiekiem wspinającym się na zielone stoki wzgórz; pływającym w chłodnych wodach mórz i czuwającym na białym piasku plaży obmywanej przez przyboje.
Pogrążyłem się w swoich myślach, a Avluela odwróciła się do Gormona.
– Teraz ty. Pokaż nam, skąd pochodzisz, Odmieńcze.
Gormon wzruszył ramionami.
– Na tym globusie nie ma miejsca moich urodzin.
– Ależ to niemożliwe!!!
– Tak sądzisz?
Avluela naciskała na niego, lecz nie odpowiedział na jej pytania. Opuściliśmy więc budynek i wyszliśmy na ulice Roumu. Ogarniało mnie już zmęczenie, lecz głód wiedzy Avlueli był tak duży, że chciała w ciągu zaledwie jednego dnia obejrzeć całe miasto. Znów pogrążyliśmy się w plątaninie uliczek. Przebyliśmy dzielnice wspaniałych rezydencji należących do Panów, Kupców, strefę cuchnących nor Sług i Sprzedawców, przechodząc niepostrzeżenie w podziemne ciągi katakumb i dotarliśmy do miejsc odwiedzanych przez Błaznów i Muzyków. Później zwiedziliśmy nielegalne targowisko Somnambulików. Jeden z nich zapraszał nas, byśmy weszli do niego i odkryli prawdę, pogrążając się w narkotycznym transie. Avluela pragnęła nas tam zatrzymać, lecz Gormon pokręcił przecząco głową. Ja uśmiechnąłem się tylko i ruszyliśmy dalej swoją drogą.
– Spójrzcie! – krzyknęła Avluela. – Jakie to wspaniałe! Wskazała na lśniący łuk olbrzymiej sfery ochronnej, kryjącej w sobie jakiś relikt przeszłości. Przysłoniłem dłonią oczy i dostrzegłem wewnątrz niej kamienny mur i tłoczących się przed nim ludzi.
– Oto Usta Prawdy – rzekł Gormon.
– Co to jest? – zapytała Avluela.
– Chodź, zobaczysz.
Przed sferą uformowała się długa kolejka ludzi. Przyłączyliśmy się do niej. Wkrótce też znaleźliśmy się przy wejściu i wkroczyliśmy w region wieczności panującej za rogiem. Nie wiedziałem, czym wyróżniał się ten zabytek wśród innych. Zapytałem więc Gormona mając pewność, że odpowiedź, jaką otrzymam, będzie równie wyczerpująca, jak odpowiedź Pamiętającego.
– To siedlisko prawdy – odpowiedział mi. – Wszystko, co mówi się w tym miejscu, musi być zgodne z prawdą.
– Nie rozumiem – rzekła Avluela.
– Nie można tu skłamać. Czy wyobrażacie sobie jakikolwiek inny zabytek wymagający większej ochrony?
Wszedł do tuby wejściowej i zniknął za barierą pola. Ruszyłem w jego ślady. Avluela wahała się. Długo zwlekała z decyzją i miałem wrażenie, że walczy z przeciwnym wiatrem owiewającym granicę oddzielającą od zewnętrznego świata skrawek zamkniętej przestrzeni, w której się znaleźliśmy Gormon i ja.
Usta Prawdy mieściły się w małej niszy wykutej w murze. Kolejka zwiedzających wiła się wokół nich, słuchając poleceń dostojnego Rejestratora. Wkrótce nadeszła nasza kolej. Znaleźliśmy się przed obliczem okrutnego potwora wyrzeźbionego na starożytnym, nadgryzionym zębem czasu murze. Jego usta stanowiły mroczną, przerażającą czeluść. Gormon oglądał ją, kiwając głową w zadumie, jakby potwierdzał tym, że widok Ust odpowiadał jego wyobrażeniom.
– Co należy teraz zrobić? – zainteresowała się Avluela.
– Włóż prawą rękę do Ust Prawdy, Obserwatorze – powiedział Gormon.
Usłuchałem go, marszcząc brwi.
– Teraz – wyjaśnił Gormon – któreś z nas zada ci pytanie. Jeśli twoja odpowiedź okaże się nieprawdziwa, Usta zamkną się i zmiażdżą ci rękę.
– Nie! – krzyknęła Avluela.
Spojrzałem z zainteresowaniem na kamienne szczęki otaczające moją dłoń. Obserwator, który nie ma obu rąk przestaje być Obserwatorem. W czasach Drugiego Cyklu zrobiono by mi protezę sprawniejszą od oryginalnej ręki, lecz dzisiaj, kiedy Drugi Cykl stał się jedynie mglistym wspomnieniem, nie można znaleźć na Ziemi takich cudów.
– Jak to możliwe? – zapytałem.
– Los posiada szczególną władzę nad tym miejscem – wyjaśnił mi Gormon – i bezlitośnie oddziela fałsz od prawdy. Za tą ścianą odpoczywa trzech Somnambulików, którym się objawił, przez których kontroluje Usta. Czy obawiasz się Losu, Obserwatorze?
– Rzecz jasna.
– Odwagi. Nigdy jeszcze słowo kłamstwa nie padło przed tym murem, nikt nigdy nie stracił tu ręki.
– No dobrze – zacząłem – kto pyta?
– Ja – powiedział Gormon. – Powiedz mi, Obserwatorze, jak sądzisz, czy życie poświęcone czuwaniu jest życiem dobrze spełnionym?
Stałem przez dłuższą chwilę milcząc i rozmyślając. Wreszcie powiedziałem:
– Poświęcić się czuwaniu jest być może najszlachetniejszą rzeczą, jakiej może się poświęcić człowiek...
– Uważaj – ostrzegł mnie Gormon.
– Jeszcze nie skończyłem.
– Mów zatem dalej.
– Ale poświęcić się czuwaniu, jeśli wróg jest tylko tworem naszej wyobraźni, cieszyć się, że przez tak długi czas strzeże się przed nieprzyjacielem, który nigdy nie nadejdzie, jest szaleństwem i grzechem. Zmarnowałem swoje życie!
Szczęki Ust nie zatrzasnęły się.
Wyjąłem rękę z otworu i spojrzałem na nią, jakby dopiero w tej chwili wyrosła z mojego ramienia. Czułem się, jakbym żył od wielu Cykli, Avluela zaś spoglądała na mnie z wytrzeszczonymi oczyma i rękoma złożonymi na ustach, wyraźnie przestraszona tym, co powiedziałem. Wtedy też wydało mi się, że chłodne słowa, które wypowiedziałem, wciąż jeszcze unoszą się w powietrzu tuż przed obliczem ohydnego idola.
– Przemawiałeś szczerze, ale bez pobłażania – powiedział Gormon. – Zbyt surowo się osądzasz, Obserwatorze.
– Mówiłem to, by ocalić rękę. Czy chciałbyś, abym skłamał? Uśmiechnął się i odwrócił ku Avlueli.
– Teraz twoja kolej.
Wyraźnie speszona mała Szybowniczka zbliżyła się do Ust. Jej ręka wyraźnie zadrżała, kiedy dotknęła zimnej powierzchni kamienia. W tejże chwili gotów niemal byłem podbiec do dziewczyny i wyrwać jej dłoń z przeraźliwie wykrzywionej paszczy.
– Kto pyta?
– Ja – rzekł Gormon.
Skrzydła Avlueli zadrżały lekko pod tuniką. Dziewczyna zbladła, powieki zadrgały jej nerwowo i przygryzła wargi. Spoglądała na mur pełnym przerażenia wzrokiem, drżąc o swoją rękę. Na zewnątrz widać było twarze obserwujących nas ludzi, którzy mówili coś, chcąc bez wątpienia wyrazić swoje oburzenie, bowiem przebywaliśmy przy Ustach już dość długo. Nie zwracaliśmy jednak na nich uwagi. Powietrze, które nas otaczało, było ciepłe, gęste i przesiąknięte stęchlizną pleśni, jakby pochodziło wprost ze studni wydrążonej w otchłani czasu.
– Tej nocy – zaczął Gormon spokojnie – pozwoliłaś Księciu Roumu posiąść swoje ciało. Przedtem oddałaś się Odmieńcowi Gormonowi nie bacząc na żadne prawa czy zakazy. A jeszcze wcześniej połączyłaś się z nieżyjącym już dzisiaj Szybownikiem. Być może znałaś także innych mężczyzn, o których nic nie wiem. Ale nie to będzie przedmiotem mojego pytania. Powiedz mi zatem, Avluelo, który z tych trzech mężczyzn dał ci największą rozkosz fizyczną? Który wzbudził w tobie największe uczucie? Którego z nich wybrałabyś, gdyby dano ci możliwość wyboru?
Chciałem zaprotestować, gdyż Odmieniec postawił trzy pytania zamiast jednego, usiłując wyciągnąć z tego osobiste korzyści, lecz nie zdążyłem tego uczynić, gdyż Avluela z ręką uwięzioną w otchłani Ust Prawdy odpowiedziała z pewnością w głosie:
– Książę Roumu dał mi poznać prawdziwą rozkosz, jakiej dotąd nie zaznałam. Lecz jest on okrutny i niedostępny. Odrzucam go. Kochałam zmarłego Szybownika bardziej niż kogokolwiek przedtem czy potem, ale on był słaby, a ja nie chciałabym mieć słabego partnera. Natomiast ty, Gormonie, jesteś mi jeszcze zbyt obcy. Nawet teraz wydaje mi się, że nie znam twojego ciała ani duszy. Lecz pomimo dzielącej nas przepaści z tobą chciałabym dopełnić swoich dni.
Wyjęła rękę z Ust Prawdy.
– Dobrze powiedziałaś – rzekł Gormon po trosze zraniony słowami Avlueli, lecz w pełni z niej zadowolony. – Stajesz się elokwentna, jeśli sytuacja tego wymaga. Teraz ja zaryzykuję swoją rękę.
Przysunął się do Ust Prawdy.





– Sformułowałeś już dwa pierwsze pytania – powiedziałem. – Czy zechcesz zatem doprowadzić do końca tę sprawę i zadać ostatnie, trzecie pytanie?

– Nie! – uczynił lekceważący gest wolną ręką. – Oddalcie się i wymyślcie wspólnie pytanie.

Naradziłem się z Avluelą. Dziewczyna nastawała z zawziętością, jakiej się po niej nie spodziewałem na pytanie, które i mnie chodziło po głowie. Zgodziłem się i Avluela zadała mu je.

– Gormonie, kiedy staliśmy przed globusem przedstawiającym nasz świat poprosiłam cię, byś pokazał miejsce, z którego pochodzisz. Odpowiedziałeś, że nie ma go na nim. Twoja odpowiedź wydała mi się nieco dziwna i dlatego teraz pytam: czy jesteś tym, za kogo się podajesz? Czy jesteś Odmieńcem wędrującym bez celu po naszej planecie?

– Nie – odpowiedział Gormon i w pewnym sensie dał odpowiedź na pytanie zadane przez Avluelę. Lecz wiedział, że to nie wystarczy i ciągnął dalej nie wyjmując ręki z Ust Prawdy. – Nie pokazałem ci miejsca moich urodzin, gdyż nie ma go na tym globusie. Nie urodziłem się na Ziemi, moją ojczyzną jest planeta, której nazwy nie mogę wam wyjawić. Nie jestem Odmieńcem, a przynajmniej nie w tym sensie, jaki nadajecie temu słowu, gdyż noszę przebranie, a moja postać wygląda nieco inaczej na planecie, z której pochodzę. Przebywam tutaj już od dziesięciu lat.

– Dlaczego przybyłeś na Ziemię? – zapytałem go.

– Miałem odpowiedzieć tylko na jedno pytanie. Niemniej – ciągnął dalej z uśmiechem – zaspokoję twoją ciekawość. Zostałem wysłany na Ziemię jako obserwator wojskowy. Mam przygotować inwazję, której od tak dawna wypatrujesz i w którą przestałeś już wierzyć! A teraz dzieli nas od niej zaledwie kilka godzin!

– Kłamiesz! – krzyknąłem. – Kłamiesz!

Wybuchnął śmiechem i wyciągnął swoją nienaruszoną rękę z Ust Prawdy.

6.

Z mieszanymi uczuciami opuszczałem błyszczącą sferę, ciągnąc za sobą wózek z instrumentami. Na ulicach szarzało już i robiło się coraz chłodniej. Noc zapadała błyskawicznie, tak jak to zwykle bywa zimą. Zbliżała się godzina dziewiętnasta. Wkrótce nadejdzie czas mojego czuwania.

Szydercze słowa Gormona wypełniały mi głowę jak ryk gromu. Wszystko to ukartował! Zwodził nas, by doprowadzić do Ust Prawdy! Zmusił mnie do wyznania, że zwątpiłem w swoją misję i wymusił na Avlueli inną, równie bolesną odpowiedź. Dał nam bezlitosne i śmiałe dowody, że nie obawia się użyć wyrachowanych słów, by zranić nasze serca.

Czy Usta Prawdy to oszustwo? Czy mógł skłamać i wyjść bez szkody?

Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się czuwać, zanim nadeszła wyznaczona godzina. Lecz dzisiejsze wydarzenia prowadziły do takich wniosków, że nie mogłem się doczekać, kiedy minie dziewiętnasta.

Schyliłem się, otworzyłem wózek, włączyłem instrumenty i pogrążyłem w czuwaniu, jak nurek w wodzie.

Moja wzmocniona świadomość pomknęła ku gwiazdom.

Ogarniałem przestrzeń niczym Bóg. Czułem napór wiatru słonecznego, lecz nie obawiałem się go, gdyż nie byłem Szybownikiem i nie mogłem zostać przezeń pokonany i przygnieciony. Mknąłem więc z gigantyczną szybkością, idąc w zawody z cząsteczkami światła i pogrążałem się w nieskończonej głębi czarnej pustki kosmosu, oddalając od Imperium Słońca.

Nagle pojawiło się przede mną inne, nowe odczucie.

Zbliżały się statki kosmiczne.

Nie były to zwykłe liniowce, wypełnione turystami spragnionymi widoku naszego upadłego świata. Nie były to też należycie oznakowane towarowce kupieckie czy przerabiające międzygwiezdny pył fabryki i orbitujące w przestrzeni platformy rozrywkowe.

Zbliżały się okręty wojenne. Czarne, obce i przerażające. Nie mógłbym powiedzieć, ile ich było i skąd pochodziły. Wiedziałem jedynie, że mkną ku Ziemi z szybkością wielu jednostek świetlnych, roztaczając przed sobą stożek zakrzywionej energii, na który natknąłem się podobnie, jak podczas ostatniego czuwania minionej nocy.

Na to właśnie czekałem przez całe życie.

Szkolono mnie, bym odkrył ich, lecz modliłem się, by nie było mi dane tego uczynić. Później – zniecierpliwiony – pragnąłem czegoś wręcz przeciwnego. Jeszcze później przestałem o tym myśleć. A teraz dzięki Odmieńcowi Gormonowi odkryłem ich gdyż czuwałem przed czasem, przykucnąwszy na chłodnej ulicy Roumu opodal Ust Prawdy.

Podczas nauk wpajano Obserwatorom, by w razie odkrycia wroga natychmiast przerwali czuwania i sprawdziwszy dane ogłosili alarm. Podporządkowałem się tym zasadom, sprawdziłem dane, przełączając się z kanału na kanał. Na każdym z nich zarejestrowałem to samo dziwne uczucie, towarzyszące olbrzymiej potędze kierującej się z niewyobrażalną wprost prędkością ku Ziemi.

Albo się myliłem, albo była to inwazja. Niestety, nie mogłem wyjść w tej chwili z transu i ogłosić alarmu.

Z utęsknieniem i zamiłowaniem przedłużałem obcowanie z tymi bodźcami czuciowymi na całe godziny – jak mi się zdawało. Pieściłem instrumenty znajdując w tej czynności całkowite spełnienie odczuć przepływających przez moje przeguby. Potępiałem się, mówiłem sobie, że tracę cenny czas, że powinienem skończyć z tym niecnym zaniedbaniem i powiadomić Obrońców, aż w końcu przerwałem czuwanie i znalazłem się znów w świecie, którego miałem obowiązek strzec.

Avluela stała przy mnie otępiała, przerażona, z dzikim błyskiem w oku i zaciśniętymi pięściami.

– Obserwatorze! Obserwatorze! Słyszysz mnie? Co się stało? Co się dzieje?

– Inwazja! Jak długo znajdowałem się w transie?

– Sama nie wiem... Może pół minuty... Miałeś zamknięte oczy. Myślałam, że nie żyjesz!

– Gormon mówił prawdę. Najeźdźcy są u naszych bram! Gdzie on jest? Gdzie się podział?

– Zniknął, kiedy tylko wyszliśmy z miejsca, które nazwał Ustami Prawdy – odpowiedziała ze szlochem. – Obserwatorze, ja się boję! Mam wrażenie, że wszystko się wali. Muszę lecieć. Nie mogę zostać na ziemi.

– Zaczekaj! – chciałem chwycić ją za rękę, ale umknęła mi. – Nie odchodź jeszcze. Muszę ogłosić alarm, zanim...

Lecz ona już się rozbierała. Jej blade, obnażone ciało błyszczało w półmroku. Wokół nas przemykali spóźnieni przechodnie, pogrążeni w słodkiej niewiedzy o nadchodzących wypadkach. Chciałem, by Avluela pozostała przy mnie, lecz nie mogłem już zwlekać z ogłoszeniem alarmu. Wróciłem do swojego wózka.

Niczym niewolnik zbyt długo śnionego majaku sięgnąłem ku przełącznikowi, którego nigdy jeszcze nie użyłem. Przełącznikowi mającemu zaalarmować wszystkich Obrońców aż po krańce naszej planety.

A może już ogłoszono alarm? Inny Obserwator mógł odkryć to, co odkryłem i nie zważając na wątpliwości, z którymi przyszło mi się borykać, wykonał ostatnią czynność Obserwatorów.

Nie! Jeszcze nie! W takim wypadku słyszałbym już wycie syren z umieszczonych nad miastem megafonów. Musnąłem przełącznik, kątem oka dostrzegając, jak naga Avluela przyklęka i szepce formuły potęgujące siłę jej wątłych skrzydeł. Kiedy zorientowałem się, że dziewczyna ma zamiar wzlecieć, powróciłem do mojego zadania.

Szybkim ruchem włączyłem sygnalizację alarmową.

W tej samej chwili dostrzegłem zbliżającą się ku nam szybkim krokiem zwalistą postać. Myśląc, że to Gormon, podniosłem się i ruszyłem w jej kierunku. Nie był to jednak Odmieniec, lecz jakiś gorliwy Sługa o ciastowatym obliczu. Zbliżył się i rzekł do Avlueli:

– Uspokój się, Szybowniczko! Złóż swoje skrzydła. Książę Roumu wysłał mnie, bym sprowadził cię przed jego oblicze.

Schwycił ją wpół. Drobna pierś Avlueli wzniosła się spazmatycznie, a w oczach dziewczyny pojawił się błysk gniewu.

– Puszczaj mnie! – krzyknęła. – Chcę lecieć.

– Książę Roumu wzywa cię – powtórzył Sługa zaciskając wokół niej swoje potężnie umięśnione ramiona.

– Książę Roumu będzie miał inne zajęcia dzisiejszego wieczoru – rzekłem mu. – Nie będzie jej potrzebował.

Kiedy wymawiałem te słowa syreny rozpoczęły swój śpiew w przestworzach nieba.

Sługa puścił dziewczynę. Przez chwilę poruszał wargami, lecz żaden dźwięk nie wydobył się z jego krtani. Uczynił jeden ze znaków, jakimi ludzie zazwyczaj zjednują sobie przychylność Losu, po czym spojrzał na niebo i wybełkotał:

– Alarm?! Kto go ogłosił? Czy to ty, starcze?

Ulica zaroiła się biegnącymi sylwetkami. Avluela podbiegła do mnie tak szybko, jak tylko mogła i ukryła się za moimi plecami. Jej skrzydła na skutek strachu rozwinęły się tylko w połowie. Ponad wszechobecne zawodzenie syren wybijały się głosy Mówców instruujących ludzi o wymogach obrony i bezpieczeństwa publicznego. Tuż obok nas przebiegł ulicą szczupły osobnik z emblematem Obrońców, wykrzykując coś, czego nie mogłem zrozumieć.

Świat pogrążył się w szaleństwie.

Jedynie ja pozostawałem spokojny. Przeszukiwałem firmament w nadziei ujrzenia ciemnych sylwetek statków, krążących nad wieżami Roumu. Lecz nie dostrzegłem niczego prócz noc-

nych świateł i obiektów, które widzi się zazwyczaj po zapadnięciu zmierzchu.

– Gormonie! – zawołałem – Avluelo!

Byłem sam.

Doznałem dziwnego uczucia pustki. Ogłosiłem alarm! Zbliżali się najeźdźcy. Straciłem swoje zajęcie. Teraz już nikt nie będzie potrzebował Obserwatorów. Przesunąłem ręką pieszczotliwym gestem po burcie mojego starego wózka i ruszyłem ciemną uliczką Roumu, pozostawiwszy go za sobą razem z ciążącym na mnie obowiązkiem. Ja, człowiek, dla którego życie straciło, a zarazem zyskało sens w jednej i tej samej chwili.

Wokół mnie narastał chaos.

7.

Słyszałem, że w chwili decydującej bitwy zostaną zmobilizowane wszystkie Bractwa z wyjątkiem Obserwatorów. My, którzy służyliśmy przez tak długi czas, nie mieliśmy wyznaczonej żadnej roli w strategii walki. Naszym zadaniem było ogłoszenie alarmu – prawdziwego alarmu. Teraz swoimi zdolnościami popisać się mieli członkowie Bractwa Obrońców. Już od ponad pół wieku przygotowywali się na dzień wybuchu wojny. Jaki plan wybiorą teraz? Jakie operacje przeprowadzą?

Wiedziałem tylko jedno: wrócę do Bursy Królewskiej, by czekać końca wydarzeń. Nie musiałem już martwić się o odszukanie Avlueli. Pozwoliłem jej przecież uciec; nagiej i bezbronnej w momencie największego zamieszania. Gdzie teraz była? Któż mógł się nią opiekować?

Na najbliższym zakręcie wpadł na mnie mój brat Obserwator ciągnący za sobą w szaleńczym pędzie swój wózek.

– Uważaj – krzyknąłem. Zatrzymał się i wbił we mnie zdziwione spojrzenie.

– Czy to prawda? – zapytał po chwili. – To alarm?

– Nie słyszysz?

– Ale czy on jest prawdziwy?

Wskazałem ręką na jego wózek.

– Najlepiej będzie, jak sam sprawdzisz.

– Mówią, że ten, który ogłosił alarm był pijanym czy też szalonym starcem wypędzonym z zajazdu.

– Możliwe.

– A jeśli ten alarm jest prawdziwy?

– Jeśli jest prawdziwy, możemy wreszcie odpocząć – przerwałem mu ze śmiechem. – Bywaj, Obserwatorze.

– Twój wózek! – krzyknął za mną. – Gdzie jest twój wózek?

Lecz ja byłem już daleko. Zbliżałem się właśnie do gigantycznej kamiennej kolumny – pozostałości z czasów Imperialnego Roumu. Jej powierzchnię pokrywały starożytne płaskorzeźby: walki i zwycięstwa, obcy władcy kroczący w łańcuchach i hańbie ulicami Roumu, zwycięskie orły głoszące chwałę wielkiego imperium. Korzystając z chwilowego spokoju ducha przystanąłem na moment, podziwiając piękno tego wszystkiego.

Nagle spostrzegłem, że ktoś zbliża się do mnie. Poznałem go. To był Basil Pamiętający.

– Przybyłeś w dobrym momencie – powiedziałem i pozdrowiłem go. – Czy zechciałbyś objaśnić mi znaczenie tych figur? Zafascynowały mnie i wzbudziły moją ciekawość.

– Czyś oszalał?! Nie słyszysz syren?

– To ja ogłosiłem alarm.

– Uciekaj! Nadchodzą najeźdźcy! Musimy walczyć!

– Nie ja, Basilu. Moja rola już się skończyła. Opowiedz mi o tych scenach. O pokonanych królach i upadłych władcach. Człowiek w twoim wieku nie powinien myśleć o wojaczce.

– Wszyscy zostali zmobilizowani.

– Wszyscy prócz Obserwatorów – odrzekłem. – Poczekaj chwilę. Zrodziło się we mnie pragnienie poznania przeszłości. Gormon zniknął, pozostań więc moim przewodnikiem w odkrywaniu tajemnic minionych Cykli.

Pamiętający pokręcił głową ze złością, wyminął mnie i ruszył dalej. Chciałem go zatrzymać, lecz złapałem jedynie jego czarną szarfę, która rozsupłała się i pozostała w mojej dłoni. Basil zniknął w perspektywie ulicy.

Moje nogi – nie tak dawno jeszcze niezdolne do utrzymania mojego ciężaru – znowu odzyskały sprężystość. Ożywiony, ruszyłem ulicą wiodącą przez wydane na łup chaosu miasto. Nie musiałem szukać drogi; zszedłem nad rzekę, przekroczyłem ją i znalazłszy się na drugim brzegu stanąłem przed Pałacem Księcia.

Noc zdawała się być ciemniejsza niż zwykle, gdyż mocą rozkazów mobilizacyjnych wygaszono większość świateł. Raz po raz głuche eksplozje ogłaszały, że w przestworzach wybuchały coraz to nowe bomby kamuflujące, rozpylając obłoki pyłu unieszkodliwiającego niemal wszystkie systemy wczesnego ostrzegania. Na ulicach pozostało niewielu przechodniów. Nadal wyły syreny. Do akcji włączały się jedna za drugą umieszczone na dachach budynków instalacje obronne. Wycie expulsatorów wciąż narastało, a z każdej wieży unosiły się ku niebu pajęcze ramiona amplifikatorów. Nikt już nie wątpił w prawdziwość inwazji. Mogłem się omylić – zważywszy na sytuację, w jakiej się znalazłem – ale zaawansowane przygotowania poczynione przez Obrońców wskazywały, że setki moich braci potwierdziły fakt inwazji.

U bram pałacu doścignęło mnie dwóch zdyszanych Pamiętających. Ich na wpół rozwinięte szarfy łopotały na wietrze. Powiedzieli do mnie coś, czego nie zrozumiałem. Miałem na sobie szarfę Basila, więc odezwali się do mnie w swoim języku. Nie mogłem im odpowiedzieć. Wciąż mamrocząc zbliżyli się do mnie i zapytali ponownie, tym razem zrozumiale:

– Co się z tobą dzieje? Wracaj na swój posterunek. Musimy rejestrować, obserwować, komentować!

– Pomyliliście się – odpowiedziałem z uprzejmością. – Szarfa, którą noszę, jest własnością waszego brata Basila. Dał mi ją na przechowanie. Nie mam już posterunku, na którym mógłbym czuwać.

– Obserwator! – zakrzyknęli chórem i pozostawili mnie samego, uchodząc swoją drogą.

Wrota pałacu stały otworem. Nigdzie nie zauważyłem śladu pilnujących ich zerowców ani obu Rejestratorów ze straży wewnętrznej. Oblegające dotychczas zewnętrzny plac legiony żebraków runęły w poszukiwaniu łupów do środka pałacu. Tutaj jednak spotkali się z gwałtowną reakcją swoich nieco bardziej uprzywilejowanych współbraci, którzy rzucili się do walki z nieoczekiwaną siłą i zawziętością. Ujrzałem kaleki władające swoimi kulami niczym maczugami. Ujrzałem ślepców okładających przeciwników z zadziwiającą precyzją. Ujrzałem, jak do niedawna pokorni i łagodni zamieniali się w krwiożercze bestie, walczące najprzeróżniejszymi rodzajami broni – od noży aż po pulsatory soniczne. Ominąłem to zasmucające widowisko i prześlizgnąłem się do wnętrza pałacu. Szedłem opustoszałymi korytarzami rozglądając się po celach, w których Pielgrzymi błagali o łaskę, gdy nagle usłyszałem dźwięki trąb i następujące po nich okrzyki.

– Z drogi! Z drogi!

Oczom moim ukazała się kolumna muskularnych Sług kierująca się w stronę apartamentów władcy. Kilku z nich trzymało jakąś skrzydlatą istotę o na wpół otwartych skrzydłach. Przecież to Avluela!!! Krzyknąłem, lecz mój głos zagubił się w ogólnym hałasie. Nie mogłem się do niej zbliżyć. Słudzy przeszli obok mnie i zniknęli w pokojach Księcia. Zanim to jednak zrobili, zdołałem raz jeszcze dostrzec moją małą Szybowniczkę uwięzioną w ich mocarnych uściskach.

Zatrzymałem puszącego się swoją ważnością zerowca, który niezbyt pewnym krokiem podążał za procesją.

– Ta Szybowniczka... Co ona tu robi?

– No, ona... Oni...

– Mów!

– Książę... Jego kobieta... W jego wozie... N...n...na... najeźdźcy.

Pozostawiłem jąkającego się zerowca i ruszyłem ku komnatom Księcia. Nie dotarłem tam jednak. Stanąłem u stóp wysokiej na dziewięciu ludzi spiżowej ściany, oddzielającej mnie od nich i tłukąc w nią pięściami zawołałem, ile sił w płucach:

– Avluelo! AV-LU-ELO!!!

Nie usłyszano mnie. Nie wpuszczono. Po prostu zignorowano. Tymczasem wrzawa czyniona przez walczących u zachodniego wejścia do pałacu stała się już słyszalna w całej nawie i rezonowała we wszystkich jej krużgankach. Nie chcąc ryzykować następnego spotkania z zacietrzewioną tłuszczą zwróciłem się szybko ku bocznym drzwiom, wiodącym do Królewskiej Bursy.

Znieruchomiałem. Na niebie pojawiły się dziwne wyładowania. Przez chwilę myślałem, iż są to efekty działania któregoś z systemów obronnych mających ustrzec miasto przed atakiem, lecz wkrótce zdałem sobie sprawę z omyłki, jaką popełniłem.

Na niebie pojawiły się gwiazdoloty wroga.

Kiedy widziałem je podczas czuwania, wydały mi się czarne jak dno nieskończonej otchłani. Teraz błyszczały niczym złote tarcze słońc. Całe niebo przyozdobione było kolią pobłyskujących twardo globów, przypominających szlachetne kamienie. Burta przy burcie, bez początku i bez końca, od wschodu aż po zachód nieboskłon zajęło mrowie statków. I kiedy tak opuszczały się z wolna, usłyszałem huk i poczułem pulsację niewidzialnej symfonii, zwiastującej przybycie Zdobywców. Nie wiedziałem, na jakiej wysokości znajdowały się statki, ile ich było i z czego zostały zrobione. Wszystko, co o nich mogłem powiedzieć, to to, że pojawiły się nagle na niebie, w całej okazałości i majestacie. Oraz to, że gdybym był Obrońcą, utraciłbym wolę walki na sam ich widok.

Niebo przeszywały wielokolorowe błyskawice. Rozpoczęła się walka. Nie mogłem powiedzieć niczego o działaniach Obrońców i

chcą nie chcąc, musiałem obserwować manewry przybyszów usiłujących objąć w posiadanie naszą głęboko zakorzenioną w bieg historii planetę. Tę, której czas dobiegał już końca. Z dumą stwierdziłem, że jestem nie tylko poza, ale i ponad zamieszaniem, jakby cały ten konflikt zupełnie mnie nie dotyczył. Chciałbym wprawdzie mieć u swojego boku Avluelę, przebywającą teraz gdzieś w głębi pałacu Księcia Roumu. Chociaż... Obecność Gormona, Gormona-Odmieńca, Gormona-szpiega, Gormona, który niegodziwie zdradził nasz świat, również przyniosłaby mi ulgę.

Obok mnie zabrzmiały fantastycznie podwyższone głosy.

– Miejsce dla Księcia Roumu! Książę Roumu poprowadzi Obrońców do walki o ojczyznę.

Z pałacu wynurzył się błyszczący wehikuł w kształcie łzy. W jego dach wmontowano przezroczystą płytę, by lud mógł ujrzeć swojego wodza i nabrać odwagi korzystając z jego obecności. Książę Roumu dowodził z dumnie wypiętą piersią, wyrazem zawziętości i zdecydowania na swojej młodzieńczej, ale jakże okrutnej twarzy. Obok niego dostrzegłem drobną sylwetkę przystrojonej w iście cesarskie szaty Avlueli. Dziewczyna wyglądała na zahipnotyzowaną.

Pojazd Księcia wzbił się w ciemnościach i zniknął. Zdawało mi się, że podążyła za nim jednak druga maszyna, że Książę dostrzegł ją i że obie poczęły krążyć wokół siebie przygotowując się do śmiertelnego starcia. Nagle oba pojazdy skryły się w roju błękitnych błysków i wyprysnęły w górę niknąc za jednym ze wzgórz Roumu.

Czy walki rozciągnęły się na całą planetę? Czy zagrażały Perrisowi? Świętemu Jorslem i uśpionym wyspom Zaginionego Kontynentu? Czy wszędzie statki pokrywają całe niebo?

Nie wiedziałem. Znałem jedynie ciąg zdarzeń, których teatrem było niebo Roumu. A to, co działo się w tak małym sektorze mogło być mylące, niewystarczające i niepewne. W rozkwitających błyskach wyładowań dostrzegłem całe chmary Szybowników mknących w otwartej przestrzeni. Po chwili jednak ciemność powróciła, okrywając miasto aksamitnym całunem. Na szczytach wież najcięższe z maszyn obronnych otworzyły ogień, lecz statki obcych trwały niewzruszenie, jakby wokół nich nic się nie działo. Podwórzec, na którym się znajdowałem, świecił pustkami, ale wciąż jeszcze słyszałem dobiegające z oddali głosy przepełnione strachem i przerażeniem. Głosy przechodziły w tak wysokie tony, że z powodzeniem mogły dorównać ptasim trelom.

Panika rosła w mieście z minuty na minutę. Tuż koło mnie przemknęła grupa Somnambulików. Na jednej z esplanad pałacu dostrzegłem trupę Klownów – tak przynajmniej myślałem – rozwijających błyszczącą sieć o niewątpliwie wojskowym przeznaczeniu.

Nagły rozbłysk eksplozji pozwolił mi też odkryć trójkę Pamiętających, unoszących się na platformie antygrawitacyjnej i notujących skwapliwie wszystko, co mogli zaobserwować. Wydawało mi się także – chociaż nie byłem tego pewien – że ujrzałem znów pojazd Księcia i ścigającego go przeciwnika. „Avluelo" – jęknąłem, gdy owe okruchy światła rozpłynęły się w oddali.

Czy statki desantowały już swoje oddziały? Czy ogromne pylony energii tryskającej ze statków błyszczących na orbicie dosięgnęły powierzchni Ziemi? Czemu Książę uniósł z sobą Avluelę? Gdzie był Gormon? Co robili Obrońcy? Dlaczego jeszcze żaden statek nie zniknął z nieba?

Przez całą długość tej, zda się, nieskończonej nocy, siedziałem na starożytnych kamieniach podwórca i obserwowałem przebieg toczącej się nade mną kosmicznej walki, niczego z niej nie rozumiejąc.

Wstał dzień. Wątłe promyki światła przeskakiwały z wieży na wieżę. Przetarłem oczy, zdając sobie sprawę, że powinienem wreszcie się przespać, gdyż w innym wypadku – jak sobie ironicznie powiedziałem – mogę zgłosić się do Bractwa Somnambulików.

Obcych statków już nie było. Widziałem tylko zwykłe, szaropomarańczowe niebo poranka. Machinalnie poszukałem wzrokiem wózka, lecz przypomniałem sobie, że nie muszę już czuwać. Czułem się zresztą bardziej rozbity niż kiedykolwiek o tej porze.

Czy bitwa się skończyła?

Czy wróg został pokonany?

Czy statki najeźdźców zamieniły się w zwęglone szczątki zalegające wokół Roumu?

Wokół panowała cisza. Nie słyszałem już gwiezdnej symfonii. Nagle w panującą nadnaturalną ciszę wdarł się nowy dźwięk. Dźwięk podobny do huku pojazdu toczącego się ulicami miasta. Po chwili dołączyli doń niewidzialni muzycy, uderzając ostatni akord: nutę ciężką i smutną, która zamarła raptownie, jakby wszystkie struny instrumentu zerwały się w tej samej chwili.

Z megafonów przeznaczonych do masowych transmisji popłynął spokojny głos:

– Roum upadł! Roum upadł!

8.

Bursa Królewska opustoszała. Zarówno zerowcy, jak i członkowie klanu Sług uciekli. Obrońcy, Panowie i Władcy musieli zginąć gdzieś na polach walki. Nigdzie też nie było śladu Pamiętającego Basila ani jego braci.

Wróciłem do swojego pokoju, przebrałem się i odświeżyłem, po czym zebrałem skromne rzeczy i pożegnałem się z luksusem, który był mi dany na tak krótki czas. Żałowałem, że moja wizyta w Roumie już się kończyła. Niemniej Gormon był dobrym przewodnikiem i udało mi się dzięki niemu zobaczyć wiele ciekawych rzeczy.

Teraz byłem już gotów do drogi.

Niezbyt roztropnym wydawało mi się pozostawanie w podbitym mieście. Czepek myślowy mojego pokoju nie odpowiadał na pytania, nie znałem przeto rozmiarów klęski. Stało się jednak dla mnie oczywiste, że Roum przestał być własnością ludzkości. Wolałem go opuścić. Myślałem wprawdzie o podróży do Jorslem – tak, jak poradził mi Pielgrzym napotkany u wrót Roumu – lecz po przemyśleniu zdecydowałem się iść na zachód, do Perrisu i to nie tyko dlatego, że leżał bliżej. W nim to bowiem znajdowała się siedziba Bractwa Pamiętających. Jedyne zajęcie, jakie znałem, nie istniało już, lecz dzisiaj, pierwszego dnia po podboju Ziemi odczułem nieodpartą chęć zgłoszenia się na służbę do Pamiętających i poszukiwania wraz z nimi śladów minionej sławy naszej planety.

W południe opuściłem Bursę i udałem się do pałacu. Jego wrota nadal pozostawały otwarte. Wokół leżeli żebracy, niektórzy uśpieni, lecz w większości martwi. Sądząc z brutalności, z jaką prowadzili walkę, prawdopodobnie wybili się sami, powodowani paniką i szaleństwem. Przed kapliczką zawierającą czaszki komunikatorów siedział skulony Rejestrator. Kiedy zbliżyłem się do nich, rzekł:

– Nie wysilaj się. Mózgi nie odpowiedzą.

– Co się stało z Księciem Roumu?

– Zginął. Najeźdźcy strącili go z nieba.

– Towarzyszyła mu młoda Szybowniczka. Czy wiesz coś o niej?

– Nie. Prawdopodobnie ona też zginęła.

– A miasto?

– Miasto padło. Najeźdźcy są wszędzie.

– Zabijają?

– Nie. Nawet nie grabią. Są bardzo uprzejmi. Można by powiedzieć, że wzięli nas pod swoją opiekę.

– Czy tylko Roum padł ich ofiarą?

Rejestrator wzruszył ramionami i począł rytmicznie kołysać się w przód i w tył. Zostawiłem go i wszedłem do środka pałacu.

Ze zdziwieniem spostrzegłem, że apartamenty książęce stoją otworem. Wszedłem tam. Przepych i bogactwo wnętrz oślepiło mnie. Przechodziłem z komnaty do komnaty, aż znalazłem się przy łożu Księcia. Za pościel służyła tu ogromna muszla pochodząca z planety obcego słońca. Kiedy podszedłem, rozchyliła się i mogłem dotknąć nieskończenie delikatnej substancji, wśród której odpoczywał Książę.

Nagle przypomniałem sobie, że Avluela również spała w tym łożu. Gdybym był młodszy, mógłbym zapłakać.

Wyszedłem z pałacu i przebyłem długimi krokami plac, rozpoczynając tym samym podróż do Perrisu.

Wtedy też po raz pierwszy ujrzałem naszych zwycięzców. Przy końcu esplanady zatrzymał się pojazd o dziwnym, nieziemskim wyglądzie i zeskoczyło zeń tuzin stworzeń. Najeźdźcy przypominali ludzi. Byli wysocy, mieli szerokie bary i klatki piersiowe równie potężne, jak Gormon. Jedynie długość rąk zdradzała ich nieziemskie pochodzenie. Skóra, oczy, wargi i nozdrza miały obcy, nieludzki wyraz. Nie zwracając na mnie uwagi pokonali esplanadę skokami raczej niż krokami – co znów przypomniało mi Gormona – i zniknęli we wnętrzu pałacu. Nie sprawiali jednak wrażenia ani pyszałkowatych, ani wojowniczych.

To ciekawe! Majestatyczny Roum raz jeszcze wywarł swój magnetyczny wpływ na obcych.

Zostawiwszy naszych nowych panów oddaliłem się ku peryferiom miasta. Chłód zimy zmroził mą duszę. Czy to upadek Roumu tak mnie zasmucił? Czy strata Avlueli? Czy było to uczucie wywołane brakiem trzech kolejnych czuwań? Zapewne złożyło się na to wszystkiego po trochu, ale najbardziej niepokoiło mnie to ostatnie.

Na ulicach nie widziałem żywej duszy. Najwidoczniej mieszkańcy ukryli się, lękając się najeźdźców. Od czasu do czasu widziałem przejeżdżające z szumem pojazdy obcych, lecz ani

razu nie zatrzymano mnie. Późnym popołudniem dotarłem do Zachodniej bramy miasta. Była otwarta i mogłem przez nią zobaczyć wzgórza przystrojone koronami drzew o zielonych szczytach. Kiedy wyszedłem poza mury miasta, dostrzegłem w niewielkiej odległości sylwetkę idącego wolnym krokiem Pielgrzyma.

Dogoniłem go bez trudu. Zdziwił mnie nieco nerwowy i ostrożny krok, jakim się poruszał, gdyż gruba, brązowa szata, w którą był odziany nie mogła ukryć jego młodego i zdrowego ciała. Pielgrzym szedł sztywno z wysuniętymi do przodu ramionami, chwiejnym i niepewnym krokiem starca. Kiedy zrównałem się z nim i zajrzałem pod jego kaptur, zrozumiałem. Na brązowej masce, którą nosił jak wszyscy Pielgrzymi, tkwił przyrząd ostrzegający ślepców przed przeszkodami i niebezpieczeństwami. Kiedy wyczuł moją obecność, odezwał się:

– Jestem niewidomym Pielgrzymem. Proszę, nie czyń mi krzywdy. Jego głos – wysoki, twardy – w niczym nie przypominał głosu Pielgrzymów.

– Nikomu nie robię krzywdy – odpowiedziałem mu. – Jestem Obserwatorem, który utracił tej nocy swoje stanowisko.

– Wielu je straciło tej nocy, Obserwatorze.

– Masz rację.

– Dokąd zmierzasz?

– Byle dalej od Roumu.

– Nie masz określonego celu?

– Nie. Idę przed siebie.

– Moglibyśmy zatem pójść razem – zaproponowałem mu, gdyż podróż z Pielgrzymem mogła mi dobrze zrobić, a pozbawiony Szybowniczki i Odmieńca musiałem iść sam. – Udaję się do Perrisu. Czy zechcesz tam pójść ze mną?

– Tam, czy gdzie indziej – westchnął z goryczą.– Chodźmy do Perrisu. Ale co może robić Obserwator w Perrisie?

– Nigdzie nie ma już zajęcia dla Obserwatorów. Idę do Perrisu, by wstąpić na służbę do Pamiętających.

– Och, należałem do tego Bractwa, ale tylko tytularnie.

– Teraz, kiedy Ziemia została pokonana, chciałbym poznać jej wielką przeszłość.

– Cała Ziemia upadła, czy tylko Roum?

– Cała...

Umilkł i zachwiał się. Zaoferowałem mu swoją pomoc i nie musząc już sprawdzać drogi mógł ruszyć długimi krokami, jak przystało na młodzieńca. Chwilami zdawało mi się, że słyszę ciche westchnienia czy też zduszony szloch. Kiedy pytałem o sprawy związane z jego pielgrzymką, odpowiadał pytaniem albo milczał. Po upływie godziny, kiedy znajdowaliśmy się w środku lasu, odezwał się nagle:

– Ta maska uwiera. Pomożesz mi ją poprawić? – i, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, począł ją ściągać. Byłem zdumiony, albowiem Pielgrzymom nie wolno pokazywać twarzy. Czyżby zapomniał, że ja nie jestem ślepy?

– To, co zobaczysz, nie będzie zbyt piękne – powiedział ściągając maskę.

Brązowa kratownica uchyliła się i ujrzałem jego oczy. Musiał je stracić niedawno. W jego twarzy ziały dwie otwarte rany – dzieło nie chirurgicznego skalpela, lecz ludzkich palców. Po chwili dostrzegłem arystokratyczny nos i wąskie, wykrzywione usta Księcia Roumu.

– Wasza wysokość! – krzyknąłem.

Strużki wyschniętej krwi barwiły jego policzki, a skrwawione oczodoły nosiły ślady maści. Z całą pewnością niewiele cierpiał, bo chociaż rany były jeszcze świeże, zielonkawy balsam musiał przynieść mu ulgę.

– Nie ma już majestatu – odpowiedział. – Pomóż mi dopasować maskę – podał mi ją trzęsącą się ręką. – Trzeba wygiąć te pręty. Uciskają mnie zbyt mocno. Tu... i tu...

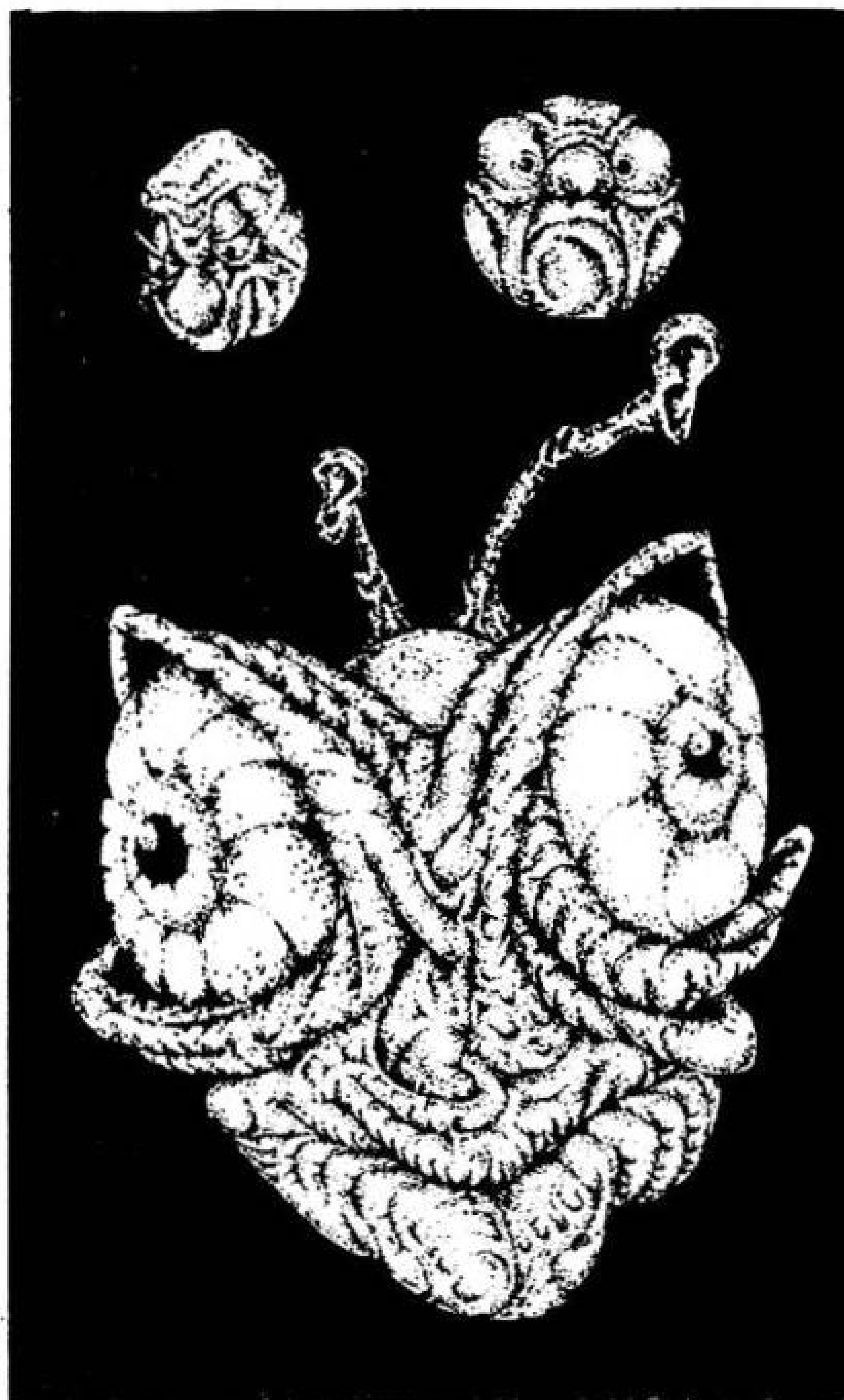
Pośpiesznie zrobiłem to, o co prosił, by nie widzieć już jego okaleczonej twarzy. Założył maskę na swoje miejsce.

– Teraz jestem Pielgrzymem – powiedział spokojnym głosem. – Roum nie ma już Księcia. Możesz mnie zdradzić, jeśli chcesz, a jeśli nie, poprowadź mnie do Perrisu. Jeżeli kiedykolwiek odzyskam władzę, zostaniesz sowicie wynagrodzony.

– Nie jestem zdrajcą.

Ruszyliśmy dalej w milczeniu. Nie mogłem przecież rozmawiać z nim o byle błahostkach. Zapowiadała się długa i smutna podróż, lecz podjąłem się służyć mu za przewodnika. Idąc myślałem o Gormonie i jego spełnionych słowach. Myślałem też o Avlueli i setki razy chciałem zapytać Księcia o jego nałożnicę, ale za każdym razem powstrzymywałem się przed postawieniem pytania, które parzyło mi język.

Nadchodził zmierzch, lecz czerwono-złote słońce błyszczało jeszcze na zachodzie. Wtem na ziemi przed nami pojawił się cień. Zatrzymałem się i wydałem okrzyk zdumienia.



Jerzy Hudyna

Wysoko na niebie mknęła Avluela. Promienie zachodzącego słońca ślizgały się po jej ciele, a rozwinięte skrzydła błyszczały wszystkimi kolorami tęczy. Dla jej oczu byłem jedynie drobnym punktem zagubionym w bezmiarze drzew.

– Co się dzieje? – zapytał Książe. – Co zobaczyłeś?

– Nic.

– Powiedz, co zobaczyłeś?

Nie mogłem skłamać.

– Szybowniczkę, wasza wysokość. Małą dziewczynę wysoko na niebie.

– To znaczy, że noc zapadła.

– Nie. Słońce jest jeszcze nad horyzontem.

– Jak to możliwe? Przecież ona ma skrzydła nocy. Słońce powinno strącić ją na ziemię.

Zawahałem się. Nie mogłem się zdecydować na wyjaśnienie, czemu Avluela lata w świetle dnia, kiedy jej skrzydła są skrzydłami nocy. Nie mogłem powiędzieć Księciu, kto towarzyszy jej w przestworzach, przygarniając do siebie szczupłe ramiona małej Szybowniczki, która z tą pomocą przezwyciężała ciśnienie słonecznego wiatru. Nie mogłem powiedzieć, że nad naszymi głowami przelatuje jego kat w towarzystwie ostatniej z jego nałożnic.

– No, Obserwatorze. Jak to możliwe, że ona lata w ciągu dnia?

– Nie wiem. To dla mnie tajemnica. Wiele jest rzeczy, których nie mogę pojąć.

Wydawał się być zadowolony z mojej odpowiedzi.

– Tak, Obserwatorze. Wiele jest rzeczy, których nikt z nas pojąć nie może.

Znów zamilkł. Ja zaś płonąłem chęcią zawołania Avlueli, lecz wiedziałem, że nie mogłaby i nie chciałaby mnie usłyszeć. Tak więc kontynuowałem marszrutę ku słońcu, ku Perrisowi i usługiwałem oślepionemu Księciu. Ponad nami zaś Gormon i Avluela odlatywali coraz szybciej i oświetleni ostatnimi promieniami dnia wznosili się coraz wyżej, aż straciłem ich z oczu.

Przełożył Robert Szmidt



WOJCIECH KAWIŃSKI

Urlop

Szczeka pies
w zaułku miasteczka.
Pali sierpniowe słońce,
jestem daleko od ciebie
ale nie czuję smutku,
rozluźniony, czytający gazetę
Opowieści fantastyczne Wellsa
i wiersze Langstona Hughesa.
Listy żadne nie przychodzą,
nie ma sąsiadów, matka gotuje
obiad.

Nagle dzwoni telefon. Podnoszę
słuchawkę i słyszę: *„to ja, matka
pana szkolnego kolegi. Jestem sama,
nie mogę czytać, nic nie widzę,
ale pamiętam pana twarz i pierwsze
pana wiersze”.* Plotę coś od rzeczy

i po chwili wracam do swych zajęć.

...sądzę teraz, po kilku tygodniach,
że tamta kobieta miała nade mną przewagę.
Dla niej wehikuł czasu nie był tylko
zestawem ludzi i przedmiotów, lecz rzeźbą
wewnętrzną nie do rozbicia.

1984

Zdarzenia, epidemie

Lecąc wysoko,
można spaść najniżej.
Jadąc do celu,
przybliżasz się ku błyszczącej nicości.

Japończycy twierdzą
że zawsze należy być grzecznym i cierpliwym.
Ale nasz zadyszany czas
nie jest wyrozumiały.

Wirusy ziemi
tworzą gładką równinę
cienką niczym lód.
Precyzyjna to struktura.
Lżejsza niż lot muchy...

1984

* * *

Mogę w to wierzyć:
świat jest jak skała,
w jej cieniu
mieszka twój proch
i twoja tożsamość.
. . . .
Nie muszę być o tym
w pełni przekonany
póki żyję. Dopóki krąży we mnie
węzeł krwi, motyl pamięci, ciepło
i kropla
bezustannej wędrówki.

Zanurzenie

pamięci Paula Celana

W rzece utopiony,
węzłami szarości
powiązany,
z imieniem swym
zanurzony
w gęste, brudne srebro świtu,
świat rozpoznaje
ślepymi palcami:

gołębia,
nóż rozcinający skórę,
stary kościół
z zegarem bez cyfr,

trawę
ustrzeloną w locie jaskółczym,
tundrę
pełną ludzi
zamiast zwierząt,
ocean,
ołów,
chylącą się
pod własnym ciężarem wieżę Babel,

rosę księżycową.
I ciebie pragnie rozpoznać,
ukrytą
w szepcie pamięci,
w kropli wyobraźni.

Pragnie
i nie potrafi...

1984

Wojciech Kawiński (ur. 1939 r.) – poeta, autor 10 tomów wierszy. Mieszka w Krakowie, pracuje w redakcji miesięcznika „Pismo Literacko-Artystyczne”, gdzie prowadzi dział poezji. Ostatnie publikacje książkowe to wybór wierszy „Pod okiem słońca” (1980) oraz „Listy do ciebie” (1982). (L.B.)

panii „D": Sirocco z Shirley i ich córkami-bliźniaczkami; Hanlon, który obecnie był instruktorem akademii wojskowej we Franklinie, z Janet i ich dwojgiem dzieci; Driscoll, na urlopie od swego tournée pokazów magicznych - jednej z największych atrakcji rozrywkowych na Chironie; Stanislau, obecnie specjalista programowania komputerów; Swyley - reżyser i producent filmów, zwykle na temat amerykańskiego świata przestępczego - wraz z paroma pięknymi dziewczynami, które otaczały go wszędzie, dokąd się udawał... i tylu innych. Jean Fallows kierowała programem badawczym z zakresu biochemii na uniwersytecie, na którym Pernak ciągle badał „małe wybuchy"; również Marie studiowała tam biologię. Jay, mający lat dwadzieścia i młodego syna, zbudował dla Franklina, obecnie dużego i kwitnącego miasta, staromodną kolej żelazną, której wagony ciągnął naturalnej wielkości parowóz, stanowiący atrakcję turystyczną i ciekawostkę historyczną: każdy odwiedzający miasto musiał się nim przynajmniej raz przejechać. Weronika, czynny architekt, przybyła z Caseyem, Adamem i Barbarą. Celia odmówiła przybycia na statek, ale oglądała ceremonię z domu na wybrzeżu, który dzieliła z Lechatem; Wellesley zaś odbył podróż ze swej framy w Occidenie, by ujrzeć jak jego stary statek zostaje na nowo ochrzczony i oddany do użytku.

Niektórych z obecnych nie było tu jeszcze pięć lat temu, gdyż przybyli na statku kosmicznym FWA, inni zaś z misją europejską, która osiągnęła Alfę Centaura rok później. Dawniej nazywali się Chińczykami, Hindusami, Japończykami i Indonezyjczykami, albo Rosjanami, Niemcami, kami, Hindusami, Japończykami i Indonezyjczykami, albo Rosjanami, Niemcami, Francuzami, Hiszpanami, Włochami... ale teraz byli po prostu Chirończykami. Oni również zrozumieli, że stare społeczeństwo nie może w żaden sposób przekształcić się w kulturę dostosowaną do wysoko rozwiniętej technologii, nieograniczonych zasobów i powszechnego dobrobytu, ponieważ z przeszłości odziedziczyło zbyt wiele elementów autodestrukcji. Nowe społeczeństwo mogło zostać zbudowane tylko tak, jak zostało: latami świetlnymi przestrzeni kosmicznej oraz jedynym w swoim rodzaju pochodzeniem, izolowane od mechanizmów społecznych, przekazujących z pokolenia na pokolenie wiarę w nienawiść, przesądy, chciwość, zastraszanie, przemoc i bezmyślność.

W tydzień po krótkiej kadencji Lechata jako Dyrektora, łącze laserowe przyniosło z Ziemi wiadomości o masakrze na całej planecie. A po tym komunikacja się zerwała i przez pięć lat nie nadszedł żaden sygnał. Niewątpliwie musiały istnieć gniazda, w których ludziom udało się przetrwać. Ale pierwsza próba utworzenia wyższej cywilizacji skończyła się porażką... lub prawie porażką, gdyż osiągnęła ona swój cel: podniosła ludzkość z prymitywnych, zwierzęcych początków na poziom, na którym mogły się rozwinąć wartości ludzkie, a nie zwierzęce. I rzuciła przed siebie własne nasienie, które zapuściło korzenie, wyrosło i zakwitło w świetle odległej gwiazdy. A wtedy ludzkość umarła tak, jak musiała.

Ale potomkowie tego nasienia wrócą i raz jeszcze zaludnią Ziemię. Za sześć miesięcy przebudowa statku będzie zakończona i znowu zanurzy się on w próżnię pierwszej powrotnej podróży odkrywczej; podróży, która pochłonie mniej niż jedną trzecią czasu drogi w tę stronę. Lechat będzie Dyrektorem Misji, Fallows Szefem Inżynierii, zaś Adam stanie na czele jednego z zespołów naukowych. Wróci również Colman jako oficer Inżynierii, Kath spełni swe marzenie ujrzenia Ziemi, zaś Alex, w chwili powrotu na Chirona, będzie w wieku Jaya. Wiele ze starych, dobrze znanych twarzy znajduje się znów na statku, który przez dwadzieścia lat był ich domem - jedni wskutek nostalgii, inni wskutek niecierpliwości, która narastała w nich przez pięć lat życia na powierzchni planety.

Gdy skończyło się ostatnie przemówienie, w oczach Kath zabłysło podniecenie i oczekiwanie. Wśród zebranych zapadła cisza, gdy wystąpił Lechat, by przeciąć wstęgę i formalnie oddać do użytku statek, którym będzie dowodził. Kath ścisnęła ramię Colmana, a obok nich Kulas podniósł Alexa wysoko na ręce, by lepiej widział, jak opadają zasłony, by ukazać błyszczącą tablicę z brązu, na której dwustopowymi literami widniał napis: HENRY B. CONGREVE - nowa nazwa statku, który powiezie dzieci Ziemi do domu.

KONIEC

CZĘŚĆ CZWARTA

PODBÓJ

Rozdział XXVIII

Celia Kalens przygładziła swój czarny, kimonowy płaszcz wieczorowy na sukni ze złotej lamy i wyprostowała się, zaś steward w białej kurtce sprzątnął talerze ze stołu. To wszystko jest nierzeczywiste - powtórzyła w głębi ducha, rozglądając się po wystawnym wnętrzu apartamentu, w którym rezydował Matthew Sterm. W wystudiowany sposób tworzyło ono atmosferę dystyngowanej męskiej zamożności: brązowa skóra, politurowane drewno, matowy metal, kosmate dywany w przyciszonych kolorach, półki oprawnych tomów.

Celia skontaktowała się ze Stermem, mówiąc, że chce z nim porozmawiać prywatnie - nic więcej - i już po minucie zaproponował jej obiad we dwoje w swym apartamencie, jako „niezaprzeczenie prywatny i zdecydowanie przyjemniejszy, niż jakiekolwiek inne rozwiązanie do pomyślenia". Spokojna, ale nieodparta siła jego zachowania, jakoś uniemożliwiała jej cokolwiek innego, niż zgodę. Powiedziała Howardowi, że wraca na statek, by spędzić noc na mieście z Weroniką, która urządza obchód na cześć swego rozwodu. Choć Weronika obchodziła tę okazję we Franklinie z Caseyem i jego bratem-bliźniakiem, zgodziła się potwierdzić alibi Celii, gdyby ktokolwiek o to pytał. Celia była więc tutaj i to, ku swemu zdziwieniu, wystrojona na tę okazję.

Sterm, ubrany w brązowy smoking i czarną muszkę, śledził ją milcząco nieprzeniknionymi, wilgotno-brązowymi oczami; steward zaś napełnił dwa kieliszki koniakiem, postawił wraz z karafką na niskim stoliku i oddalił się, popychając barek na kółkach. Podczas kolacji Sterm mówił o Ziemi i o podróży, Celia zaś posłusznie podjęła tematykę, pozostawiając mu inicjatywę poruszenia przedmiotu jego wizyty. Na koniec wstał, obszedł stół dookoła i odsunął jej fotel, by wstała. Znowu odczuła przelotne wrażenie, że jest tylko marionetką, tańczącą pod dyktando Sterma. Przyglądała się sama sobie, jak ją prowadził do głębokiego fotela i wręczał kieliszek. Następnie Sterm usadowił się wygodnie na końcu tapczana, wziął swój kieliszek i podniósł go do twarzy, rozkoszując się bukietem.

- Mam nadzieję, że znajdzie twoje uznanie - powiedział. Celia, gdy Sterm zapytał ją wcześniej o życzenia co do poobiedniego trunku, wymieniła koniak.

Spróbowała mały łyczek. Był gładki, dostały i rozgrzewający. - Doskonały - powiedziała.

- Mam mały własny zapas - poinformował ją Sterm. - Pochodzi z Ziemi - region Grande Champagne w Charente. Znajduje, że winogrona odmiany Saint Emillion dają aromat najbardziej zgodny z moim smakiem. - Jego doskonała francuska wymowa, jego powolny, pełen namysłu sposób sformułowania zdań, były przedziwnie fascynujące.

- Sądzę, że białe dają najlepsze koniaki - rzekła Celia. - I czy proporcja zawartości kamienia wapiennego w glebie nie jest bardzo istotna?

Brwi na majestatycznej, cesarsko-rzymskiej twarzy Sterma uniosły się z aprobatą. - Widzę, że zagadnienie nie jest ci obce. Moje gratulacje. Wyjątkowość nie odnosi się tu tylko do winogron.

Celia uśmiechnęła się znad kiliszka. - Dziękuję. Rzadko zdarza się znaleźć takie uznanie.

Sterm przez chwilę przyglądał się, jak bursztynowy płyn powoli wiruje wokół ścian jego kielicha, wreszcie podniósł wzrok. - Ale jestem pewien, że nie po to przebyłaś dwadzieścia tysięcy mil, by dyskutować o tego rodzaju sprawach.

Celia postawiła kieliszek na stole. Potrzebowała czasu, by zmienić kierunek myśli, nawet spodziewając się, że ten moment nadejdzie. - Niepokoi mnie ta nowa groźba wysiedlenia Chirończyków z Phoenixa. To nie jest blef, jak wielu sądzi. Howard traktuje to serio.

Sterm nie wyglądał na zaskoczonego. - By uniknąć tych konsekwencji wystarczy, że będą przestrzegać prawa.

- Wszyscy wiedzą, że nie będą. Oczywiście jest to sposób pozbycia się ich pod pozorem legalizmu. To słabo zamaskowana decyzja deportacji.

Sterm wzruszył ramionami. – A co cię obchodzi paru Chirończyków, którzy muszą gdzie indziej znaleźć mieszkanie? Mają całą planetę, w większej części pustą. Nie będą głodować.

Nie takiej odpowiedzi Celia oczekiwała. Zmarszczyła brwi na moment i sięgnęła po kieliszek. – Martwi mnie reakcja, którą to może wywołać. Dotychczas Chirończycy zgadzali się na wszystko. Ale nikt do tej pory nie próbował ich wyrzucać z własnych domów. Znamy przykłady, gdy nie wahali się reagować gwałtownie.

– To cię przeraża?

– Czy nie powinno?

– Raczej nie. Mając Chirończyków na zewnątrz, a wewnątrz w pełni wyposażoną armię, z poparciem statku na orbicie, Phoenix jest całkiem zdolny utrzymać ich tam, gdzie będą. Co mogą zrobić? Pozostawienie ich tam, gdzie są, byłoby moim zdaniem o wiele gorszym ryzykiem.

– Słusznie, od chwili, gdy już tam będą – zgodziła się Celia. – Ale ile będzie zabójstw zanim to nastąpi?

– I to cię niepokoi?

– No oczywiście.

– Naprawdę? – Jednym tylko słówkiem Sterm zdołał przekazać całą swą niewiarę. Jego ton sugerował, by Celia także zastanowiła się, czy wierzy w to, co mówi. – Słuchaj Celio, realia życia nie są obce żadnemu z nas. Możemy być ze sobą szczerzy, nie obawiając się urazić. Ludzie żyją, ludzie służą jakimś celom, paru mniej czy więcej nie robi różnicy. Więc powiedz mi, co naprawdę cię martwi?

Celia szybko zaczerpnęła oddechu, przetrzymała go na chwilę i nagle zwróciła twarz ku Stermowi. – Dobrze. Widziałam, co spotkało kaprala i Padawskiego. Chirończycy stosują odwet wobec każdego, kogo uważają za przyczynę wrogich działań skierowanych przeciw nim. Jeśli nastąpią wysiedlenia... to nie trudno domyśleć się, kto będzie najbliższym celem odwetu, prawda?

– Więc chcesz, abym wymusił odwołanie samozniszczenia Howarda.

– Jeśli tak to formułujesz...

– A dlaczego wyobrażasz sobie, że mógłbym to zrobić?

– Możesz z nim porozmawiać. Wiem, że bierze pod uwagę to, co mówisz. Dyskutowaliśmy różne sprawy.

– Rozumiem. – Sterm przyglądał się jej twarzy przez długi, jak się zdawało, czas. Wreszcie spytał dziwnie zaciekawionym tonem: – A gdybym to zrobił, co wtedy, Celio?

Celia nie potrafiła odpowiedzieć. Odpowiedź miała już gotową w myśli, ale skrytą w miejscu, do którego nie chciała docierać. Szybko potrząsnęła głową i zamiast tego zapytała: – Czemu mówisz to tak, jakbym prosiła cię o coś dziwnego?

– Chęć ocalenia męża nie byłaby bynajmniej dziwna, a raczej szlachetna... gdyby była prawdziwa? Czy jest prawdziwa?

Celia przełknęła ślinę, chciała okazać oburzenie, wywołane słowami Sterma i nie potrafiła. Odwróciła oczy. – Co pozwala ci sądzić, że tak nie jest? Czemu bym tu wówczas przyszła?

Sterm patrzył na nią nieruchomym wzrokiem. – By się ocalić.

– Uważam to za obraźliwe, ponadto nie na miejscu.

– Naprawdę? Czy raczej nie umiesz się jeszcze z tym pogodzić?

Celia zmusiła się, by jej głos brzmiał możliwie najchłodniej. – Nie lubię słuchać, że zajmuję się ratowaniem własnej skóry.

Sterm siedział nieporuszony, jakby się spodziewał takiej właśnie odpowiedzi. – Nie wspomniałem, że chcesz ratować się fizycznie. Podkreśliłem już, że oboje jesteśmy realistami, nie musisz więc uważać się za obowiązaną okazywać, że nie zrozumiałaś. – Zrobił przerwę, jakby chcą dać jej czas na odpowiedź, ale równocześnie okazywał, że jej nie oczekuje. Celia podniosła kieliszek do ust i poczuła, że jej ręka lekko drży.

– Marzenie się załamało, nieprawdaż, Celio? Ja o tym wiem, ty o tym wiesz i wie też część umysłu Howarda, gdzieś bardzo głęboko, resztę zaś ogarnęło szaleństwo. Spodziewałaś się, że będziesz dzielić panowanie nad światem, zamiast tego dzielisz celę z szaleńcem. Świat nadal jest jaki jest, ale ty się nie umiesz z tym pogodzić, Howard zaś jest niezdolny świat zmienić. – Sterm zrobił wyrazisty gest ręką. –

– Jestem zaszczycony i wyróżniony tą nominacją i przez okres mojej kadencji postaram się zrobić najlepszy użytek z moich możliwości w służbie najlepszych interesów ludu – zapowiedział. – Zgodnie z tą obietnicą moim pierwszym oficjalnym aktem jest przywrócenie dotychczas zawieszonych uprawnień Kongresu, drugim zaś zakończenie z tą chwilą stanu wyjątkowego. – Ponowne oklaski, tym razem krótsze, niż poprzednio, powitały jego oświadczenie. – Następnie mam dwa wnioski do przedłożenia pod głosowanie tego zgromadzenia – powiedział Lechat. – Ale zanim to zrobię, przeczuwam, że Najwyższy Dowódca Wojskowy Misji chciałby zabrać głos. – Usiadł, spojrzał z podwyższenia na Borfonteina i gestem wezwał generała, by przemówił jako następny.

Borfontein zdziwił się, zawahał na chwilę, po czym, zrozumiawszy czego chce Lechat, skinął głową. Podniósł się powoli i przez chwilę milczał, zbierając myśli.

– Jestem dumny, że uznano mnie za godnego dowodzenia oddziałami, których męstwa, zdecydowania i zdolności bojowych byliśmy wszyscy świadkami – powiedział. – Nie będę długo rozwodził się nad tym, co im zawdzięczamy, ponieważ słowa nigdy nie będą mogły wyrównać naszego długu. Wszyscy oni wywiązali się ze swych obowiązków w sposób wierny najlepszym tradycjom Służby, a wielu z nich z dzielnością daleko wykraczającą poza wymagania służby. – Przerwał, a jego twarz przybrała bardziej uroczysty wyraz. – Niemniej, chociaż nigdy nie będziemy mogli tego zapomnieć i nigdy nie zapomnimy, nasze zwrócenie się ku nowej rozumnej przyszłości, która jest przed nami nie pozwala na przedłużenie istnienia organizacji poświęconej sprawom należącym do świata, który wszyscy zostawiliśmy za sobą. Wobec tego cały skład osobowy sił zbrojnych zostaje niniejszym zwolniony z dalszych obowiązków wobec dowództwa wojskowego Misji, zdemobilizowany z najwyższymi honorami, dowództwo zaś zostaje bezzwłocznie rozwiązane.

Gdy Borfontein usiadł, sala pozostała milcząca. Dla wielu Ziemian była to chwila ostatecznego zrozumienia i rezygnacji; chociaż przyszłość była obiecująca i otwierała nowe perspektywy, czekały ich jednak równocześnie nowe i dziwne zmiany, do których trzeba się będzie dostosować, poświęcając wiele z tego, co tak dobrze było znane.

Lechat zostawił nieco czasu, by nastrój się rozproszył, po czym wstał ponownie. – Pierwszym wnioskiem, jaki składam jest, aby wszelkie roszczenia, prawa i ustawy wydane uprzednio w odniesieniu do Terytorium Phoenix zostały w całości odwołane, by proklamowanie tego Terytorium, jako należącego do jurysdykcji tego Kongresu zostało anulowane i by obszar dotychczas określany jako Phoenix został formalnie przywrócony pod każdym względem do swego stanu poprzedniego.

– Popieram wniosek – rozległ się natychmiast głos z sali.

– Kto za? – zapytał Lechat. Ręce wszystkich członków Kongresu uniosły się w górę. – Przeciw? – Nikt nie podniósł. – Wniosek został uchwalony – ogłosił Lechat. Phoenix oficjalnie znów stał się częścią Chirona.

Lechat powoli przesuwał spojrzenie po twarzach pełnych oczekiwania. Wszyscy wiedzieli, co ma nastąpić. – Moim drugim wnioskiem jest, aby ten Kongres, w pełni przywróconej mu władzy i powagi zadeklarował swoje trwałe i nieodwołane rozwiązanie. – Wniosek uchwalono jednomyślnie.

Wyprawa na podbój Chirona była zakończona.

Epilog

Z dzioba „Mayflower II" znikł lej chwytaka strumieniowego, a wraz z nim obudowa generatorów pola i bliźniacze słupy podtrzymujące. Na ich miejsce wyrosła nowa sekcja dziobowa, o kształcie zbliżonym do cylindra zakończonego kopułą, zawierająca dodatkowe hale promowe, stanowiska dla orbiterów i statków pomocniczych, ogromny kompleks rekreacyjny o niskiej grawitacji, który zawierał cylindryczny basen wioślarski i pływacki, oraz nowy ośrodek wyższych studiów technicznych i badań naukowych. Jeszcze większe zmiany nastąpiły na rufie, gdzie pierwotny napęd termojądrowy został wymieniony na odpowiednio powiększony system na antymaterię, rozwinięty z prototypu wypróbowanego z powodzeniem na „Kuan-yin".

Colman był głęboko zaangażowany w prace nad nowym systemem napędowym jako kierownik prac konstruktorskich w zespole pracującym pod kierunkiem Bernarda Fallowsa. Na statek zabrał Kath i ich czteroletniego syna Alexa, by byli wraz z nim obecni na uroczystości otwarcia, która miała się odbyć w głównej alei nowej sekcji dziobowej. Widać było też wiele twarzy sprzed pięciu lat. Przez ten czas niewielu z nich straciło kontakt, ale rzadko się zdarzało, by tak wielu z nich było w tym samym miejscu w tym samym czasie – z wyjątkiem ich dorocznych spotkań. Z tej okazji zgromadziła się większość kom-

promieniowania na zewnątrz kadłuba „Mayflower II" zostały spalone, a burza elektryczna przerwała na dwanaście godzin połączenia z powierzchnią.

Rozdział XXXIX

Wellesley stał przed fotelem Dyrektora Misji, pośrodku podwyższenia, patrząc na Salę Kongresową Centrum Rządowego „Mayflower II" i wygłaszył swoje końcowe przemówienie. Zrekapitulował w nim wydarzenia od chwili przybycia Misji do układu Alfy Centaura, omówił dłużej, czego się nauczono i jakie nastąpiło do tej pory przekształcenie umysłów, oddał hołd pamięci tych, którzy oddali życie za obronę tych nauk i szczegółowo opisał możliwości, jakie przyszłość otwierała przed wszystkimi na planecie, określając ich niedwuznacznie jako „Chirończyków", bez względu na różnice pochodzenia.

Posiedzenie było transmitowane na żywo na cały statek i planetarną sieć telekomunikacyjną, obecni zaś na sali stanowili największe ze zgromadzeń, jakie kiedykolwiek zasiadało w Hali Kongresowej.

Wszyscy nieobecni kogresmeni powrócili z tej okazji, a jedynymi nie zajętymi miejscami były: Zastępcy Dyrektora Misji, Dyrektora Łączności, Generała Dowodzącego Siłami Służby Specjalnej i dwóch innych, którzy podzielili los Sterma. Mając na czele Sirocca i zajmując niemal połowę wolnej przestrzeni przed ławami, była obecna w komplecie cała kompania „D" w paradnych mundurach, reprezentująca Armię. Bernard Fallows znów wystąpił w mundurze Szefa Inżynierii, na czele reprezentacji załogi, zgodziwszy się na prośbę admirała Slessora powrócić do służby na pół roku, by dopomóc w organizacji tymczasowej załogi uczniów z Ziemi i Chirona, dla których „Mayflower II" miał posłużyć jako uniwersytet wyższej astroinżynierii. Jean Fallows, Jay i Marie siedzieli wraz z Celią, Weroniką, Jerrym Pernakiem i Ewą Verritty w pierwszym rzędzie dla specjalnie zaproszonych gości, a wraz z nimi Kath i jej rodzina, siedząca obok Otto, Chestera, Leona i innych z bazy w Selene i skądinąd. Jakby dla podkreślenia i potwierdzenia tego, co Wellesley odmalował jako ich przyszłość, Ziemianie i Chirończycy nie dzielili się na grupy; było też obecnych wiele dzieci z obu planet.

Wellesly zakończył swe oficjalne przemówienie i przez chwilę stał, rozglądając się po sali, by atmosfera stała się nieco swobodniejsza. W ostatnich dniach jego twarz odzyskała nieco naturalnych kolorów, postawa stała się bardziej wyprostowana i swobodniejsza i wyglądał, jakby zrzucił z ramion ciężar wielu lat. Kąciki ust miał uniesione do góry, zaś siedzący w piewszych rzędach dostrzegli przelotny, niemal złośliwy błysk rozjaśniający jego oczy.

– A teraz zostaje mi ostatnie zadanie do wykonania – oświadczył. Znów przerwał, w sali zaś zapanował nastrój ciekawości i zainteresowania. Przeczuwano bowiem, że nastąpi coś niezwykłego. – Czy mogę przypomnieć temu zgromadzeniu, że ogłoszenie stanu wyjątkowego nigdy nie zostało odwołane i że wobec tego na zasadzie postanowień, którym formalnie nadal jesteśmy obowiązani się podporządkowywać, warunki stanu zagarożenia są ciągle w mocy, wraz z przynależnym do nich zawieszeniem Kongresu i przelaniem całości jego władzy na mnie. – Zdziwione miny powitały jego słowa i przez salę przebiegł szmer zaskoczenia. – Wakuje urząd Zastępcy Dyrektora Misji – przypomniał Wellesley. – W związku z tym, na mocy pełni uprawnień Kongresu, przelanych wyłącznie na mnie jako Dyrektora Misji, niniejszym proponuję, popieram i mianuję Paula Lechata Zastępcą Dyrektora, ze skutkiem natychmiastowym. – Zwrócił głowę i znad podwyższenia spojrzał w kierunku, gdzie siedział, z miną co najmniej oszołomioną, Lechat. – Gratuluję, Paul. Zechciej zająć miejsce, które ci się słusznie należy. – Pokazał ręką pusty fotel obok swojego.

Lechat wstał, obszedł dokoła ławy poselskie i usiadł na miejscu Zastępcy Dyrektora, ciągle potrząsając głową do pozostałych kongresmenów, jakby chciał im dać do zrozumienia, że jest nie mniej zmieszany postępowaniem Wellesleya, niż oni. Wellesley po raz ostatni powoli obiegł salę spojrzeniem. – Teraz zaś, na mocy tych samych uprawnień, równocześnie składam i przyjmuję własną rezygnację z funkcji Dyrektora, w związku z przejściem na emeryturę. Służenie wam wszystkim było dla mnie honorem i zaszczytem. Dziękuję. – Z tymi słowami zszedł z podwyższenia i skierował się na salę, by zająć wolne miejsce na końcu szeregu.

Gdy Lechat patrzył na dyrektorski fotel obok siebie i nadal kręcił głową zdumiony, na sali dały się słyszeć pierwsze pomruki aprobaty i od strony deputowanych zaczęły się zrywać pierwsze oklaski, gdy kolejno zaczęli sobie zdawać sprawę, co to wszystko oznaczało. Oklaski zmieniły się w owację, aż wreszcie Lechat, wyglądając trochę niezdarnie, lecz z szerokim uśmiechem rozjaśniającym twarz, wstał i przeszedł na miejsce przed fotelem Dyrektora Misji, które na mocy postanowień o stanie wyjątkowym stało się automatycznie jego miejscem. Tego życzył sobie Wellesley, nawet, jeśli czas kadencji Lechata miał być liczony tylko w minutach.

Lechat czekał, aż hałas trochę się uciszy, a jemu uda się dostatecznie opanować swe uczucia, by wytrzymać próbę postawy pełnej godności, właściwej dla danej chwili.

A przyszłość czeka na ciebie. – Znów przerwał, patrzył, jak Celia spuszcza oczy i skinął głową. – Tak, mógłbym przekonać Wellsleya, aby unieważnił rozkaz deportacji, albo spowodować, by Borfontein wzmocnił garnizon Phoenixa, otoczył twój dom „S"-manami, abyś nigdy nie musiała bać się o swe bezpieczeństwo. Ale czy chciałaś, abym to zrobił?

Celia spojrzała na kieliszek w dłoni i nerwowo zagryzła wargi. – Nie wiem – szepnęła z trudem, Sterm patrzył na nią obojętnie. Wreszcie potrząsnęła głową. – Nie.

Sterm milczał przez kilka sekund, aby Celia oswoiła się z własnym przyznaniem. Powiedział wreszcie: – Ponieważ staliby się oni strażnikami więzienia, w jakie Howard zmienia tę planetę. Jesteś tutaj, ponieważ wiesz, że ja w e z m ę planetę, która, jak sądził, odda mu się sama, bo ja mam siłę, której mu brak i ze mną możesz zachować życie. – Celia znów spojrzała na niego, lecz oczy Sterma patrzyły gdzieś w dal. – Chiron wystawił na błaznów tych słabych, którzy łudzili się, że będzie on grał według cywilizowanych prawideł, a teraz, gdy słabi upadli, droga jest otwarta dla tych, którzy wiedzą, że ziemskie prawa nie mają tu zastosowania. Przeżyją silni, a wola przetrwania nie liczy się ze skrupułami.

Oczy Celii rozszerzyły się. Wiele spraw nagle stało się jasne. – Ty... – Głos na chwilę uwiązł jej w gardle. – Ty wiedziałeś, co się zdarzy z Howardem, z Phoenixem... z wszystkim. Od początku ustawiałeś ich sobie wszystkich, nawet Welleseya. Wiedziałeś, co nastąpi po lądowaniu, ale potrafiłeś to.

Sterm popatrzył na nią i uśmiechnął się bez wesołości. – Nie mógłbym tego nazwać ustawianiem. Po prostu pozwalałem im posuwać się drogą, którą sami wybrali, tak jak ty wybrałaś swoją.

– Ale ty wiedziałeś, dokąd droga prowadzi.

– Gdybym ich ostrzegł, nie posłuchaliby. Trzeba było koniecznie pokazać, jak wszelkie rozwiązania alternatywne wobec siły są daremne. Teraz zrozumieją tak, jak ty zaczynasz rozumieć.

– Jak... jak możesz to usprawiedliwiać?

– Przed kim miałbym cokolwiek usprawiedliwiać? To jest ziemska zasada. Ja tworzę własne.

– Przed Kongresem, przed narodem.

Sterm parsknął. – Nie potrzebuję ich. Te same siły, które ujarzmią Chirona, ujarzmią też naród. – Jego oczy prześlizgnęły się po ciele Celii. – I oni się z tym pogodzą, bo mają, tak jak ty, instynkt samozachowawczy.

Celia patrzyła zafascynowana w jego oczy, które przez chwilę wyrażały chłodną, wyrachowaną bezwzględność, wolną od żalu, usprawiedliwień czy bodaj ich cienia. Przeszły ją zimne dreszcze. Ale poczuła równocześnie, że jej najgłębsze myśli i życzenia, do których nie chciała się przyznać, przebijają się na powierzchnię. Spojrzenie Sterma rzucało jej wyzwanie, aby zaprzeczyła czemukolwiek, co powiedział. Nie była nawet do tego zdolna.

Howard chciał posiadać ją na własność, ona zaś nie zgodziła się być własnością. Sterm nie chciał posiadać Chirona, lecz panować nad nim. Nie było miejsca na kompromis, interesowała go tylko bezwarunkowa kapitulacja i Celia wiedziała, że ratunek ofiaruje jej za tę cenę. Może nawet wiedziała o tym, zanim tu przyszła.

Jakby czytał jej myśli, Sterm zapytał: – Czy jadąc tutaj wiedziałaś, że pójdziesz ze mną do łóżka? – Mówił spokojnie i rzeczowo, nie starając się ukryć przekonania, że umowa, którą to miało symbolizować, już jest zawarta.

– Ja... nie wiem – wyjąkała w odpowiedzi, starając się nie pamiętać, że powiedziała Howardowi, iż wróci porannym promem i miała w torebce klucz do mieszkania Weroniki.

– Czy on spodziewa się, że wrócisz na noc? – zapytał ciekawie Sterm, choć Celia nie mogła ukryć uczucia, że on już zna odpowiedź. Potrząsnęła przecząco głową. – Gdzie rzekomo się znajdujesz?

– Z przyjaciółką w Baltimore – odpowiedziała z całkowitym poddaniem. Nie musiała tego robić, ale coś w niej samej do tego ją zmuszało. Wiedziała też, że tym sposobem Sterm zniewala ją do przyznania się do tego samej przed sobą. Warunki kapitulacji były już jasne.

– Nie ma więc powodu, aby niestosowny pośpiech obniżał jakość tego wieczoru – powiedział Sterm, pochylając się do przodu i swobodnym ruchem ujmując karafkę. – Odrobina czasu więcej ułatwia, niż dobry koniak. Czy zechcesz się jeszcze ze mną napić?

– Oczywiście – szepnęła Celia i podsunęła swój kieliszek.

Rozdział XXIX

– Zaopiekujemy się tym. – Colman odwrócił głowę i zawołał: – Stanislau, Young – chodźcie tutaj i pomóżcie mi z tą paką.

Stanislau i Young, z karabinami przewieszonymi przez plecy, wystąpili z oddziału stojącego na trotuarze i pomogli Colmanowi wepchnąć pakę do ciężarówki, oczekującej odjazdu do punktu granicznego. Chirończyk z kilkunastoletnim synem, którzy przedtem próbowali dać sobie radę z paką, przyglądali się im. Wepchnięta w głąb samochodu, zawadziła o brezent, odsłaniając leżący w otwartym pudle, obok różnych sprzętów domowych, wielkokalibrowy karabin. Chirończyk, zauważywszy to, spojrzał ciekawie na Colmana, Colman zarzucił brezent z powrotem na pudełko i odwrócił się.

Robot familijny, który też nie mógł poradzić sobie z paką, wdrapał się na tylną klapę wozu i przysiadł na niej, wymachując nogami. Żołnierze odprowadzili Chirończyka do wozu osobowego, w którym czekało dwoje młodszych dzieci z matką. Rozległ się ostry stuk od strony domu. Sirocco przybijał na nim zawiadomienie, że został skonfiskowany i stanowi obecnie własność państwową. Tłumek ze trzydziestu Ziemian, głównie młodzieży, przyglądał się temu posępnie z drugiej strony ulicy, pilnowany przez obojętny, ale czujny kordon „S"-manów w hełmach, z tarczami i pałkami. Tym razem wrogość Ziemian nie była skierowana przeciw Chirończykom.

Gdy Chirończyk z synem wsiadali do wozu osobowego, oczy siedzącej już w nim kobiety spotkały się na chwilę ze spojrzeniem Colmana. – Wiem wszystko – powiedziała przez okno. – Masz zajęcie, które musisz jeszcze przez chwilę wykonywać. Nie martw się. Skorzystamy z wakacji. A potem tu wrócimy. – Colmanowi udało się zdobyć na cień uśmiechu. W chwilę później ciężarówka ruszyła, z robotem siedzącym z tyłu, a za nią wóz osobowy. Dwie smutne twarze dziecięce widniały w tylnym oknie.

Od strony cywilnych Ziemian rozległy się gniewne pomruki. Colman starał się ich nie słyszeć. Ustawił oddział w szyku, Sirocco zaś zagłębił się w papiery, poszukując następnego domu na liście. Chirończycy wiedzieli, że odgrywanie się na żołnierzach nic im nie pomoże. Żołnierz, który mógłby być sprzymierzeńcem, stałby się wrogiem na widok kolegi rannego i krwawiącego, wynoszonego z tłumu. Wszystko, co robili Chirończycy, było obliczone na zmniejszanie liczby wrogów, a nie ich powiększanie i na zredukowanie ich przeciwników do twardogłowych w centrum, bo tylko z nimi walczyli. Colman był tego świadom, Sirocco był świadom i żołnierze również. Czemu więcej Ziemian tego nie dostrzegało?

Pomruki z przeciwległego chodnika zmieniły się nagle w kocią muzykę i szyderstwa. Towarzyszyły im wymachujące pięści i pałki, które nagle nie wiadomo skąd się pojawiły. Colman odwrócił się i ujrzał, jak czarna limuzyna, którą Kalens sprowadził z „Mayflower II", pojawiła się na skrzyżowaniu o jeden blok dalej i przystanęła przy grupie oficerów. Major Thorpe podszedł do niej. Colman widział sylwetkę Kalensa, mówiącego coś do majora z tylnego siedzenia. Ktoś rzucił kamieniem, który nie doleciał i potoczył się z nieszkodliwym stukiem. Poleciały następne i paru Ziemian groźnie posunęło się do przodu.

Dowódca „S"-manów cofnął swoich ludzi, by sformowali kordon blokujący skrzyżowanie, Sirocco zaś polecił swoim wziąć pałki i tarcze. Gdy żołnierze ustawili się w szyku defensywnym po jednej stronie ulicy, tłum runął po drugiej w stronę skrzyżowania, Sirocco krzyknął, by ich wyprzedzić i oddział pobiegł przed siebie, zderzając się z tłumem w połowie długości bloku.

Colman znalazł się przed wielkim mężczyzną, wymachującym kijem base-ballowym, z paskudnie skrzywioną twarzą, wyrażającą tylko szaleństwo, które owładnęło tłumem. Mężczyzna machnął kijem groźnie, lecz niezdarnie. Colman z łatwością odparł uderzenie tarczą i dźgnął go końcem pałki w odsłonięte okolice nerek. Napastnik odskoczył z wrzaskiem bólu. Krzyki, przekleństwa i odgłos zderzających się ciał dochodziły ze wszystkich stron. Coś twardego odbiło się od jego hełmu. Rzucili się na niego z dwóch stron dwaj młodzi ludzie, jeden wymachując pałką, drugi łańcuchem. Colman odskoczył tak, by obaj znaleźli się w jednej linii, zrobił fintę pałką, po czym pchnięciem tarczy z całej siły posłał jednego na zderzenie z drugim. Obaj zwalili się bezwładnie. Colman dostrzegł, że coś trafiło Younga w policzek, ale dwie wodzące się za bary postacie zasłoniły mu widok, a potem Young leżał już na ziemi. Tłusty młodzieniec zamachnął się na leżącego nogą. Colman zwalił go ciosem w głowę. Gdy mrożące krew w żyłach ryki i tupot biegnących stóp obwieściły przybycie „S"-manów, bezładny tłum znikł za rogiem i wszystko się skończyło.

– Uzbrojona i gotowa do natychmiastowego odpalenia – odpowiedział monotonnym głosem Stormbel. – Zaprogramowana na wybuch w powietrzu, dwa tysiące stóp nad celem, który osiągnie w ciągu trzynastu minut. Głowica dwadzieścia megaton, niewyłączalna i nierozbrajalna po odpaleniu.

– Wasza ostatnia szansa do zrewidowania stanowiska – powiedział Sterm, patrząc z ekranu.

– Nie mamy nic do rewidowania – odrzekł spokojnie Otto.

Twarz Sterma pociemniała, usta wygiął paskudny grymas. Cienka powłoka dobrych manier spadła z niego, oczy się rozszerzyły i przez moment, nawet z oddalonego miejsca gdzie siedział Bernard poczuł, że przenika w samą głąb umysłu pogrążonego w obłędzie. Mimo woli zadrżał. Siedząca obok Celia chwyciła go za ramię.

– Generale – rozkazał Sterm. – Odpalić rakietę za sześćdziesiąt sekund.

Stormbel dał znak komuś w głębi i ogłosił: – Sześćdziesięciosekundowe odliczanie wsteczne rozpoczęte.

– Odliczanie może zostać zatrzymane w każdej chwili – poinformował Sterm.

Wellesley, Borfontein i Lechat stali bezsilnie jak skamieniali na środku sali. – On to zrobi – szepnęła przerażona Celia do Bernarda.

Bernard potrząsnął głową w niemym proteście i odwrócił oczy do ekranu, na którym nadal widniała Kath. – Nie możecie na to pozwolić – powiedział błagalnie. – Tam w Selene są wasi ludzie. To dopiero pierwszy przykład. Później będzie gorzej.

– Nie zamierzamy pozwolić, by to nastąpiło – odrzekła Kath.

– Ale musicie. Cóż możecie zrobić, by to zatrzymać?

– Już sam w znacznej mierze do tego doszedłeś.

Bernard znowu potrząsnął głową. – Nie rozumiem, co mówisz. „Kuan-yin" nie może dać skutecznie ognia. Jest za horyzontem Modułu Bojowego.

– Tak czy inaczej nie mogłaby dać ognia – odpowiedziała Kath. – Jej przebudowa nie jest ukończona. Już żeśmy wam o tym mówili.

Bernard patrzył na nią w zamroczeniu. Nic się już nie zgadzało. – Ale... jej napęd na antymaterię... to przecież wasza broń, prawda?

– Nigdyśmy tego nie twierdzili – odrzekła Kath. – To wyście tak przypuszczali. A także Sterm. – Bernard patrzył na nią z otwartymi ustami, zaczynając pojmować ogrom znaczenia tego, co powiedziała. Wyraz twarzy Kath był poważny, ale w oczach miała leciutkie błyski wesołości. – Trudno byłoby nam zataić naszą pracę naukową – powiedziała. – Musiała tak wyglądać, jakby służyła jakiemuś uzasadnionemu celowi. Napęd na antymaterię wyglądał odpowiednio. Ale przebudowa „Kuan-yin" jest bardzo daleko na naszej liście priorytetów.

Bernard niedowierzająco otworzył oczy. – Ale jeśli „Kuan-yin" nie jest ukończona, skąd się wziął krater na Remusie?

– Dokładnie tak, jak odpowiedział Jeeves na pytanie Jaya – wypadek z magnetycznym systemem magazynowania antymaterii; słusznie więc zdecydowaliśmy składować ją bardzo daleko od Chirona. Trudno byłoby go ukrywać po tym, jak się wydarzył, był to więc jeszcze jeden powód dla którego potrzebna nam była „Kuan-yin".

– My... my nigdyśmy nie uwierzyli w tę historię – powiedział słabym głosem Bernard.

– A, to już wasza sprawa. Myśmy wam powiedzieli.

*

Dwieście tysięcy mil stamtąd, na dzikiej, poznaczonej kraterami powierzchni drugiego księżyca chirońskiego – Romulusa, dwie olbrzymie pokrywy, których zewnętrzne powierzchnie wyglądały identycznie, jak otaczający je teren, rozsunęły się z wolna, ukazując wylot dwustustopowej średnicy i dwumilowej głębokości szybu, wydrążonego w litej skale. Bateria pierścieni akceleracyjnych w komorach otaczająych dno szybu była już nabita gęstymi strumieniami antymaterii, krążącej niemal z szybkością światła.

Komputer synchronizujący wydał polecenia i pierścienie synchronizujące zaczęły się kolejno rozładowywać po stycznej, tworząc skoncentrowany promień natychmiastowej anihilacji, wybiegającej w przestrzeń kosmiczną przez gigantyczne zwoje odchylające, sterowane danymi napływającymi z chirońskich satelitów śledzących.

Promień przeciął przestrzeń w czasie niewiele dłuższym od jednej sekundy, do miejsca, w którym Moduł Bojowy stał na orbicie nad Chironem. Na niebie wybuchło miniaturowe nowe słońce, oświetlając nocną półkulę planety. Błysk promieniowania gamma zjonizował górne warstwy atmosfery i niebo nad Chironem rozjaśniły ciągnące się tysiącami mil błyskawice. Wszystkie czułe instrumenty pomiarów

admirale. Proszę spowodować, aby wszystkie okiennice zewnetrzne na górnych świetlikach zostały natychmiast zamknięte.
Slessor rozpoznał Bernarda jako jednego z byłych pracowników Merricka. - Dlaczego? - zapytał zdumiony. - Co pan tam robi... Fallows, o ile się nie mylę?
- Nie wiem dlaczego, ale to jest ważne... od Chirończyków.
Slessor jeszcze bardziej zmarszczył czoło. Zawahał się, myślał przez chwilę i wreszcie zgodził się. - Dobrze, każę to zrobić. - Znikł z kadru.
- To dziwna propozycja - powiedział Otto do Sterma. - Ofiarowuje pan obronę, ale jedyna obrona, której ktokolwiek by potrzebował, byłaby w pierwszym rzędzie przeciw panu. Bo przecież przed chwilą powiedział pan nam, że dysponuje całą bronią. Pana pojęcie logiki wydaje mi się dziwne.
Pierwszy raz przez twarz Sterma przeleciało coś na kształt gniewu. - Zalecałbym panu nie wykorzystywanie tej rozmowy jako okazji do demonstrowania swej pomysłowości - ostrzegł. Przerwał na chwilę, by ochłonąć. Następnie przemówił wolniej. - Ziemia rozdzierana jest na części, ponieważ nie udało się jej wydać silnego przywódcy, który by zmiażdżył - Sterm podniósł dłoń i ścisnął ją w pięść przed swą twarzą - rywalizacje i zazdrości, przez całą historię niweczące każdą szansę ujawnienia się całej potencjalnej wspaniałości kolektywnej jedności i mocy. Ziemia zawsze była w zamęcie, ponieważ odziedziczyła w spadku chaos na skalę globalną, przeciw któremu wysiłki najzdolniejszych nawet jej organizatorów były daremne. Czy takiej przyszłości pragniecie dla Chirona?... Tej planecie dotychczas udawało się uniknąć takiego losu, ale jej ludność będzie wzrastać. Ma ona szansę skorzystania z nauk Ziemi i zasiania ziarna silnego, zjednoczonego i niewzruszonego porządku teraz, zanim jeszcze zaraza rozbicia zakiełkuje i stanie się trująca. Te same siły, które rozpętały się na Ziemi, są oddalone tylko o dwa lata od Chirona w postaci przedniej straży Federacji Wschodnio-Azjatyckiej. Za dwa krótkie lata staniecie przed wyborem: albo poddania się dominacji tych, którzy zniewolą te planetę, albo przeciwstawienia się im zjednoczeni s i ł ą, która uczyni Chirona niezdobytym. Stoicie przed wyborem: słabość lub siła, służalczość albo godność, niewolnictwo albo wolność, upodlenie lub honor, hańba lub duma...
Spojrzenie Sterma zabłysło wizjonerskim światłem, zaczął szybciej oddychać. - Stworzę z tego świat potęgi, jakiej Ziemia nigdy nie osiągnie - niezdobytą fortecę, do której nawet cała flota statków FWA nie będzie śmiała się zbliżyć. Zbuduję dla was tu na Centauri najpierwsze imperium gwiezdne, jeden zjednoczony lud pod jednym wodzem... zjednoczony wolą, zjednoczony czynem i celem. Słabi nie będą już musieli walczyć ze słabymi o przeżycie. Słabych ochroni siła płynąca z tej jedności i dzięki jedności silni, którzy ich obronią, staną się niezwyciężeni. To... właśnie ofiarowuję, by stało się waszym udziałem.
- Czy ta obrona różni się czymkolwiek od dominacji przez FWA, która powinna nas niepokoić? - zapytał Chester.
Sterm był niezadowolony z odpowiedzi. - Zabezpieczenia waszej planety nie wolno mylić z zaspokajaniem ambicji podboju - odrzucił.
Otto potrząsnął głową. - Jeśli Ziemia rozdzierana jest na części, dzieje się to dlatego, że jej ludność pozwoliła sobie uwierzyć w takie same samospełniające się proroctwa, jak te, które pan nam proponuje przyjąć, panie Sterm. Ale my je odrzucamy. Nie potrzebujemy od pana większej obrony przeciw ludziom ze statku FWA, niż oni od swoich Stermów, by ich bronili przeciw nam. Tego rodzaju siła nie jest nam potrzebna. Jeśli sąsiedzi muszą fortyfikować swoje domy przed sąsiadami, czy to jest siła, czy paranoja? Musi się pan czuć bardzo niepewnie, chcąc ufortyfikować cały system gwiezdny.
Sterm zacisnął wargi w ponurą, zwróconą kątami w dół linię. - Dla FWA podbój jest dogmatem - powiedział. - Nie rozumie ona innego języka, jak język siły. Nie możecie mieć nadziei na stosunki z nimi na jakiejkolwiek innej podstawie.
- Wręcz przeciwnie, proszę pana, oni rozumieją ten sam język, którym ludzie wszędzie rozmawiają - powiedział Chester. - Będziemy postępować z nimi w taki sam sposób, jak już postąpiliśmy z wami.
- A co to ma właściwie znaczyć? - zapytał Sterm.
Otto uśmiechnął się niewesoło. - Niech pan spojrzy na tych szaleńców wokół siebie - zaproponował. - Co się stało ze wszystkimi ludźmi? Gdzie się podziała pańska armia? Wszyscy oni są już Chirończykami. I nie ma im pan nic do zaofiarowania, prócz obrony przed strachem, który by pan chciał sfabrykować w ich umysłach. Ale ich umysły są chirońskie. Widzą, że ten strach jest pana strachem, nie ich, i że to pan potrzebuje obrony, nie oni.
Twarz Sterma stężała. Widać było, jak zadrżał, siląc się opanować wściekłość. - Byłem skłonny do układów - wychrypiał. - Jest oczywiste, że nie zrozumieliście powagi naszych intencji. Doskonale, nie zostawiacie mi wyboru. Może więc potrzebna jest demonstracja, by was przekonać. - Zwrócił się do Stormbela: - Generale, proszę podać stan rakiety wycelowanej obecnie w chirońską stację naukową w północnej Selene.

Young miał na policzku ranę bardziej brzydką niż głęboką oraz ogromnego siniaka na szczęce; czterech demonstrantów mało guzy na głowie i inne drobniejsze uszkodzenia. Podczas gdy sanitariusz kompanijny opatrywał rany, a Sirocco opodal rozmawiał z dowódcą „S"-manów, Colman patrzył, jak limuzyna Kalensa oddala się i znika. Tak było zawsze - teraz już wiedział. Przez tysiące lat ludzie krwawili i umierali za to, by innych odwożono do ich pałaców. Poświęcali się, gdyż nie potrafili przeniknąć starannie utkanej zasłony, zaciemniającej prawdę - uwarunkowano ich tak, by nie byli zdolni przebić jej wzrokiem, a nawet pomyśleć o takiej możliwości. Ale Chirończyków nigdy tak nie tresowano.
Przewrotna logika, która zawsze tak go dziwiła, nie była cechą umysłów wojskowych; po prostu była jedyną, z jaką się dotychczas stykał. Przewrotność była produktem obłąkanego systemu, którego wojsko było tylko częścią, systemu, który toczył wojny, by bronić pokoju i zniewalał narody wyzwalając je; który podawał nienawiść i chęć odwetu za wolę wszechmiłującego Boga, a w umysły dzieci wciskał litanie do niego; który palił i torturował heretyków, głosząc wszechwybaczenie; uczynił grzech z miłości, a cnotę z morderstwa i wynosił do władzy szaleńców, wymagając od rządzących takich cech, których nie mógł mieć zdrowy umysł. Chirończycy nieubłaganie podnosili zasłonę i mnóstwo rzeczy stawało się jasne.
Kurtyna zaś, którą podnoszono, była także tłem dla sceny, na której tańczyły kukiełki. Gdy kurtyna znikła i znikły sznurki, którymi je poruszano, kukiełki tańczyły nadal. Kukiełki tańczyły bez sznurków, bo nie było sznurków. Nigdy nie było żadnych, z wyjątkiem tych, które kukiełki pozwoliły przywiązać do swych mózgów. Ale sznurki te podtrzymywały reżyserów, nie kukiełki, bo reżyserzy padali, a kukiełki tańczyły nadal.
I teraz Colman zrozumiał, co Chirończycy przez cały czas starali się wytłumaczyć.
Ale musiał tu zostać, podobnie jak Sirocco i 80 procent żołnierzy kompanii „D", znajdujących się jeszcze w Phoenixie. Kiedy odszedł Swyley, Driscoll i wielu innych, Sirocco zebrał pozostałych i przypomniał im o broni na „Mayflower II".
- Jeśli ludzie, którzy zaczynają teraz wypełzać z zakamarków, położą ręce na tej broni, może wyniknąć katastrofa, która będzie końcem cywilizacji na tej planecie. Widzieliście wszyscy co się dzieje na Ziemi. Ludzie tej samej mentalności są tutaj i zaczynają wpadać w panikę. Musimy utrzymać w armii siły dostateczne, by ich powstrzymać, jeśli zajdzie potrzeba. - I dlatego zostali.
Chirończycy będą patrzeć i czekać, aż pozostanie tylko nagi szaleńczy rdzeń, opuszczony przez swych obrońców. Na koniec zostaną tylko dwa gatunki: Chirończycy i Kalensowie. A Colman nie miał już żadnych wątpliwości, po której stronie się znajdzie.

*

W kancelarii kompanii „D" w bloku koszarowym Omara Bradleya Hanlon dopiął pas amunicyjny, nałożył hełm i wziął swoje M32 ze stojaka. Zbliżała się godzina 0200, czas na zmianę posterunków strzegących rezydencji Kalensa o ćwierć mili stamtąd. - No, już czas - powiedział do Sirocco, rozwalonego z nogami na biurku i Colmana wyciągniętego w kącie. Obaj mieli zapuchnięte oczy po długim i wyczerpującym dniu. - Postaram się krzyczeć cicho. Nie darowałbym sobie, gdybym zakłócił spokój Jaśnie Oświeconego, gdy śpi.
Sirocco uśmiechnął się z trudem. - Uważaj się za usprawiedliwionego, że nie zdejmujesz butów - mruknął.
- Czy nadal jesteśmy zaproszeni do Fallowsów wieczorem, Steve? - zapytał Colmana Hanlon, zatrzymując się na chwilę przy biurku.
Colman kiwnął głową. - Tak sądzę. Gdy skończysz służbę, będę spał. Zadzwoń do mnie.
- Zgoda. Do zobaczenia. - Hanlon wyszedł. Było słychać, jak szykuje oddział zmiany warty.
- O, tu jest jeszcze coś, co ci chciałem pokazać - powiedział Sirocco, zdejmując nogi z biurka i odwracając się do kompanelu. - Nadali dziś wczesnym wieczorem. Chcesz się pośmiać?
- Co? - spytał Colman.
Sirocco wystukał kilka rozkazów na klawiaturze i w sekundę później na ekranie ukazał się dokument. Colman wstał i podszedł, by go przeczytać, Sirocco zrobił mu miejsce. Było to pismo od Pomocnika Zastępcy Dyrektora Inżynierii, Leightona Merricka z „Mayflower II", przesłane z prośbą o opinię drogą służbową poprzez Szab Główny i Brygadę. Informowało, że w związku z niespodziewanie wysoką licz-

bą awansów wśród młodszych techników, Inżynieria obecnie była w stanie udzielić „ponownego należytego rozpatrzenia" wnioskowi, złożonemu przez sierżanta sztabowego Colmana. Czy armia zechce podać swą obecną ocenę wniosku? - Wygląda, że zabrakło im Indian - zauważył Sirocco. - Co sobie życzysz, bym odpowiedział?

- A jak myślisz? - odpowiedział Colman i wrócił na swój fotel. Sirocco niedbale wystukał „Negatywna" i wyłączył ekran.

- No to co będziesz robić? - spytał Sirocco, pakując nogi na biurko. - Czy już się zdecydowałeś?

- Och, mam na liście całą masę uczenia się - inżynieria ogólna, a szczególnie magnetohydrodynamika. Wtedy może zorientuje się, czy na pewien czas mogę się dostać do Port Norday. Później mógłbym się przenieść do tych nowych zakładów, o których opowiadają.

- Czy Kath ci to załatwi?

Colman kiwnął głową. - W każdym razie początek. Później, o ile się orientuję, wszystko zależy od tego, jak sobie dajesz radę. Wiesz jak tu jest. - Po chwili zapytał: - A co z tobą?

Sirocco w zamyśleniu kręcił wąsa. - Nie wiem, od czego zacząć. Wiesz, co bym chciał - włóczyć się i oglądać całą planetę. Łańcuch Bariery jest tak wysoki jak Himalaje, jest i Glace... Największy Kanion w Orianie... masa tego jest. Ale myślę, że trzeba robić coś pożytecznego, równocześnie podróżując dla przyjemności. Sądzę, że jest jeszcze do zorganizowania mnóstwo wypraw badawczych. Muszę spróbować skontaktować się z tym towarzystwem geograficznym, którym tak interesował się Swyley, zanim rozwiał się jak mgła z Driscollem. - Sirocco przez chwilę przyglądał się swoim nogom, jakby próbując się zdecydować, czy jeszcze coś powiedzieć. - No i oczywiście jest jeszcze Shirley - dodał niedbale.

- Shirley?... Mówisz o matce Ci?

Sirocco uniósł brwi w oczywiście udawanym zaskoczeniu. - Och, czyżbym ci nie mówił? To zadziwiające, jak wielu chirońskim kobietom zależy na Ziemianach, by... - zmarszczył czoło i podrapał się w nos, szukając właściwych słów. - ...pomagali w ich przyszłym przyczynieniu się do pomnażania ludności. - Spojrzał na Colmana. - Chce mieć ze mną dzieci. Co sądzisz, Steve? Słuchaj, założę się, że tak samo jest z Kath. - Chociaż swoim zachowaniem Sirocco starał się dać do zrozumienia, że sprawa jest błaha, nie potrafił ukryć radości. Nigdy w życiu coś takiego go nie spotkało i musiał się z kimś podzielić wiadomością. Colman łatwo to pojął, ale poszedł Sirocco na rękę.

- Ty cholerny cwaniaku! - zawołał. Od dawna to trwa? - Sirocco wzruszył ramionami i rozłożył ręce gestem, który mógł oznaczać wszystko. Colman wyszczerzył zęby. - No cóż, co tu można wiedzieć? W każdym razie - wiele szczęścia.

Sirocco znów kręcił wąsa. - A poza tym nie mogłem ci zostawić monopolu, prawda? - to znaczy monopolu na wszystkie dobre dziewczyny. - Patrzył na Colmana dziwnym wzrokiem, jakby chciał dowiedzieć się czegoś, o co nie chciał pytać.

- Co masz na myśli? - spytał Colman.

Sirocco nie odpowiedział od razu, wreszcie przegrał walkę wewnętrzną z własnym rozsądkiem. - Swyley uważał, że tam na statku rżnąłeś się z żoną Kalensa.

Colman zachował pokerową twarz. - Skąd on to wziął?

Sirocco machnął ręką na znak, że nie bierze odpowiedzialności za to, co będzie mówił. - Och, widział, jak z tobą rozmawiała, gdy stałeś na warcie honorowej przy tej wystawie z okazji Czwartego Lipca zeszłego roku. To jedno. Czy to pamiętasz?

Colman udawał, że z trudem sobie przypomina. - Taaak... Było coś takiego. Ale nie pamiętam, by Swyley przy tym był.

- Cóż, musiał tam gdzieś być, prawda?

- Możliwe. I co jeszcze?

Sirocco wzruszył ramionami. - No, Kalensowa zawsze pokazuje się z Weroniką, więc muszą być przyjaciółkami. Swyley zauważył coś dziwnego między tobą i Weroniką na tym przyjęciu, które wtedy wydała Shirley i powiązał jedno z drugim. - Sirocco znów wzruszył ramionami. - Wiem, że to oczywiście nie moja sprawa i nie chcę wiedzieć, czy to prawda, czy nie... - Zawiesił głos i przez chwilę patrzył z nadzieją na Colmana. - To prawda?

- Jesteśmy tego świadomi - odrzekł Otto.

- Musieliśmy spróbować - tłumaczył stojący obok Lechata Wellesley. - Nie mogliśmy podjąć ryzyka informowania was, że tego rodzaju ludzie przejęli kontrolę nad bronią. Tę decyzję podjąłem ja i nikt inny.

- Sądzę, że postąpiłbym tak samo - odparł Otto.

W tym momencie zawołał naczelnik telekomunikacji: - Mamy transmisję z Modułu Bojowego. - W jednej chwili w całym Centrum Telekomunikacji zapadła cisza, a na jednym z wielkich ekranów wysoko nad podłogą ukazały się postacie Sterma i Stormbela w otoczeniu wyższych oficerów ich dowództwa. Sterm był chłodny i opanowany, ale miał w oczach drwiący, triumfalny błysk; Stormbel stał na rozstawionych nogach i z rękami założonymi na piersi, głową podniesioną i twarzą bez wyrazu. Inni oficerowie patrzyli nieruchomo przed siebie. Po paru sekundach Wellesley, Lechat i Borfontein wyszli na środek sali i stanęli, spoglądając na ekran.

Twarz Celii, patrzącej na Sterma, zmieniła się w sztywną, bezkrwistą maskę. - Mamy czynny kanał z Modułu Bojowego - szepnął Bernard do Kath.

- Wiem - odpowiedziała. - Jest też połączony z Otto i Chesterem przez jeden z naszych satelitów przekaźnikowych. Jest to trójstronne połączenie.

- Niezła próba, Wellesley - odezwał się Sterm z wielkiego ekranu. - Mimo wszystko jestem zmuszony pochwalić cię za twą zaskakującą pomysłowość. Niestety jednak dla ciebie, obecnie widać, że było to daremne. - Odwrócił wzrok w kierunku poza kadrem, zapewne do displeju ukazującego Otto i Chestera. - I niestety także dla was. Dawno już wydedukowaliśmy, na czym polega tajemnica „Kuan-yin".

- Bernard - odezwała się spokojnie Kath z ekranu na konsoli.

Odwrócił się i spojrzał na nią. - Tak?

- Niektóre z segmentów „Mayflower II" mają świetliki dachowe z zewnętrznymi stalowymi okiennicami, prawda? - rzekła Kath.

Bernard zmarszczył czoło, nic nie pojmując. - Tak... Czemu?

Głos Kath pozostał przyciszony, ale przybrał ton nalegania. - Spowoduj, by wszystke zostały z całą pewnością zamknięte. Zrób to zaraz.

Zaskoczony Bernard potrząsnął głową i chciał pytać dalej. - Proszę to zrobić - przerwała mu Kath. - Może nie być wiele czasu.

Bernard gapił się na nią jeszcze przez chwilę, po czym skinął głową i spojrzał na siedzącego obok Celii teletechnika. - Czy możecie mnie stąd połączyć z amirałem Slessorem? - Operator potwierdził i pochylił się do konsoli, wystukując kod.

Ze środka sali zapytał Wellesley: - Czego chcesz?

- Dobrze - kiwnął głową z aprobatą Sterm. - Widzę tu skłonność do współpracy. - Zwrócił się w stronę Chirończyków: - Zakładam więc, że zaczynamy się rozumieć.

- Słuchamy - odpowiedział bezbarwnym głosem Otto.

- Być może będzie korzystne, jeśli streszczę obecnie istniejącą sytuację - zaproponował Sterm. - Dysponujemy kompletnym arsenałem strategicznym, którego potęgi nie muszę wam opisywać, a jedyna broń, zdolna się nam przeciwstawić, jest obecnie zneutralizowana. Z drugiej zaś strony nasza zdolność zaatakowania „Kuan-yin" jest nienaruszona i jestem pewien, że doszliście już do wniosku, że można ręczyć za jej zniszczenie. Trzymamy pod ostrzałem całą powierzchnię Chironu, „Mayflawer II" stał się bezbronny, a implikacje tych faktów są oczywiste.

Sterm przerwał na parę sekund, by sens jego słów dotarł w pełni do słuchaczy, następnie zrobił mały ruch dłońmi, jakby chciał podkreślić rozmówcom beznadziejność ich sytuacji. - Ale nie jest moim pragnieniem niszczyć cenne zasoby, z których zmarnowania nie odniósłby pożytku nikt z nas. Nie muszę prowadzić układów, ponieważ siła jest wyłącznie po mojej stronie, ale jestem skłonny się układać. W zamian za uznanie mego zwierzchnictwa i lojalność ofiarowuję wam opiekę tej siły. Jestem w mocy stawiania nieograniczonych żądań, ale zdecydowałem coś wam zaofiarować. Jak więc widzicie, moje warunki są wspaniałomyślne.

- Admirał Slessor - szepnął teletechnik do ucha Bernardowi. Bernard potwierdził ruchem głowy i pochylił się, by mówić po cichu do człowieka, który ukazał się na pomocniczym ekranie. - To jest pilne,

rozległ się w jego rufowej część, gdy jedna z ramp dostawczych, z których żadnej nie wciągnięto, najpierw się zgięła, a po tym załamała. Rampa pękła podłużnie na pół, na wysokości sekcji utrzymywanej pod normalnym ciśnieniem, wysypując w przestrzeń ludzi i sprzęt. Szczęśliwcy ubrani w skafandry mogli mieć nadzieję, że zostaną namierzeni według sygnałów alarmowych z ich nadajników. Pozostałym nie starczyło czasu, by mieć nadzieję, nim ich ciała eksplodowały. – Gdy wrócimy, będzie to całkiem inna historia – powiedział Sterm do swej świty na Mostku, gdy zapalił główny silnik Modułu i dał się odczuć skok do przodu. – Ale przede wszystkim musimy się załatwić z naszymi chirońskimi... przyjaciółmi. Jakie wiadomości o „Kuan-yin?"

– Nie zaczęła się jeszcze przygotowywać do odpowiedzi – odrzekł Strombel po raz pierwszy od wielu godzin z ulgą w głosie. – Może mimo wszystko udało nam się ich zaskoczyć. – Rzucił okiem na cyfry na displeju orbity i projekcji kursowej.

Sterm wolno pokiwał głową z satysfakcją. – Znakomicie. Myślę, dżentelmeni, iż zgodzicie się, że uzyskaliśmy niewzruszoną pozycję przetargową.

*

W Centrum Telekomunikacji „Mayflower II" Borfontein, Wellesley i inni koordynatorzy działań na całym statku i na powierzchni planety przyglądali się i patrzyli w napięciu na pandemonium widoczne na ekranach dokoła. Sylwetki w skafandrach wylatywały po spirali z potrzaskanych resztek jednej z ramp dostawczych i z otwartych na końcach trzech pozostałych wnętrz kopuł; wszystkie nosiły ślady walki, a jedna była częściowo wysadzona w powietrze. Wysypywały się z nich we wszystkich kierunakch części uzbrojenia, wyposażenia i różne szczątki. Wszędzie wisieli żołnierze w skafandrach, beznadziejnie zaplątani w zwoje lin ratowniczych.

– Każ startować wszystkim transporterom osobowym, pojazdom technicznym, promom i w ogóle wszystkiemu, co może latać – warknął Borfontein do jednego z oficerów. – Weź je z Vandenberg i stąd, gdziekolwiek są. Żądam, by ci ludzie zostali uratowani co do jednego. Peterson, powiedz admirałowi Slessorowi, by wszystkie promy powierzchniowe zostały postawione w gotowość startową na wypadek, gdybyśmy musieli ewakuować statek. I dowiedz się, ile ich jeszcze możemy dostać z Canaveral.

– Wiceadmirał Crayford zgłasza się z Vandenberg, sir – zawołano.

– Chirończycy na ósmym kanale domagają się sprawozdania, sir.

– Major Lesley zgłasza się z dziobu, sir.

– Moduł Bojowy utrzymuje szybkość i kurs i wkrótce skryje się za horyzotem „Kuan-yin".

Niedaleko od Borfonteina Wellesley i Lechat rozmawiali przez wielki ekran z Chirończykami Otto i Chesterem. Za nimi, przy konsoli jednego z monitorów Centrum, Bernard, Celia i jeden z teletechników śledzili dwa mniejsze ekrany. Jeden ukazywał twarz Kath, drugi widok zamieszania panującego wewnątrz tego, co zostało z kopuły rampy dostawczej.

Na tym drugim Hanlon, w skafandrze z czarnymi plamami spalenizny, uczepiony na pierwszym planie do resztek konstrukcji stalowej, powyginanej i wystającej w pustą przestrzeń, ciągnął wolną ręką dwie splątane liny. Za nim żołnierze wciągali do potrzaskanej kopuły jakieś postacie i pomagli im wdrapać się do wejścia rampy dostawczej. – Myślę, że teraz to jest ten, o którego chodzi – rozległ się głos Hanlona z głośnika koło ekranu. – A, tak... trochę zużyty, ale niedługo będzie, jak nowy. – Szarpnął liny po raz ostatni i na obrazie ukazała się druga postać. Bernard i Celia westchnęli z ulgą, rozpoznawszy pod wizjerem w hełmie skafandra, rysy Colmana, zlanego potem, ale nie pokaleczonego. Colman przywarł do innej części konstrukcji, na której siedział Hanlon, odczepił swą linkę bezpieczeństwa i odplątał od innej, po czym pomógł Hanlonowi ciągnąć ją. Ukazała się druga postać w skafandrze, tym razem do góry nogami, z pucołowatą, zatroskaną twarzą, której jakimś cudem udało się utrzymać przekrzywione skośnie na nosie okulary z grubymi szkłami.

– Hanlon go ma – powiedział Bernard do ekranu Kath. – Wygląda, że z nim wszystko w porządku. Mają też Swyleya. Też wygląda okay.

Kath z wdzięcznością zamknęła na chwilę oczy, natępnie odwróciła się do Weroniki, Adama, Caseya i Barbary, którzy byli poza polem widzenia. – Znaleźli Steve'a. Nic mu nie jest.

Z tyłu za Bernardem i Celią Lechat rozmawiał z Otto. – Wszystkie bronie strategiczne są w Module. Reszta statku nie stanowi żadnej groźby.

– Czy sądzisz, że gdyby tak było, powiedziałbym prawdę? – spytał Colman.

– Nie przypuszczam – zgodził się Sirocco, wypuszczając z rozczarowaniem powietrze z płuc. Po sekundzie rzucił sierżantowi bystre spojrzenie. – Opowiesz mi, gdy się to wszystko skończy, okay?

Colman uśmiechnął się. – Okay, szefie. Opowiem. – Milczeli przez chwilę, myśląc o tym samym. – Jak sądzisz – długo to potrwa? – spytał Colman.

– Kto wie? – odparł Sirocco poważniejszym tonem. – Po tym, co widzieliśmy dziś, nie zdziwiłbym się, gdyby na koniec rzuciły się na niego obie strony.

– Dużo ludzi zaczyna przypuszczać, że to on kazał podłożyć te bomby. Co o tym sądzisz?

Sirocco zmarszczył czoło i potarł nos. – Nie jestem przekonany. Nie mogę się powstrzymać od wrażenia, że został przez kogoś ustawiony jako frajer do bicia i ten ktoś jeszcze się nie ujawnił. Zdaje się, że Chirończycy też tak uważają.

Colman pokiwał w zamyśleniu głową, uznając to za możliwe. – Domyślasz się?

Sirocco wzruszył ramionami. – Jestem prawie pewien, że to nie Wellesley. Chciał grać uczciwie, a to wszystko jest jak na niego grubo za sprytne. Poza tym cóż by na tym zyskał? Chce tylko, aby mu spokojnie pozwolono odejść na zieloną trawkę, ma do tego jeszcze parę dni. Na pewno Ramisson ani Lechat nie byliby zamieszani w coś podobnego. Ale cała reszta to obłąkańcy. Może ktokolwiek albo wszyscy razem. Ale to na tych właśnie polują Chirończycy.

– Więc to może potrwać – orzekł Colman.

– Może. Kto wie? Miejmy nadzieję tylko, że w wojsku nie ma wielu takich.

W tym momencie z kompanela rozległy się ostre dźwięki alarmu. Sirocco skoczył na nogi, wyłączył alarm i włączył ekran. Był to Hanlon, cały napięty.

– Stało się – powiedział. – Kalens nie żyje. Znaleźliśmy go w mieszkaniu zastrzelonego. Sześć strzałów. Ktokolwiek to zrobił, wiedział co robi.

– Posterunki? – spytał krótko Sirocco.

– Emerson i Crealey stali na tyłach domu. Znaleźliśmy ich nieprzytomnych w rowie. Musiano ich zaskoczyć od tyłu, ale nie ma pewności, bo jeszcze nie doszli do siebie. Ale wygląda, że nic im nie będzie. Inni nic nie słyszeli.

Colman przysłuchiwał się ponuro. – Co z jego żoną? – mruknął do Sirocca.

– Co z żoną Kalensa? – powtórzył Sirocco do Hanlona.

– Nie ma jej tu. Sprawdzaliśmy w transporcie, była zabukowana na prom do statku kosmicznego wczesnym wieczorem. Musiała odlecieć przed wypadkiem. – Colman stojący obok Sirocca głośno odetchnął z ulgą.

– No, to już jest coś – rzekł Sirocco. – Zostań tam, Bret i nie pozwól nikomu niczego dotykać. Zaraz połączę się z Brygadą. Za parę minut będzie tam więcej ludzi. – Zwrócił się do Colmana: – Podnieś z łóżek dwie sekcje, jedną w pełnym oporządzeniu, drugą w pogotowiu. Zaraz wyślij karetkę z załogą po Emersona i Crealeya. – Hanlon znikł z ekranu, Sirocco wystukał wezwanie do Brygady. – Wygląda, że frajer został już utłuczony, Steve – mruknął, podczas gdy Colman na drugim ekranie wywoływał dyspozytora karetek. – Zobaczymy, kto teraz wystąpi zza kulis.

Rozdział XXX

Napięcie rosnące od chwili, gdy osiągnęli planetę i szok ostatnich nowin, wyraźnie odbijały się na twarzy Wellesleya, gdy powstał, by przemówić do oszołomionych członków Kongresu „Mayflower II", zwołanego w parę godzin później. Wyglądał na cień człowieka, którym był, a zgromadzenie na szkielet ciała ustawodawczego, które zebrało się w dniu, gdy dumny statek osiadł na orbicie u celu swej heroicznej podróży. Niektórzy, jak na przykład Marcia Quarrey, znikli bez ostrzeżenia w ostatnich tygodniach, bo wszechobecny wpływ Chirona dalej zbierał swe żniwo; kilku na dole nie zdążyło przylecieć z powierzchni. Niemniej, nawet na nagłe wezwanie, udało się Wellesleyowi zebrać kworum. Powiedział im o swych zamiarach, rozległo się kilka głosów protestu i sprzeciwu i teraz prawodawcy czekali na ogłoszenie decyzji, która dla większości z nich była już przesądzonym z góry zamknięciem sprawy.

– Wysłuchałem i przemyślałem sobie sprzeciw, ale sądzę, że punkt widzenia większości z nas stał się

zupełnie jasny – powiedział Wellesley. – Linia polityczna, którą usiłowaliśmy przeprowadzić, nie tylko nie osiągnęła swych celów i okazała się niezdolną do ich osiągnięcia, ale doprowadziła do czynu, który wszyscy musimy uznać za pierwszą manifestację groźby, skierowanej przeciw nam wszystkim jako potencjalnym przyszłym jej obiektom. Doprowadziła także do alienacji naszej własnej ludności do stopnia, w którym wielu sympatyzuje z tymi, od których groźba wyszła. Jakikolwiek rząd, usiłujący kontynuować tę linię, będzie rządem tylko z nazwy. Przeżywamy kryzys, który zagraża dalszemu trwaniu integralności całej Misji i stało się dla mnie oczywiste, że nasze trudności mogą być tylko pogłębione przez przedłużający się podział władzy. Ponieważ zaś odpowiedzialność nie może być delegowana, ja jeden jestem odpowiedzialny za wszelkie konsekwencje mojej decyzji. – Przerwał na chwilę, by rozejrzeć się po sali, i wziął głęboki oddech. – Na mocy udzielonych mi jako Dyrektorowi Misji uprawnień, ogłaszam istnienie stanu zagrożenia. Działalność Kongresu zostaje z tą chwilą zawieszona na okres trwania zagrożenia i na mocy tego oświadczenia przejmuję całość uprawnień, dotychczas przynależnych Kongresowi, z wyjątkami jakie uznam za stosowne podczas okresu zagrożenia. – Po krótkiej pauzie dodał mniej oficjalnym tonem: – I proszę was wszystkich o współdziałanie, aby okres ten był tak krótki, jak tylko możliwe.

Choć wszyscy spodziewali się tego obwieszczenia, na sali rosło napięcie w miarę, jak trwało oczekiwanie na słowa potwierdzenia. Teraz, gdy już zostały wypowiedziane, napięcie rozładowało się w fali pomruków, którym towarzyszył szelest papierów i skrzyp krzeseł, w miarę jak ciała siedzących na nich przyjmowały wygodniejsze pozycje.

A wtedy rozległ się zza głównego wejścia coraz głośniejszy tupot maszerujących nóg. Sekundę później drzwi otwarły się z trzaskiem i generał Stormbel wkroczył na czele grupy oficerów, poprzedzających oddział „S"-manów. Żołnierze błyskawicznie rozbiegli się, blokując wszystkie wyjścia, zaś Stormbel z oficerami przemaszerowali przejściem między ławami poselskimi do środka sali, gdzie zwrócili się twarzami do Kongresu, przed którym ciągle stał Wellesley. Borfontein zerwał się na nogi, ale pohamował się na widok pistoletu, który skierował nań jeden z pułkowników służby. Opadł na siedzenie z osłupiałą miną.

Stormbel był niski, krępy i kompletnie łysy, z wodnistymi oczami i kamiennym wyrazem twarzy. Nad górną wargą nosił cienki wąsik. Oparł ręce na biodrach i przez parę chwil przyglądał się oniemiałym twarzom przed sobą. – Kongres zostaje rozwiązany – oświadczył wysokim, cienkim i przenikliwym głosem. – Misja przechodzi pod bezpośrednią komendę Sił Zbrojnych. – Zwrócił głowę do Borfonteina. – Jest pan zwolniony z dowództwa zarówno oddziałów regularnych, jak sił Służby Specjalnej. Te funkcje przechodzą na mnie.

– Na czyj... – zaczął Wellesley drżącym głosem, ale inny, głośny i zdecydowany, przerwał mu.

– Z m o j e g o polecenia. – Matthew Sterm wstał z miejsca i wyszedł na środek, rzucając zgromadzonym wyzywające spojrzenie. – Ta paplanina trwała zbyt długo. Dość już czasu stracono na tego rodzaju głupstwa. Udacie się teraz wszyscy pod eskortą do wyznaczonych wam kwater i pozostaniecie w nich, aż do dalszych poleceń. My mamy sprawy do załatwienia. – Kiwnął głową na Stormbela, który dał znak posterunkom. – Chciałbym, aby pozostał admirał Slessor dla przedyskutowania spraw związanych z dalszą pomyślnością statku.

Gdy żołnierze poruszali się, a członkowie Kongresu siedzieli sparaliżowani w milczeniu, podniósł się z ław Ramisson i wyszedł na środek, zatrzymując się naprzeciw Sterma. – Nie ustąpię przed tego rodzaju zastraszaniem – powiedział przez ściśnięte gardło. – Zabierz swoich ludzi sprzed drzwi. – Z tymi słowami odwrócił się i zaczął iść ku głównemu wyjściu w głębi.

Strombel wyciągnął pistolet i wycelował go w plecy Ramissona. – Ostrzegam jeden raz – zawołał. Ramisson szedł dalej, Stormbel strzelił. Ramisson potknął się w akompaniamencie głosów przerażenia i nagle przewrócił na bok z jękiem. Stormbel spokojnie włożył pistolet do kabury, a potem podniósł rękę, przyzywając żołnierzy. – Usuńcie tego człowieka i postarajcie się, by miał opiekę lekarską.

Dwaj „S"-mani zbliżyli się, chwycili Ramissona pod pachy, mocno, ale bez zbędnej brutalności i ponieśli przed siebie. Dwaj inni otworzyli przed nimi drzwi, zamknęli i powrócili na swe miejsca.

– Czy ktoś jeszcze się sprzeciwia? – zapytał Sterm. Za jego plecami Wellesley, pobladły i wyczerpany, opadł bezwładnie na fotel.

Obrońcy nałożyli skafandry, rozhermetyzowali przedziały przyległe do wrót i zamknęli grodzie do wewnętrznych części Modułu. Ze stanowiska obserwacyjnego za pancerną szybą pokoju sterowania śluzą, wychodzącą na wrota, kapitan widział pierwszą ze zdalnie sterowanych armat automatycznych, toczącą się z wnętrza.

– Pośpieszcie się z tymi SAA – wrzasnął do mikrofonu wewnątrz hełmu. – Sekcja Żółta zająć pozycję obronną. Zielona i Czerwona przygotować się do wycofania do śluz w grodziach podłużnych.

– Musisz się trzymać do ostatniego człowieka – odezwał się z jednego z ekranów kontrolnych pułkownik Oordsen, który śledził rozwój wydarzeń z Mostku. – Jesteśmy prawie gotowi do odcumowania Modułu.

– Będziemy, jeśli tak trzeba, sir – zapewnił go kapitan. Nagle cała konstrukcja śluzy eksplodowała do środka, trafiona salwą rakiet przeciwpancernych z kruszącymi głowicami wybuchowymi. Chociaż nie było tam powietrza przewodzącego dźwięk, zatrzęsły się ściany i podłogi. Kilku obrońców zostało pogrzebanych pod rumowiskiem, jeszcze więcej padło od salwy granatów odłamkowych, wystrzelonych w sekundę później przez dziurę, gdzie przed chwilą była śluza. Pozostali otworzyli ogień do posuwających się naprzód przez szczątki zewnętrznej kopuły sylwetek w skafandrach. Jedna SAA stanęła sztorcem i zaplątała się w resztkach bramy śluzowej. Druga manewrowała, próbując ją okrążyć. – Sekcja Czerwona, wycofać się na drugą linię obrony – ryknął kapitan.

Kolejna salwa rakiet wleciała do środka i wybuchła na ścianach i konstrukcjach w głębi komory śluzowej, zmiatając polowe oddziału, który właśnie zaczął się wycofywać. Pozostali przy życiu, zataczając się wśród szczątków, zaczęli osuwać się i padać pod gradem pocisków eksplodujących i skoncentrowanym ogniem z M32 i działek okopowych piechoty. To, co zostało z formacji obronnej, załamało się i rzuciło do bezładnej ucieczki. – Wyprowadzić wszystkich! Wycofać się do... – Szyba pancerna rozprysła się pod bezpośrednim trafieniem i do środka błyskawicznie wleciała zdalnie sterowana bomba z pięciusetfuntową głowicą zapalającą, kładąc kres jakiegokolwiek oporu w rejonie Rufowych Wrót Wejściowych Numer 2.

Pułkownik Oordsen na Mostku w Module Bojowym odwrócił twarz od ekranu, który właśnie przed nim zgasł. Na sąsiednim inny oficer „S" składał meldunek sytuacyjny z wewnętrznej pozycji obronnej przy grodzi podłużnej. – Rufowe Numer Dwa nie istnieją – powiedział Oordsen Stermowi, przyglądającemu się z zaciętą twarzą. – Za parę minut będą tu w środku.

– Ile do przejścia „Kuan-yin" za tarczę? – zapytał Sterm, patrząc na Stormbela, kierującego operacją odcumowania. Miał zamiar wykorzystać „Mayflower II", póki nie zostanie rozpoczęty atak. Ale niespodziewana utrata reszty statku, w połączeniu ze zdradzieckim przejściem Lesleya na stronę nieprzyjaciela i wdarcie się oddziałów szturmowych do wnętrza Modułu Bojowego, zmusiły go do zmiany kolejności działań. Nie miałoby sensu niszczenie „Kuan-yin", gdyby równocześnie miał stracić Moduł.

– Osiem minut – odpowiedział Stormbel. – Ale jej misa odrzutowa nadal nie jest na nas skierowana. Jesteśmy już gotowi do odcumowania.

– Czy jesteś pewien, że możemy bezpiecznie dotrzeć do ukrycia za Chironem?

– „Kuan-yin" nie będzie zdolna do natychmiastowego manewru – odpowiedział Stormbel. – Dając maksymalne przyśpieszenie natychmiast po odcumowaniu dla wyprzedzenia „Mayflower II", będziemy za planetą na długo, nim „Kuan-yin" będzie w stanie wycelować. A po tym możemy wejść na trwałą orbitę przeciwległą po średnicy.

– Wrota Dziobowe Numer Jeden poddały się – powiedział zduszonym głosem Oordsen po odebraniu kolejnego meldunku. – Ogień w tym rejonie ustał. Nickolson wyprowadza swych ludzi na zewnątrz, z rezerwą włącznie. Nie mamy wyboru.

Stermowi zapłonęły oczy. – Żądam prowadzenia dokładnego rejestru wszystkich oficerów, którzy zdezerterowali – przypomniał Stormbelowi. – Tych w Centrum Rządowym, tego w Vandenberg, Lesleya, tego tutaj – wszystkich. – Mówił głosem spokojnym i lodowatym, ale dlatego jeszcze groźniejszym. – Odpowiedzą za to, gdy nadejdzie czas. Generale, odczepić Moduł Bojowy natychmiast i przystąpić do operacji zgodnie z planem.

Stormbel przekazał rozkaz i gdy odpaliły silniki pomocnicze, Moduł Bojowy zaczął wyślizgiwać się z uchwytu słupów podtrzymujących. Zgrzyt poskręcanej stali, szorującej po zewnętrznej części kadłuba,

bo była nazbyt oczywista. Wszyscy byli tak pogrążeni w rozważaniach, jak przeszkodzić Stermowi w przedostaniu się do Modułu Bojowego, że nikt nie wziął pod uwagę oczywistej możliwości, że on już się tam znajduje.

– Co ma być celem ataku rakietowego? – zapytał ochryple Colman.

– Nie wiem – odpowiedział Brad. – Nie byłem informowany z najwyższego szczebla. Ale to mają być rakiety zasięgu powyżej średniego i z jakichś powodów atak ma być zsynchronizowany z okresem obiegu orbitalnego statku.

Colman jęknął. Celem mogła być tylko „Kuan-yin". Jeśli atak się uda, Sterm będzie posiadał jedyne pozostałe na planecie bronie strategiczne, a więc w sytuacji pozwalającej dyktować warunki, jakie zechce. Jeśli zaś się nie uda, Sterm i jego ostatnia garstka zabiorą ze sobą „Mayflower II", gdy zza tarczy Chirona wzejdzie „Kuan-yin", by dokonać odwetu. Przed śluzą pierwszy wóz wyładowany wojskiem w bojowych skafandrach kosmicznych odjechał i znikł w tunelu, z którego wyszli Brad i jego grupa.

– Macie minę, jakbyście coś o tym wiedzieli – powiedział do Colmana Lesley. – Czy tam w dole na powierzchni jest coś, czego nie podano do wiadomości publicznej?

– Nie... – Colman niechętnie potrząsnął głową. – Zbyt tego wiele, by teraz opowiadać. Niech...

Przerwał mu sierżant „S", stojący za plecami Lesleya. – Już są, sir. Transportery przejeżdżają przez śluzę. – Obejrzeli się i ujrzeli pierwsze wozy wyładowane żołnierzami, wielu z nich w skafandrach i z bronią w rękach. Wagony zwalniały między wrotami śluzy i na znaki dawane rękami znów przyśpieszały bez zatrzymania. Za nimi nadjeżdżały dalsze, ich pasażerowie wyglądali groźnie i zdecydowanie. Lesley rozkazał, by kierowano je przez pozostałe trzy rampy dostawcze aż do wszystkich czterech wejść do Modułu Bojowego.

Komunikator Colmana zabrzęczał. Wzywał Bernard Fallows z Centrum Telekomunikacji. – Rozumiem, że wam się udało – powiedział. – Ale to nie koniec. Dowiedzieliśmy się, gdzie jest Sterm.

– Ja też – odrzekł Colman. – I jest gorzej, nie myśleliśmy. W tej chwili przygotowuje atak rakietowy. Celem ma być „Kuan-yin".

Bernard ponuro kiwnął głową, ale jego mina nie wyrażała strachu, którego można było oczekiwać. Było jasne, że już niemal spodziewał się takiej wiadomości. – Borfontein sprawdzał tę ewentualność – powiedział. – Mamy jeszcze czterdzieści minut, zanim „Kuan-yin" zajdzie za planetę. Sterm wcześniej nie odpali rakiet.

– Czy Chirończycy pozwolą mu tak długo czekać? – spytał Colman. – Czy wiedzą, gdzie on jest i co to oznacza?

Bernard potrząsnął głową. – Nie. Jesteśmy z nimi w kontakcie, ale Wellesley postawił veto co do wszelkich informacji na ten temat. – Colman kiwnął głową. On też by nie ryzykował możliwości ich sprowokowania do wcześniejszego otwarcia ognia. – Wellesley próbował skontaktować się także z Modułem Bojowym – kontynuował Bernard – ale Sterm nie chciał rozmawiać. Doszliśmy do wniosku, że będzie trzymał Moduł połączony ze statkiem, aż do ukończenia ataku – innymi słowy, jeśli mu się nie uda i zostanie zniszczony, my też będziemy zniszczeni. I tak samo będzie, jeśli Chirończycy zdecydują się nacisnąć guzik. Trzeba zakładać, że Sterm rozpoczął czterdziestominutowe odliczanie wsteczne. Są tam już w drodze Hanlon i Armley, a Sirocco wyruszył parę minut temu. Borfontein wysyła do was wszystkie siły, jakie udaje mu się skądkolwiek wyskrobać. Jakie są szanse?

Przez śluzę prześlizgnął się transporter pełen piechoty w skafandrach bojowych, trzymającej wyrzutnie rakiet przeciwpancernych i materiały minerskie i pomknął po torach, prowadzących do jednej z dziobowych ramp Modułu Bojowego. – Mamy w rękach na całej długości jedną z ramp dostawczych i wchodzimy do pozostałych – odrzekł Colman. – W Module Bojowym było starcie i masa chłopaków wydostała się na zewnątrz. Miejmy nadzieję, że nie zostało ich tylu w środku, by nam mogli przeszkodzić w wysadzeniu wszystkich czterech wejść naraz. Powiedz tylko Borfonteinowi, by przysłał nam całą ciężką broń jaką znajdzie i to jak najszybciej.

Rozdział XXXVIII

Kapitan „S" dowodzący obroną Wrót Wejściowych Numer Dwa w Module Bojowym cofnął swą wysuniętą sekcję od śluzy, gdy środek drzwi wewnętrznych zaczął się rozpalać do wiśniowej czerwieni.

– Skończcie z tym – powiedział ponuro Borfontein. – Na ilu z wojska liczycie, że pójdą z wami?

Stormbel obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. – Ale ile t w o j e g o wojska ci zostało? – zapytał. – Niemal całe jest na powierzchni, a oficerowie dowodzący kluczowymi jednostkami są już z nami. Poza tym my mamy statek, a to najważniejsze.

– W tej chwili – dodał Sterm. – Reszta przyjdzie później.

Borfontein oblizał wargi, myśląc gorączkowo. Gdy Stormbel miał już powtórzyć rozkaz opróżnienia sali, Borfontein spojrzał na Sterma, przymknął oczy na chwilę, po czym podniósł rękę i potrząsnął głową. – Ja... ja nawet nie jestem pewien, czy rozumiem co się stało – powiedział. – To wszystko jest zbyt nagłe. Co ty wreszcie zamierzasz robić? – Z wewnętrznej kieszeni munduru nieznacznym ruchem wydobył komblok i wsunął pod stół.

Sterm wydał westchnienie ciężko doświadczonej cierpliwości. – Postaram ci się to wyjaśnić prostymi słowami – odrzekł. – To błazeńskie przedstawienie było...

Wpatrując się w Strema, Borfotein równocześnie wystukał końcami palców osobisty numer sędziego Fulmire'a i spokojnie wsunął komblok pod leżące luzem papiery, oparte o leżący przed nim skoroszyt.

*

Paul Lechat w podnieceniu przemierzał tam i z powrotem salon w mieszkaniu Fallowsów w Cordova Village. – Nie sądziłem, że Chirończycy do tego się posuną – oświadczył. – Myślałem, że reagują tylko na bezpośrednią przemoc. Dlaczego nie pozwolili, by wszystko umarło śmiercią naturalną?

– Czy nie sądzisz, że rabowanie ludziom domów i wyrzucanie ich na bruk jest dostatecznie bezpośrednim objawem przemocy? – spytała Jean z jednego z krzeseł przy stole obiadowym, podczas gdy Jay milcząco przysłuchiwał się z drugiej strony. – A co mieli robić? Nie ruszyli żołnierzy i wyrównali rachunki z człowiekiem, który za to odpowiadał. Powinien był się tego spodziewać.

Lechat potrząsnął głową. – To nie było potrzebne. Za parę dni Ramisson niemal na pewno zostałby wybrany. A wtedy wszystko ułożyłoby się samo, gładko i spokojnie. Ta akcja znów wszystko skomplikowała. Prawdopodobnie w tej chwili Wellesley ogłasza stan wyjątkowy, a to znaczy, że wybory automatycznie zostają przesunięte. Sprawa cofa się o całe tygodnie, może miesiące.

Przerwał na chwilę, by wyjrzeć przez okno, zbierając myśli. Po czym odwrócił się, by popatrzeć najpierw na Jean, a później na Bernarda, który przysłuchiwał się z kanapy koło ekranu ściennego. – Jakkolwiek znam wielu ludzi myślących jak Jean, możemy jednak z wielu stron oczekiwać reakcji antychirońskich. I to mnie niepokoi. Ale jeśli teraz, mając okazję, ustanowimy tu liberalną cywilną administrację, jest duża szansa, że Wellesley zaakceptuje to jako fakt dokonany. Nawet jeśli ogłosi stan wyjątkowy, to pogodzi się z nami, gdy zrozumie nieuniknione – co, jak przypuszczam, już zaczął rozumieć. A to da wszystkim wiarę w jutro i o całej sprawie wkrótce zapomną. Ale mamy mało czasu. Dlatego nie pojechałem na sesję. A wy oboje możecie pomóc, prawie w ten sam sposób, jakeśmy już mówili. Przede wszystkim chciałbym, abyście... – Przerwał mu sygnał wezwania z osobistego kombloku. Odruchowo spojrzał na kieszeń marynarki. – Przepraszam na chwilę.

Fallowsowie patrzyli, jak wyciąga aparat i potwierdza przyjęcie wezwania ruchem kciuka. Z miniaturowego ekranu wyjrzał sędzia Fulmire. – Czy jesteś sam, Paul? – spytał bez wstępu. Mówił twardym, urywanym głosem.

– Jestem w towarzystwie, ale to pewni ludzie. Co...

– Nie wychodź na ulicę i ukryj się – powiedział Fulmire. – Sterm i Stormbel zrobili zamach stanu. Mają po swojej stronie Służbę Specjalną i przynajmniej część wojsk regularnych – nie wiem jaką. Zaaresztowali tutaj wszystkich członków Kongresu i wysłali patrole, by wyłapać resztę. Prawdopodobnie jesteś też na liście, więc rozmawiamy krótko. Obsadzają Centrum Telekomunikacji, a ze Slessorem dogadali się, że pozostawią jego i załogę w spokoju, jeśli ograniczy się do spraw statku. Wydostań się z Phoenixa, jeśli zdołasz. Nie wiem czy... – W tym miejscu głos i obraz nagle zniknęły.

– Kto to był? – spytała Jean z oczami pełnymi wątpliwości.

– Sędzia Fulmire. – Lechat zmarszczył czoło i wystukał numer, by przywrócić połączenia. Aparat odpowiedział sygnałem: „numer nieosiągalny". Wystukał inny numer kodowy, by zaalarmować dyżur-

nego wideofonistę. Ta sama odpowiedź. - Sieć ogólna została chyba przerwana - powiedział. - Nawet kanały pogotowia.

- O Boże... - szepnęła Jean. - Teraz wyciągną te bomby.

Bernard patrzył przed siebie ponuro, odtwarzając w myśli obraz krateru wybitego na powierzchni Remusa. - Musimy ich powstrzymać - wyszeptał bez tchu. - Musimy jakimś sposobem wysłać tam na górę zawiadomienie... do Sterma... by powiedzieć mu, co grozi. Na statku są jeszcze tysiące ludzi.

- Nie uwierzy nam - odpowiedział smutno Lechat. - To by wyglądało na jawny blef, na który wpadłby każdy.

Jean potrząsnęła głową. - Ale przecież musi coś być... Chirończycy! Im będzie musiał wierzyć. Jeśli nadadzą mu wiadomość z dokładnym opisem co ich broń może zdziałać, obojętne kto mu to powie, aby z dowodami, że to prawda, Sterm na pewno będzie musiał wziąć to pod uwagę.

- Ale nie wiemy nawet, z kim z Chirończyków o tym mówić - zwrócił uwagę Lechat.

Bernard milczał od pewnego czasu. - Kath musi coś o tym wiedzieć albo znać ludzi, którzy wiedzą - powiedział wreszcie - W końcu na Chironie nie zamieszkują miliardy. A Jerry mówił, że ona ma wiele wspólnego z ludźmi, którzy pracują nad antymaterią na uniwersytecie. Zacznijmy od niej.

Jean zerknęła na ekran, a potem na Bernarda. - Czy mamy ją wywołać przez Jeevesa... przez sieć chirońską? Nie powinna chyba być zablokowana?

- Nie można ufać żadnym środkom elektronicznym - ostrzegł Lechat.

- To może być ryzykowne - dodał Bernard po chwili namysłu. - Jeżeli Sterm i ktoś tam jeszcze przygotowali tę akcję, to pewnie nie zaniedbali założyć podsłuchów linii i sygnałów wywołań na wszystkich sieciach. Ktoś musi pójść.

- Kto? - spytała Jean.

- No, Paul nie może się nigdzie pokazać - odpowiedział Bernard. - Słyszałaś, co powiedział Fulmire. Wynika z tego, że ja.

- Ale co z posterunkami granicznymi? - przestraszyła się Jean. - Nie wiemy komu można ufać. Fulmire nie wiedział, jaka część armii jest po jakiej stronie. W każdej chwili mogą wybuchnąć walki. Nie wiadomo w co tam wejdziesz.

Bernard bezradnie wzruszył ramionami. - Wiem. To ryzyko - ale co innego można zrobić?

Zapadło napięte milczenie. Wreszcie powiedział Jay: - Znam przynajmniej jednego człowieka w wojsku, któremu można ufać. - Spojrzeli na niego zdziwieni.

Bernard pstryknął palcami. - Oczywiście, Colman! Czemu u licha o nim nie pomyślałem?

- Co za Colman? - zainteresował się Lechat.

- Przyjaciel rodziny, służy w wojsku - odpowiedziała Jean.

- Taaak - powiedział, przeciągając słowo i kiwając głową Bernard. - Będzie wiedział, co się dzieje i zapewne znał bezpieczną drogę przez granice, nawet jeśli wybuchną zamieszki. - Kiwnął głową energiczniej. - I z pewnością można mu ufać.

- Mogę pójść i poszukać go - zaproponował Jay. - Sądzę, że nie wywołam wielkiego zainteresowania. Nawet jeśli są patrole „S", to nie mnie przecież szukają.

Bernard spojrzał na Lechata, Lechat zmarszczył czoło jakby miał się sprzeciwić. Ale pomyślał jeszcze, wreszcie westchnął rozkładając ręce i skinął głową. Bernard zwrócił się do Jaya: - Okay, spróbuj, jak ci się uda. Jeśli go znajdziesz, poproś, by tu przyszedł, gdy tylko będzie mógł.

Jay podskoczył i pobiegł do szafy po kurtkę. Ubierając się spojrzał na Jean. - Tak, matko, będę uważał.

Jean zmusiła się do uśmiechu. - No to pamiętaj o tym - powiedziała.

*

Z grobu, w którym leżał od tysiąca lat, jakaś ręka próbowała wyciągnąć Colmana. - Sierżancie, niech pan wstaje - zagrzmiał z wysokości głos Sądu Ostatecznego, niesamowicie podobny do Stanislaua. - Hanlon wzywa pana do głównej bramy.

- Coo-aach?... Kto?... - Colman przewrócił się na łóżku i zmrużył oczy przed blaskiem; ktoś ściągał koc z jego twarzy.

- Wszyscy musimy się tego nauczyć.

Lesley przez chwilę patrzył mu w oczy, po czym skinął głową. - Sytuacja wygląda tak, że z Modułu Bojowego właśnie wyszedł atak na nas wzdłuż rufowych ramp dostawczych. Wyłączyliśmy energię urządzenia jezdnego w rampie, by ich przyhamować, a więc wspólnie będziemy w stanie ich zatrzymać, nim nadejdą wasze posiłki. Kiedy się ich spodziewać? - Poszli szybko w stronę zewnętrznych wrót śluzy, za którymi promieniście rozchodziły się trasy do ramp dostawczych i słupów podtrzymujących chwytak strumieniowy.

- A jak daleko już dotarli? - spytał Colman.

- Zaczęli dochodzić do Wrzeciona kilka minut temu. - Lessley był zdziwiony. - Jak to możliwe, żeście o tym nie wiedzieli?

- To była... niezupełnie szablonowa operacja.

Przed nimi Jarvis rozmieścił żołnierzy na pozycjach przed wszystkimi wylotami tuneli, z najsilniejszą grupą skoncentrowaną przy wylocie rampy dostawczej, którą zbliżali się „S"-mani z Modułu Bojowego; następnie wycofał się na osłoniętą platformę obserwacyjną, z której mógł dowodzić działaniami, mając dobry wgląd w głąb tunelu. Lesley, Colman i Swyley skupili się za kolumną, za którą już przyczaił się z bronią Driscoll i paru innych z kompanii „D". Po chwili wszyscy żołnierze już czekali w napięciu.

I nagle znajdujący się najbliżej wylotu tunelu unieśli głowy, patrząc na siebie zdziwieni. Na platformie obserwacyjnej Jarvis wyjrzał zza przedpiersia, a następnie wyprostował na całą wysokość. Żołnierze jeden po drugim zaczęli opuszczać wyloty luf, a Jarvis zszedł na podłogę śluzy.

Major „S" z twarzą poczerniałą do dymu i rękawem we krwi wyszedł niepewnym krokiem z wylotu tunelu, tuż za nim czterech obszarpanych „S"-manów; jeden z nich z zakrwawioną głową. Lesley i pozostali wyszli z ukrycia, zaś Jarvis i paru jego ludzi poszło ku nadchodzącym, by ich odprowadzić na tyły.

Lesley i major oczywiście się znali. - Brad - spytał Lesley - co u diabła się zdarzyło? Oczekiwaliśmy starcia.

- Owszem, było w Module Bojowym - odpowiedział Brad ostatkiem tchu. - Paru z nas próbowało zrobić tam porządek po audycji telesieci, ale zbyt wielu innych doszło do wniosku, że Moduł jest najbezpieczniejszym miejscem i nie chciało ustąpić. Mogliśmy jedynie wydostać się stamtąd.

- Ilu was tam jest? - spytał Lesley.

- Nie wiem dokładnie... może pięćdziesięciu. Większość z nich została z tyłu w rampie, blokując śluzę wyjściową z kopuły.

- Mówi pan, że droga aż do samego Modułu Bojowego jest wolna? - zapytał Colman.

Brad kiwnął głową. - Ale w kopule są ludzie Stormbela. Jedyny sposób, by się dostać do Modułu, to wysadzić wrota wejściowe.

Lesley zwrócił się do Jarvisa: - Włącz energię w rurach i szybko wyślij tam więcej chłopców. Niech włożą skafandry na wypadek, gdyby kopuła rozhermetyzowała się i cofnij ludzi Brada do środka rampy.

- Mamy jedną sekcję już w skafandrach - powiedział Colman. - Czy te wozy są na chodzie? - wskazał kilka transporterów osobowych, stojących na bocznicy jednej z linii przelotowych. Jarvis kiwnął głową. Colman zwrócił się do Swyleya: - Załaduj tu sekcję i wyślij ją tam rampą. - Swyley i Jarvis pobiegli.

- Armia nadchodzi przez Wrzeciono - poinformował Brada Lesley. - Lada chwila powinni tu być.

- Miejmy nadzieję, że nie będą tracić czasu - odpowiedział Brad. - Sterm przygotowuje właśnie w tej chwili atak rakietowy i to wielki.

Colman poczuł chłód w żołądku, zanim jeszcze doszło do jego pełnej świadomości, co Brad powiedział. - Sterm? - powtórzył głucho. Oblizał wyschnięte nagle wargi, patrząc to na jednego, to drugiego majora „S". - Mówi pan, że on już tam jest?

Lesley skinął twierdząco. - Był tam przez cały wieczór, przybył ze Stormbelem około 1800 na naradę sztabową wyższego dowództwa. Wszyscy tam są... - Zmarszczył czoło na widok wyrazu twarzy Colmana. - Nikt o tym nie wiedział?

Colman powoli pokręcił głową. Zbyt wiele trzeba było przemyśleć w zbyt krótkim czasie. I zawsze to samo się zdarzało; gdy tylko napięcie sięgało szczytu, zawsze jakaś rzecz umykała uwadze wszystkich,

Postacie były już dobrze widoczne. Szły coraz wolniej, zbliżając się do najjaśniej oświetlonego miejsca przy śluzie. Lesley ujrzał, że był to oddział piechoty liniowej. Prowadzili go, idąc o kilka kroków w przodzie, wysoki sierżant i kapral w okularach. Zatrzymali się, jakby na coś czekając; za ich plecami stanął nieruchomo cały oddział. Lesley zacisnął zęby, patrząc na nich przez szczelinę obserwacyjną. Ci ludzie ryzykowali życiem – w zależności od tego, jaką znajdzie odpowiedź na pytania, z którymi się borykał.

W drzwiach obok Chaureza ukazał się nagle Jarvis. – Trzy kompanie w szyku bojowym przybyły na Wrzeciono i posuwają się w stronę dziobu; od strony Pierścienia przybywa jeszcze więcej – zawiadomił. – Zaś z Modułu Bojowego przybywa oddział przez jedną z rufowych ramp dostawczych. Chyba idą, by zamknąć śluzę.

Lesley spojrzał na nich obu, ale nie odezwał się. Nie miał im nic do powiedzenia. Mógł zamknąć śluzę i włączyć się do obrony Modułu Bojowego; albo też, wzmocniony o siły liniowe które nadeszły dołem, mógł bronić otwartej śluzy przeciw „S"-manom nadciągającym z Modułu, zanim dołączy reszta armii. Decyzję musiał podjąć teraz.

Przypomniał sobie twarz Celii Kalens, która chyba ukryła się w bezpiecznym miejscu, ale po tym przebyła całą drogę z powrotem do serca Centrum Rządowego, ryzykując wszystkim, aby dać świadectwo prawdzie. A później spojrzał znów na sierżanta, na kaprala, na ludzi stojących za nimi w milczącym apelu do rozsądku. Oni też ryzykowali wszystkim po to, by wszystko, co zrobiła Celia i inni, nie poszło na marne. Jakąkolwiek przegraną ryzykowałby Lesley, nie mógł postawić większej stawki niż ta, którą ci ludzie już postawili.

– Każ ludziom zejść ze stanowisk – powiedział spokojnym głosem Jarvisowi. – Rozładuj obronę przeciwinwazyjną i cofnij śluzę do pozycji zielonej. Całość sił przesuń do przodu do śluzy zewnętrznej i zajmij pozycję obronną przed atakiem z Modułu Bojowego. Chaurez, wprowadź tych ludzi z dołu do środka. Każda pomoc nam się przyda. – Z tymi słowami odwrócił się i wyszedł ze stanowiska obserwacyjnego, by zejść na dół do śluzy.

Jarvis i Chaurez spojrzeli sobie w oczy. Po chwili Jarvis westchnął z ulgą. Chaurez odpowiedział krótkim uśmiechem i cofnął się do punktu dowodzenia, pochylając się nad kompanelem. – Poruczniku – zapytał rozzłoszczony Oordsen z ekranu – gdzie jest major Lesley? Rozkazałem – Chaurez wyłączył go pstryknięciem przełącznika i równocześnie włączył obwód zamknięty głośników, rozmieszczonych wokół śluzy.

– Okay, chłopaki, schodzimy ze stanowisk – powiedział do wystającego na sztycy z panelu mikrofonu. – Wracajcie tu tak szybko, jak możecie. Od strony rampy dostawczej zbliżają się ze środka przykrości.

Gdy Chuarez skończył, wskaźnik zasygnalizował wezwanie z Centrum Rządowego. Przyjął je i ujrzał twarz kapitana armii z wielkimi wąsami. – Wysunięty Punkt Dowodzenia Obroną – zgłosił się Chaurez.

– Sirocco, dowódca kompanii „D". Druga Brygada Piechoty. Czy jest tam wasz dowódca?

– Niestety, sir. Właśnie poszedł do śluzy tylnej.

– A jego adiutant? – spytał Sirocco.

– Poszedł do śluzy przedniej.

Sirocco zaniepokoił się. – Słuchajcie, oddziały posuwają się naprzód, by zająć dziób. Chcemy uniknąć bezsensownego rozlewu krwi. Te śluzy muszą pozostać otwarte. Jest tu generał Borfontein, który chce mówić bezpośrednio z kimkolwiek, kto u was dowodzi.

– Mogę mówić w ich imieniu – powiedział Chaurez. – Może pan powiedzieć generałowi, że nowiny są dobre.

Na dole, w śluzie wewnętrznej, Colman i Swyley stali z majorem Lesleyem, podczas gdy oddział kompanii „D" już się posuwał skokami w niskiej grawitacji Wrzeciona, by dołączyć do „S"-manów, zajmujących pozycje naprzeciw śluzy zewnętrznej.

– Cholernie ryzykowaliście, sierżancie – powiedział Lesley.

– Fifty-fifty – odrzekł Colman. – Innym sposobem szanse byłyby zerowe.

– Bystro rozumujecie.

Z promiennych wysokości zstąpił Anioł Stanislau i przyjął ziemską postać koło pryczy Colmana. – U Hanlona przy głównej bramie jest ktoś, kto chce z panem pogadać. Mówi, że pilne.

Colman usiadł i przetarł oczy. – Czemu nie zadzwonił do mnie?

– Zwykłe kanały są nieczynne, do statku... wszędzie – poinformował Stanislau. – Kanały alarmowe tylko dla dowództwa wojskowego – dodał, podając Colmanowi buty. – Do bazy promowej zlatuje masa „S"-manów, wysyłają patrole, aresztują ludzi, większość kompanii „B" wyniosła się... W ogóle nie wiem o co chodzi.

– Sirocco w okolicy? – Colman podszedł do umywalki opłukać twarz.

– W kancelarii. Hanlon go obudził. W Brygadzie jakaś rozróba – podobno wykopali Portneya, a Wesserman wziął pod lufy jakichś „S"-manów i zamknął.

Colman wytarł twarz ręcznikiem, rzucił go Stanislauowi i wyciągnął koszulę z szafy. – Bądź tak miły i posprzątaj tu trochę – powiedział. Idąc ku drzwiom włożył czapkę i pośpieszył do kancelarii, zapinając bluzę w biegu.

W niecałe pół minuty później Colman wsunął głowę przez drzwi. W kancelarii królował zamęt. Sirocco, Maddok i sierżant Armley z pierwszego plutonu próbowali ugasić coś, co przypominało pożar zapalających się lampek na kombloku alarmowym. – Co u diabła tu się dzieje? – zapytał ich.

– Bałagan – odrzekł Sirocco, przyciskając guziki i rozmawiając z ekranami. – Przylatujący promem opowiadają, że tam na statku coś się dzieje... coś dużego. – Zwrócił się do jednego z ekranów: „To się postaraj, złap jego adiutanta i daj go na linię". – Po czym do Colmana: – Chcę złapać kogokolwiek, aby mi potwierdził plotki.

– Hanlon woła mnie po coś do bramy – powiedział Colman. – Pogadamy za parę minut.

– Okay. Wracaj jak tylko będziesz mógł.

Colman wyszedł z Bloku Omara Bradleya i szybkim krokiem skierował się do głównej bramy. Na parkingu bez przerwy lądowały i startowały pojazdy, z ciężarówek naziemnych pośpiesznie wyładowywano skrzynie amunicji; rejon koszar roił się od krążących patroli i wykrzykujących rozkazy oficerów. W punktach strategicznych pojawiły się otoczone workami z piaskiem stanowiska ogniowe, których parę godzin wcześniej nie było, kopano jeszcze nowe.

Przy głównej bramie posterunek podwojono. Hanlon stał po jednej stronie bramy, przyglądając się wartownikom, sprawdzającym dokumenty wchodzących i wychodzących. Tuż na zewnątrz, obok budki wartowniczej, stał Jay Fallows. Hanlon ujrzał zbliżającego się Colmana i podszedł bez pośpiechu. – Przykro mi, że ci przerwałem tak potrzebną dla urody drzemkę, ale ten tutaj młody człowiek chce z tobą porozmawiać. – Colman przeszedł przez bramę do Jaya, a Hanlon powrócił na miejsce.

Jay mówił poważnym i cichym głosem. – Mój ojciec powiedział, bym cię odszukał. To pilne. Jeden z ludzi, których szuka „S", jest u nas w domu. Sterm aresztował cały Kongres i jesteśmy prawie pewni, że wraz z wojskowymi ogłosi ultimatum. Jeśli to zrobią, Chirończycy zestrzelą statek. Tata chce wyjść razem z tym facetem i pogadać z Kath, czy coś da się zrobić, ale po to muszą wydostać się z Phoenixa.

Colman zrobił srogą minę. – Zestrzelą statek? Czym? – Nie wiem – powiedział Jay. – Za wiele o tym mówić, ale jesteśmy pewni, że mają na to środki. To naprawdę jest aż tak pilne, Steve. Kiedy możesz przedostać się na tę stronę?

– O, Chryste... – Zmordowany Colman podniósł rękę do czoła. – Okay. Jak tylko będę mógł... – Przerwały mu zbliżające się kroki. Zobaczył sierżanta Armleya z kancelarii kompanijnej.

Armley zatrzymał się przy Colmanie i gestem przywołał Hanlona. – Sirocco wzywa was natychmiast do siebie – wydusił z gardła ostatkiem tchu. – Przejmuję bramę. Zamieszki na bazie promowej. Ze statku nadeszły rozkazy, by wyrzucić wszystkich Chirończyków i odizolować cały teren. major Thorpe był tam z częścią kompanii „A" i odmówił przyjmowania rozkazów od „S". Mamy tam wysłać dwa plutony. Sirocco chce, żeby był z nimi Hanlon, a ty masz zabezpieczyć blok na wypadek strzelaniny, jakby się to tutaj rozszerzyło.

Colman jęknął cicho. Miał właśnie odpowiedzieć, gdy ujrzał kobietę stojącą po drugiej stronie bramy, naprzeciw wartowni. Miała na sobie beret i jasny płaszcz przeciwdeszczowy i starała się dyskretnie zwrócić jego uwagę. – O, Jezu – Popatrzył na pozostałych. – Słuchajcie, potrzebuję paru minut. Jay,

zostań tu. – Przeszedł na drugą stronę i dopiero, gdy był tuż przy kobiecie, rozpoznał Weronikę, która tym razem nie miała szelmowskiej ani złośliwej miny.

– W tej chwili przybyłam ze statku, Steve. – Prawie przycisnęła go do słupka.

– Czy nie zamknięto tam wyjść? – szepnął zdziwiony Colman.

– Oczywiście tak. Wszystko w zupełnym chaosie.

– Więc jak?

– Znam Crayforda i jego żonę. Jeden z załogi przeprowadził mnie. To nieistotne. Idzie o Celię.

Nie był to moment, by nadal podtrzymywać pozory. Colman zafrasował się jeszcze bardziej. – O co chodzi? Nic jej nie grozi?

Weronika potwierdziła szybkim ruchem głowy. – Nie jest ranna ani nic w tym rodzaju, ale ma ogromne trudności. Zadała się ze Stermem i nie może zrobić kroku bez nadzoru. Może jej naprawdę grozić niebezpieczeństwo, Steve. Musi się stamtąd wydostać.

Colman zrobił głową gest zgody, ale równocześnie podniósł ręce. – Okay, ale jak ona to zrobi?

– Dziś późnym popołudniem przyleci o zmroku na powierzchnię, by zabrać papiery i rzeczy. Ale będzie pod strażą. Mamy plan, ale najpierw ktoś musi mnie wprowadzić do domu, przed ich przybyciem, a później ją zabrać. Będę musiała jakoś później wydobyć się z bazy promowej – będzie zamknięta. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu ufa. Czy możesz być wolny, powiedzmy za godzinę?

Colman patrzył przed siebie osłupiały. Hanlon i Armley niecierpliwie wyczekiwali, Jay patrzył błagalnie. Myślał gorączkowo. Nie wiedział, czemu Celii coś grozi i czemu rozpaczliwie chce uciekać, ale to się później wyjaśni. Jeśli powie, że musi się urwać na parę godzin, Sirocco to ukryje, z tym jest okay. Najpoważniejsza była groźba, że Chirończycy mogą zniszczyć statek, ale mało prawdopodobne, by to była sprawa najbliższych godzin. Z drugiej strony Celia już się zaangażowała w to, co wymyśliły z Weroniką i tego nie da się zmienić ani odwołać. Więc z Celią najpierw. Jay może wracać do domu i powiedzieć ojcu, że Colman będzie później; równocześnie uprzedzi rodziców, by się przygotowali na większe towarzystwo, bo Colman będzie musiał przyprowadzić Celię. I powinno to dobrze wypaść, bo to umożliwi jej potajemną ucieczkę z Phoenixa w jednej operacji wraz z Bernardem i tym drugim poszukiwanym, o którym wspomniał Jay. Maszyny odlatujące z Phoenixa były zaprogramowane na przelot jedynie wąskim korytarzem, chyba że były specjalnie skierowane gdzie indziej, więc ucieczkę trzeba zorganizować przez granicę. Na pewno będzie mógł coś wykombinować wraz z Sirocco, gdy wróci do kancelarii, ale to mniejsza, bo sam Colman był już ekspertem nielegalnego przekraczania granicy. Zaś wydostanie Weroniki z bazy trzeba będzie powierzyć Hanlonowi.

– Chyba możemy wymyśleć sposób, byś się dostała do domu, Weroniko. Nie wiem, co się dzieje w tej chwili w bazie, ale w każdym momencie powinna tam dotrzeć nasza jednostka. To znaczy, że musisz zaufać też innym facetom. Okay?

– Jeśli tak uważasz. Czy mam wybór?

– Nie. – Colman odwrócił głowę i przywołał Hanlona. – Bret, to jest Weronika. Nie ważne czemu, ale będzie potrzebować pomocy, by się wydostać późnym wieczorem z bazy promowej. Co ty na to?

– Coś wymyślimy. Gdzie i kiedy? – zapytał Hanlon. Colman spojrzał pytająco na Weronikę.

– Prom odlatuje o 2130 ze stanowiska piątego – powiedziała. – Wysiądę z niego koło trzydziestu minut przed odlotem. Potrzebuję tylko przedostać się na terytorium chirońskie. Tam już dotrę na własną rękę.

– Dokąd? – spytał Colman.

– Do Caseya, przypuszczam – odpowiedziała.

– Czy Casey wie? – spytał Colman. Weronika zaprzeczyła ruchem głowy. Colman namyślał się parę sekund. – To, co tu się dzieje, pachnie nie tak jak powinno – powiedział. – Czy znasz most na południe od bazy – tam, gdzie rura maglewu przechodzi przez mały wąwóz koło stacji rozrządowej?

– Tak mi się zdaje. W każdym razie go znajdę.

– Dostań się na most i poczekaj tam – powiedział Colman. – Wyślę jednego z chłopców do Franklina z wiadomością dla Kath, żeby przysłała tam Caseya czy kogoś innego. Na pewniaka będą się włóczyły po okolicy patrole „S". Lepiej nie ryzykować. – Weronika kiwnęła głową na znak zgody.

– Teraz wracam do środka wszystko załatwić – rzekł Colman, odprowadzając ich do wartowni, skąd

działu ochronnego „S" wszedł z białą flagą do Centrum Telekomunikacji na rozmowę z Borfonteinem. Teraz Lesley starał się uporządkować w głowie sprzeczne uczucia. Jego adiutant kapitan Jarvis i porucznik Chaurez przyglądali się w milczeniu, a inni obecni na służbie w punkcie dowodzenia odwracali oczy, zajęci własnymi myślami. Jego dylemat polegał nie tyle na wyborze po raz pierwszy w życiu między sprzecznymi rozkazami, bowiem ich hierarchia ważności była jasna i nie miał obowiązku słuchania kogoś, kto uzurpował sobie rangę i przestępczo nadużył prawa wydawania rozkazów, ile na decyzji, po której stronie chciałby być. Bofrontein miał w ręku uprawnienie, ale Stormbel pistolet.

Na drugim końcu punktu dowodzenia Jarvis oglądał ekran. – Wygląda, że walka w Vadnenberg się kończy – zawiadomił. – Dwie grupki naszych trzymają pierwszą i trzecią przystań, ale reszta współdziała z armią. Wojsko opanowało prawie cały segment. Tą drogą Stormbel nie dostanie żadnych posiłków z powierzchni.

– Ostatnie wiadomości z powierzchni? – zapytał Chaurez.

– Dezorientacja, ale w koszarach spokój – odrzekł Jarvis. – Duża strzelanina wewnątrz bazy Canaveral. Chyba wszyscy starają się tam zdobyć ciężką broń. Na jednym ze stanowisk startowych pali się prom.

Major Lesley pokręcił głową i patrzył przed siebie nieobecnym wzrokiem. – To nie powinno było się zdarzyć – rzekł półgłosem. – Przecież to nie są wrogowie. Nie powinni walczyć ze sobą.

Jarvis i Chaurez wymienili spojrzenia. Następnie Jarvis rzucił okiem na nową wiadomość wyświetloną na jednym z ekranów. – Peterson poszedł do Borfonteina w Centrum Rządowym – mruknął przez ramię. – W Dystrykcie Kolumbia chyba wszystko skończone. To im daje w ręce cały Pierścień.

– Wobec tego pójdą teraz na Wrzeciono – powiedział Chaurez. Obaj spojrzeli znowu na Lesleya, ale nim ktokolwiek się odezwał, ostrym dźwiękiem z głównego ekranu rozległo się wezwanie ze sztabu brygady w Module Bojowym.

Lesley automatycznie potwierdził odbiór i ujrzał twarz pułkownika Oorsdena, jednego z członków sztabu Stormbela, groźną i zdeterminowaną, lecz wyraźnie wstrząśniętą. – Włączyć system obrony przeciwinwazyjnej, zamknąć śluzy wewnętrzne i zewnętrzne i postawić oddział w stan pogotowia, majorze – rozkazał. – Wszelkim próbom wdarcia się od strony Wrzeciona przed zamknięciem wejść należy przeciwstawić się wszystkimi siłami. Gdy tylko gródź będzie zabezpieczona, meldować, w żadnym wypadku nie później, niż za pięć minut. Zrozumiano?

W tym momencie w punkcie dowodzenia rozległ się alarm lokalny. W ciągu paru sekund dały się słyszeć kroki ludzi biegnących z tylnych korytarzy i schodów na stanowiska ogniowe. Jeden z dyżurnych już włączał przyciski, by zebrać całość meldunków, a Chaurez podniósł się, by przejść na wysunięte stanowisko obserwacyjne w chwili, gdy w drzwiach po przeciwnej stronie ukazał się dowódca warty. – Do śluzy zbliża się wojsko – zaraportował. – Oddział liniowy – trzydziestu albo nieco więcej.

Zostawiając pułkownika Oorsdena patrzącego z ekranu, Lesley wstał, przeszedł przez drzwi w stalowej ścianie, dzielącej punkt dowodzenia od stanowiska obserwacyjnego i wyjrzał przez jedną ze szczelin na podejście do śluzy poniżej. Od drzwi zaś przyglądał się Chaurez, ignorując oburzony głos Oordsena, płynący z tyłu. – Majorze Lesley, nie pozwoliłem odejść. Proszę wracać natychmiast. Co u diabła tam się dzieje? Co to za alarm? Lesley, słyszysz mnie?

Ale Lesley nie zwrócił na to uwagi, lecz przyglądał się platformie poniżej, która jasno oświetlona lampami łukowymi nad śluzą, im dalej od nich, tym bardziej ginęła w mroku przedsionka. Z jego cieni ukazywały się powoli postacie ludzkie, idące od strony rur tranzytowych i szyn towarowych. W głębi szły luzem, lecz zbliżając się przez platformę, przechodziły w coraz bardziej zwarty szyk. Poruszały się uważnie i ostrożnie, ale bynajmniej nie ukradkiem i wyraźnie unikały korzystania z ukryć. I trzymały broń na pasach, z lufami skierowanymi w dół w sposób, który mógł oznaczać wszystko, z wyjątkiem groźby.

– Wszystkie stanowiska obronne obsadzone i gotowe do otwarcia ognia – wyśpiewał jeden ze służbowych wewnątrz punktu dowodzenia.

– Działa laserowe w gotowości do otwarcia ognia – zameldował inny głos.

– Środki obrony przeciwinwazyjnej załadowane i gotowe do uruchomienia.

– Śluza w pozycji pomarańczowej i gotowa do zamknięcia.

Nie do zdobycia – pomyślał Colman, leżąc skulony za podstawą dźwigara, wysoko w cieniu zalegającym głąb przedsionka i badając podejścia do śluzy. Szczeliny obserwacyjne, wychodzące na przedsionek u góry i z boków, panowały nad nim całkowicie krzyżującymi się polami ostrzału, a bez wątpienia były tam jeszcze ukryte automatyczne lub zdalnie sterowane urządzenia obronne. Prawda, że na początku ataku można było wykorzystać mnóstwo miejsc zasłoniętych, ale końcowy szturm byłby samobójczy... i do tego daremny, bo wrota śluzy były dość mocne, by oprzeć się każdej broni słabszej, niż rakieta taktyczna. Zaczynał też wątpić, czy oddział minerski, który właśnie wkładał skafandry, cokolwiek zdziała, bo zewnętrzne podejścia do Modułu prawie na pewno były bronione nie mniej skutecznie. Wiedział, jakimi kategoriami myśleli projektanci tego typu urządzeń.

– Najlepiej by było wysadzić wrota salwą rakiet przeciwpancernych i mieć nadzieję, że zablokują się otwarte – powiedział półgłosem do Swyleya, który leżał obok niego, badając odległą grodź przez wzmacniacz obrazu. – A po tym może zalać śluzę płynem zapalającym i dostać się tam pod osłoną dymu.

– To tylko pierwsze drzwi – przypomniał mu Swyley, odkładając przyrząd optyczny. – A jest ich dwoje. Cokolwiek zrobimy z pierwszymi, to ich nie powstrzyma od zamknięcia drugich.

– Prawda, ale jeśli się przedostaniemy za pierwsze, możemy uprzątnąć szczeliny od tyłu i przynajmniej móc tutaj spokojnie sprowadzić ciężką broń, by zdobyć drugie.

– I co wtedy? – zapytał Swyley. – Nadal będziesz musiał przebijać się pod ogniem wzdłuż ramp dostawczych i do Modułu Bojowego. Jeśli tam dotrzesz i nie stracisz po drodze wszystkich ludzi, to tamtym zostanie masa czasu na przygotowanie Modułu do odlotu, zanim wysadzisz śluzy.

–Masz lepszy pomysł? – Po raz pierwszy Swyley nie miał.

W tym momencie z obu ich komunikatorów rozległ się równocześnie sygnał alarmu, a ostrzegawcze brzęczyki i syreny zaczęły dolatywać ze wszystkich stron labiryntu. Spojrzeli po sobie. Hałas ucichł, gdy Colman wydobył swój aparat z kieszeni na piersiach i ujął tak, by obaj mogli go oglądać. Swyley wyłączył swój. W kilka sekund później na maleńkim ekranie ukazały się twarze Wellesleya, Borfonteina i Lechata. Na chwilę Colman zamknął oczy i wydał długie, głębokie westchnienie ulgi.

– Udało im się – szepnął. – Są tam wszyscy.

– Oto obwieszczenie o najwyższym stopniu ważności, dotyczące każdego z członków Misji „Mayflower II" – rozpoczął Wellesley, przemawiając jasnym, ale groźnym głosem. – Zwracam się do was będąc w pełni mojej władzy Dyrektora tej Misji. Jest ze mną generał Borfontein, jako Najwyższy Dowódca w s z y s t k i c h Sił Zbrojnych. Niedawno dopuszczono się próby zdrady w najpodlejszej i skrajnie przestępczej formie. Próba ta się nie udała. Ale na dodatek dokonano oszustwa, które miało na celu rzucenie oszczerstwa na postępowanie Chirończyków, podżegano do użycia siły dla dogodzenia ambicjom politycznym skorumpowanych elementów spośród nas oraz z premedytacją i zimną krwią popełniono morderstwa na niewinnych ludziach...

– To powinno dać w nasze ręce resztę statku i powierzchnię – orzekł Swyley. – Jeśli armia pozbiera się i schwyta Sterma, zanim uda mu się tu dotrzeć, być może nie będziemy w ogóle musieli tam włazić.

Colman podniósł głowę i znowu zaczął się przyglądać niedostępnym podejściom do wrót grodzi, raz jeszcze wyobraziwszy sobie nieuchronną rzeź, do której doprowadziłby atak frontalny. A po obu stronach – kto miałby szanse zyskania czegokolwiek, na czym mu zależy? Nie miał sporów z ludźmi obsadzającymi tę pozycję obronną, oni nie mieli sporów z nim, czy z którymkolwiek z jego ludzi. Czemu więc leżał tu z bronią w ręku, starając się wymyśleć najlepszy sposób, by ich zabić? Dlatego, że oni tam też mieli broń i zapewne spędzili dużo czasu na obmyślaniu najlepszego sposobu, by zabić jego. Żaden z nich nie wiedział, czemu to robi. Po prostu zawsze tak się robiło.

Na ekranie komunikatora ukazała się Celia, która zaczęła mówić głosem lekko drżącym, ale zdecydowanym. Lecz Colman słuchał jej tylko półuchem. Starał się dojść do takiego sposobu myślenia, w jaki myślałby Chirończyk.

Rozdział XXXVII

Za pancerną grodzią w miejscowym punkcie dowodzenia major Lesley z Oddziałów Służby Specjalnej był ciągle zbyt oszołomiony tym, co usłyszał, by stać go było na logiczną reakcję. Gapił się na kompanel, którego ekran ukazywał widok Dystryktu Kolumbia, gdzie przed paru minutami dowódca od-

obserwowali go ciekawie Armely i Jay. – Mike – powiedział Colman, gdy zatrzymali się przed drzwiami – weź tych dwoje do środka, daj im kawy czy czegokolwiek, dobrze? Jay, poczekaj w środku z Weroniką. Wracam za parę minut. Nie martwcie się. Będzie okay.

*

Dziesięć minut później, w zaciszu małego arsenału za kancelarią, Colman opowiedział Sirocco wszystko, czego się dowiedział od Jaya i tyle, co uważał za stosowne o Celii i Weronice. Sirocco poinformował Colmana, że Stormbel przechwycił dowództwo nad armią i poparł Sterma, a Stermowi udało się pozyskać większość tego, co zostało z wojska, grając na obawach starszych oficerów, że zabójstwo Kalensa jest symptomem generalnego zagrożenia przez Chirończyków.

– Ale jeśli to, co mówisz, jest prawdą, Steve, rzeczywiste niebezpieczeństwo grozi statkowi – rzekł Sirocco, szarpiąc wąsa. – Co to za broń i co może spowodować, by Chirończycy jej użyli? Muszę więcej o tym wiedzieć.

Colman tylko potrząsnął głową. – Nie wiem. I Jay nie wie. Właśnie tego chcą się dowiedzieć Fallows i ten drugi.

– Musimy utrzymać oddział w całości na wypadek ostatecznej rozgrywki – mruknął Sirocco. – I myślę, że jeśli chcemy zachować swobodę ruchów, musimy przez pewien czas udawać, że jesteśmy za Stormbelem. – Odwrócił się, przeszedł przez pokój, by spokojnie jeszcze pomyśleć, znowu odwrócił się na pięcie i skinął głową. – Okay, Bret, musisz zaraz udać się do bazy. Po prostu czekaj, aż ta Weronika wyjdzie z promu i rusz głową, jak ją stamtąd wydostać. Martw się tylko o to. No to w drogę. – Hanlon skinął głową i znikł w drzwiach do kancelarii.

– Steve – powiedział Sirocco – zbierz wszystkich, których chcesz wysłać do Franklina, a dalej już zostawmy to Kath. Potem znikaj i rób co trzeba, by przerzucić Celię do domu Fallowsów. Jak odbierzesz stamtąd jeszcze tamtych dwóch, zaprowadź ich wszystkich do punktu między północnym przejściem granicznym i tyłami placu budowy koło dworca towarowego. Sekcja Maddocka obsadza ten odcinek od północy do 0400. Wiedzą, jak odwrócić uwagę „S"-manów, a ja postaram się, by na was oczekiwali. – Colman kiwnął głową i chciał się udać w ślad za Hanlonem. – Ej, Steve – zawołał Sirocco, jakby uderzyła go nowa myśl. Colman zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał na niego. – Mówisz, że nieźle znasz tych Fallowsów?

– Od dawna – odpowiedział Colman.

– To nie odłączaj się od nich na granicy – rzekł Sirocco. – Jedź z nimi do Kath, dowiedz się, ile zdołasz o tej cholernej sytuacji i wracaj tak szybko, jak zdołasz. W ten sposób możemy wywnioskować, co mamy robić.

Rozdział XXXI

Sytuacja wyjaśniła się błyskawicznie. Stormbel zdecydowanie utrzymał się przy dowództwie sił zbrojnych, baza promowa w Canaveral była w rękach Ziemian. Późnym popołudniem przywrócono telekomunikację i zaczęto interesować się mniej palącymi sprawami, odłożonymi chwilowo, gdy armia była w stanie alarmowym. Należało do niej opróżnienie rezydencji Kalensa i przeniesienie jej najcenniejszej zawartości w bardziej bezpieczne miejsce. O zmroku na podjeździe i parkingu koło domu zgromadziły się pojazdy naziemne i powietrzne z oddziałami roboczymi. Na wojskowy transporter osobowy, który nie miał tu nic do roboty, nikt nie zwrócił uwagi. Wylądował na trawniku pod osłoną drzew koło parkingu na tyłach budynku.

W środku pojazdu Stanislau wyłączył system sterowania lotem i wszedł do przedziału pasażerskiego, nie zapalając świateł. Czekali tam Colman, Maddock, Fuller i Carson, siedząc przy wielkich skrzyniach na obrazy, ze stosem kartonów, narzędzi i materiałów pakunkowych u stóp. Była z nimi Weronika, ubrana w wojskowy kombinezon roboczy, kurtkę polową i czapkę. Jej długie, falujące, rude włosy zostały krótko obcięte, a na karku podstrzyżone do regulaminowej długości. Maddock przedostał się przez zwały materiałów, otworzył drzwi i wysiadł wraz z Carsonem i Fullerem. Stanislau został w środku, pomagając przy wyładunku. Colman spojrzał na twarz Weroniki, ledwie widoczną w niepewnym świetle, dochodzącym z zewnątrz. – Samopoczucie okay? – zapytał.

Skinęła głową twierdząco, a później powiedziała: – Casey dostanie ataku.

Było dobrym znakiem, że próbuje żartować. Colman wyszczerzył zęby i dźwignął się z siedzenia. - To idziemy - mruknął.

Gdy wyszli, Carson i Maddock wzięli skrzynię na obrazy, Stanislau skrzynkę narzędziową, Fuller pęk sznurów i ściągaczy, a Colman trochę papierów i druków inwentarzowych. Weronika niosła na ramieniu wielki rulon pianogumy do pakowania, przyciskając do niej policzek. Wewnątrz rulonu był zwinięty mundur dyżurnego pokładowego służby promowej i buty. Oficer, który wczesnym popołudniem przeszmuglował ją na pokład wejściem dla załogi, dał jej to bez żadnych pytań. Wmieszali się w krzątaninę trwającą koło domu i na całym parterze i na koniec przedostali się wszyscy razem na górę, spotykając przy drzwiach prowadzących do prywatnego apartamentu Kalensów. Colman rozłożył kilka przyniesionych papierów i szkiców i zatrzymał się, rozglądając wokół. Po paru chwilach podniósł rękę, by zwrócić uwagę „S"-mana, obojętnie stojącego na podeście głównych schodów i wskazał głową na drzwi. - Czy to jest wejście do sypialni i pokoi prywatnych? - zapytał.

- Tak, ale nie wolno tam nic ruszać, póki nie wróci pani Kalens, by zabrać trochę rzeczy - odpowiedział wartownik. - Powinna w tej chwili być już w drodze na dół.

- To w porządku - odrzekł Colman. - Mamy tylko zrobić trochę pomiarów. - Nie czekając na odpowiedź podszedł do drzwi, otworzył je, wsadził głowę do środka i zawołał do stojącego z tyłu Stanislaua: - To tu. Gdzie jest Johnson? - i wszedł do środka. Stanislau postawił skrzynkę narzędziową i poszedł za nim, Colman zaś znowu wyszedł i przykucnął przy skrzynce, szukając czegoś wewnątrz. Ukazała się Weronika i weszła do apartamentu ze swym rulonem, Stanislau wyszedł, Colman wrócił i wszedł z miarą taśmową, a o parę jardów dalej na korytarzu Carsonowi i Maddockowi udało się zaklinować całkowicie skrzynię na obrazy w niewygodnym przejściu. Gdy „S"-man spojrzał na nich z ukosa, schodami wszedł Fuller pytając, gdzie jest Johnson, Stanislau machnął ręką w stronę drzwi, Fuller wszedł w nie, a Colman wyszedł. Carson postawił na ziemi swój koniec skrzyni, Stanislau wszedł do środka z komblokiem. Maddock zaczął się pieklić na Carsona, a Fuller wyszedł.

W łazience na końcu apartamentu, za salonem i sypialnią, Weronika zrzuciła kombinezon i buty, które wepchnęła pod ręczniki w szafie na pościel. W momencie, gdy drzwi do apartamentu zamknęły się, odcinając go od hałasów z domu i pogrążając w ciszy, już wkładała mundur dyżurnego pokładowego, z wyjątkiem butów. Następnie używając kosmetyków Celii wzięła się za charakteryzację.

Na dole Maddock, włócząc się po domu, dotarł do głównego wejścia. Ustawił się przy nim na zewnątrz, by śledzić przylot aparatu, który miał przywieźć Celię z bazy promowej; reszta różnymi drogami wyszła od tyłu i w parę minut później spotkała się z Colmanem wewnątrz transportera. Rozsiedli się w oczekiwaniu, a Fuller i Carson zapalili papierosy. - Nadal uważasz, że wszystko będzie okay, sierżancie? - spytała Stanislau. - Jeśli trzeba, mogę tu szybko zabawić się we fryzjera. - Na wszelki wypadek zabrał ze sobą wszystkie przybory.

Colman potrząsnął głową. - Nie będzie trzeba. Celia ma o wiele krótsze włosy. Później będzie tu mniej ludzi. Będzie w porządku... pod warunkiem, że na górze będzie stał inny wartownik i że potrafimy go na minutę odciągnąć w głąb korytarza. W każdym razie oni będą się tam spodziewać dużego ruchu.

- Jak uważasz - odrzekł Stanislau.

- Ile do przylotu awionetki? - spytał Carson.

Colman spojrzał na zegarek. - Około pół godziny, jeśli przyleci zgodnie z planem.

★

W chwili, gdy awionetka wylądowała na trawniku przed domem, początkowo zdenerwowana Celia zdążyła ze stoicyzmem pogodzić się z faktem, że teraz już nie może się wycofać. Zaryzykowała postawić na szansę, że Sterm przyjmie jej chęć powrotu do domu za normalne kobiece zachowanie. A ponieważ sądził, że jest bezsilna i nie ma do kogo tak czy inaczej uciec, podejrzenie, że mogłaby próbować ucieczki, nie zaniepokoiło go ani na chwilę. Zorganizował to tak: trzech strażników z „S" i gospodyni otrzymali rozkazy, by ją nieustannie obserwować i nie pozwalać na rozmowy z nikim, chociaż nie była uważana za więźnia. Jedynym zmartwieniem Celii było teraz, że może Weronice nie udało się skontaktować z Colmanem albo że z jakichś powodów on nie mógł nic zrobić.

Siedziała w milczeniu, podobnie jak przez cały lot na dół i trzymając przy twarzy chusteczkę - nor-

Ale z wartowni za głównym wejściem do Centrum Rządowego już wylewali się „S"-mani i biegli korytarzem w kierunku Telekomunikacji, cywile zaś przylepiali się do ścian, by zejść im z drogi; inni zaś, jeszcze pracujący, wyglądali z biur, by zobaczyć, co się dzieje. Inżynier w kombinezonie, który nie zwracając niczyjej uwagi otworzył drzwiczki kontrolne w podłodze i majstrował w otwartej tablicy rozdzielczej, zwarł na krótko obwód i opancerzone drzwi pożarowe w połowie korytarza zamknęły się przed nadbiegającymi „S"-manami. Major „S", dowodzący oddziałem, gapił się na nie tępo przez parę chwil, jego ludzie bezładnie stanęli przy nim. - Z powrotem do frontowych schodów - ryknął. - Do góry na trzeci poziom, a po tym na dół po drugiej stronie.

Po drugiej stronie drzwi pożarowych Bernard rzucił narzędzia i pomknął do holu frontowego Centrum Telekomunikacji, modląc się w duszy, by okazało się, że nie stamtąd nadano sygnał alarmu. Hanlon, Stanislau i garść innych czekali przed wejściem. Dokładnie w chwili przybycia Bernarda, z bocznego korytarza pojawił się Harding z czołówką grupy z wejścia służbowego, z następującym im na pięty Maddockiem i główną siłą. Niesiono dwóch rannych. Hanlon pognał ich wszystkich do środka Centrum Telekomunikacji i za moment, nim z przyległej klatki schodowej rozległ się łomot ciężkich butów, zapadły z trzaskiem drzwi pancerne.

Technicy i reszta obsługi wewnątrz dochodzili do siebie po szoku, wywołanym inwazją oddziałów wojskowych i jeszcze większym wskutek widoku Wellesleya, Celii Kalens i Paula Lechata wśród nich. Stali niepewnie pośród błyszczących szaf rozdzielczych i konsoli, żołnierze zaś błyskawicznie zajęli pozycje, z których trzymali pod kontrolą całe wnętrze. Wówczas Wellesley wyszedł na środek sali sterowania i rozejrzał się na wszystkie strony. - Kto tu jest kierownikiem? - zapytał. Od dawna nie słyszano, by mówił tak pewnym i zdecydowanym głosem.

Z grupy zgromadzonej przed wejściem do jednego z biur wystąpił siwowłosy mężczyzna bez marynarki. - Ja jestem - powiedział. - McPherson - Naczelnik Telekomunikacji i Centrum Danych. - Po krótkiej pauzie dodał: - Do pana dyspozycji.

Wellesley krótkim skinieniem przyjął to do wiadomości i wskazał ręką na Lechata. - Szybkość ma kluczowe znaczenie - powiedział bez wstępów Lechat. - Żądamy natychmiastowego dostępu do wszystkich kanałów na sieciach cywilnych, administracyjnych, wojskowych i alarmowych...

★

Moduł Bojowy był milowej długości skupieniem megaśmierci i masowego zniszczenia - stojącym na podstawie, utworzonej przez tępy nos Wrzeciona, w widłach z dwóch słupów, wysuniętych do przodu dla podtrzymania leja chwytaka strumieniowego i jego generatorów pola. Lśniący, mocny, groźny i najeżony wyrzutniami rakietowymi, projektorami promieniowania ochronnego i śluzami do wyrzucania systemów broni orbitalnych i zdalnie sterowanych, krył w sobie wszystkie bronie strategiczne „Mayflower II" i w razie potrzeby mógł być odczepiany, by działać jako niezależny, w pełni samodzielny okręt wojenny.

Moduł Bojowy nie był zaplanowany jako część ogólnie dostępnego terytorium „Mayflower II" i jednym z podstawowych kryteriów jego projektowaniu było ograniczenie możliwości przedostania się do środka. Personel i zaopatrzenie dostawało się do Modułu przez cztery kolosalne przewody cylindryczne, zwane rampami dostawczymi, które wysuwały się z głównego korpusu statku i kończyły kopułami sprzęgającymi z wrotami zewnętrznymi Modułu Bojowego, dwoma w przedniej i dwoma w tylnej części jego śródokręcia. Jedna para ram wysuwała się w tył i do środka z kulistych komór, zbudowanych na przednich częściach słupów podtrzymujących lej chwytaka wodoru, druga w przód i do środka sześciokątnej, wysuniętej do przodu części Wrzeciona. Jakby przedostanie się przez rampy dostawcze nie było dostatecznie trudne, biegnące wewnątrz nich z Wrzeciona rury jezdne, przenośniki torowe, tory amunicyjne i inne przewody, spotykały się w jednej tylko, silnie bronionej śluzie, przez którą przechodziły do przedniej części przez pancerną gródź. Za grodzią, w kierunku rufy, śluza wychodziła na klinowatą, trzystustopową platformę nośną, na której skupiały się wszystkie rury i przewody, przechodzące przez ogromny przedsionek, wypełniony dżunglą dźwigarów, konstrukcji nośnych, obudów silnikowych, maszyn wyciągowych, przewodów, rur, kanałów, drabinek konserwacyjnych i pomostów roboczych. Innej drogi nie było. Jedyne przejście ku przodowi prowadziło przez śluzę.

pojawił się kapitan wojsk regularnych i zażądał dostępu do dziennika dyżurów. – Nie wiedziałem, że warty wewnętrzne wystawiają tu liniowcy – powiedział kapral, raczej zdziwiony niż zaniepokojony.

Sirocco wzruszył ramionami. – Sam nic nie wiem. Myślę, że to dlatego, że masę „S" wysyłają na dół do Canaveral. Po prostu wykonuję rozkazy.

– Kiedy to zmieniono, panie kapitanie?

– Nie wiem, kapralu. Niedawno, przypuszczam.

– Powinienem sprawdzić te rozkazy. – Kapral odwrócił się do swego ekranu, dwaj pozostali „S"-mani nie spuszczali oczu z oddziału zmiany. Po paru sekundach kapral podniósł brwi do góry. – Ma pan rację. Och, dobra, widzę, że to w porządku.

Pozostali „S"-mani odprężyli się odrobinkę. Kapral wywołał dziennik dyżurów i odmeldował swój zespół. – Wygląda, że wszędzie robi się cienko – skomentował.

– Coś na to wygląda – zgodził się Sirocco. Usiadł za biurkiem, a szeregowcy z kompanii „D" stanęli na warcie przy drzwiach. „S"-mani odmaszerowali, wymieniając uwagi między sobą.

W kilka sekund po ich odejściu ludzkie sylwetki zaczęły wyskakiwać z wyjścia pożarowego za windami w końcu kuluarów i znikać szybko i cicho wewnątrz Centrum Telekomunikacji.

Tymczasem sierżant „S" przy głównym holu okazał się skrupulatny. – Nie obchodzi mnie, co mówią komputery, Hanlon. To mi się nie podoba. Muszę to sprawdzić. – Rzucił okiem na dwóch „S"-manów stojących o parę kroków głębiej, z karabinami na gotuj broń. – Uważajcie na nich, a ja zawołam oficera służbowego. – Po czym sięgnął do stojącego przed nim ekranu i włączając go, otaksował Hanlona spojrzeniem zza tablicy. – Stój dokładnie gdzie jesteś, bracie. – Hanlon zesztywniał, ale nic nie mógł zrobić. Już zmierzył wzrokiem odległość od reszty „S"-manów, ale trzymali się z dala i w pełnej gotowości.

Nagle, od strony zewnętrznego wejścia do foyer za Hanlonem mocny, władczy głos rozkazał: „P r z e s t a ć !" Sierżant, który właśnie miał nadać wezwanie, spojrzał znad ekranu, otworzył usta ze zdumienia. W stronę biurka szedł wielkimi krokami Borfontein z Wellesleyem u jednego boku, Lechatem drugiego i oddziałem żołnierzy w zwartym szyku w straży tylnej. Wśród nich znajdowała się Celia i Malloy. Obaj wartownicy spojrzeli po sobie niepewnie.

Sierżant „S" na wpół podniósł się z krzesła. – Sir, ja nie... Ja myślałem...

Borfontein stanął sztywny i wyprostowany przed biurkiem. – Cokolwiek myśleliście, byliście w błędzie. Jestem nadal Najwyższym Dowódcą Wojskowym tej Misji i macie wykonywać moje rozkazy ponad wszystkie inne. Dać przejście.

Sierżant wahał się jeszcze chwilkę, po czym kiwnął głową do obu wartowników. Borfontein i jego grupa przemaszerowali przez wejście, przy którym Hanlon zaczął rozstawiać swoich wartowników. Z klatki schodowej z boku holu zmaterializowała się jeszcze jedna drużyna kompanii „D" i znikła w Centrum Telekomunikacji, zagarniając parę ogłupiałych sekretarek i urzędników, którzy nawinęli się po drodze.

Ale przy bocznym wejściu nie było Borfonteina, który mógłby uratować sytuację. – Nic mi o tym nie wiadomo – oświadczył z ekranu oficer służby „S" na pytanie, nadane przez wartę. – To są mylne rozkazy. Aresztować tych ludzi. – Dowódca warty przy biurku wyciągnął pistolet i wycelował w Maddocka, który stał o dziesięć stóp dalej, w miejscu, w którym został zatrzymany wraz z Hardingiem i Merringerem. W tej samej chwili dwaj „S"-mani stojący w głębi wzięli ich na cel swych automatów.

– P a d n i j ! – wrzasnął Maddock i cała trójka rozleciała się na boki, by wyjść z linii strzału, gdy rzucony zza odległego rogu granat dymny wybuchł przy wejściu. Ogień flankowy z korytarza pokrył całą przestrzeń, gdy oddział z kompanii „D" poderwał się do szturmu przez zasłonę dymną. Ale pierwszy z nacierających był jeszcze o dobre dwadzieścia stóp, gdy zapadły stalowe drzwi i w całym Centrum Rządowym rozległ się dźwięk alarmu.

Gdy dym zaczął się rozpraszać, Maddock wstał. Merringer był martwy, a dwóch innych trafionych. Jedyną szansę bezpieczeństwa dawało teraz dotarcie do holu frontowego, zanim Hanlon zostanie zmuszony go zamknąć i to pod warunkiem, że Hanlonowi się udało.

– Idź przodem z czterema ludźmi – wrzasnął Maddock do Hardinga. – Strzelaj do każdego „S"-mana po drodze. Już wiedzą, gdzie jesteśmy. – Zwrócił się do pozostałych. – Bierzcie tych dwóch i trzymajcie się mnie. Wy dwaj, zostać z Crosbym i kryć tyły. Okay, idziemy stąd w diabły.

malna reakcja u świeżo owdowiałej kobiety, powracającej do domu – czekała, aż jej eskorta wysiądzie. Gdy ukazała się w drzwiach, eskorta otoczyła ją i razem poszli ku głównemu wejściu. Ostatni strażnik niósł w każdej ręce walizkę. Celia była ubrana w obszerny płaszcz, ciemne okulary i chustkę na głowie, a pod nią miała perukę w kolorze własnych włosów.

Grupa weszła głównymi schodami. Na podeście dwaj „S"-mani stanęli na warcie przy drzwiach apartamentu, zaś strażnik z walizkami i gospodyni towarzyszyli jej do środka. „S"-man wniósł walizki do sypialni i postawił je otwarte na łóżku, po czym zajął miejsce w salonie. Gdy Celia zaczęła wybierać i pakować rzeczy z szuflad i półek, gospodyni podeszła do drzwi w głębi, przebiegła wnętrze łazienki pobieżnym spojrzeniem, sprawdzając, czy nie ma tam okien i innych wyjść i wyszła, stając z nieruchomą twarzą jak wartownik w drzwiach do salonu i usuwając się tylko, gdy Celia podeszła, by stamtąd zabrać papiery z biurka i inne drobiazgi. Celia wróciła do sypialni, włożyła papiery i drobiazgi do małej torby, którą nosiła sama, po czym skończyła pakowanie walizek. Wreszcie, z bijącym sercem, wzięła torbę i przeszła do łazienki, znikając z pola widzenia, lecz zostawiając za sobą drzwi otwarte.

Z trudem stłumiła łzy, widząc, jak Weronika spokojnie wychodzi z kabiny prysznicowej i otworzywszy szafki zaczyna wyjmować buteleczki, podczas gdy Celia zdjęła pantofle, zsunęła płaszcz i perukę. Nie było czasu na uśmiechy ani gesty uspokajające. Weronika włożyła pantofle Celii, a buty dyżurnego pokładowego do torby Celii. Na jej przystrzyżonej głowie doskonale zmieściła się peruka, płaszczem przykryła mundur, a na peruce zawiązała chustkę. W tym czasie Celia wkładała do torby buteleczki, słoiki, szczotki i tubki, aby odgłosy pakowania nadal trwały. Weronika pokazała palcem na szafkę, w której schowała kombinezon roboczy i raz skinęła głową. Wkładając ciemne okulary Celii mrugnęła uspokajająco okiem. Dokończyła pakować torbę, a Celia zniknęła pod prysznicem.

Gospodyni nie przyglądała się Weronice, wychodzącej z łazienki z torbą Celii w jednej ręce i przyciskającej drugą chusteczkę Celii do twarzy. Żałobna wdowa zatrzymała się na chwilę, rozejrzała po pokoju, skinęła na gospodynię i skierowała się do drzwi. Minęła salon, poczekała, aż strażnik przyniesie jej walizki i wówczas we troje dołączyli do wartowników, stojących na podeście. Grupa przyjęła pierwotny szyk i zaczęła schodzić po schodach.

Celia poczekała parę minut na wypadek, gdyby ktokolwiek po coś wracał, wyszła spod prysznica, znalazła odzież pozostawioną przez Weronikę i zużyła trochę czasu na jej włożenie i sznurowanie butów. Poprzednio pod peruką miała włosy wysoko podwiązane, ale przez chwilę przyglądała się sobie w lustrze, przymierzając czapkę i robiąc ostatnie poprawki, zanim uznała, że jest w porządku. Właśnie wchodziła do sypialni, by zaczekać, gdy usłyszała otwieranie drzwi salonu. Apartament wypełnił hałas poruszających się ludzi i nawołujące głosy. W chwilę później w drzwiach do salonu ukazał się Colman. Celia odruchowo chciała do niego podbiec, ale zatrzymał ją, rzucając jej w twarz przyniesiony przez Weronikę rulon pianogumy. Złapała go w locie. – Jesteś w wojsku – krzyknął. – Nie siedź na tyłku.

Było to dobre posunięcie. Celia opanowała się, wzięła rulon na ramię pod takim kątem, by zakrywał jej kark i poszła do salonu. Colman szedł przed nią, aż stanął, patrząc przez drzwi wejściowe. Żołnierze wchodzili i wychodzili w oszałamiającym bałaganie. Nagle wskazał jej gestem, by wyszła. Poczuła jak we śnie, że idzie w dół po schodach między dwoma żołnierzami, którzy bez pauzy przekrzykują się na temat, że coś nie jest wystarczająco duże i że gdzieś coś w typowy sposób spieprzono i nagle znalazła się na powietrzu, idąc przez tylny parking do stojącego niedaleko wśród innych pojazdów wojskowego transportera osobowego. A po tym już była w kabinie, nie wiedząc, jak tam wsiadła. Szybko i cicho w ciemności zmaterializowały się postacie ludzkie i wskoczyły za nią do środka. Ostatnia zamknęła drzwi, motor zapalił i Celia poczuła, że unoszą się w górę. Dopiero wówczas zaczęła się trząść.

– Nigdy nie mów, że płacisz na darmo podatki – zapewnił ją siedzący obok, uśmiechnięty Colman. Ledwie widoczny w słabym światełku zapalonego przez któregoś z żołnierzy papierosa. Ale Celia przez tyle czasu dzisiaj milczała, że nie umiała od razu wydobyć głosu. W ciemności znalazł jej ramię i krótko, uspojająco uścisnął. – Wszystko będzie w porządku – mruknął. – Załatwiliśmy ci pewne miejsce i wszystko co trzeba, byś jeszcze tej nocy wydostała się z Phoenixa. Pojadę z tobą do Franklina.

– A co z Weroniką? – szepnęła.

– Nasz oddział w bazie czeka na nią. Wyciągną ją stąd, a Chirończycy przyślą kogoś, kto ją odbierze.

Celia opadła na siedzenie i zamknęła oczy, skinąwszy z westchnieniem ulgi. Któraś z postaci w ciemności koniecznie chciała się dowiedzieć, skąd ktoś, zwany Stanislauem, wie jak się lata czymś takim. Inny głos odpowiedział, że jego ojciec zajmował się kradzieżami czegoś właśnie takiego z magazynów rządowych.

Colman przyglądał się Celii jeszcze przez chwilę. Nadal nie wiedział, czemu tak rozpaczliwie starała się uciec od Sterma i jakie niebezpieczeństwo jej groziło. Rozumiał, że życie z kimś takim, jak Howard, nie było wcale zabawne, więc uznał, że jej zwrócenie się do kogoś silnego i opiekuńczego jak Sterm nie było takie dziwne. I byłoby naturalne, że zostałaby przy Stermie po zabójstwie Howarda. W takich okolicznościach otoczenie jej strażą podczas podróży na powierzchnię dla jej własnego bezpieczeństwa też wyglądało naturalnie. Ale pilnowanie jej przez cały czas i nie pozwalanie na kontakt z nikim, tu nie pasowało. Weronika powiedziała, że Celia nie podała jej żadnych informacji i że jej nie naciskała o żadne. Colman w to wierzył, gdyż takie właśnie między nimi panowały stosunki - podobne do tych, które łączyły jego z Sirocco. Ale teraz, gdy bezpośrednie zagrożenie zniknęło i wszyscy mieli chwilę wytchnienia, nie mógł powściągnąć ciekawości.

*

W tylnym przedziale pasażerskiego promu, gotowego do odlotu ze stanowiska piątego bazy Canaveral, siedziała Weronika, trzymając w dłoni dużą szklankę martini i spokojnie badając potok ruchu wokół niej i jej eskorty. Ruch zbliżał się do szczytu, pasażerowie przybywali regularnie, a załoga bez przerwy krążyła tam i na powrót. Ale nie było dość czasu, by zapamiętać większość twarzy. Gospodyni wyraźnie nie uważała, by udział w pakowaniu czy niesieniu pakunków należał do jej obowiązków; trzymała się na dystans, jako czysto bierny obserwator i nie było powodów, by zmieniała teraz te rolę.

Weronika wydała głośne westchnienie, gdy szklanka wyśliznęła jej się z palców, a zawartość rozlała po płaszczu. Jednym ruchem chwyciła torbę i wstała z fotela, eskorta tylko na chwilę podniosła oczy, gdy śpieszyła w stronę rufy, trzymając płaszcz z dala od ciała i strzepując płyn dłonią. Gospodyni nie wstała z miejsca po drugiej stronie kabiny; na rufie było jeszcze tylko trochę foteli, toaleta i szafki należące do załogi. Dyżurna z krótkimi rudymi włosami, przechodząca z kocem pod pachą i znikająca w przedniej kabinie w mniej niż dziesięć sekund później, była zjawiskiem tak naturalnym, że nikt z eskorty nawet jej nie zauważył.

Rozdział XXXII

Celia, znów bardziej podobna do siebie, w swetrze i spódnicy otrzymanej od Jean, siedziała przy stole jadalnym w salonie Fallowsów, ściskając w obu dłoniach kubek mocnej czarnej kawy. Była blada i wyczerpana; od chwili przybycia przed czterdziestu minutami z Colmanem przez tylne wejście, powiedziała niewiele. Maglew do Franklina nie kursował, stacja końcowa w Cordova Village była zamknięta, ale system tuneli pod osiedlem pozwalał na skryte podejście; Colman nie chciał zwracać niczyjej uwagi lądowaniem wojskowego transportera pasażerskiego na trawniku.

– Czujesz się trochę lepiej? – spytała Jean, dolewając do kubka Celii. – Czy na pewno nie chciałabyś położyć się i odpocząć przez pół godzinki, zanim odjedziesz? Dobrze by ci to zrobiło. – Celia potrząsnęła głową. Jean kiwnęła z rezygnacją i postawiła dzbanek na podgrzewaczu, po czym usiadła między Celią i Marie.

Po drugiej stronie pokoju, w zagłębionej części pod ekranem ściennym Bernard, Lechat, Colman i Jay wrócili do rozmowy. – Nie wiemy dokładnie, czym oni dysponują, ale to jest absolutnie niszczące – rzekł Jay do Colmana. – Oceniamy, że już to wypróbowali. Na jednym z księżyców powstał dodatkowy krater – pareset mil średnicy – którego nie było rok temu. Wyobraźcie sobie, że to, co tak zrobiło, trafia w statek.

– Myślisz, że istnieje taka możliwość? – spytał Colman, z miną jednocześnie zatroskaną i nieufną.

– Przecież Chirończycy przez cały czas ku temu zmierzali – powiedział Lechat. – Robili wszystko co w ich mocy, by odciągnąć tylu ludzi ile się da od przeciwników i przeciągnąć na swoją stronę. Czy nie zrobili tego z nami? Kiedy tamci stopnieją do garstki, która nigdy nie zdoła przyswoić sobie chirońskiego sposobu myślenia, pozbędą się jej tak, jak pozbyli się Padawskiego. Ich społeczeństwo zawsze funkcjonowało na tej zasadzie; gdy zostaje kilku ostatnich, którzy nie chcą nabrać za żadną cenę rozsądku, nie

bierania się za „S"-manów. Jedyną alternatywę zaproponował Armley: blef, poparty przez informację spreparowaną przez Stanislaua - jakoby wewnątrz kompleksu rządowego obok „S"-manów warty miała objąć armia, i to przy pomocy posiłków z kompanii „D". Plan był oczywiście ryzykowny, ale trzy równoczesne próby, dokonane niezależnie przy trzech wejściach, zwiększą szanse; ponadto był to sposób na przedostanie się odpowiednich ludzi dostatecznie blisko. Sirocco na koniec się zgodził. Jeśli uda się ta faza operacji, będą od tej chwili działać zależnie od okoliczności. Największe niebezpieczeństwo stanowiła możliwość przybycia, zanim sytuacja zostanie opanowana, posiłków „S" z wartowni koło głównego wejścia do kompleksu Centrum Rządowego, położonej zaledwie o kilkaset stóp na tym samym poziomie. Tu właśnie zaczynała się rola, którą miał odegrać Bernard Fallows.

Stanislau cofnął się od kompaku i oświadczył, że zmiany zostały dokonane. Sirocco zerknął na ekran, sprawdził wprowadzone przez Stanislaua modyfikacje systemu wart i skinął głową. Spojrzał na Colmana i Driscolla, czekających przy ciągle otwartych drzwiach. – Okay, kości zostały rzucone – powiedział. – W drogę. Powodzenia.

– Tobie też – odrzekł Colman. Ruszył z Driscollem w stronę przedniej części Wrzeciona, aby dołączyć do Swyleya, który, jeśli wszystko dobrze poszło, powinien już organizować blokadę Modułu Bojowego przy pomocy ludzi, ściągających z różnych stron statku.

Sirocco zamknął za nimi drzwi, zatrzaskując je tylko na jedną zasuwę szybkozwalniającą, by mieć drogę odwrotu na wypadek trudności i odwrócił się twarzą do garstki ludzi, która mu pozostała. – Idziemy – powiedział.

Przeszli przez przedział maszynowy w tym samym kierunku, co inni, przez komorę oprzyrządowania i do góry przez dwie kondygnacje stalowych schodów, powracając do samego Centrum Rządowego z tyłu za nieczynnymi od ukończenia lotu biurami, wykorzystując przejście w grodzi – otwarte przez schodzących na dół Colmana i Driscolla. Po ludziach, którzy wyruszyli przed nimi, nie było znaku życia. Tutaj grupa rozeszła się w trzech kierunkach.

Stanislau i dwaj inni, poruszając się ostrożnie i wykorzystując po drodze ukrycia, jako że znajdowali się w częściach Centrum nadal używanych, skierowali się do magazynu przy holu frontowym Centrum Telekomunikacji, by dołączyć do zespołu Hanlona, obecnie powiększonego o Celię, Malloya i Fullera. Sirocco z trzema ludźmi poszedł do punktu zbornego drugiej grupy na podejściu do tylnych kuluarów, a Bernard ze swoją skrzynką narzędziową wybrał się niedbałym krokiem na samotny spacer w stronę korytarza, łączącego Centrum Telekomunikacyjne z głównym wejściem do kompleksu rządowego.

*

W kwadrans później, w biurze wychodzącym na korytarz do tylnych kuluarów Centrum Telekomunikacji, oburzony kierownik i dwie sterroryzowane urzędniczki, siedzieli na podłodze z rękami założonymi na głowy, pod bacznym spojrzeniem jednego z żołnierzy, którzy wpadli tu niespodzianie, wymachując karabinami i działami szturmowymi. – Co wy tu próbujecie wyrabiać? – spytał kierownik trzęsącym się ze zdenerwowania głosem. – Nie chcemy mieć nic wspólnego z czymś takim.

– Zamknij się, nie ruszaj się, a nie będziesz miał – odrzekł półgłosem Sirocco, nie spuszczając oczu z krawędzi przymkniętych drzwi. – Tak sobie tylko spacerujemy. – Po krótkim milczeniu Sirocco szepnął w napięciu: – Idą tutaj... tylko dwóch i sierżant. Uwaga! Jeszcze dwóch typów rozmawia przy automacie z kawą. Ich też trzeba chwycić. Faustzman, zajmiesz się nimi. – Żołnierze skupili się za nim w pogotowiu, jeden został, by pilnować ludzi na podłodze. W korytarzu „S"-mani, którzy mieli zmienić wartę przy kuluarach, prawie zrównali się z drzwiami.

– Stój! – Sirocco pojawił się przed nimi z wyciągniętym pistoletem, obok niego Stewart miał ich na muszce działa szturmowego. Nim „S"-mani pojęli, co się dzieje, z tyłu celowało do nich jeszcze dwóch żołnierzy. Rozbrojono ich w mgnieniu oka, Sirocco szorstkim ruchem broni wepchnął ich w otwarte drzwi, Faustzman zaś przygonił dwóch zdumionych cywilów od automatu kawowego. W chwili, gdy zamykały się drzwi biura, dwie kobiety wyszły zza rogu korytarza i nic nie zauważywszy, przeszły mimo, pogrążone w rozmowie. W chwilę później Sirocco na czele dwóch żołnierzy wyszedł z biura. W korytarzu uformowali się w szyk i pomaszerowali równym krokiem w kierunku kuluarów.

Kapral „S" na punkcie ochronnym tylnych kuluarów był zaskoczony, gdy z oddziałem zmiany warty

Gdy wartownicy znów się odwrócili, żołnierze już wychodzili zza rogu, szybko nacierając na nich z dwoma sierżantami na czele. „S"-mani odruchowo sięgnęli po pistolety, lecz kabury były puste. Przez trzy decydujące sekundy byli zbyt zmieszani, by sięgnąć do przycisku alarmowego na ściennej tablicy za nimi. Te trzy sekundy wystarczyły Hanlonowi i Colmanowi na przebycie pozostałej odległości.

Więźniowie zamknięci w pokoju spojrzeli po sobie zdziwieni, gdy zza drzwi dobiegły stłumione uderzenia. Steward, który właśnie przyniósł kolację, otworzył drzwi i do środka wpadli żołnierze w battledresach. Wellesleyowi dech zaparło, gdy ujrzał wśród nich Lechata.

– Paul! – krzyknął. – Gdzieś się chował? Jesteś jedynym, którego nie złapano. Co...

Lechat uciszył go machnięciem ręki. – Bądźcie wszyscy cicho – zwrócił się do całej grupy, otaczającej go ze zdumieniem. – Wszystko jest okay. – Drugim gestem przywołał Borfonteina. Przez drzwi żołnierze wciągnęli dwóch nieprzytomnych strażników, dwaj żołnierze już przebierali się w mundury „S", steward zaś podawał im pistolety, które wyciągnął spod trzymanej w ręku serwetki.

– Nie mamy wiele czasu – ostrzegł Lechat Wellesleya i Borfonteina. – Musimy przedostać się z wami na dół i do Centrum Telekomunikacji. Teraz słuchajcie, to wam krótko streszczę sytuację...

Nie upłynęło pięć minut, gdy wyruszyli, zostawiając Colmana i jednego z żołnierzy wewnątrz wraz z więźniami i dwoma strażnikami, sztywno stojącymi na warcie w korytarzu, gdzie wszystko wyglądało normalnie. Hanlon zabrał Wellesleya, Borfonteina i Lechata do magazynu koło Cenrum Telekomunikacji, gdzie mogli posiedzieć w ukryciu. Colman podążył za Drisacollem do przedziału maszynowego na najniższym pokładzie, skąd awaryjne drzwi, nie strzeżone, lecz zamknięte od zewnątrz i zabezpieczone systemem alarmowym, prowadziły przez salę silników zespołu wind biur administracyjnych, przyległych do Centrum Rządowego. Colman obejrzał, sprawdził i wyłączył system alarmowy. Sprawdził raz jeszcze swoją robotę i skinął Driscollowi, czekającemu koło drzwi. Gdy Driscoll otworzył zasuwy i pchnął drzwi na zewnątrz, Colman wstrzymał oddech. Nie było alarmu. Po drugiej stronie czekał Sirocco z Bernardem Fallowsem, ubranym w inżynierski kombinezon i niosącym skrzynkę narzędziową.

– Wspaniała robota, Steve – mruknął Sirocco, wchodząc. Z ciemności za jego plecami wślizgiwały się ukradkiem kolejne postacie. – Jak sobie poradził Zdumiewający Driscoll?

– Najlepszy numer jego życia. Tutaj wszystko okay?

– Tak wygląda. Co z Borfonteinem i Wellesleyem? – Zza pleców Sirocca ukazała się Celia, eskortowana przez Malloya i Fullera. Za nimi, niosąc polowy kompak, szedł Stanislau.

Colman kiwnął głową. – Schowani w magazynie z Hanlonem i Lechatem. Gdyśmy odchodzili, na górze była cisza.

W drzwiach w głębi ukazała się ostatnia z przybyłych postaci. Sirocco zwrócił się do Malloya: – Okay, wiesz, dokąd iść. Hanlon i reszta już tam powinni być. – Malloy skinął głową.

– Jednak zrobimy z ciebie żołnierza – powiedział Sirocco do Celii. – Świetnie sobie radzisz. Jesteśmy prawie na miejscu. – Celia odpowiedziała słabym uśmiechem, ale milczała. Wraz z resztą przeszła na drugi koniec pomieszczenia. Tymczasem Stanislau już włączył kompak i wywoływał na ekran zakodowane wiadomości. Ćwiczył to przez cały dzień i teraz szybko dotarł do planu rozmieszczenia posterunków „S" w Centrum Rządowym.

Obecnie miała nastąpić najdelikatniejsza część operacji. Informacje uzyskane przez Stanislaua potwierdziły, że zewnętrzne wejścia do kompleksu rządowego, które już ominęli, były najsilniej strzeżone. Natomiast trzy wewnętrzne przejścia do samego Centrum Telekomunikacji, główny hol od frontu, tylne kuluary i boczne wejście, używane przez pracowników, były obsadzone przez znacznie mniej groźne, trzyosobowe zespoły ochronne. Cały problem z tymi zespołami nie polegał na oporze fizycznym, który mogłyby stawić, lecz na tym, że były w stanie zamknąć pancerne, poruszane silnikami elektrycznymi drzwi Centrum, oraz na pierwsze oznaki czegoś podejrzanego podnieść alarm. Pozostawiłoby to oddział Sirocco odcięty na zewnątrz, bez nadziei osiągnięcia celu, natomiat z niewesołą perspektywą: albo bić się do końca, albo poddać posiłkom „S", które pojawią się na miejscu w ciągu minut. Z drugiej jednak strony, jeśli Sirocco uda się przeniknąć ze swymi ludźmi do środka, sytuacja się odwróci.

Wymagać to będzie, aby grupa ludzi zbliżyła się bezpośrednio do przynajmniej jednego z punktów chronionych, bez zwracania podejrzeń – i to grupa zbrojna, gdyż mając do czynienia z uzbrojonymi strażnikami, nie może wystąpić przeciw nim bez broni. Znowu Malloy sprzeciwił się pomysłom prze-

cackają się z nimi. I to samo zrobią ze statkiem, jeśli Sterm wykona choć jedno posunięcie stanowiące groźbę, z tą bronią tam na górze. Jestem o tym przekonany. Chirończycy zabezpieczyli się dawno temu. To jest typowe dla ich sposobu myślenia.

Colman, pomyślawszy o tym, zmarszczył czoło i potrząsnął głową z westchnieniem. – Ale na pewno nie uderzą bez ostrzeżenia – gdy jeszcze tylu ludzi jest tam w górze – przekonywał. – Czyżby mogli nie uprzedzić o tym... nie powiedzieć Stermowi, co mu grozi?

– Nie wiem – powiedział z powątpiewaniem Bernard. – Tu na planecie jest o wiele więcej osób, a cały ich sposób życia jest zagrożony. Może więc nie uprzedzą. Kto wie, jak myślą Chirończycy, gdy sytuacja jest podbramkowa? A może uważają, że ludzie potrafią całą resztę sami sobie obliczyć?

Przy stole, gdzie siedziały Celia i Jean, Marie – która słuchała w milczeniu niewiele rozumiejąc – spojrzała pytająco na matkę.

– Więc co oni mają? – ponowił pytanie Colman. – Rakiety byłyby im na nic i o tym wiedzą. „Mayflower II" może zatrzymać rakiety, zanim dolecą na dziesięć tysięcy mil. A broń promienista z powierzchni nie da wyników. – Rozłożył ręce pytająco. – Na orbicie mają niemal same standardowe przekaźniki telekomunikacyjne i satelity obserwacyjne. Oba księżyce są poza zasięgiem rzutników promieniowania. Więc co może być jeszcze?

– Z tego, co mówi Jerry Pernak, wynika, że to ma coś wspólnego z antymaterią – powiedział Jay. – Chirończycy korzystają z zupełnie nowej teorii cząstek elementarnych. To znaczy, że mogą tanio produkować masę antymaterii. Mogą z tego robić bomby anihilacyjne materia-antymateria, tworzyć superintensywe źródła promieniowania, a może... kto to wie? Ale to musi być coś w tym rodzaju.

Wzmianka o antymaterii coś Colmanowi przypomniała. Oparł się o kanapę i starał się przypomnieć coś z przeszłości. Przechylił głowę na bok i spojrzał na Bernarda. – Czy wiesz, że Chirończycy przebudowywali „Kuan-yin" na statek na antymaterię? – zapytał.

Bernard pochylił się do przodu, nagle poważniejąc. – Nie, nie wiedziałem – odpowiedział.

Jay i Colman patrzyli na siebie, obaj dochodząc równocześnie do tego samego wniosku. – To jest to – mruknął Jay.

Bernard miał poważną i zamyśloną minę. – Uderzenie promieniste napędem na antymaterię jest w stanie wybić dziurę w kontynencie każdej planety, która by się znalazła w pobliżu startującego statku po jego niewłaściwej stronie – szepnął na wpół do siebie. – Był przez cały czas na orbicie, tuż pod naszym nosem. Mają największy projektor radiacji jaki można wymyśleć, właśnie tutaj – krążący w przestrzeni obok „Mayflower II". Napakowali weń dzieci i zabawnych robotów i myśmy tego nie zauważyli.

Gdy nad tym zaczęli myśleć, zapadła długa cisza. A więc od chwili wejścia na orbitę okołochirońską, za „Mayflower II" szła jak cień broń zdolna w mgnieniu oka rozbić go na atomy. A kamuflaż był doskonały: przecież sami Ziemianie ją tam umieścili. Było to najbardziej zabójcze narzędzie śmierci, kiedykolwiek wymyślone przez rasę ludzką. Nic dziwnego, że Chirończycy mogli przebić każdą stawkę rzuconą na stół i udawać, że biorą się na każdy blef. Mogli pozwolić, by bank urósł tak wysoko, jak ktokolwiek sobie zechce i czekać na koniec licytacji; przez cały czas mieli wygrywające karty. Czy też Smitha i Wessona, o których Czang wspomniał wtedy u Shirley – może nie całkiem żartem?

– Może nie tylko myśmy zauważyli, że w Remusie jest dodatkowa dziura? – powiedział na koniec Jay. – Chcę powiedzieć, że przecież przyleciało z nami dosyć naukowców i mają dostęp do chirońskich nagrań, tak łatwy, jak każdy. Chirończycy nie robią wielkich tajemnic z badań fizycznych.

– Mogli mieć dostęp – zgodził się Bernard. – Ale czy go szukali? Ze sposobu, w jaki działa Sterm, to nie wynika.

Jay wzruszył ramionami. – A może myśli, że ma przeważające nad nimi szanse w pojedynku ogniowym? A może po prostu jest wariatem?

Lechat już przemyślał, wyciągnął wnioski i był zaniepokojony. – A może Chirończycy już dali ostrzeżenie, tylko nikt go nie zrozumiał? Przecież można sądzić, że już dali znać, iż zbliżają się do sytuacji przymusowej?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Colman.

Lechat niespokojnie spojrzał w stronę Celii, a potem z powrotem na nich. – Howard Kalens – powiedział zniżonym głosem. – Czy to nie mogło być ostatnie ostrzeżenie? Spójrzcie, jaki to efekt wywarło na

armii, choć tam ani umieją wyciągnąć z tego właściwych wniosków. – Spojrzał na Jaya. – Nie sądzę, żeby oni tam przeliczyli się. Musieli tak zrobić.

Bernard wyprostował się i odetchnął głęboko. Miał właśnie coś powiedzieć, gdy przerwał mu Jeeves, by zapowiedzieć rozmowę z chirońskiej sieci. Była to Kath, mówiąca ze swego domu we Franklinie. Gdy Bernard przyjął połączenie, powiedziała: – Miałam wiadomości od Caseya. Odebrał pakunek wraz z Adamem i wiozą go do domu. Przyszło mi do głowy, że chcielibyście o tym wiedzieć.

Wesołe uśmiechy rozjaśniły ponurą atmosferę, panującą w pokoju. Przy stole Jean głośno westchnęła z ulgą. Bernard wyszczerzył zęby do ekranu. – Dziękujemy – powiedział. – Wszystkich nas to ucieszyło. Wkrótce wywołamy cię znowu. – Kath rzuciła im szybko uśmiech i znikła z ekranu.

– Weronice się udało! – krzyknęła uszczęśliwiona Jean. – Steve, nie mam w ogóle pojęcia, jak to zrobiłeś.

– Opłaca się mieć przyjaciół – mruknął Colman.

– Gratulacje, Steve – rzekł uśmiechnięty Bernard. – Ciekaw jestem, co się teraz dzieje z tymi strażnikami.

– Bardzo się cieszę – powiedział cicho Lechat. Jay uśmiechnął się, a także Marie, bo musiały to być dobre nowiny.

Dziwne było tylko, że na Celii nie zrobiło to wrażenia. Nadal siedziała wpatrzona w kubek w rękach, z tym samym wyrazem twarzy. Jej nieoczekiwana reakcja spowodowała, że reszta zebranych zamilkła i niepewnie patrzyła na nią. Wówczas Jean odezwała się z wahaniem: – Nie wydaje się, Celio, by to na tobie zrobiło wrażenie. Czy coś jest nie tak?

Zdawało się, że Celia nic nie usłyszała. Myślami ciągle była przy rozmowie sprzed telefonu od Kath. Po krótkim milczeniu odezwała się nie poruszywszy głową: – To nie było ostrzeżenie od Chirończyków.

Zebrani wymienili zdziwione spojrzenia. Jean potrząsnęła głową i zwróciła się do Celii: – Wybacz, ale nie chwytam. Czemu?

– Chirończycy nie zabili Howarda – oświadczyła Celia. – Ja to zrobiłam.

Zapadło milczenie, jakby stalowe kurtyny oddzieliły pokój od reszty świata. Trzy proste słowa usunęły w cień w jednej chwili wszelkie myśli o „Kuan-yin", broniach i antymaterii. Wszystkie twarze zwróciły się z wyrazem niewiary ku Celii, która nadal siedziała patrząc przed siebie. Lechat wstał z fotela i wolno do niej podszedł; po krótkim wahaniu reszta poszła za jego przykładem. Chciał coś powiedzieć, ale zaczęła Celia, dalekim i bezbarwnym głosem i z nieruchomym wzrokiem, jakby ciągle zwracała się do trzymanego w rękach kubka.

– Nie mogłam dłużej spędzać życia z człowiekiem, który zamknął swój umysł na rzeczywistość. Nie macie pojęcia, co to było. Stworzył sobie własną fikcję, a ode mnie oczekiwał, że będę ją dzielić i pomogę podtrzymywać. To było niemożliwe. – Przerwała, by przełknąć trochę kawy. – Więc, to ze Stermem... zdarzyło się... Howard się dowiedział... – Celia zamknęła oczy, jakby chciała odegnać wspomnienie czegoś, co ujrzała znowu. – Zupełnie stracił panowanie nad sobą... biliśmy się, i... – Zamilkła. Po paru sekundach otworzyła oczy i patrzyła tępo przed siebie. – Może chciałam, żeby się dowiedział... sprowokowałam to. Widzicie, po tylu latach wiedziałam w głębi duszy, że nie mogę po prostu ani odejść, ani ot tak sobie go zostawić. Co mi jeszcze zostało? – Oczy jej nagle napełniły się łzami, podniosła chusteczkę do twarzy.

Jean zagryzła wargi, zawahała się na chwilę i wreszcie położyła pocieszająco dłoń na jej ramieniu. – Nie powinnaś tak myśleć – powiedziała z naciskiem. – Chcesz wziąć całą winę na siebie, i...

Celia podniosła nagle głowę, patrząc na Lechata. – Ale ja strzeliłam do niego tylko dwa razy, a nie sześć, jak to znaleźli żołnierze. I kiedy wychodziłam, nie było żadnego włamania do domu. Czy rozumiesz, co to znaczy?

Lechat patrzył na nią, ale jeszcze nie potrafił dojść do wszystkich wniosków. Koło niego Colman zacisnął szczęki. – Ktoś to zaaranżował tak, by wyglądało, że to zrobili Chirończycy – wychrypiał.

Bernardowi opadła szczęka. – Sterm? – wyszeptał bez tchu i spojrzał na Celię. – Powiedziałaś mu?

Celia skinęła głową. – Tego samego wieczoru, jak tylko dostałam się na statek. Myślę, że miałam atak histerii czy coś podobnego. Ale... tak, powiedziałam mu.

Lechat wolno pokiwał głową. – I w parę godzin załatwił, że ktoś to upozorował na operację z zewnątrz

Wszystkie wejścia do samego Centrum były strzeżone. Sirocco zaproponował, by przebrać oddział w mundury „S" i otwarcie poprowadzić Lechata i Celię do głównego wejścia, odgrywając komedię, że eskortują dwoje aresztowanych uciekinierów. Ale Malloy postawił veto, ponieważ tego rodzaju podstęp nie ostałby się wobec obowiązującej w „S" procedury bezpieczeństwa. Lechat zaproponował więc sposób mniej dramatyczny i mniej ryzykowny. Jako stały klient Françoise od wielu lat, był bliskim przyjacielem kierownika i wielokrotnie po zamknięciu zakładu dyskutował do późnej nocy o polityce z pracownikami. Wszyscy oni znali Lechata, on zaś był pewien, że może na nich polegać. Zwrócił uwagę, że kuchnie restauracji mieszczą się o jeden poziom wyżej i obsługują również stołówkę w Centrum Rządowym. Musiały więc istnieć urządzenia na zapleczu Françoise, łączące oba piętra: dźwigi służbowe, pochylnie dla bielizny stołowej, zsypy na śmieci.

Grupa dotarła do mało używanego przejścia między lokalem Françoise i sąsiednimi zakładami, żołnierze czekali w cieniu wejść i klatek schodowych dla personelu. Lechat zapukał cicho do tylnych drzwi restauracji. Otworzyły się po paru chwilach i Lechat znikł wewnątrz. W kilka minut później drzwi otwarły się ponownie, Lechat ukazał się, spojrzał w jedną, w drugą stronę i do góry, po czym szybkim gestem przywołał oczekujących.

★

W izolowanym skrzydle, wysoko na szczycie jednego z wieżowców Centrum Rządowego, steward w białej kurtce, który wyemigrował z Anglii do Ameryki i został powołany w skład Misji wskutek omyłki komputera, popychał, pogwizdując bezgłośnie przez zęby, barek na kółkach, ze stosem używanych talerzy, w kierunku garmażerii dostarczającej posiłków i napojów dla konferencji, zebrań i innych spotkań, odbywających się w tej części dzielnicy. Nie wiedział, co sądzić o ostatnich wydarzeniach i w gruncie rzeczy szczególnie go one nie obchodziły. Było mu wszystko jedno. Najpierw na górze był Wellesley i zamawiano dwanaście porcji sałatki z drobiu i deser; później Wellesleya nie było, a na górze był Sterm i zamawiano dwanaście porcji sałaki z drobiu i deser. Nie robiło mu najmniejszej różnicy, kto...

Wysunięta zza pleców ręka zatkała mu usta i został błyskawicznie wciągnięty do schowka koło spiżarni. Ręka trzymała go w żelaznym uścisku, a jakiś żołnierz w battle-dresie zagarnął do środka barek z korytarza i zamknął drzwi. Było tam więcej żołnierzy i jeden cywil. Wyglądali na wściekłych i nie w nastroju do żartów.

– Ci ludzie zamknięci w pokojach wzdłuż korytarza Osiem-E – szepnął z lekkim irlandzkim akcentem niższy z sierżantów. – Nosisz im tam jeść? – Steward przełknął ślinę i szybko kiwnął głową. – Kiedy ma być kolacja?

– Za jakieś dziesięć minut – odrzekł steward. – Mam podobno wziąć ją tutaj obok – teraz, zaraz. – W głębi jeden z żołnierzy odpinał pas i zdejmował bluzę.

– Wyskakuj z kurtki i kamizelki – rozkazał irlandzki sierżant. – A podczas tego możesz nam opowiedzieć po kolei, co zwykle robisz.

★

W korytarzu 8E przed kwaterą internowanych, dwóch „S"-manów stało nieruchomo na warcie z kamiennym wyrazem twarzy. Zza rogu na końcu korytarza pojawił się Driscoll w pełnym stroju stewarda, popychając barek na kółkach, wysoko załadowany talerzami z kolacją. W połowie długości korytarza barek lekko zboczył z drogi z powodu właśnie uszkodzonego kółka jezdnego, ale Driscoll naprostował wózek i popychał go dalej, aż zatrzymał się przed wartownikami. Jeden z nich przyjrzał się jego odznace identyfikacyjnej i kiwnął głową, drugi odwrócił się, by otworzyć drzwi z klucza. Gdy Driscoll znów popchnął barek, ten zatoczył się i wpadł na bliższego strażnika, przez co zupa w niedbale przykrytej wazie chlupnęła i parę kropel rozlało się na mundur wartownika.

– O, Chryste! – Driscoll zaczął uwijać się z serwetką, by je wytrzeć. Równocześnie udało mu się zamoczyć drugi róg serwetki w zupie i chlapnąć nią na rąbek bluzy drugiego wartownika, właśnie gdy odwracał się do drzwi.

Driscoll jęknął rozpaczliwie i zaczął wycierać plamy, ale został ostro odepchnięty. – Zjeżdżaj, ty niezdarny dupku – warknął strażnik. Driscoll chwycił w panice kierownicę wózka i przeleciał z nim przez drzwi.

zdjęciami, zrobionymi dziś rano – powiedział. – Wszystko wskazuje, że Chirończycy ewakuowali statek, co podtrzymuje twierdzenie, że jest on przygotowywany do akcji.

Sterm w milczeniu przyglądał się obrazowi. Po pewnym czasie odezwał się jeden z obecnych pułkowników: – Przestudiowaliśmy to dokładnie. Nie ma reflektorów pomocniczych ani niczego, co by można uważać za uzbrojenie dodatkowe. Jedyny kierunek, w jakim może strzelać, jest od rufy z misy ogonowej. Przy ośmiu rakietach szanse, że przynajmniej jedna trafi, są powyżej dziewięćdziesięciu ośmiu procent. Przy szesnastu szansa nie trafienia jest już taka, że bardziej do zera zbliżyć się nie można.

„Kuan-yin" krążyła po niższej, a więc asynchronicznej wobec „Mayflower II"' orbicie. W rezultacie co trzy i ćwierć godziny bryła Chirona rozdzielała statki na czas trzydziestu dwóch minut. Gdy „Mayflower II" będzie osłonięty przed ogniem odwetowym „Kuan-yin", zostanie wyrzuconych szesnaście rakiet Devastator. Jedna salwa została zaprogramowana na lot koszący przy powierzchni planety, co pozwoli im szybko wznieść się z punktów położonych wokół obwodu Chirona; druga natomiast, wystrzelona parę minut wcześniej, wyleci wielkim łukiem w przestrzeń kosmiczną, zawracając w kierunku rufy „Kuan-yin" z różnych stron, z okresami przelotu tak wyliczonymi, by uderzyły na broń chirońską równocześnie. Masa tej wielkości co „Kuan-yin" nie jest w stanie szybko manewrować, a komputerowe symulacje najbardziej niepomyślnych wyników wykazały druzgocącą przewagę szans udania się ataku, bez względu na to, jaka taktyka obronna zostanie zastosowana.

– Czy obliczenia i symulacje zostały zweryfikowane? – wyrzekł Sterm, patrząc na Gaulitza.

– Dokładnie i wielokrotnie. W żadnym momencie nie istnieje ryzyko, na które „Mayflower II" mógłby być wystawiony – odpowiedział Gaulitz.

Więcej istotnych punktów do dyskusji nie było. Harmonogram został zatwierdzony, a Stormbel nadał z terminalu sygnał kodowy, potwierdzający prowizoryczne rozkazy, już wprowadzone do ściśle tajnego komputera w Centrum Telekomunikacji, położonego na niższym poziomie Dystryktu Kolumbia.

W tej samej prawie chwili, wewnątrz pamięci mniej ściśle tajnego komputera logistycznego, mieszczącego się na tym samym piętrze, wszystko, co w dziennym rozkładzie zajęć odnosiło się do kompanii „C", nagle i tajemniczo zmieniło się w polecenia, odnoszące się do kompanii „D". Równocześnie rozkaz dla kompanii „D" pozostawania w pogotowiu w koszarach aż do następnego polecenia, przekształcił się w identyczny rozkaz dla kompanii „C". W dziesięć minut później zaniepokojony pisarz w Phoenixie podał zmianę do wiadomości kapitana Blakeneya, dowódcy kompanii „C". Blakeney, jak najdalszy od kwestionowania jej, polecił pisarzowi wysłać sygnał przyjęcia do wiadomości i z przyjemnością wrócił do łóżka. Transmisja wchodząca uruchomiła wewnątrz komputera na „Mayflower II" instrukcję, która nie powinna była tam się znajdować; program przeskanował informację, zidentyfikował ją jako oznaczoną identyfikatorem kodowym przydzielonym kompanii „C", po czym spokojnie ją wymazał.

Rozdział XXXVI

Wczesnym wieczorem Sirocco zgłosił się w biurze Kontrolera Transportu w bazie promowej Canaveral, meldując, że kompania „D" przybyła do załadunku zgodnie z rozkazem. Od rana już zarezerwowano w tym celu środki transportu. Kontroler tylko więc uniósł lekko brwi i sprawdził w komputerze, że zaszła zmiana. Nie robiło mu żadnej różnicy, którą z kompanii armia zdecydowała przesunąć na statek, przynajmniej tak długo, póki jej liczebność nie przekraczała oczekiwanej. W godzinę później kompania w doskonałym porządku wymaszerowała z promu, zaś odmaszerowawszy dalej z obszaru dokowania w Vandenberg, dyskretnie rozproszyła się ku swym różnym punktom przeznaczenia na „Mayflower II". Szybkość miała teraz decydujące znaczenie, bo niewiele było czasu do chwili, gdy ktoś zorientuje się, że jednostka, przybyła jako zmiana z powierzchni, nie stawiła się w przewidzianych miejscach.

Sekcja przydzielona do Dystryktu Kolumbia podzieliła się na małe grupy, które przez rurę tranzytową Pierścienia pojawiły się w różnych miejscach i czasach wewnątrz segmentu. Colman, Hanlon i Driscoll wysiedli z Lechatem, przebranym w sposób zmieniający jego wygląd, jakoże prawdopodobnie nadal figurował na wysokiej pozycji na liście poszukiwanych przez Sterma. W parę minut później spotkali się z Carsonem i trzema innymi i skierowali okólną drogą do restauracji Françoise na publicznie dostępnym poziomie, bezpośrednio pod kompleksem Centrum Rządowego.

i następnego ranka miał już przygotowany zamach stanu, z Chirończykami jako pretekstem. Ale kto mu to załatwił?

– Służba Specjalna – odpowiedział natychmiast Colman. – To była robota zawodowców.

– Czy zgodziliby się na taką robotę? – spytała z powątpiewaniem Jean.

Colman kiwnął głową. – Na pewno. Są wyselekcjonowani i wytrenowani do wykonywania rozkazów i nie zadawania pytań. Niektórzy z nich zastrzeliliby własną matkę, gdyby przełożony tak powiedział. A Stormbel był w to zamieszany. Wszystko pasuje. – Namyślał się jeszcze chwilę, po czym zwrócił się do Lechata i Bernarda: – W sprawie ucieczki Padawskiego też było masę podejrzanych okoliczności. Bez pomocy z wewnątrz nie mogłaby mieć takiego przebiegu. Wielu z nas było przekonanych, że to zostało nagrane, by skusić Chirończyków do odwetu.

Lechat uniósł brwi, po czym jeszcze bardziej zmarszczył czoło. – A po tym pojawiły się te bomby... – Spojrzał na Celię. – Czy Sterm stał i za tymi sprawami?

– Nie wiem, ale to by mnie nie zdziwiło – odpowiedziała Celia. – Znam prawdę o Howardzie, ponieważ... ponieważ...

– Czy ktokolwiek jeszcze wie o Howardzie? – zapytał Colman. – Na przykład Weronika?

Celia zaprzeczyła ruchem głowy. – Dotychczas nikt.

Colman odetchnął głęboko. Teraz już wiedział, czego bała się Celia i czemu Sterm trzymał ją pod stałym nadzorem. Bez wątpienia do chwili, kiedy upora się z pilniejszymi aspektami nieoczekiwanej okazji, która mu się nadarzyła.

– Weronika nic by nie mogła zrobić – kontynuowała Celia. – Nie szukałam kogoś, żeby się przed nim kajać. Mam coś o wiele ważniejszego do powiedzenia. Nie ma niebezpieczniejszego umysłu, niż u człowieka, który tam w górze jest u steru. Jest anormalnie inteligentny, w pełni włada swymi zdolnościami i jest absolutnie obłąkany. Sterm wierzy, że jest nieomylny i niezwyciężony i nic go nie zatrzyma. Trzyma w ręku to, co zostało z armii, ponieważ udało mu się wcisnąć im kłamstwo. A ja jestem jedyną osobą, która może je zdemaskować. Sekcja zwłok nic nie wykaże – ciało już poddano kremacji. – Celia przebiegła wzrokiem kolejno wszystkich. Patrzyli na nią przerażeni – zrozumieli to, co Colman przed chwilą.

– Tak, wiedziałam, co mi grozi, ale to było drugorzędne – powiedziała Celia. – Nadal mogę zdemaskować kłamstwo. Chcę powtórzyć publicznie wszystko, co powiedziałam wam i wszystko, co wiem – ludziom, armii, Chirończykom – każdemu, kto może go zatrzymać. System, który pozwala, by ludzie tacy jak Sterm osiągali wszystko, czego zechcą, doprowadził mego męża do szaleństwa, a po tym rzucił go na ofiarę. Nie może być więcej ofiar. Dlatego uciekłam.

Rozdział XXXIII

Colman opuścił dom Fallowsów krótko przed północą, w towarzystwie Bernarda, Lechata i Celii. Po ulicach Phoenixa krążyło więcej osób, niż się spodziewali, grupa osiągnęła więc miejsca wyznaczone przez Sirocco bez uciekania się do skomplikowanych środków ostrożności.

Po przybyciu, Maddock powiedział im, że nie było nawet potrzeby uzgodnienia sprawy z Sirocco. Ochrona granic Phoenixa rozpadła się, większość „S"-manów wycofano do ochrony bazy promowej, koszar i innych kluczowych punktów, słabe oddziały regularne były rozproszone wzdłuż granicy, niewiele sobie robiąc z exodusu ludności cywilnej. Cały jeden pluton z kompanii „A" wyszedł en masse z Phoenixa, oficerowie mogli tylko bezsilnie się temu przyglądać. Pozostałymi w jednostce wzmocniono resztki kompanii „B". Znikało też coraz więcej „S"-manów. Jedyną siłą utrzymującą kompanię „D" była jej osobista lojalność wobec Sirocca, spowodowana jego apelem sprzed paru tygodni. Nic, co by mogło przeszkodzić pojazdom chirońskim w lądowaniu wewnątrz Phoenixa nie istniało, ale było widać, że Chirończycy czekali, aby system ziemski sam się rozpadł i nie naruszali przestrzeni powietrznej terytorium. Maddock wskazał im zadrzewiony teren koło placu budowy, tuż za granicami, gdzie paliły się światła i nieustannie lądowały i startowały chirońskie awionetki.

– Będziecie mieli krótki spacer – powiedział. – Mogę wywołać Kath i poprosić, by przysłała wam taksówkę. Jaki jest jej numer?

*

Po przybyciu do apartamentu Kath we Franklinie, w towarzystwie Adama i jego „żony" Barbary, którzy odebrali ich na granicy, wraz z Kath zastali tam Weronikę i Caseya. Colman znał wszystkich, Kath przedstawiła Bernarda i Lechata tym, których jeszcze nie spotkali, zaś Weronika i Celia powitały się uściskami i nowymi łzami Celii.

Gdy Bernard i Lechat opowiedzieli Chirończykom, że wiedzą już, czym jest „Kuan-yin" i do czego jest zdolna, atmosfera stała się poważna.

– Doceniamy to, że braliście pod uwagę, iż statek z Ziemi będzie miał ciężkie uzbrojenie i że od początku może zająć wrogą postawę – powiedział Lechat, chodząc nerwowo po pokoju. – Ale to nie nastąpiło, a na górze jest jeszcze masa ludzi, którzy nikomu nie zagrażają. Garstka, która teraz ma władzę, ich nie reprezentuje, a poparcie jakie jej jeszcze zostało, wkrótce ulegnie erozji. Zależy mi na tym, aby ten, kto dysponuje waszą bronią, zdawał sobie sprawę z sytuacji. Bo nie można by usprawiedliwić tragedii teraz, gdy jest do uniknięcia.

Kath stała prawie na środku pokoju. Colman, który siedział koło Bernarda, spojrzał na nią. – Musisz mieć z tym coś wspólnego, nawet, jeśli nie bezpośrednio – powiedział. – Musisz znać tych ludzi, nawet, jeślibyś do nich nie należała.

– Co chciałbyś, aby zrobili? – spytała Kath, dając do zrozumienia, że przynajmniej jedno z tego, co powiedział Colman, było zgodne z prawdą – choć nie określiła, co. Potraktowała sprawę spokojnie i z opanowaniem, niemal jakby oczekiwała, że będzie podniesiona. Lecz mówiła tak stanowczo, jak Colman nigdy u niej nie słyszał. Można było odczytać z jej zachowania, że sprawa daleko wykracza poza jej osobiste uczucia i poglądy.

– Może jest ich tylko garstka – dodał Adam z drugiego końca pokoju. – Ale dysponuje ciężkim uzbrojeniem statku. Daliśmy im wszystkie szanse i zachęciliśmy do opuszczenia statku tak wielu, ile było w ludzkiej mocy. Nasza planeta jest zagrożona. Jeśli oni zaczną grozić lub przejdą do gotowości bojowej, statek zostanie zniszczony. Tej decyzji nie można zmienić. Już dawno została podjęta.

Choć Casey i Barbara byli nadal serdeczni i uprzejmi, nie ukrywali, że myślą tak samo. Colman zrozumiał, że po raz pierwszy widzi Chirończyków bez rękawiczek. Całe ich poprzednie zachowanie – ciepło, wylewność i serdeczność – było autentyczne; ale istniały wartości, które stawiali na pierwszym miejscu, bez względu na kierowane do nich błagania. A gdy szło o najwyższe wartości, nie robili żadnych ustępstw.

– To prawda, co mówisz – przyznał Bernard. – Ale większe jest ryzyko, że Sterm spróbuje użyć tych broni, jeśli będzie myślał, że ma do czynienia z bezbronną planetą. Gdyby zdawał sobie sprawę, co mu grozi – nie musicie wprowadzać go w szczegóły – może by zrozumiał, że musi ustąpić. Tylko o to prosimy. Przez wzgląd na tych ludzi w górze powinniście ogłosić jasne i niedwuznaczne ostrzeżenie.

– Jay umiał zestawić fakty bez większych trudności – zwróciła uwagę Kath. – Nie staraliśmy się ich ukryć. Czy naukowcy na statku nie doszli do tego samego?

– Nie wiem. – Bernard nie miał innej odpowiedzi. – Jeśli wyciągnęli takie wnioski, to ich nie ogłaszali. Ale czy to jest prawdopodobne? Czy Sterm tak by się zachowywał, gdyby to zrobili? Przecież ostrzegając nic nie tracicie. Chyba warto to zrobić?

Kath przez parę chwil patrzyła na pozostałych Chirończyków, jakby zastanawiając się nad propozycją, ale Colman miał wrażenie, że była na nią przygotowana – prawdopodobnie od chwili, gdy dostała wiadomość, że Bernard i Lechat chcieliby się z nią spotkać. Podeszła do bocznego stolika, na którym stał przenośny komblok, zatrzymała się i odwróciła do Bernarda.

– Nie do mnie należy podejmowanie decyzji w tej sprawie – powiedziała. – Ale ludzie, których to dotyczy, oczekują rozmowy z wami. – Bernard i Lechat zamienili zdziwione spojrzenia. Kath widocznie zawahała się na chwilę, po czym zwróciła do Lechata: – Obawiam się, że dopuściliśmy się wobec was niewybaczalnego zachowania. Ta rozmowa nie była całkowicie nieoczekiwana. Ludzie, z którymi chcecie mówić, byli przez cały czas na podsłuchu. Mam nadzieję, że nie czujecie się nazbyt dotknięci.

Wystukała kod na kombloku i natychmiast zapalił się wielki ekran na końcu pokoju, ukazując sześć osób. Ekran był podzielony na ćwiartki, jak przy telekonferencjach. W dwóch widniały po dwie osoby, w dwóch pozostałych pojedyncze. Oznaczało to, że obraz dochodził z różnych miejsc. Na widok niepokoju,

wyrzutów sumienia z powodu śmierci Ramissona; to była lekcja dobitniejsza, niż jakiekolwiek słowa. Żałował tylko, że nie wymiótł tego do czysta, rozstrzeliwując wszystkich.

Wobec Sterma nie odczuwał ani wrogości, ani przywiązania, co mu odpowiadało, ponieważ działał sprawniej w sytuacjach, na które nie wpływały względy osobiste czy uczuciowe. Nie miał złudzeń, by którykolwiek z nich miał inne motywy działania, niż własna korzyść. Ze świadomości, że obaj się uzupełniali i potrzebowali siebie nawzajem, Stormbel czerpał nieco satysfakcji i trochę poczucia własnego znaczenia. Nie było sprzeczności w ich podstawowych interesach, byli bowiem jak współdziałające, ale niezależne części dobrze wyważonej maszyny. Sterm chciał mieć planetę, ale potrzebował człowieka silnej ręki, żeby ją wziąć. Stormbel zaś rozkoszował się rolą silnej ręki, ale nie miał ambicji posiadania ani ochoty na wszystkie komplikacje, które z tego wynikają.

Sterm nominalnie miał czołową rolę, ale Stormbel nie zgodziłby się na nic, co by mogło wyglądać na oznaki niższości. Było to konieczne, by jego połowa maszyny działała bezbłędnie, precyzyjnie i w sposób nie podlegający krytyce. Dlatego właśnie w tym momencie błędy były podwójnie niewybaczalne. Ale kompletnie zaskakujące i tym bardziej denerwujące było, że eskorta i osoba im powierzona nie tylko stawiły się w terminie, lecz, co więcej, przeszedłszy bezpiecznie przez bardziej ryzykowne momenty harmonogramu, naprawdę wsiadłszy na pokład promu powrotnego – znikły bez śladu. Z całą pewnością wsiedli, zajęli miejsca i było już tylko parę minut do odlotu, gdy jeden z członków załogi nagle dostrzegł, że ich nie ma – nikogo z nich. Posterunki „S" przy wejściu dla pasażerów wiedziały jak wygląda Celia Kalens i miały specjalnie polecenie zwracania na nią uwagi. Ale żaden z nich jej nie zauważył, gdy eskortujący, zgubiwszy ją jakimś sposobem, wyszli z promu. A wkrótce po tym eskorta znikła w bazie i więcej nikt jej nie widział. Nikt nie przypominał sobie, by później ich spotkał na terenie bazy, nikt na jej granicach, nikt ich nie przewoził na zewnątrz, a intensywne poszukiwania, przez całą noc nie wykryły ich nigdzie. Było to wykluczone, ale się zdarzyło.

Sterm nie był człowiekiem, który by tracił czas i energię na daremne oskarżenia i sceny melodramatyczne, ale Stormbel w pełni zdawał sobie sprawę, że nie puści tego w niepamięć. Stormbel też nie zapomni. Był pewien, że za tym wszystkim stali Chirończycy, tak jak stali za działalnością wywrotową w armii, a nawet wśród niektórych z własnych oddziałów Stormbela. I Chirończycy za to zapłacą – tak, jak zawsze płacił każdy, kto wszedł mu w drogę lub próbował wystrychnąć go na dudka. Zapłacą w momencie, gdy ktokolwiek stawi opór jego oddziałom wkraczającym do Franklina. Co do tego dał dokładne rozkazy.

– Koncentracja w Canaveral przebiega zgodnie z planem i zostanie ukończona przed północą – poinformował Sterma na południowym zebraniu sztabu w Centrum Rządowym Dystryktu Kolumbia. – Jak przewidywaliśmy większa część Phoenixa została opuszczona, ale punkty kluczowe są zabezpieczone, a ubytki w oddziałach regularnych zahamowane. Przerzut sił „S" na powierzchnię zostanie zakończony wczesnym wieczorem, z wyjątkiem jednostek obsadzających Moduł Bojowy, Dystrykt Kolumbia i Vandenberg. Wszytkie jutrzejsze operacje są gotowe do podjęcia zgodnie z planem: uderzenie na „Kuan-yin" o godzinie 0513, wyrzucenie grupy ubezpieczenia orbitalnego natychmiast po tym i natarcie sił głównych na Franklin o świcie.

Sterm wolno kiwał głową, odfajkowując w pamięci punkt po punkcie i patrząc chłodno na Stormbela. Następnie zwrócił się do Gaulitza, jednego ze starszych naukowców, siedzącego z boku w towarzystwie paru doradców. – Miejmy jednak pewność co do „Kuan-yin" – powiedział. – Powodzenie całej operacji od tego zależy. Czy jest pan całkiem pewien?

Gaulitz z emfazą pokiwał głową. – Nie ulega wątpliwości, że modyfikacje wprowadzone do sekcji napędowej stanowią system rekombinacji antymaterii. Poziomy radiacji i krzywe spektralne, zdjęte z krateru na Remusie są zgodne z wielkościami występującymi przy reakcjach antymaterii. Świadectwo transmutacji wymuszonej promieniowaniem gamma, dystrybucja izotopów aktywowanych neutronami, wzór szczątkowego...

Sterm podniósł rękę. – Tak, tak, już o tym wszystkim była mowa.

Gaulitz pośpiesznie skinął głową i nacisnął guzik, wywołując na główny ekran w sali obraz „Kuan-yin". Ukazywał chirońskie promy kosmiczne, przycumowane do wszystkich śluz wejściowych i jeszcze więcej stojących o parę mil i wyraźnie oczekujących na swoją kolej. – Jest to kolejne potwierdzenie

– Cudotwórca naszej kompanii – odparł z roztargnieniem Colman, który właśnie starał się na nowo uporządkować w myśli sytuację. Dał znak Sirocco, by przywołał Swyleya. Sirocco odwrócił się do sali i przy wtórze jęków raz jeszcze przerwał odprawę.

W pięć minut później Swyley i Malloy konferowali w kącie z Celią i Lechatem. Colman stał z boku wraz z Sirocco i Hanlonem, omawiając szczegóły taktyczne.

– Teraz mamy już dosyć ludzi, by wystawić oddział minerski na zewnątrz statku i wysadzić sekcję napędu Modułu Bojowego zgodnie z sugestią Carsona – powiedział Hanlon. – Nawet, jeśli Sterm się tam dostanie, reszta statku będzie bezpieczniejsza.

– Wolałbym nie podejmować ostatecznej decyzji, zanim nie będziemy wiedzieli, jak się rozwija sytuacja – odrzekł Colman. – Ale masz racje, mamy dość ludzi, by trzymać w pogotowiu taki oddział w skafandrach.

– Wzmocnienie sekcji Armleya o dziesięciu ułatwi sprawy w segmencie Vandenberg, a ja z Sirocco będziemy w lepszej sytuacji przy Centrum Telekomunikacyjnym – dodał Hanlon. – Więc do czegośmy doszli?

– Wszystko gotowe, z wyjątkiem wyłuskania Borfonteina i Wellesleya – powiedział Colman. – Teraz, gdy mamy Malloya, wraz z tamtymi dwoma, sprawa jest murowana. – Spojrzał na Sirocca, który słuchał półuchem, patrząc z zamyśloną miną w koniec sali. – Jeszcze jakieś pomysły na ten temat? – spytał Colman.

– Mmmm...? – odpowiedział z roztargnieniem Sirocco.

– Borfontein i Wellesley.

– Właśnie o tym myślałem... – Sirocco ciągle wpatrywał się przez całą długość sali w Driscolla, który z Maddockiem i grupą innych rozmawiał o swych doświadczeniach. – On jest naprawdę dobry, co? – rzekł Sirocco, na wpół do siebie.

Minęła chwila, nim Colman pojął, o czym mówi Sirocco. – Tak... A bo co? Co masz?

– Chodź na chwilę, chcę go o coś zapytać – Sirocco poprowadził Colmana, za nim podążył Hanlon. Gdy podeszli, rozmowa się urwała, twarze zwróciły ciekawie w ich stronę.

Driscoll spojrzał zaskoczony. – No, zależy, co pan ma na myśli – odrzekł ostrożnie. Po chwili kiwnął głową. – Tak, umiem i inne rzeczy, można powiedzieć mam bardzo bogaty program.

Sirocco zwrócił się do Hanlona: – Przynieś ze zbrojowni parę pasów głównych z pistoletami, Bret – powiedział. – Przekonamy się, czy ten typ jest naprawdę dobry. Myślę, że może byłby w stanie pomóc w rozwiązaniu naszego problemu.

Rozdział XXXV

Generał Kazimierz Stormbel nie robił błędów i nie był przyzwyczajony, by odpowiadać za błędy innych; jego podwładni szybko przekonali się, że błędów nie robią. Akceptacja narzuconych przez niego wzorów postępowania i karności zapewniły mu permanentną symboliczną obecność w sferze jego władzy i wpływów, co nieustannie przypominało, że z jego rozkazami nie ma żartów. Objawy rozluźnienia dowodziły, że akceptacja nie jest całkowita i oznaczały istnienie zaników uwagi na fakt, że wszechobecność wynika z jego władzy – jakby ludzie zaczynali zapominać, że to, co powiedział, liczyło się. Stormbel tego nie lubił. Nie lubił ludzi zachowujących się tak, jakby on się nie liczył.

Biurokraci, sprawcy rozkładu nieudolnej maszyny polityczno-wojskowej, która panowała nad kontynentem północnoamerykańskim, albo nie byli w stanie, albo nie chcieli docenić jego wartości i poświęcenia. Równocześnie obsypywali zaszczytami i względami synków pochlebców bez czci i wiary, protegowali generalskie oczka w głowie – szykownych jak filmowi lalusie absolwentów akademii West Point. Nie czuł dla nich współczucia teraz, gdy telegraf laserowy przynosił z Ziemi wiadomości o spustoszeniu Afryki wzdłuż i wszerz i o tytanicznych zmaganiach między armiami w Azji centralnej. Teraz za to płacili, a durnie, którzy dali im dowództwa, płacili za swą głupotę.

Wellesley i Kongres próbowali utrwalić tę samą niesprawiedliwość, stawiając go w cieniu Borfonteina, dlatego, że nie był absolwentem stosownych uczelni ani nie miał właściwych powiązań rodzinnych. Próbowali wystawić go do wiatru, dając komendę tego, co uważali za sprawny, ale mały i nieważny korpus specjalistów. Oni też zapłacili. Teraz już wiedzieli, kim on jest, a kim pozostaną oni. Nie miał

który przemknął przez twarz Bernarda, Kath powiedziała: – Wszystko w porządku. Kanały są zabezpieczone.

Jednym z ludzi na ekranie był ciemnowłosy, brodaty mężczyzna, w którym Colman rozpoznał Leona. Siedział wraz z brązowoskórą kobietą, którą napis na dole ekranu określił tylko jako Thelme. A więc, pomyślał Colman, przynajmniej część z nich znajduje się w polarnym ośrodku naukowym na północnej Selene. Drugą parę stanowili Otto, o rysach azjatyckich i Chester, zupełnie czarny. Pojedynczymi osobami w pozostałych sektorach była Gracie, również Azjatka oraz Smithy, biały o wielkich wąsach i długich bokobrodach. Z ich wieku wynikało, że wszyscy są Założycielami. Kath przedstawiła ich po kolei, nie wymieniając tytułów, funkcji ani miejsc, gdzie się znajdowali. Ziemianie zaś nie pytali.

Jak się okazało rzecznikiem był Otto. Starał się ich uspokoić. – Statek zniszczymy bez ostrzeżenia tylko w takim wypadku, jeśli Sterm zacznie wyprowadzać na stanowiska startowe i odpalać bronie strategiczne – oświadczył Ziemianom. – Bardzo trudno jest ocenić to w sposób precyzyjny, ale wydaje nam się, że najprawdopodobniej Sterm ogłosi ultimatum, zanim przystąpi do akcji bezpośredniej. Bo przecież nic by nie zdołał zyskać, niszcząc zasoby, które zamierza zdobyć. Naszym zamiarem było ogłosić ostrzeżenie dopiero jako odpowiedź na to ultimatum. Poparcie dla niego będzie z pewnością spadało i miejmy nadzieję, że może go to skłonić we właściwym czasie do bardziej rozsądnego postępowania.

– A jeśli wprowadzi bronie na orbitę z a n i m wystosuje ultimatum? – zapytał Bernard.

Leon na ekranie miał poważną minę. – Takie ryzyko istnieje – zgodził się. – Jak mówił Otto, trudno to precyzyjnie określić. Ale jesteśmy zdania, że przyjęta przez nas linia minimalizuje niebezpieczeństwo dla większości ludności. Nic jednak nie wyeliminuje ryzyka w całości. – Nim wreszcie odpowiedział wprost na pytanie Bernarda, westchnął ciężko i głęboko. – Ale nasze postanowienie nie może być zmienione.

Gdy przemawiał Leon, Colman patrzył z zaciekawieniem na Kath, szukając u niej jakiejkolwiek reakcji. Ale pozostawała niewzruszona.

Celia, siedząca z Weroniką i Caseyem, po raz pierwszy zabrała głos. Aż do tej chwili nie była zorientowana, co spowodowało wizytę Bernarda i Lechata. – W każdym wypadku ostrzeżenie nie poskutkuje – oświadczyła. – Czy ogłosicie je teraz, czy później, to akademickie zagadnienie. Odrzuci je. Nie znacie go. Twardy trzon armii poparł go i to wzmocniło jego wiarę w siebie. Sądzi, że jest niepokonany.

– Wojskowych ogarnął lęk – wyjaśnił Bernard ludziom na ekranie, po czym z niepokojem rzucił okiem na Celię – po tym, co się stało z Howardem Kalensem. A Sterm to wykorzystuje.

– To nieszczęśliwe wydarzenie było poza zasięgiem naszych wpływów – powiedział Leon. – Mam nadzieję, że nie podejrzewacie, byśmy byli za to odpowiedzialni. – Bernard potrząsnął głowę na znak zgody.

Po długim milczeniu spojrzał na nich Otto. – Obawiam się, że nic więcej nie możemy zaproponować.

I nic więcej nie zostało do powiedzenia. Zrezygnowali Ziemianie patrzyli po sobie, Chirończycy spoglądali z ekranów poważnym i nieugiętym wzrokiem. Mogli albo ostrzec Sterma teraz, ryzykując konieczność użycia swej broni, gdy na statku było jeszcze niemało ludzi, jeśli zignoruje ostrzeżenie; albo czekać, póki ich nie sprowokuje, ryzykując konieczność odwetu bez ostrzeżenia, jeśli Sterm zdecyduje najpierw atakować, a później rzucić wyzwanie. Takie były warunki graniczne sytuacji, ale w ich ramach Chirończycy zgadzali się wysłuchać sugestii czy perswazji.

Lechat, który słuchając, równocześnie intensywnie myślał, przeszedł na miejsce, z którego mógł zwracać się zarówno do ekranu, jak do zgromadzonych w pokoju. – Jest może jeszcze jedno, co możemy zrobić – powiedział. Wszyscy spojrzeli na niego ciekawie i z oczekiwaniem. Szybkim ruchem uniósł rękę. – Istnienie Sterma zostało przedłużone wyłącznie dzięki jednej okoliczności – śmierci Howarda Kalensa. Prawda? Wielu wysokich funkcjonariuszy, szczególnie niektórzy w dowództwie armii, jest przekonanych, że była to robota Chirończyków i że teraz przyjdzie kolej na nich. Dlatego dla wzajemnej obrony skupili się przy Stermie. Ale wydarzyło się coś nieoczekiwanego, co daje nam szansę oderwania od niego ostatnich obrońców.

– Co nieoczekiwanego? – spytała widoczna obok Leona Thelma.

Lechat zawahał się i niepewnie spojrzał w stronę Celii. Prawie nieuchwytnym skinieniem wyraziła

zgodę. Lechat zwrócił się do ekranu: - Powiem tyle, że jesteśmy w stanie przedstawić niepodważalny dowód, iż nie tylko Chirończycy są niewinni, ale i że Sterm spowodował sfałszowanie dowodów w ten sposób, by rzucić na nich podejrzenie - oświadczył.

- Damy tym samym do zrozumienia, że był też zamieszany w sprawy podłożenia bomb i ucieczki Padawskiego - wtrącił Bernard.

Chirończycy zaciekawili się nagle. - Podejrzewaliśmy, że to było coś w tym rodzaju - powiedział Casey, siedzący na tapczanie obok Weroniki. - Ale jakie macie dowody?

W pokoju nastąpiło niezręczne milczenie. Wreszcie Celia powiedziała: - Bo to ja go zabiłam. Resztę upozorowano, gdy uciekłam z domu. Tylko Sterm wiedział o jego śmierci.

Z ekranu dobiegły pomruki zdziwienia. Chirończycy w salonie wpatrywali się w Celię zaskoczeni. Celia spostrzegła, że Weronika patrzy na nią wstrząśnięta i wątpiąca, ale bez drgnienia wytrzymała jej spojrzenie. Weronika zacisnęła wargi, skinęła głową dając do zrozumienia, że po tym wyznaniu wszystko jest między nimi jak dawniej, wyciągnęła rękę i uścisnęła jej dłoń.

Lechat nie chciał, by Celia znów przechodziła wszystko od początku. Podniósł rękę, by zwrócić uwagę na siebie. - Nie zrozumieliście mnie - powiedział - jeśli podamy to do publicznej wiadomości - może to wystarczyć, by odwrócić od Sterma resztkę jego zwolenników - z wyjątkiem tych, którzy byli wmieszani w prowokację. Jeśli tak się stanie, to on będzie musiał zrozumieć, że wszystko skończone. Wisi na włosku kłamstwa, a my mamy dowody, które mogą ten włosek przeciąć. To daje nam możność podjęcia próby, zanim uciekniemy się do ostatecznych, drastycznych środków. A poza tym czy to nie jest zgodne z całą waszą chirońską strategią?

Kath rzuciła Celii bystre spojrzenie. Celia potwierdziła skinieniem głowy w odpowiedzi na milczące pytanie. - Tak, chcę, by tak właśnie to się odbyło - powiedziała. Kath skinęła głową na znak, że się nie sprzeciwia.

- Więc czego dokładnie od nas oczekujecie? - zapytał Otto z ekranu.

Lechat wzniósł ręce do nieba i znów zaczął przemierzać pokój. - Wszystkiego, co trzeba, by rozpowszechnić to, cośmy powiedzieli... przekazać fakty do Phoenixa i na „Mayflower II" chirońskimi nadajnikami. Przynajmniej część ludności to usłyszy... będą podawać z ust do ust... Nie wiem... cokolwiek, co pozwoli w najkrótszym czasie powiadomić z największym skutkiem największą liczbę ludzi.

Chirończycy zastanawiali się nad propozycją. Nastąpiła krótka przerwa. Ich miny zdradzały przekonanie, że choć nie wyrządzi to szkody, to zapewne i nie wywoła liczącego się skutku. - Czy dowody są dość mocne, by w jednej chwili odwrócić nastroje całej armii? - spytała wreszcie z powątpiewaniem Kath. - W sprawie Padawskiego i zamachów nie mamy dowodów. To, co powiedziałeś o Howardzie Kalensie, może wywołać jakieś dyskusje. Ale czy będzie miało dostateczną siłę przebicia, by przekonać dość ludzi, jak bardzo Sterm jest obłąkany? Bo gdybyśmy mogli udowodnić to wszystko, i to na raz.

- I trudno liczyć na wpływ wiadomości dochodzących z zewnątrz - zwrócił uwagę Adam. - Tyle już było plotek. Najprawdopodobniej wszystko spali na panewce.

- Owszem, to jest pomysł - zwrócił się do Lechata Bernard. - Ale wymaga więcej tego, o czym mówiła Kath: siły przebicia.

- Zgoda - odpowiedział Lechat. - Ale wiemy tylko to, co wiemy i możemy zrobić tylko to, co możemy. To na pewno sytuacji nie pogorszy. Czy spróbujesz?

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Colman: - Jest sposób by to zrobić lepiej. - Wszyscy spojrzeli na niego. Rozejrzał się szybko. - Jest sposób, by wiadomość doszła do wszystkich i to równocześnie: do publiczności, do wojska, do każdego. - Znów się rozejrzał. Reszta czekała. - Przez Centrum Telekomunikacji na statku - powiedział. - Tam są skupione wszystkie kanały i częstotliwości, z siecią wojskową i pasmami alarmowymi włącznie. Stamtąd możemy nadawać na wszystkich równocześnie. Większą siłę uderzenia trudno wymarzyć. - Usiadł i rozejrzał się w oczekiwaniu odpowiedzi.

Bernard kiwał głową, ale z widocznym powątpiewaniem. - To prawda - zgodził się. - Ale to jest tam, na statku, a nie tu, na dole. I na pewno pod silną ochroną. Błędne koło: by zmienić postawę armii trzeba się tam dostać, ale ona będzie stała pod drzwiami i zatrzyma cię, nim dostaniesz się do środka, by ją przekonać. Jak z tego wybrnąć?

- W porządku.

- Tamci mogą przybić promami do śluz w Module Bojowym i wejść przez wrzeciono - zwrócił ktoś uwagę.

- Tak, miałem o tym mówić - odpowiedział Sirocco. Uniósł głowę, by ponownie zwrócić się do całej sali. - Jak mówi Velarini, mogą wejść przez Moduł Bojowy i dziób. Moduł Bojowy jest największym problemem. Na pewno będzie najsilniej broniony ze wszystkich segmentów, a ze statku jest do niego tylko jedna droga. Dlatego zaatakujemy go bezpośrednio tylko wtedy, gdyby nic innego się nie udało. Steve będzie stał koło dziobu Wrzeciona z najsilniejszą sekcją, by zablokować drogę dojścia. Jego zadaniem jest zatrzymać wszystkich „S"-manów, którzy by chcieli się stamtąd wydostać, oraz, co najważniejsze, uniemożliwić Stermowi i jego ludziom przedostanie się do Modułu, jeśli nam wszystko doborze pójdzie, a oni zrozumieją, że nie mogą utrzymać reszty statku. Za wszelką cenę musimy przeszkodzić Stermowi i Stormbelowi w przeniknięciu tam i odcumowaniu Modułu, co zagroziłoby zarówno statkowi, jak planecie. Tak, Simmonds?

- Ale on zawsze może się odczepić, nawet bez Sterma.

- To jest ryzyko, które musimy podjąć - odrzekł Sirocco. - Wątpliwe, by Sterm polecił otworzyć ogień na statek, na którym sam by się znajdował.

- A jeśli Sterm dostanie się do Modułu Bojowego z zewnątrz? - powiedział ktoś inny. - Jest masa miejsc, gdzie może dostać prom albo transporter, nie tylko w Vandenberg. Ma tylko przeskoczyć parę mil. Do tego nie potrzeba lądownika.

Sirocco zawahał się na moment, po czym niechętnie potwierdził. - Jeśli tak się zdarzy, sekcja Steve'a będzie musiała próbować atakować z dziobu i zająć Moduł od wewnątrz. Ale, jak powiedziałem, to środek ostateczny. - Spojrzał na Colmana, który odpowiedział poważnym skinieniem.

- A co, żeby dać paru ludzi w skafandrach od zewnątrz, żeby wysadzili sekcję rufową Modułu Bojowego? - zaproponował Carson z przedostatniego rzędu.

- Myślimy i o tym. Zależy od tego, ilu ludzi będzie mógł dać na to Steve. Oczywiście, gdyby Bret mógł się tam dostać z Dystryktu Kolumbia po zakończeniu transmisji, to by zmieniło... - Głos Sirocca zamarł, a usta otworzyły się; patrzył nie wierząc własnym oczom na drzwi w końcu sali. Wszystkie głowy odwróciły się, po czym ze wszystkich stron rozległy się westchnienia przerywane przyjacielskimi drwinami.

Do sali wszedł Swyley i zatrzymał się, by przyjrzeć się otoczeniu przez swe grube szkła w szerokiej oprawie. Jego pucołowata twarz miała zwykły swój wyraz pozbawiony jakiegokolwiek wyrazu. Koło niego stał Driscoll, kolejno wchodzili następni. Sirocco zamrugał i przełknął ślinę, gdy zaczęli oni rozchodzić się po sali i zajmować wolne miejsca z tyłu. Harding, Baker, Faustzman, Vanderheim... Simpson,Westley, Johnson - byli wszyscy. Wszyscy wrócili.

- Słyszeliśmy szefie, że może się panu przydać pomoc - obwieścił Driscoll. - Nie mogliśmy zostawić całej roboty amatorom.- Niecenzuralne komentarze i drwiące gwizdy powitały jego wypowiedź.

Sirocco patrzył jeszcze przez chwilę, po czym szybko przyszedł do siebie. - Miałeś przyjemne wakacje, Swyley? - zapytał z wymuszonym sarkazmem w głosie. - Niestawienie się na służbę, samowolne oddalenie od jednostki, dezercja w obliczu nieprzyjaciela... rzeczywiście cały kodeks. No to przyjmij do wiadomości, że otrzymałeś naganę i siadaj. Mamy masę do obgadania i potrzebujemy jeszcze dziś trochę odpoczynku. Sytuacja wygląda tak, że... - Sirocco przerwał i spojrzał z zaciekawieniem na postać, której dotychczas nie zauważył. - Obca twarz obok Swyleya, który stał nadal. Człowiek miał krótko przycięte włosy, gładko wygoloną, nieprzeniknioną twarz i oczy o zaciętym wyrazie. Stał obojętnie z rękami założonymi na piersi. - Kto to taki? - spytał Sirocco. - On nie jest z naszej kompanii.

- Eks-sierżant Malloy z „S" - odpowiedział Swyley. - Doszedł do wniosku, że ma dość i znikł przeszło miesiąc temu. Brał udział w organizowaniu ucieczki Padawskiego i ma dokumenty na dowód, że to Sterm polecił podłożyć bomby. Chce to ogłosić publicznie. - Swyley wzruszył ramionami. - Nie wiem dokładnie, co pan ma za plany, ale miałem przeczucie, że on się może przydać.

Sala odpowiedziała pomrukami zdumienia, ale większość obecnych nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia tego, co słyszą. Stojący obok Colmana Celia i Lechat wlepili oczy w mówiącego, z estrady Sirocco spojrzał na nich pytająco. Celia odwróciła się do Colmana. - Nie mogę uwierzyć - szepnęła. - Kto to jest, ten kapral?

ter. Stanislau przywrócił pierwotny zapis. Najlepszym czasem dla dokonania ostatecznej zmiany będzie koniec dnia, co niewłaściwym osobom zostawi mniej czasu na stawianie niewłaściwych pytań.

Lechat skinął z zadowoleniem. – To załatwia sprawę dostania się na górę – powiedział. – Ale co dalej z przedostaniem się do Centrum Telekomunikacji?

Stanislau nadał kilka nowych poleceń. Na ekranie ukazała się nowa tablica informacyjna. – Oddziały wartownicze „S" i harmonogram zmian posterunków na dzisiejszą noc w Dystrykcie Kolumbia – oświadczył.

– Wystarczy? – zapytał Sirocco, robiąc perskie oko do Lechata.

– Niebywałe – mruknął Lechat, kiwając głową.

– Dobra robota, Stanislau – rzekł Sirocco. – Miejmy nadzieję, że dzisiejsza wieczorna premiera będzie tak dobra, jak próba generalna.

– Może pan na to liczyć, sir – odrzekł Stanislau.

Sirocco wrócił na estradę, stając przed szkicami sytuacyjnymi, których używał wcześniej i przez chwilę rozglądał się po sali, czekając, aż wszyscy spojrzą na niego.

– No, wszystkim wam będzie przyjemnie usłyszeć, że nasz specjalista od włamań, fałszerstw i łamania szyfrów znowu dowiódł swoich kwalifikacji – ogłosił. – Wygląda więc, że faza pierwsza i czwarta są wykonalne, tak, jak to omawialiśmy. – Siedzący z boku obok platformy Stanislau pokazał wszystkie zęby w szerokim uśmiechu, podnosząc nad głową złączone dłonie w podziękowaniu za chór półgłośnych pochwał i przyciszonych gwizdów uznania, entuzjastyczny, ale dość spokojny, by nie przyciągać zbędnego zainteresowania blokiem o tej porannej porze.

Gdy hałas się uciszył, Sirocco znów obrzucił spojrzeniem salę i sześćdziesiąt kilka twarzy tych, którzy wytrwali do końca i którzy, z wyjątkiem dziesięciu stojących na czujkach, stanowili wszystko, co pozostało z początkowej setki stanu osobowego kompanii „D". Wiedział, że będzie mu potrzebny każdy z nich, ale nawet wtedy będzie ich śmiesznie mało do wykonania wszystkich zadań. Lecz obok obaw, których starał się nie okazywać, czuł wewnętrzne wzruszenie patrząc na ludzi, którzy wedle wszelkich obowiązujących w armii norm i standardów powinni byli być pierwsi do dezercji. Pomijając jednostki specjalne, kompania „D" daleko wyprzedzała wszystkie inne swoją sprawnością. I był to dowód uznania złożony osobiście jemu, wyrażony w jednym wspólnie zrozumiałym języku tej mieszaniny dziwaków i nieudaczników, których los powierzył jego opiece. Sirocco nigdy jednak nie uważał ich za nieudaczników, lecz za ludzi, z których wielu było utalentowanych we własny, szczególny, a nieraz dziwaczny sposób i zaakceptował ich takimi, jakimi byli. Oni zaś naprawdę tylko tego pragnęli. Określenie „niedostosowany społecznie" było, jak zrozumiał z czasem, relatywne. Świat, który przykleił im tę etykietkę był światem, któremu nie udało się zmusić ich do uległości regulaminom. Chiron był planetą zamieszkałą przez indywidualistów, których nigdy nie można by zmusić do uległości i którzy domagali się tylko, aby ich przyjmowano takimi, jakimi są albo dano im spokój. Każdy z ludzi należących do kompanii „D" był Chirończykiem na długo przed wejściem na orbitę Alfy Centaura, a wielu zanim odlecieli z Ziemi. Najwyższą formą zapłaty, jaką mógł zaofiarować Chirończyk, był szacunek, a ci tutaj Chirończycy płacili mu w tej chwili po prostu zostawszy z nim. Ich szacunek znaczył więcej niż medale, pochwały i awanse i Sirocco pozwolił sobie na krótką chwilę dumy z samego siebie. Bo wiedział doskonale, że bez względu na wynik operacji, która ich czekała, było to ostatnie zebranie się tych ludzi jeszcze formalnie jako kompanii „D".

– Bardzo dobrze – powiedział. – Stanislau już bisował. Teraz wracajmy do zadania.

– Po pierwsze, streszczę główne punkty. Celem zasadniczym jest wejście do Centrum Telekomunikacji i zabezpieczenie go podczas transmisji, a następnie utrzymanie go z nadzieją, że wystarczająca część armii zareaguje dostatecznie szybko, by zlikwidować nacisk na nas. Okay? – Pytań nie było, Sirocco kontynuował. – Największe ryzyko stanowi możliwość sprowadzenia z powierzchni posiłków dla oddziałów „S". Jeśli tak będzie, to będą musieli przybić do śluz wejściowych Vandenberg i tam mamy sekcję Armleya, by ich zatrzymała. Co zrobisz, jeśli nie będziesz mógł ich odeprzeć, Mike? – spytał Sirocco, patrząc na pierwszy rząd krzeseł.

– Wysadzę zawory, podzielimy się na dwie grupy i wycofamy do wyjść przy przegubach segmentu – odpowiedział Armley.

– Z tego cośmy słyszeli, ich struktura dowodzenia już się załamała – dodał Adam. – Czy w obecnej chwili można zorganizować taką operację penetracyjną?

Colman spodziewał się podobnych zastrzeżeń. – Znam pewną jednostkę wojskową, która to może zrobić – odpowiedział. – A działa ona najlepiej, gdy nikt nie próbuje dowodzić jej operacjami.

– Która to jest? – spytał Leon z ekranu, z miną równocześnie wyrażającą powątpiewanie i zainteresowanie.

Colman uśmiechnął się lekko i wskazał gestem pokój. – Ta sama, która tu dostarczyła Weronikę i Celię.

W oczach Lechata zaświtała nadzieja. – Czy jesteś przekonany, że oni by temu podołali?

– Jeśli ktokolwiek jest w stanie podołać, to oni na pewno – odezwała się Weronika z głębi pokoju. – Ta ferajna mogłaby wynieść całe złoto ze skarbca Stanów Zjednoczonych i nikt by nie zauważył.

– To prawda – dodała po prostu Celia.

Wszyscy znów spojrzeli na Colmana, tym razem z żywym zainteresowaniem. Nastrój w pokoju zmienił się i udzielił ludziom z ekranów, którzy pochylili się naprzód i słuchali w napięciu. Jak dotąd był to tylko pomysł, ale już zaczął chwytać.

Bernard, pocierając wargę w zamyśleniu, dostrzegł spojrzenie Lechata i zaczął się niepokoić. – Program musiałby pójść stamtąd na żywo – wyrzekł powoli. – Mając dokoła przeciwników, nie można ryzykować komplikacji ze zdalnymi połączeniami. – Chciał przez to zwrócić uwagę, że jeśli transmisja ma nastąpić, to właśnie z Centrum i to tam Lechat musiałby się dostać. Ale tym bardziej – a Lechat zdawał sobie z tego sprawę – musi tam się dostać Celia; to, co miała do powiedzenia, nie może być podane z drugiej ręki przez kogokolwiek innego.

Lechat na sekundę zacisnął wargi, po czym krótko skinął. – Zrobię to – odpowiedział po prostu. Na chwilę odwrócił wzrok, w końcu spojrzał na Celię. Reszta zrozumiała co miał na myśli i poszła za jego wzrokiem. Wiedzieli, o co ją proszą. Colman dostrzegł udrękę w jej oczach, gdy odpowiedziała Lechatowi spojrzeniem. Po wszystkim, co przeżyła, miałaby rzucić spokój i bezpieczeństwo we Franklinie, wrócić do Phoenixa, stamtąd do bazy promowej i przez całą drogę aż do „Mayflower II." Innej drogi nie było.

Celia była już na to gotowa. Skinęła głową. Nic więcej nie trzeba było dodawać. W pokoju zrobiło się bardzo cicho.

Wreszcie Kath, szukając sposobu rozładowania ciężkiej atmosfery, rozejrzała się i zwróciła do Colmana: – Jak przerzucisz ich na statek?

– To sprawa dla Sirocca – odpowiedział. – On się lepiej orientuje w sytuacji w bazie. Dziś wieczorem mieliśmy tam oddział, ale do tej chwili powinien był już wrócić.

– Skąd wiesz, że on na to pójdzie? – spytała Barbara.

– Cała jego jednostka jest gotowa do działania właśnie na taką okazję – odpowiedział Colman. – Sirocco w tej chwili czeka na wiadomość. Dlatego tu jestem.

Od pewnego czasu Celia była głęboko zamyślona. Przez chwilę czekała, aż zapanuje cisza, po czym powiedziała: – Jeśli tak czy inaczej musimy polecieć na statek, można zrobić o wiele więcej, niż mówiliśmy dotychczas. – Przerwała, ale nikt nie zabierał głosu. – Wiem, gdzie są przetrzymywani ludzie aresztowani. Są w Dystrykcie Kolumbia, niedaleko od Centrum Telekomunikacji. Jeśli istnieje sposób, by wydobyć Borfonteina i wciągnąć go w nasze plany, ma on o wiele większe szanse zrobienia wrażenia na armii. – Po chwili dodała: – A jeśli Wellesleya można by włączyć podobnie jak Borfonteina, to by zastąpiło brak dowodów w innych sprawach. – Powoli obiegła pokój wzrokiem, zatrzymując się na Colmanie. – Nie wiem, czy coś takiego byłoby możliwe.

– Co sądzisz? – zwrócił się po krótkim milczeniu Bernard do Colmana. – Da się zrobić?

– Nie wiem. Zależy od sytuacji. Być może. To także musimy zostawić do decyzji Sirocca.

Każdy spojrzał pytająco na wszystkich innych, ale w tej chwili nie było, jak widać, nic już do dodania. Wreszcie Colman wstał. – No to, jak myślę, im prędzej wyruszymy, tym więcej mamy szans zbadania wszystkich okoliczności. – Wszyscy w pokoju wstawali pojedynczo i po dwoje. Szykując się do odejścia, Lechat, Bernard i Celia zebrali się przy drzwiach, Weronika trzymała Celię za rękę, reszta podeszła, by ich pożegnać.

– Ale jest coś, co muszę z całą otwartością powtórzyć – odezwał się z ekranu Otto. Odwrócili się do niego. – Naszej zasadniczej decyzji nie możemy w żaden sposób zmienić. Jeśli Sterm stanie się groźny, będziemy zmuszeni przeciwdziałać. Fakt, że możecie w tym momencie znajdować się na pokładzie, nie może stanowić różnicy.

Lechat kiwnął głową. – To już przyjęliśmy do wiadomości – odrzekł niewesoło.

Gdy reszta przechodziła do holu, Kath wróciła do ekranu i nacisnęła przycisk na komboku. Znikły wszystkie twarze z wyjątkiem Leona, która teraz wypełniła cały ekran. Thelma odeszła, zostawiając go samego. – Powinniśmy rozpocząć ewakuację „Kuan-yin" – powiedziała Kath. – Wygląda, że wkrótce będzie tam bardzo niebezpiecznie.

– Już doszedłem do tego wniosku – odpowiedział Leon. Teraz, gdy sprawy urzędowe były załatwione i pozostali we dwoje, wyraz jego twarzy złagodniał. – Wyglądasz tak ładnie, jak zawsze – powiedział, przyjrzawszy się Kath przez parę chwil. – Czy z dziećmi wszystko w porządku?

– Jak zwykle – odpowiedziała Kath z uśmiechem. – A jak twoje dzieci, Kulasie?

Leon uśmiechnął się. – Psocą, ale są zabawne. – Przerwał na chwilę. – On wygląda na dobrego człowieka. Powinnaś być z nim szczęśliwa tak długo, jak się da. Mam nadzieję, że tamtym nic się nie stanie. To dzielni ludzie. Podziwiam ich.

– Ja też mam tę nadzieję – odpowiedziała gorąco Kath. – Powinnam teraz pożegnać się z nimi. Uważaj na siebie, Leon.

– Ty także. – Obraz znikł z ekranu.

Kath weszła do holu akurat w momencie, gdy wszyscy zbierali się do odejścia. Po pożegnaniach i życzeniach powodzenia podeszła blisko do Colmana i na chwilę przytuliła jego rękę. – Wracaj – szepnęła.

Odwzajemnił uścisk uspokajająco. – Możesz być pewna.

– Chciałabym mieć taką pewność, jak ty. To wygląda ryzykownie.

– Nie, gdy się ma po swojej stronie najlepszy oddział, jaki kiedykolwiek istniał w armii – odpowiedział.

– Och, więc to aż tak? Nie wiedziałam. Nigdy mi nie mówiłeś, że służysz w oddziale specjalnym.

– Tajna informacja – rzekł półgłosem Colman. Raz jeszcze uścisnął jej rękę i podążył za pozostałymi.

Rozdział XXXIV

Świat zaczął rozjaśniać niebo. Stanislau siedział przed przenośnym blokiem telekomunikacyjnym w kącie jadalni w Bloku Omara Bradleya, patrząc zmarszczony na symbole, ukazujące się na ekranie i co pewien czas szybkimi ruchami palców nadając kodowane rozkazy. Sirocco przyglądał mu się z estrady, z której przemawiał na odprawach. Reszta kompanii „D", wielu z nich w kamizelkach przeciwodłamkowych i spodniach polowych, siedziała grupami, rozmawiając lub po prostu czekając wśród szeregów krzeseł, rozrzuconych w nieładzie naprzeciw estrady. Drzwi i podejścia do budynku były zabezpieczone czujkami, nie groziło więc, by ktoś się tu nagle przedostał.

Sirocco opracował plan przerzucenia kompanii na statek i opanowania Centrum Telekomunikacji, ale powodzenie zależało od tego, czy Stanislau będzie w stanie zmienić rozkaz dzienny rozmieszczenia jednostek, które było oparte na zestawieniach, znajdujących się w jednym z wojskowych komputerów logistycznych. Lechat, stojący nieopodal z Celią i Colmanem, zażądał próby testowej, by mieć pewność, że Stanislau to potrafi. Bo gdyby ta część planu była niewykonalna, to cały plan również. Na czas próby Sirocco przerwał odprawę.

Bernard z zainteresowaniem patrzył Stanislauowi przez ramię. Odprowadzony przez Barbarę, wrócił z innymi do Phoenixa, był w domu, by powiadomić Jean, jak sprawy stoją i następnie poszedł do koszar, gdzie Colman przeszmuglował go na odprawę. Okazało się, że to bardzo dobrze; plan opracowany ostatecznie przez Sirocco wymagał znajomości sieci elektrycznej „Mayflower II", a ponieważ Colman miał ją wyłączyć, udział Bernarda był niezbędny. Bernard także więc odlatywał na „Mayflower II". Postanowił, że wyjaśni to Jean później.

Propozycja Celii, by wciągnąć Borfonteina i Wellesleya była bez wątpienia ponętna. Ale jak dotychczas po bliższej analizie nie ostał się żaden z pomysłów, jak ich uwolnić: więźniowie byli przetrzymywani w pokojach, nieustannie strzeżonych przez dwóch czujnych i uzbrojonych „S"-manów, stojących w połowie długości szerokiego, jasno oświetlonego korytarza, bez możliwości zbliżenia się do nich zanim podniosą alarm. Dlatego Sirocco tę część planu pozostawił chwilowo w zawieszeniu.

Hanlon wyszedł z grupy żołnierzy i wolnym krokiem skierował się w stronę Colmana, Celii i Lechata. Wydarzenia biegły tak szybko, że od chwili powrotu Colmana nie mieli jeszcze okazji zamienić nawet paru słów. – No, widzę, że nie ma co pytać jak wam poszło, Steve. Rozumiem, że Weronika jest w pewnych rękach.

Colman potwierdził. – Jej przyjaciele czekali na nią, a teraz jest we Franklinie. Wszystko poszło gładko. – Zwrócił głowę w stronę Celii. – To jest Bret. Wyprowadził Weronikę z bazy.

Celii udało się uśmiechnąć. Sirocco nie uważał za właściwe, by wyjaśniać oddziałowi jej rolę w aferze Howarda Kalensa i powiedział tylko, że celem operacji będzie nadanie przez sieć paru nowych faktów, które wykończą Sterma. – Nie jestem pewna, co powinnam powiedzieć – zwróciła się do Hanlona. – Nigdy nie będę w stanie dostatecznie wam wyrazić swą wdzięczność. Zaczynam dostrzegać cały nowy świat, pełen ludzi, o których istnieniu nie miałam pojęcia.

– Ech tam, to się jeszcze nie skończyło – odrzekł Hanlon. Na moment zabłysły mu oczy, gdy sobie coś przypomniał. – O, przy okazji jeszcze coś ci chciałem powiedzieć – zwrócił się do Colmana. – Tam w bazie promowej aresztowaliśmy kogoś – tuż przed północą, właśnie gdyśmy mieli zostać zmienieni.

– Naprawdę? Kogo? – zapytał Colman.

– Trzech „S"-manów i tłustawą gospodynię w średnim wieku, którzy próbowali przeleźć przez płot – odrzedł Hanlon. – Kobieta utknęła na szczycie i narobiła niezłego hałasu. Czy nie przychodzi ci do głowy, przed czym oni mogli tak uciekać?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział szczerząc zęby Colman. Nawet Celia zagryzła wargi, by powstrzymać się od śmiechu. – No i co było dalej? Czy odesłaliście ich na górę?

Hanlon potrząsnął głową. – Och, po cóż tyle mściwości? Zdjęliśmy ją z płotu i wszystkich wysłaliśmy w dalszą drogę. W tej chwili są już chyba we Franklinie, szukając najszybszego sposobu wyjazdu z miasta.

W tym momencie Stanislau wydał triumfalny wrzask, a stojący za nim Bernard wyprostował się, by spojrzeć na Colmana.

– Dał mu radę – krzyknął. Podeszli, by zobaczyć to z bliska, a Sirocco zszedł z estrady. Sala ucichła się. Przed Stanislauem ekran ukazywał plan służby całej brygady piechoty na dzień dzisiejszy.

– Czy to jest kopia archiwalna – czy pokazujesz oryginalny dokument? – zainteresował się Lechat.

– Oryginał – odpowiedział Bernard. – Z możliwością zapisu kasującego również. Patrzyliśmy, jak robił taką próbę.

– To chyba to, czegośmy chcieli, szefie – zwrócił się Stanislau do Sirocca, wskazując na jeden z paragrafów. Sirocco pochylił się do ekranu.

Widzieli już, że na dzień następny zaplanowano ogromny ruch transportów; większość dotyczyła przewozu artylerii, broni pancernej i innego wyposażenia z „Mayflower II" dla umocnienia bazy promowej – niewątpliwie dlatego właśnie Sterm chciał ją opanować w całości. Wyglądało to tak, jakby zamierzał podjąć stamtąd wyprawę zbrojną na Franklin, prawdopodobnie pod osłoną broni orbitalnych, wystrzelonych ze statku. Dokonawszy zamachu na „Mayflower II" i oczywiście uważając statek za zabezpieczony, skoncentrowanych tam „S"-manów kierował na dół, by wzmocnić obóz warowny jako podstawę wyjściową operacji na powierzchni planety, natomiast niektóre jednostki regularne przenoszono na statek, by przejęły tam służbę. Stanislau wykrył rozkaz dla kompanii „C" załadowania się tego wieczora o 1800 dla przewozu na „Mayflower II" – właśnie to, na co miał nadzieję Sirocco. Był on gotów postawić na to, że nikt, mając przed sobą pracowity dzień i masę do roboty, nie będzie kwestionował wprowadzonych w ostatniej chwili zmian rozkazów.

– Zobaczymy, czy potrafisz wprowadzić zapis kasujący – rzekł Lechat.

Stanislau dotknął paru przycisków i natychmiast wszystko, co się odnosiło do kompanii „C", zostało zmienione w zapisy o kompanii „D". Kompania „D" była teraz wyznaczona do wieczornego transportu na statek, a kompania „C" miała spędzić niezakłóconą noc w łóżkach, ponieważ tak powiedział kompu-

sen

Zbigniew Bela

Któregoś popołudnia położyłem się w ubraniu na łóżku i leżąc na wznak, z rękami pod głową, patrzyłem w okno, przez które widać było stojący nie opodal blok. Była to typowa, wielkopłytowa budowla, szara i brzydka jak pudło po smalcu, w którym ktoś zmyślny zrobił mnóstwo podobnych do okien otworków, aby mieszkający w tym pudle mali ludzie o tępych twarzach i ponurym spojrzeniu mogli przez te otworki wyrzucać śmiecie i wylewać pomyje.

Patrzyłem na blok dość długo, rejestrując kolejne szczegóły jego wyglądu, w końcu jednak, znużony niezbyt budującym widokiem, zamknąłem oczy i spokojnie poddałem się ogarniającej mnie senności.

I śniło mi się, że się obudziłem. Wszystko było takie samo jak przed zaśnięciem, z tą tylko różnicą, że nie było to popołudnie, lecz wieczór. Zamiast szarej ściany bloku naprzeciw, widziałem teraz świecące w ciemności okna. Świeciły różnymi kolorami (bo różnego koloru były w nich zasłonki) i razem wyglądały jak pulpit sterowniczy kosmicznego statku.

Zdrętwiały od snu, nie miałem jeszcze ochoty wstawać, więc w dalszym ciągu leżałem (na wznak, z rękami pod głową) i leniwie wodziłem wzrokiem po kolorowych oknach – gdy nagle jedno z nich, w lewej części bloku, na szóstym piętrze, skupiło na sobie całą moją uwagę. Świeciło na niebiesko (bo miało niebieską zasłonkę) i właśnie na tej zasłonce całkiem wyraźnie rysował się cień ludzkiej głowy – wielki na całe okno.

Natychmiast przystąpiłem do obliczeń. Zmierzyłem przed lustrem długość swojej głowy, a następnie wysokość jednego z okien, zresztą analogicznego do tego, w którym widać było ów cień, po czym zasiadłem do biurka i podzieliłem tę drugą wielkość przez pierwszą. Wynik, jaki otrzymałem wskazywał, że od przeciętnej ludzkiej głowy tamta jest większa prawie sześciokrotnie. Potem pomnożyłem swój wzrost przez sześć, i ten z kolei rachunek wykazał, że człowiek zza niebieskiej zasłonki ma blisko jedenaście metrów wzrostu.

Poruszony tymi wynikami, zacząłem według tej samej metody obliczać, jakiej długości są nogi tego człowieka, jakiej grubości jest jego szyja, jak wysokie jest jego czoło i jaką powierzchnię ma paznokieć najmniejszego palca. Obliczenia te zajęły mnie tak bardzo, że ani się spostrzegłem, jak minęła noc. I dopiero wtedy zobaczyłem, że na całym biurku, a także na podłodze, leży mnóstwo kartek pokrytych cyframi, które teraz, w świetle dziennym, wyglądały jak zapiski matematyka, którym nigdy nie byłem, albo raczej maniaka. Więc pozbierałem je wszystkie co do jednej, zmiąłem i wrzuciłem do kosza na śmiecie.

Ale wieczorem znowu zobaczyłem tamten cień, a obok niego jeszcze jeden, z tym że ten drugi był już normalnej, to znaczy naturalnej wielkości. I pomyślałem: „Być może te moje nocne obliczenia nie miały sensu, ale cóż mi szkodzi sprawdzić, do kogo należy ten zwykły cień?" I okazało się, że należy do kobiety, zresztą młodej i ładnej, o czym przekonałem się dzwoniąc do jej drzwi i pytając, czy interesuje ją założenie w oknach żaluzji. Podziękowała z uśmiechem, wyjaśniając, że lubi zasłonki.

Nie wiem czemu, ale fakt, że tym zwykłym człowiekiem okazała się kobieta, sprawił, że znowu zapisałem wiele kartek, obliczając wielkość najróżniejszych detali jedenastometrowego człowieka. A co najważniejsze, kartek tych potem nie zmiąłem i nie wyrzuciłem do kosza, tylko złożyłem je w czworo i schowałem do wewnętrznej kieszeni marynarki. A kiedy spotkałem ową kobietę wracającą z zakupami do domu, bez wahania do niej podszedłem i przedstawiłem się jako mecenas Werner.

Powiedziałem tak: „Wiem wszystko o pani zmartwieniu i gotów jestem pani pomóc". Zapytała zdziwiona: „A skąd pan wie, jakie ja mam zmartwienie?" – a ja w odpowiedzi pokazałem jej swoje obliczenia. I wtedy ona się rozpłakała i opowiedziała mi, co następuje: Mniej więcej miesiąc temu, po południu, jej dwudziestosiedmioletni brat, który mieszka razem z nią, zaczął nagle i z niewiadomego powodu gwałtownie rosnąć, i w ciągu trzech dni osiągnął taką wielkość, że całe mieszkanie stało się dla niego za małe. Już pierwszego dnia, nie mogąc się zmieścić na stojąco, musiał się położyć; a kiedy na chwilę usiadł, oczywiście nie na krześle, tylko na podłodze, opierając się plecami o ścianę, to cały czas miał nisko pochyloną głowę, bo na karku miał już sufit. Następny dzień leżał w większym pokoju na boku, z podkurczonymi nogami, bo na wyprostowanie ich nie było już miejsca; i cały czas leżał tak, jak się położył, to znaczy twarzą do ściany, bo gdyby chciał się przewrócić na drugi bok, to musiałby przy okazji wiele rzeczy postrącać i poniszczyć. A trzeciego dnia już całe mieszkanie ledwie mu wystarczało. „Może pan sobie wyobrazić – powiedziała ta kobieta – jak musiał się czuć, kiedy w nocy ściany na niego napierały i zmuszały do coraz mocniejszego podkurczania nóg".

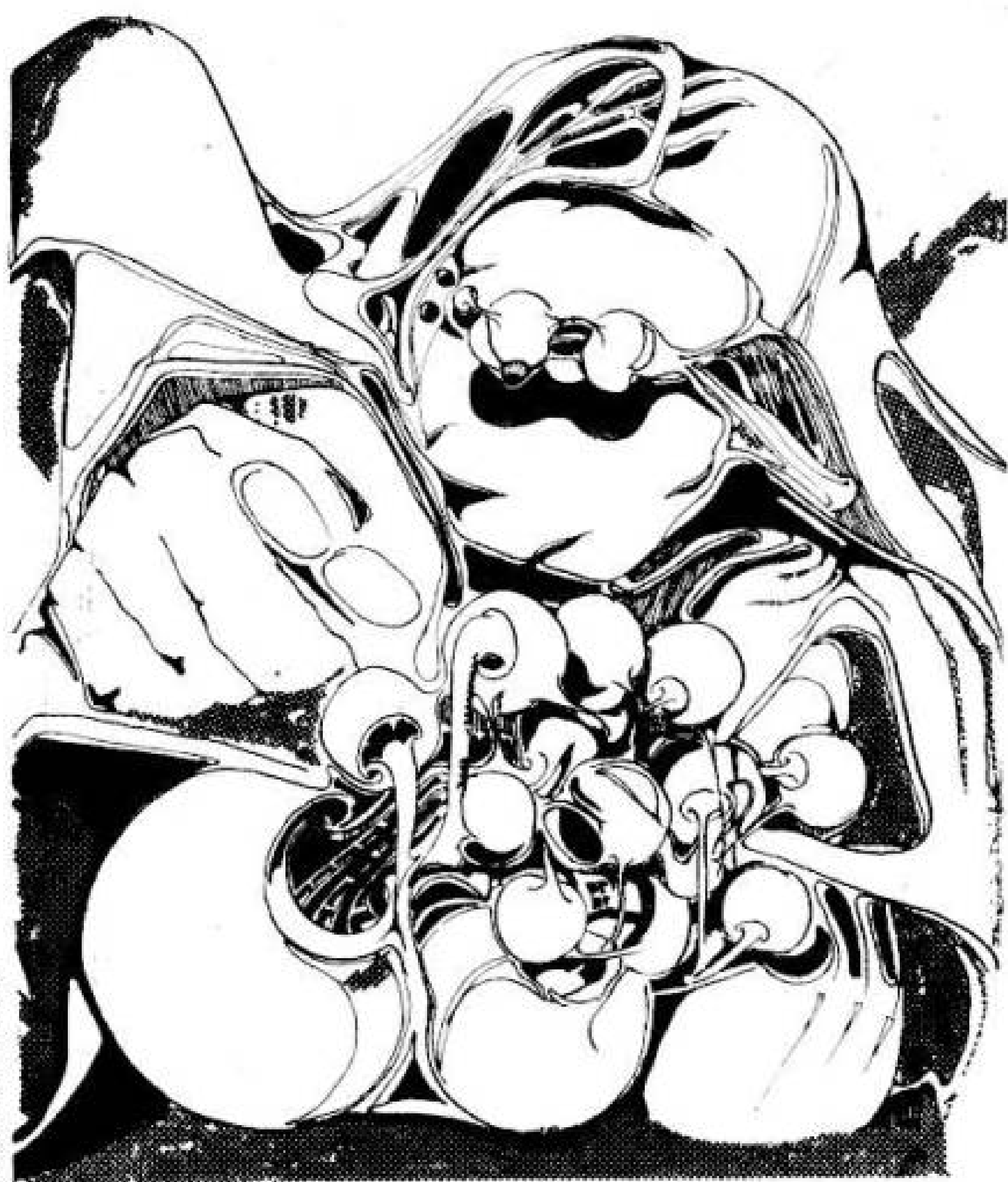
„Podczas tych trzech dni – mówiła dalej – nic nie jadł i nic nie pił. Dopiero czwartego dnia rano napił się trochę herbaty, a wieczorem zjadł pół kromki chleba. I tak było przez kilka dni. Dopiero na siódmy dzień, albo nawet ósmy, zjadł w południe kilka łyżek zupy. I tak je do dzisiaj: rano szklanka herbaty, a w południe kilka łyżek zupy, wieczorem pół kromki chleba. A wszystko z dużym wysiłkiem, bez apetytu. Może oprócz herbaty, którą zawsze bardzo lubił. Lekarza sprowadzać nie pozwolił. Powiedział: »Lekarz tu nic nie poradzi. Co najwyżej będzie chciał amputować mi nogi, żebym nie musiał ich podkurczać«. I w ogóle zabronił mi komukolwiek o tym wszystkim mówić. »Jeśli komuś powiesz słowo – powiedział – to jeszcze tego samego dnia będziemy mieli wszystkie szyby w oknach powybijane, a drzwi całe oplute i popisane obelgami i drwinami. A ciebie zaczną wytykać palcami, a potem pobiją. Nie znasz ludzi?«"

To powiedziawszy, oddała mi moje obliczenia i odeszła.

W tej sytuacji wróciłem do domu i zasiadłszy przy biurku, napisałem taki oto list: *„Na jednym z naszych osiedli, w bloku zbudowanym z pożal się Boże »wielkiej« płyty, w mieszkaniu, którego dłuższy bok nie przekracza dziesięciu metrów, mieszka człowiek, który ma jedenaście metrów wzrostu! Łatwo zauważyć, że słowo »mieszka« jest tutaj wyrazem daleko posuniętej uprzejmości. Bo czyż można powiedzieć, że ktoś »mieszka«, skoro z braku miejsca nie może ani stać, ani siedzieć, tylko musi cały czas leżeć, i to z podkurczonymi nogami? W ten sposób w średniowieczu karano najgorszych przestępców: zamykano ich w specjalnych celach, zwanych »niewygodą«, w których właśnie ani stać nie można było, ani leżeć, i zostawiano ich tam do końca życia. Natomiast w naszych czasach, mających pretensje nazywać się humanistycznymi, w ten sposób traktuje się człowieka, który nie tylko że nikomu nic złego nie zrobił, ale jeszcze mógłby, z racji swej wielkości, dokonać rzeczy, mogących przysparzać naszemu społeczeństwu sławy i szacunku w świecie. Tylko czy takie społeczeństwo, które w ten sposób traktuje jednostkę nieprzeciętną, można jeszcze nazwać społeczeństwem? Przeciwnie! Trzeba je nazwać stadem ogłupiałych bydląt, które zatraciwszy instynkt życia, pędzi prosto na płonący las! Można rozumieć demokrację, a nawet cenić ją jako jednakową szansę dla wszystkich. Ale nie wolno człowieka, który ma jedenaście metrów wzrostu, traktować tak samo jak tych, którzy z trudem przekraczają metr osiemdziesiąt!"*

List ten, podpisany pełnym imieniem i nazwiskiem, z dokładnym adresem zwrotnym, wysłałem do gazety, która nazywała się „Zarzewie Wolności". Ku mojemu zadowoleniu został on wydrukowany na pierwszej stronie tej gazety, pod wybitym wielkimi czcionkami tytułem: „11-METROWY CZŁOWIEK UWIĘZIONY W M-3!" A kiedy szedłem przez miasto, co krok napotykałem znieruchomiałych w takiej czy innej pozie ludzi, którzy w ten właśnie tytuł wpatrywali się nieruchomym, martwym spojrzeniem.

Potem było tak, że przed mój blok zajechał duży czarny samochód osobowy, z którego wysiadł kierowca w



niebieskim uniformie i okrągłej czapeczce z daszkiem. Po chwili tenże kierowca stał już w drzwiach mojego mieszkania i mówił, że „pan prezydent czeka".

Prezydent przyjął mnie w wielkiej sali z wysokimi okami i ciemnymi rzebionymi meblami. Stał daleko ode mnie, w drugim końcu sali, i z ręką wyciągniętą w teatralnym geście deklamował wiersz, w którym bardzo często pojawiały się zwroty „chluba narodu" i „dozgonna wdzięczność". Ale kiedy ten wiersz (notabene bardzo długi) się skończył, nagle wszystko się zmieniło, bo okazało się, że już nie jestem w tej dużej, mrocznej sali, tylko w jakimś przegrzanym pokoiku z godłem i biurową szafą, a prezydent, z łupieżem na kołnierzu, palący papierosa za papierosem, siedzi pochylony nad zarzuconym papierami biurkiem i tłumaczy mi, że wszystko, co w tej sprawie można zrobić, to załatwić stary cyrkowy namiot.

Tymczasem przed blokiem, w którym uwięziony był ów jedenastometrowy człowiek, zmontowano już budowlany dźwig i zwieszono z dachu tego bloku ruchomą platformę, na którą weszło trzech robotników w granatowych kombinezonach i białych kaskach. Platforma podjechała na wysokość szóstego piętra i zatrzymała się, a stojący na niej robotnicy najpierw umocowali na odpowiedniej płycie hak dźwigu, a potem przystąpili do oczyszczania jej konturu i przecinania prętów, które łączyły tę płytę z sąsiednimi płytami, tworząc ścianę bloku. Kiedy się z tym uporali, platforma, na której stali, zjechała w dół, natomiast ramię dźwigu uniosło się do góry, i oto cała ściana jednego mieszkania, z dwoma oknami i z zasłonkami na tych oknach, zakołysała się na linie jak przynęta na wędce. Potem postawiono tę ścianę na ziemi blisko bloku i ostrożnie ją o ten blok oparto. I znowu ramię dźwigu uniosło się do góry, a hak na końcu liny zawisł naprzeciw pozbawionego ściany mieszkania, które wyglądało teraz jak miejsce po wyjętej szufladzie.

Po chwili wyciągnęły się po ten hak dwie ogromne ręce i mocno ten hak ujęły, a ramię dźwigu, odsuwając się poziomo od ściany bloku, wyciągnęło uwięzionego w tym bloku jedenastometrowego człowieka i ostrożnie ustawiło go na ziemi. Obserwujący to wszystko tłum ludzi, zadzierając głowy, z przerażeniem patrzył na znajdującego się wśród nich wielkoluda, a stojąca obok mnie jego siostra ujęła mnie pod rękę i położyła głowę na moim ramieniu. Ten jej gest odczułem jako dużą przyjemność. I na tym mój sen się zakończył.

Kiedy otworzyłem oczy, było już ciemno i zamiast szarej ściany bloku naprzeciw, widziałem teraz tylko świecące w ciemności okna. Świeciły różnymi kolorami i razem wyglądały jak pulpit sterowniczy kosmicznego statku.

Zbigniew Bela

Był Szamanem. Trzy razy dziennie wspinał się na wysoką górę, by się modlić. Wiele godzin musiał iść z trudem po gruzie połamanych urządzeń, komputerów, maszyn liczących i silników. Omijał rozpadliny pełne technicznego śmiecia, które zbite i zmarznięte tworzyło w niektórych miejscach litą skałę, w innych ruchome piaski. Szedł cierpliwie omiatając je połami swej fioletowej szaty, ta przejęta od jego skóry barwa oznaczała istotę o najwyższym stopniu uduchowienia. Gruz pod jego stopami również przybierał odcień ametystu. Po obu stronach wydeptanej ścieżki rosły delikatne kwiaty na grubych łodygach, pokrytych przejrzystą błonką, pod którą można było dostrzec wodę i pływające w niej maleńkie ciałka. Kiedy je mijał, barwiły się lekko, tak jakby przechodziło przez nie fioletowe światło.

Popatrywał na szare niebo zasnute grubą warstwą pyłów, dymów i gazów po cywilizacji, która po naciśnięciu guzika wybuchła nagle oślepiającym światłem. Słońca nie można było przez nie dostrzec, tylko czasami ciemne niebo lekko się przejaśniało i wtedy się domyślał, że złota gwiazda Ziemi krąży jeszcze wokół niej.

Szedł, ponad szczytem góry błyszczało Światło, a pod jego promieniami żyli ludzie i rośliny. Okrążył gmach stojący na wierzchołku usypiska. Nie wchodził do niego nigdy, bo na progu leżał szkielet, a wewnątrz budynku wciąż walczyły groźne, tajemnicze moce szumiąc i warcząc. Tu, gdzie stanął, było najbliżej do Świateł, wydawało się, że tuż ponad głową wiszą ich olbrzymie białe koła. Stawał, po chwili skupienia unosił ramiona do góry i zaczynał modlitwę, od słów dziękczynienia Światłu za łaskę życia i ciepła. Modlił się z zamkniętymi oczami bojąc się, że ich żar wypali źrenice. Po twarzy Szamana spływały łzy i pot.

Dziś błagał Światło o łaskę rady i pomocy, bo coś złego zaczęło się wkradać pomiędzy jego Lud Miłości. Miłość, o którą się modlił, niczego jeszcze nie zmieniła na świecie, wciąż było szaro i straszno pod niebem zaciągniętym sadzami, a ludzie kostnieli od chłodu i kryli się w swych na wpół rozwalonych domach, między wysokimi pagórami zamarzniętego gruzu. Ostatnio zaczęli głośno wątpić w przeobrażającą potęgę miłości.

– O Światło! – zaczął tego dnia modlitwę. – Utwierdź lud twój w miłości. Daj znak, uczyń cud widomy. – Stał długo z ramionami wzniesionymi w górę, potem zaczął powoli i ostrożnie schodzić.

Minął wielki lodowy blok u podnóża góry będący zamarzniętym budynkiem bez ścian. W olbrzymim sześcianie lodu, poprzez jego przejrzystość dostrzegał piętra, na których stały łóżka. Spali w nich umarli żołnierze, ci, którzy kiedyś wywołali wojnę. Przyspieszył kroku, bo usłyszał nie opodal zgiełk. Na placyku stał groźny tłum w szarych szatach. Ci ludzie nie byli uduchowieni, nie rozwinęli w sobie uczuć wyższych, toteż wydzielali szarość, która przesyciła tkaninę ich szat. Pod ich stopami ziemia zszarzała, nawet kamienie, które trzymali w rękach gotowe do rzucenia były siwobure.

Naprzeciwko tłumu, na odległość rzutu kamieniem stała kobieta w obszernej czerwonej szacie. Płonęła tkanina ostrym kolorem, od uczuć gwałtownych i nieobliczalnych, od krzyku namiętności i zwierzęcych pragnień. Czerwone włosy kobiety szalały w powietrzu, choć nie było wiatru, unosiły się i poruszały plątaniną żmij. Czerwone wargi zaciśnięte i przygryzione pokazywały, że kobieta się nie podda. Biegała od jednego końca muru do drugiego jak zwierzę, w pułapce przestrzeni, a czerwone światełko było tak intensywne, że rozświetlało cegły za jej plecami. Z jednego ramienia szata się zsunęła obnażając czerwone skaleczenie.

Schodząc z góry wołał, by się zatrzymali, by nie popełniali zbrodni, bo przestaną być Ludem Miłości i zmienią się w Lud Zła, taki sam, jak ten, który zniszczył świat.

– Wstrzymajcie się – krzyczał podchodząc coraz bliżej. – Odrzućcie kamienie. Tylko dzięki miłości, którą barwimy nasze suknie, powietrze i rzeczy, mamy ciepłe drogi pomiędzy zamarzniętymi gruzami. Tylko ciepło uczuć przemienione w barwę i energię ogrzewa ten świat i powoduje, że po brzegach wąskich ścieżek rosną rośliny o grubych łodygach dające nam wodę, pożywienie i materiał na odzież. Tylko dzięki blaskowi, który nosimy w sobie, wielkie światło na niebie daje nam życie z naszym światłem się łącząc. Nie popełniajcie zbrodni! – wołał podchodząc zupełnie blisko. – Bo to oznacza zagładę nas wszystkich.

Lecz szarzy ludzie z kamieniami niewiele w sobie mieli uczuć i nie opuszczali gotowych do ataku ramion. Widząc fioletową szatę Szamana, jedynego tak uduchowionego wśród nich, umilkli, lecz nie przestali być groźni. Słuchali pojmując niewiele. Stali zbitym tłumem na wydeptanym ich stopami placyku, mając za plecami skamieniałe od lodu gruzy domów z ostrymi soplami wiszącymi w czarnych dziurach okien. Z ich ust wydobywały się obłoczki pary, a spod stóp usiłowały wykiełkować szare rośliny o grubych

SZAMAN

Emma Popik

łodygach. Na razie stali jeszcze cisi z szacunku dla jego pięknej tak intensywnie fioletowej szaty, ale wiedział, że zaczną rzucać w kobietę kamieniami, kiedy tylko przestanie mówić.

Nawet gdyby ją zasłonił swym ciałem i wyprowadził, celnie rzucony kamień mógłby ją zabić, zniweczyć jego autorytet i wysiłki.

– Co uczyniła ta kobieta? – zapytał.

Szarzy zaczęli na siebie spoglądać i się naradzać, wreszcie wypchnęli jednego spośród najbardziej zawziętych, a ten wyszedł o krok przed tłum, nadal ściskając kamień. Prawie wcale nie świecił, jego szata była matowa, a oczy niemal białe. Głos wydobywał się z krtani skrzypiąc, a Szaman odniósł wrażenie, że ocierają się o siebie połówki rozszczepionego przez mróz pnia drzewa. Szary rzadko widać mówił, niewiele myśli i uczuć przechodziło przez jego umysł i serce.

– Ta kobieta – zaskrzypiał – upodobała sobie jednego z żołnierzy zamarzniętych w wielkim bloku. Co dzień przyciskała swoje ciało do zimnego lodu, ogrzewała go swoim ciepłem, a on się topił.

Słuchając Szaman wyobrażał sobie, jak kobieta rozkłada szeroko ramiona chcąc objąć cały blok, przyciska do lodu swoje piersi, swój brzuch, swoje uda i kolana i wciąż roztapia zmarzlinę, i wreszcie dostaje się do łóżka jednego ze śpiących żołnierzy, który leży na wznak z ramionami wyciągniętymi wzdłuż ciała, jakby ciągle trwał w postawie na baczność. Niebieskie oczy ma obrócone ku niebu, długo na nich był lód, więc zamarzły stając się przejrzystymi szkiełkami nie dostrzegającymi niczego. Ale ona widzi cały świat przez te niebieskie szkiełka. Skóra żołnierza się kiedyś na nim paliła, zgorzele zniszczyły w wielu miejscach jej biel. Po wielu latach leżenia w lodzie cała zbrązowiała, więc człowiek przypomina mumię z ustami rozciągniętymi w gorzkim uśmiechu. Ale jej rozjaśniał świat. Szepcze do niego całe noce, czule jak do chorego dziecka: „Obudź się, kochany, ożyj. Przemów do mnie, spójrz na mnie". Zagląda w jego szkliste oczy i z ich chłodu odgaduje najgorętsze pragnienia. Ogrzewa jego usta oddechem, sercem leży na sercu pobudzając je do bicia.

I stało się. Ożywiła go. Obudziła go ze snu dziś rano. Wszyscy widzieli, jak otworzył oczy, i spojrzał na kobietę. Uśmiechnął się szerzej i tylko do niej, a ona rozradowana zarzuciła mu ręce na szyję i przysięgła miłość.

– Powiedz, Szamanie, czy wolno jej było to uczynić? – pytał skrzypiącym głosem oskarżyciel.

To on naciskał kiedyś guziki, by zrzucić bomby. Tacy jak on zniszczyli świat. Byliśmy zadowoleni oglądając ich martwych, wmarzniętych w blok lodu w szpitalu bez ścian. Obudzeni mogą stać się niebezpieczni. Kobieta popełniła grzech ofiarowując żołnierzowi swoją miłość. Dlaczego nie wybrała jednego z nas? Nie możemy znieść tej obelgi, musimy za to ukarać tę kobietę! Nie pozwolimy, by żołnierz był wśród nas, jego też zabijemy.

Słysząc to kobieta wparła się plecami w mur, jakby próbowała roztopić płomieniem własnego ciała cegły, by się prześliznąć na drugą stronę i uciec. Odblask jej skóry migotał wokół ramion i bioder, szalały jej czerwone włosy, wzdymała się szata, choć nie było wiatru, a ona sama stojąc jak skamieniała wpatrywała się w szary tłum swymi purpurowymi oczami.

Oskarżyciel przestał mówić i nim ktokolwiek zdążył mu przeszkodzić i nim on sam uświadomił sobie, co czyni, cisnął kamień. Świsnęło, prysnął odłamek cegły tuż przy policzku kobiety, zafalowała czerwona aura.

Szaman zrozumiał, że nie może nic uczynić. Podniósł ramiona, wzniósł oczy w górę, gdzie płonęły koła Świateł i szybko opuściwszy powieki, gdyż nie można było patrzeć, począł wołać: – O, Światło! Daj znak! Uczyń cud! – Zastygł bez ruchu w wielkim natężeniu woli i pragnienia, a wokół niego błyskał fiolet.

Wtedy jedno ze Świateł nagle zgasło. Zrobiło się jeszcze bardziej szaro, zadął wiatr, sypnął śniegiem i ziemia zaczęła szybko zamarzać wokół stóp tłumu. Zmarszczyła się błonka na łodygach roślin, a płyn w ich wnętrzu zamienił się w kryształki lodu. Olbrzymie liście opadły i sfalowane, umarły.

Niebo jeszcze bardziej zszarzało i się obniżyło tuż ponad głowy ludzi. W jego głębi coś, co wyglądało jak niesamowite oko, świeciło żółto.

Wielkie pagóry gruzów odcinały się od nieba, w głębokich dziurach po oknach ostro lśniły szybko powiększające się sople. Wiatr wydychał ze swych ust kolki lodu prosto w twarze ludzi.

Szaman wciąż stał z uniesionymi ramionami, jego głos jeszcze nie przebrzmiał, a ludzie wypuścili kamienie z rąk i upadli na twarze zakrywając głowy rękami. Było cicho, huczał wiatr i zasypywał leżących suchym śniegiem. Kiedy po chwili światło rozbłysło słabszym, żółtym blaskiem i ludzie zaczęli niepewnie podnosić głowy, a Szaman się odwrócił, kobiety już pod ścianą nie było.

Zobaczyli ją w oddali, biegła przez śniegi ciągnąc za rękę człowieka. Był bardzo słaby, wszak tego ranka obudził się ze snu, słaniał się na nogach i robił zbyt wielkie kroki. Ramieniem zasłaniał oczy, bo światło i poblask bijący od śniegu raziły jego nawykłe do ciemności źrenice.

Kobieta co chwilę się zatrzymywała, obracała ku niemu i podtrzymując pod ramiona popychała do przodu. Szarzy nie mieli odwagi, by pójść za nią tam, gdzie leżał wieczny śnieg, a światło ledwo dotykało ziemi i wył wiatr. Uciekinierzy zniknęli wreszcie we wnętrzu jednego z pagórków, który był dosyć dobrze zachowanym domem. Kiedy weszli, przez ciemną dziurę okna wypadł na śnieg czerwony odblask.

– Szamanie – zaczęli wołać ludzie. – Idź się modlić, już pora, odwróć zło.

Więc zaczął powoli wstępować po skruszonych maszynach, które udeptał własnymi stopami. Idąc myślał o potędze ducha, duch bowiem spowodował, że Światło przygasło. Wierzył, że siła miłości jego ludu może zmienić świat, bo dziś otrzymał widoczny dowód wpływu na materię sił, których nie można dostrzec. Wiedział, że kiedyś materia była silniejsza niż duch i jej przewaga stała się przyczyną zagłady świata. Teraz będzie inaczej, duch przemieni materię. W jego serce wstąpiła wielka nadzieja. Jego lud, choć prymitywny, rozwinie w sobie niewidzialne moce.

Wstępował powoli na górę wierząc, że od tego dnia rozpocznie się nieustanna przemiana na lepsze.

Delikatna fioletowa dróżka wiła się pomiędzy pokruszonymi licznikami i cewkami, przemykała obok kłębowiska przewodów i skomplikowanych części automatów. Poprzez cierpienie, które stało się jego udziałem, poprzez obawę, którą odczuwał, gdy chciano ukamienować kobietę, jego dusza stała się jeszcze bardziej subtelna, a kolor, który wydzielała – jaśniejszy.

Kiedy doszedł do ciemnego budynku, zobaczył zmiany. Zamiast szkieletu leżała garść rozsypującego się prochu, a jedna ściana rozpadła się odsłaniając obszerną salę pełną maszyn pracujących co sił. Poruszały się na najwyższych obrotach, niektóre tak szybko, że nie mógł nadążyć wzrokiem.

Były potężne, a w dodatku większa ich część tkwiła w głębokiej dziurze w ziemi. Pomyślał, że może cały teren, który zamieszkują, jest podkopany, a olbrzymie maszyny tam ukryte stukają nieustannie jak serce.

Całą boczną ścianę pokrywały tablice z guzikami, niektóre miały plomby z napisami: „Alarm". Przycisk tkwiący pośrodku zabezpieczono najdokładniej. Jego naciśnięcie wyzwalało jasność, od której już raz spopielał cały świat.

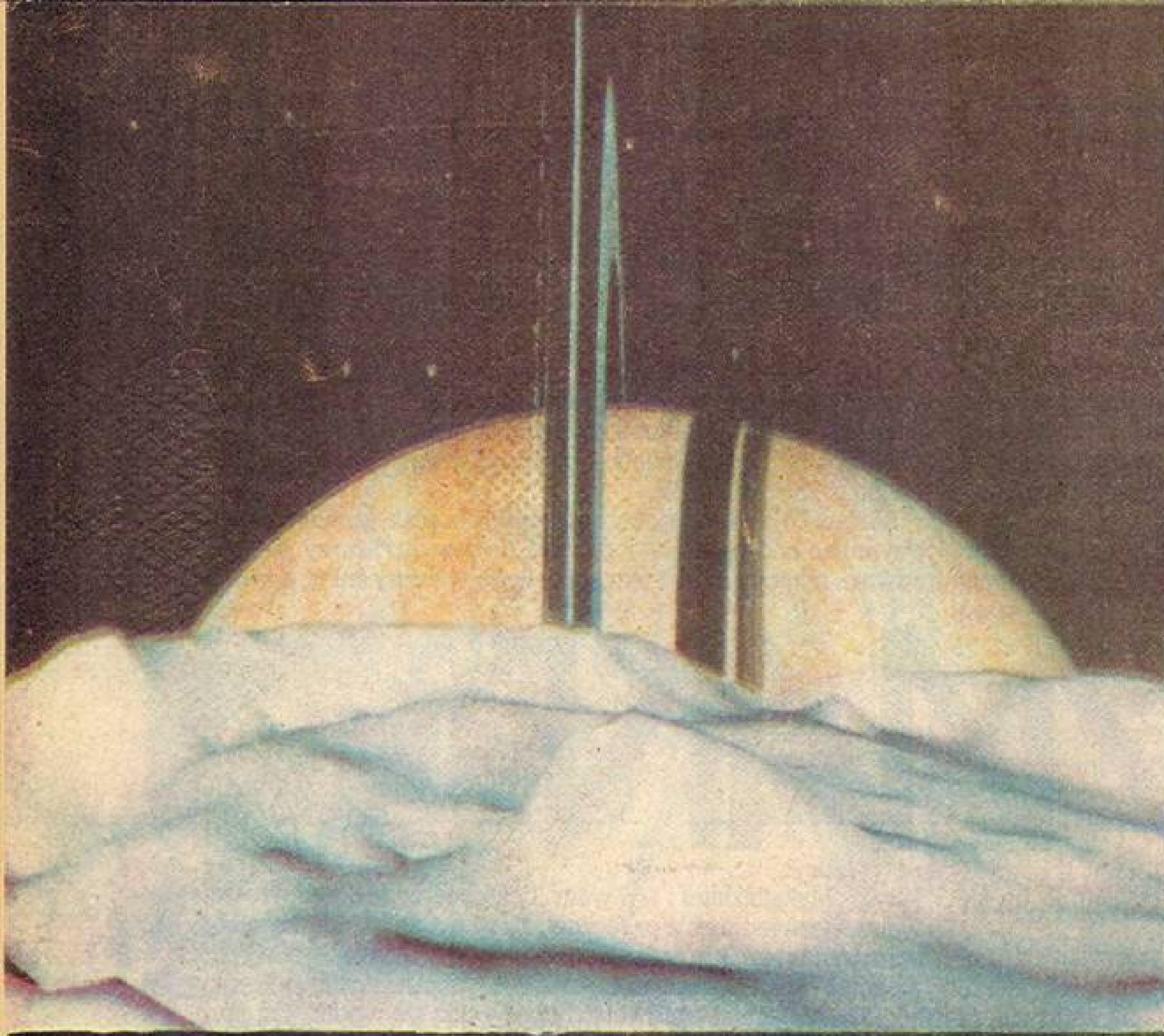
Między maszynami ciągnęły się przewody, część z nich szła w górę, prosto do Świateł. Przewody grubsze niż ramiona mężczyzn poruszały się nieustannie, wielka moc przepychała się w nich i rozpierała. Nagle coś błysnęło tak ostro, że mimo natych-

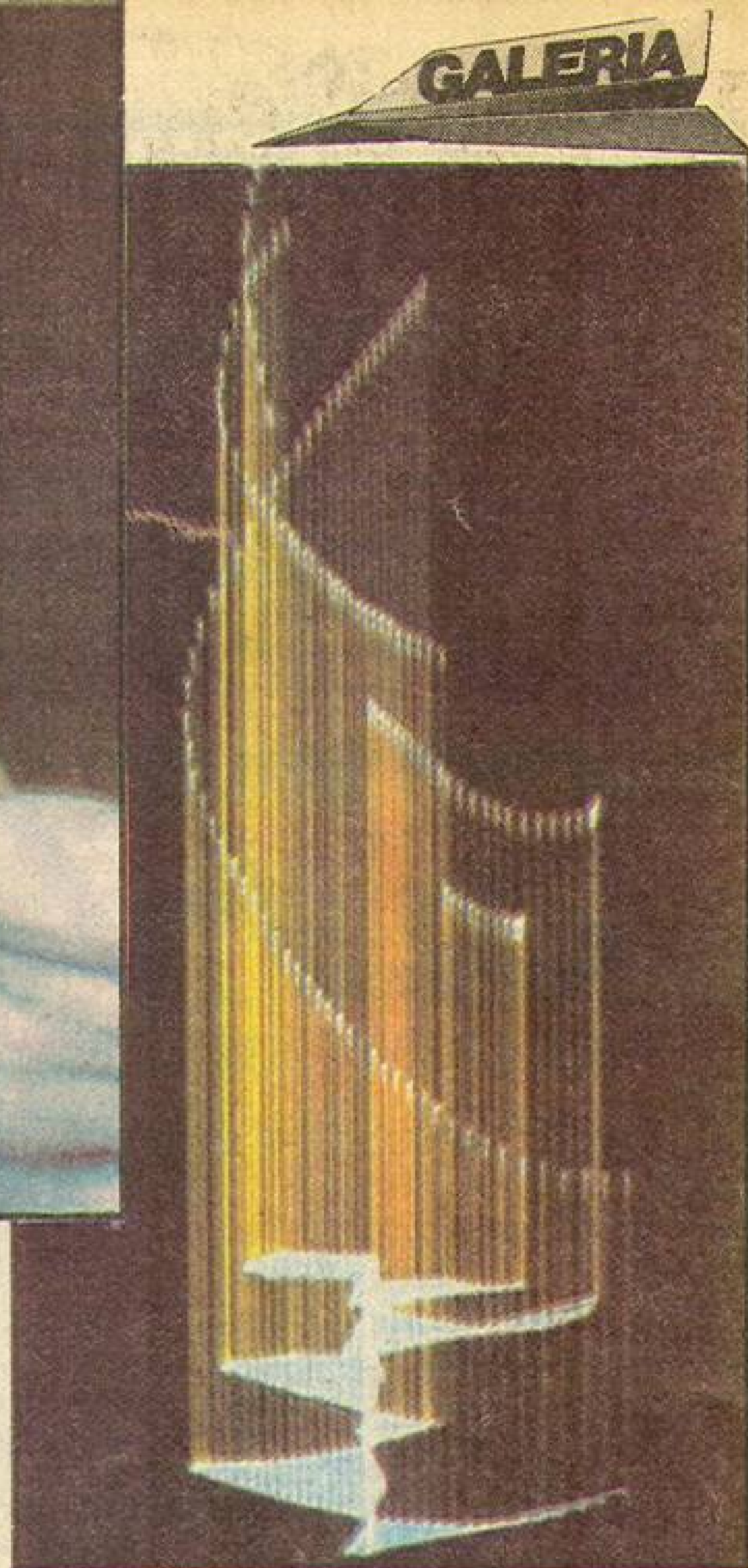
Emma POPIK

Urodziła się w miejscowości Skępe (województwo włocławskie) w roku 1949. Absolwentka Biologii polskiej Uniwersytetu Gdańskiego. Była nauczycielką szkoły średniej, redaktorką w „Wydawnictwie Instytutu Morskiego, asystentką w WSN w Bydgoszczy. Autorka tekstów o tematyce paranaukowej zamieszczanych na łamach „Kuriera Polskiego" i „Głosu Wybrzeża". Członek stowarzyszenia „Mutual UFO Network" – drukuje artykuły w pismach „Flay Saucer" i „UFO Journal" (Stany Zjednoczone, Chińska Republika Ludowa, Finlandia). Jej pierwsze opowiadanie SF „Mistrz" (podpisane pseudonimem Emma Popiss) zamieściła „Fantastyka" w marcowym numerze roku1983, a kolejne teksty o tematyce fantastyczno-naukowej „Przegląd Techniczny"

Zbiór opowiadań Emmy Popik **„Tylko Ziemia"** ukaże się niebawem w wydawnictwie „Iskry"

(an)





miastowego zamknięcia oczu, miał wciąż pod powiekami tę jasność, która go oślepiała. Czekając, aż mu wróci wzrok, zesztywniał, skupił się i próbował odtworzyć w mózgu to, co się stało. Przypomniał sobie dwa grube przewody. Pokrywała je czarna izolacja, wiły się i drgały, gdyż w ich wnętrzu przepływała moc. Po chwili uświadomił sobie, że wewnątrz każdego z nich znajdowało się wiele skręconych drutów. Prawie wszystkie pękły i odgięły się na boki, tylko jeden, ostatni pozostał cały i on łączył dwa czarne ramiona przewodu. To po nim przepłynęła nagle jasność.

Otworzył oczy i kiedy się oswoiły z jasnością, spojrzał na Światła. Jeszcze jeden świetlisty krąg przygasł i zżółkł. Przeniósł wzrok na przewody, ten ostatni, przez który płynęła moc, również pękł i zwisał odgięty i bezradny. Szaman stał długo i starał się wszystko zrozumieć. Wpatrywał się w tablice na ścianie, w przewody i w pracujące maszyny. Nie miał siły się modlić i wiedział, że nigdy już tego nie zrobi. Domyślał się, czym były Światła i jaka to siła tworzyła ich duszę. Zmartwił się takim spadkiem po ludziach rządzących niegdyś materią, obawiając się, że od nich niczego dobrego nie można otrzymać i wcześniej czy później wszystko musi obrócić się w zło.

Posmutniał, zrozumiawszy, jakie urządzenie zmontowali w budynku dawni ludzie, ale on był Szamanem, jego zadanie polegało na odwracaniu nieszczęścia. Uświadomił sobie, co działo się na dole. Ile roślin zmarniało, ile domów pokryło się lodem i co się stało z ludźmi? Czy ich serca potrafią dać tyle ciepła ciałom, by je ogrzać? Dotychczas wierzył w taki właśnie przepływ ożywczej energii, ale teraz zwątpił. Jego lud tak niewiele miał w sobie uduchowienia, szarość nie chciała się zabarwić żadnym z kolorów. Czerwono płonąca kobieta! To była szansa dla wszystkich. Tak gorąco kochała człowieka i już tyle zdołała swoją miłością dokonać. Stopiła lód, obudziła zmarłego. Odtąd co dzień poprzez swoje uczucie będzie dokonywać cudu ożywienia ziemi.

Kiedy szła popychając i wlokąc mężczyznę, aura z jej stóp padała odblaskiem na śnieg, który się topił. Udała się bez strachu poza barierę lodu i zamieszkała w zamarzniętym domu, a kiedy tylko weszła do środka, wszyscy zobaczyli, że z okien zaświeciła łuna. A do tej pory, pod ścianami na pewno zdążyły już wyrosnąć wysokie rośliny o olbrzymich czerwonych kwiatach, w których tętnią ożywcze soki. Wkrótce i mężczyzna zostanie przepojony ognistą aurą kobiety. Ich dzieci będą jak płonące pochodnie. I odrodzi się świat poprzez miłość.

– Trzeba im pomóc – pomyślał. – Wszystkim przyda się trochę więcej światła. A ludzie będą przekonani, że to nowy cud.

Kto wie, co tam na dole myślą i do czego się zbierają? Może właśnie w tej chwili wychodzą z domów z pochylonymi głowami, drżąc chowają ręce w obszernych rękawach. Chłód przenika ich na wylot. Idą długimi szeregami, są głodni, bo rośliny zamarzły i pochyliły się ku ziemi. Łamią się łodygi z trzaskiem, są kruche. Próbują je przeżuwać, zwarzone rośliny zamieniają się w ustach w galaretę, a ożywczy sok skamieniały na kryształki rozpływa się na języku i nie ma smaku. To ich doprowadza do gniewu, wieje wiatr, ziemia zamarza pod ich stopami. Idą pełni złości, a ich szaty ciemnieją, robią się bure, przybywa w nich czerni. U wielu z nich rozległa plama na lewej piersi wciąż się rozpełza i powiększa. Wygląda to tak, jakby z ich serca wylewała się czarna zła krew i wsiąkała w tkaninę. Tacy ludzie zrobią wszystko, zdolni są do popełnienia każdej zbrodni, a na ich szarych twarzach nie drgnie żaden mięsień. Są jednak i tacy, którzy w tym pochodzie wydzielają biel – współczucie. Biel rozjaśnia szarość nieśmiało, rozbłyskuje plamą i – przestraszona – gęstnieje. Tacy ludzie zrobią to, co inni. Tłum czernieje i zbliża się do budynku, z którego okien bije czerwona łuna. Nienawidzą nawet tego ciepła, chcą zabijać.

Kiedy błysną Światła – pomyślał Szaman – ludzie krzykną: „Oto nowy Cud! Światła się za kobietą ujęły!"

A on, Szaman, tego cudu dokona. Pewnym krokiem zbliżył się do przewodów, ujął je obiema rękami i zbliżył do siebie dwa pęki drutów. Zastanowił się przez chwilę i zetknął je szybko. Nagły błysk, oślepiające światło zygzakiem leci w dół, na ziemię. Blask jest tak jasny, że Światła wydają się przy nim żółte i mdłe. Grzmot! Nieznana potęga odrzuciła Szamana pod ścianę. Od jasności nie widział nic, a w ziemię wciąż biły gromy świateł. Ale Szaman leżąc potłuczony z zamkniętymi oczami, radował się, że na ziemi zapanowała jasność i ciepło. Ta jasna moc mogła nawet rozgrzać ziemię – pomyślał. Wyobraził sobie, jak kwiaty idą na prężących się łodygach w górę, a lodowe kopuły zaczynają płynąć wodą. Ludzie wybiegają śmiejąc się i krzycząc z radości, sławią kobietę, przekonani, że Światła pobłogosławiły jej miłość.

Przyjrzał się budynkowi i urządzeniom jeszcze raz, kiedy tylko podniósł się spod ściany, by uzyskać pewność, że wszystkie alarmowe guziki na tablicach są dobrze zabezpieczone, a ten na samym środku pozostał nietknięty. Guzik przyciągał jego wzrok, patrząc nań Szaman czuł jak jego fioletowa aura faluje pełna przeczuć.

Wyszedł na zewnątrz i przysłoniwszy ręką oczy próbował spojrzeć na Światła. Oślepiły go od razu, powieki mu opadły, ale pod nimi widział, że wokół każdego był okrągły klosz, a przewody szły w dół do budynku, w którym urządzenia wytwarzały moc zasilającą Światła. To maszyny pracowały rytmicznie niby

puls, to ten straszny budynek był sercem Świateł, o których dotychczas myślał, że są bóstwami.

Przypomniał sobie szkielet leżący na progu. Wielka była moc, która zabiła człowieka i potem spopieliła jego ciało.

– Ona tu jeszcze jest – pomyślał. – A kim byli ludzie, którzy umieli takie moce wytwarzać i obracali je na szkodę człowieka?

Żołnierze wmarznięci w blok szpitala należeli do takich ludzi. Co stałoby się z tym światem, gdyby ich wszystkich obudzono? Szaman nie był pewien, że nie żyją. Kiedyś płonęła na nich skóra, potem zamarzli, może lód stał się lekarstwem i bandażem? Może wstaną i przyjdą do jego ludu z nowiną dobrą i zarazem straszną. Spieszył się bardzo wierząc, że spotka go coś dobrego, że rozbudzi w ludziach przychylność dla kobiety i jej wybrańca.

Szarzy ludzie siedzieli na placu. Schodząc zauważył nastrój rozleniwienia i niedbalstwa. Porozkładali się, gdzie kto mógł, na stosach cegieł, na obudowach maszyn rdzewiejących od stu lat, na pojazdach i wozach bojowych leżących do góry kołami. Były tu zawsze, lecz nikt o nich nie wiedział, bo ukrywał je śnieg. Sądził dotychczas, że są pagórami lodu i wieczną zmarzliną.

Ziemia parowała, pokrywały ją kałuże wielkie jak bajora, z których unosił się biały tuman. Ludzie trzymali nogi w wodzie, poruszali nimi taplając się w błocie. Kiedy zaczynało parzyć, szybko wyciągali stopy i psyknąwszy ocierali jedną o drugą. Czasami drapali się bezmyślnie po piersiach lub po prostu leżeli na wznak z rękoma założonymi pod głowę.

Roślinność podobna do runa młodego baranka pokrywała wszystko. Kędzierzawe kwiatki i młode listeczki pleniły się gestwą na każdym skrawku ziemi. Leniwe ręce ludzi sięgały po łodyżki, przełamywały i wkładały kawałki do ust, by przeżuwać włókienka i wysysać sok. Bokiem ust wypluwano zdrewniałe cząstki i sięgano po następną roślinę, która w tym miejscu zdążyła wyrosnąć.

Szaman nie wiedział, czy przyspieszyć kroku z ciekawości, czy zwolnić ze zdziwienia. Niejasna obawa wkradała się do jego serca. Kiedy podszedł bliżej zauważył człowieka siedzącego na zardzewiałym czołgu. Nie rozpoznał go, więc się zatrzymał zaniepokojony. Od człowieka nie płynął żaden kolor, niczego z siebie nie wydzielał, była wokół niego pustka, która ssała. Niebezpiecznie było stać obok niego, bo przestrzeń wokoło siedzącego miała otwarte usta i wpadał w nie fioletowy kolor otaczający Szamana. Cofnął się kilka kroków, wyrywając swą aurę z przyciągania tak, jakby wyciągał suknię z zębów psa. Zatoczył koło i zaszedł siedzącego od przodu. Przeraził go uśmiech na brązowej twarzy o zbyt napiętej i jakby za krótkiej skórze, uśmiech, który był niczym innym jak szczerzeniem zębów. Obnażone i spróchniałe przypominały zęby czaszki, która leżała sto lat w ziemi. Gorzko się uśmiechał, jakby posiadł mądrość i nie miał nadziei, ale to pewnie jego spalona skóra, odrosła i zabliźniona w lodzie, nie pozwalała mu zamknąć ust. W tej twarzy zbrązowiałej mumii tkwiły jasne wodniste oczy bez tęczówek i źrenic. Wpadało się w nie jak w staw i nie docierało do dna.

Z wielkim łakomstwem i chciwością człowiek zajadał łodygi i nawet nie wypluwał włókien, jakby nie jadł od stu lat. Na Szamana rzucił obojętne spojrzenie, tylko na chwilę skierował swe oczy w stronę, gdzie drgała fioletowa mgiełka.

Otworzył usta z bolesnym grymasem, pokazał na swoje gardło, dotknął palcami krtani i spróbował wydać z siebie głos. Z ciemnej jamy ust nie wydostał się żaden dźwięk, choć Szaman się spodziewał, że usłyszy wilcze wycie. Ożywiony przekrzywił głowę i zastygłszy z otwartymi ustami rozłożył ręce w bezradnym geście rozpaczy. Jego struny głosowe były spalone i nie mógł niczego wyjawić. Opuścił ręce i próbował uśmiechnąć się przepraszająco, ale jego usta tylko się rozciągały i kurczyły. W jasnych oczach bez źrenic przemknęła mgła, próba zrozumienia tego, co dostrzegł. Szamanowi się wydawało, że jego fioletowa aura budzi zainteresowanie. Czuł, że we wnętrzu tej ożywionej istoty, która tu siedzi, jest człowiek. Schowany w bunkrze, nie może odbierać bezpośrednich wrażeń ze świata. Między tym człowiekiem, a rzeczami, które widzi, istniał wewnętrzny telefon, który przesyłał słowa zniekształcone i ledwo słyszalne.

Żołnierz wiedział o tym, ale tylko czasami słyszał przez grube mury bunkra głosy wołające go, by wyszedł na powierzchnię. Nie mogąc tego zrobić cierpiał, zapadał co chwila w milczenie i zamieniał się w automat, który zapomniał swego programu.

Wstał powoli i się zachwiał, jakby dokuczał mu zawrót głowy. Ujął dłoń Szamana i pozwolił, by mu się wyśliznęła, gdyż nie wiedział, jak należy zacisnąć palce. Obrócił się i zaczął powoli iść przed siebie ciężkim, kołyszącym się krokiem zombie, ożywionego nieboszczyka.

Kości leżały na miękkiej ziemi, przygięte nogi, rozrzucone ręce, czaszka przechylona na ramię wskazywały, że śmierć nastąpiła nagle, jakby ścinała kwiat. Czyje kości? Szaman rozejrzał się z przerażeniem. Nie chciał w to uwierzyć, ale kobieta już nie płonęła, nie wzdymały się jej czerwone włosy, purpurowe oczy nie rozświetlały ciemności i nie unosiła się jej szalona suknia. Między kosteczkami jej przegubów wykiełkowały małe różowe kwiatki, jakby spod ziemi rwała ich całe pęki.

– Jak to się stało? – wykrzyknął Szaman nie pamiętając, że żołnierz ani nie rozumie, ani nie może odpowiedzieć. Lecz ten otworzył usta i podniósł twarz do nieba, jakby mu urągał. Stał tak jak posąg cierpiącego, który skamieniał i nie może już krzyczeć. Przypominał człowieka niedorozwiniętego, wielki kloc, który nieporadnie naśladuje żywych. Przez moment był człowiekiem, potem sygnał jego wewnętrznego telefonu umilkł. Nie mógł zrozumieć słów, więc zamienił się w rozstrojony automat. Ale znowu jego pamięć zaczęła mu coś podpowiadać, więc podniósł ramię i od nieba do ziemi nakreślił szybki zygzak kierując go swym wskazującym palcem prosto w leżące kości. Przygiął nogi i udawał, że pada martwy.

– Światła ją zabiły? – nie dowierzał Szaman. – Błyskawice?

Przypomniał sobie moment, kiedy stał na górze trzymając w ręku połączone przewody, a białe błyskawice biły w ziemię jak wściekłe. Myślał wtedy, że wywołuje cud i daje ludziom radość. Chciał tym cudem ocalić kobietę, a przecież ją zabił.

Podszedł do nich szary mężczyzna, ten sam, który oskarżał kobietę, i czochrając leniwie palcami po kosmatej piersi patrzył obojętnie na smutne szczątki.

– On wyszedł z lodowego domu – wskazał na żołnierza, a ten próbował się uśmiechnąć i kiwnąć głową uradowany, że to o nim się mówi. – Przyszedł do nas i pokazywał na usta – ciągnął szary. – Zrozumieliśmy, że jest głodny i nie może czekać, aż kobieta coś dla niego zdobędzie. Daliśmy mu rośliny, gryzł je z trudem. Kiedy zaspokoił pierwszy głód, zaczął wymachiwać rękami, jakby chciał wyjaśnić coś ważnego. Zrozumieliśmy, że dotyczy to świateł. Staliśmy wokół niego niemal wmarzając w ziemię, a on pokazywał, że będzie dużo światła. Wywoływał je, czarował, uruchamiał cuda. Czekaliśmy w napięciu aż zapłonie wielkie Światło.

Wtedy zobaczyliśmy kobietę biegnącą z krzykiem. Chwyciła żołnierza za rękę, odciągając go od nas, nie chciała, by dał nam jasność. Wtem białe światło przecięło niebo, uderzyło kobietę w głowę i w mgnieniu oka obaliło na ziemię. Stał się cud zapowiedziany przez żołnierza, on go wywołał, a Światło ukarało tę, która chciała cud zniweczyć. Pokazało wyraźnie, że żołnierz ma iść na górę i zrobić tam to, co wyczarował rękami. Dał nam dużo Świateł, zesłał ciepło i dobro, ukarał zło, uczynił sprawiedliwość. Ty, Szamanie, nie zdołałeś tego dokonać, a jesteś tym, który odwraca zło.

Wszyscy szarzy zebrali się już wokół nich i czekali na decyzję, która mogła być tylko jedna. Szaman czuł się słabo, jego fiolet nikł, spełzał jak tkanina wyblakła od łez.

– Zaprowadź go, Szamanie, do Świateł, zaprowadź, bo i ciebie jasność ukarze.

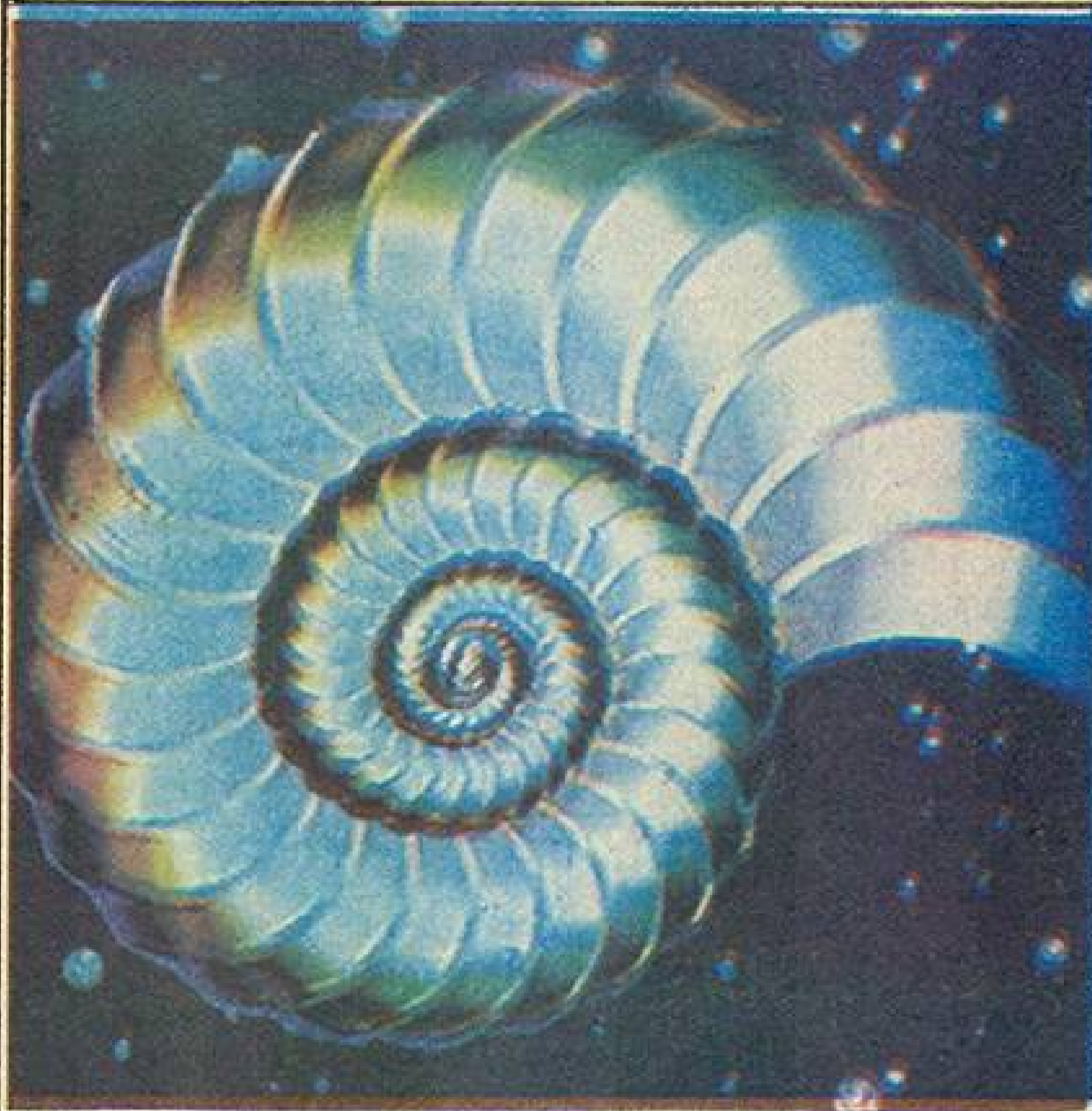
Żołnierz kiwał głową, jakby wiedział, o czym mowa. Szaman westchnął i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na kości, które już prawie zniknęły pod runem młodej zieleni i różowych kwiatków, odwrócił się i zaczął wstępować na górę. Szedł powoli i z trudem słysząc za sobą ciężki oddech ożywionego. Nie wierzył, by żołnierz umiał cokolwiek zrobić: jego mózg pamiętał tylko niewielką część tego, czego się kiedyś wyuczył. W drobnym zaledwie stopniu był człowiekiem jak dawni ludzie, jak ci, którzy umieli rozpętywać złe moce na zagładę świata.

Stąpali po detalach maszyn, ale ożywiony nie interesował się nimi zupełnie, nie rozumiał po jakich szczątkach stąpa. Szaman czasami się odwracał i patrzył w niebieskie, wodniste oczy idioty, który wciąż się uśmiechał, choć już nie z goryczą, ale złowrogo.

Zamyślony zwalniał i nie czuł nawet, że jego aura wpada w przestrzeń wokół ożywionego jak w pustkę grobu. Nie zauważył nawet, jak bardzo osłabł, stąpał jak zamroczony, jakby to on żył połowicznie.

A kiedy weszli na szczyt i żołnierz wkroczył do budynku, i stanął przed ścianą pokrytą guzikami, Szaman nie zrobił nic, choć miał przecież odwracać nieszczęście. Nie poruszył się, kiedy tamten przypomniał sobie gest, który trzeba wykonać, by rozpętać wielką jasność. Stał, a żołnierz jak niegdyś wyciągnął rękę i nacisnął alarmowy guzik.

Emma Popik







Dziewczyna w dżinsach wyszła prawie do połowy drogi, nie przestając wymachiwać ręką.

– Ładna – pomyślał Martin wymijając ją szerokim łukiem. – Bardzo ładna!

Miała szczupłe nogi, metaliczne włosy i śmieszną na wpół dziecinną buzię. W innej sytuacji zabrałby ją do wozu. Teraz nie mógł. Działał według instrukcji.

Las się skończył, a właściwie pojawiła się obszerna polana z widocznym w oddali pawilonem motelu. Poza paroma budynkami horyzont ze wszystkich stron zamykał bór, pełen wilgoci, ptactwa i żółknących liści. Vis-à-vis motelu widać było niski budynek warsztatu samochodowego udrapowany wywieszkami Datsuna, Forda i Volkswagena. Podróżny skręcił na podjazd. Wszedł mechanik, rudy byczek o czerwonej twarzy zadowolonego z siebie idioty.

– Kolizyjka? – uśmiechnął się stukając butem o karoserię samochodu.

Martin skinął głową. Lewa strona wozu wyglądała opłakanie. Zmiażdżony błotnik, uszkodzone drzwi, potłuczone światła, oderwany zderzak. Jakże zdziwiłby się mechanik, gdyby mógł zobaczyć, jak godzinę temu pan Volontier metodycznie dewastował swój wóz ocierając go mozolnie o betonowy słup.

– Długo to potrwa? – spytał Martin.

Ryży rozłożył ręce, ale parę banknotów sprawiło, że wesoło klepnął maskę.

– Jutro w południe będzie jak nowy.

Klient zmarszczył brwi.

– Bardzo się spieszę. A poza tym, co przez ten czas miałbym zrobić ze sobą? Zdaje się, że do najbliższego miasta mamy pięćdziesiąt mil.

– Sześćdziesiąt. Ale obok jest motel, całkiem przyzwoity i o tej porze roku prawie pusty.

Volontier westchnął, dał kluczyki i ruszył w stronę białych schodków. Szedł wolno, jak człowiek wytrącony z normalnego rytmu. Minęła go dziewczyna w dżinsach. Biedactwo, musiała zrobić pół mili na piechotę. Uśmiechnął się. Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem i skręciła do baru. Faktycznie mógł ją podrzucić. Wziął klucz od pokoju, ale poprzestał na wniesieniu tam teczki.

– Przespaceruję się – powiedział do recepcjonisty, mimo że ten o nic nie pytał, zadowalając się wpisem w księdze – „Michael Vernon z Montrealu".

Jezioro znajdowało się o czterysta metrów od motelu. Idąc brzegiem według wskazówek doszedł do świeżo ściętej olchy. Tam, zdjąwszy uprzednio buty i spodnie wszedł w trzciny. Woda była cieplejsza niż myślał. Bez trudu odnalazł łódkę. Stała dokładnie tam, gdzie powinna. Cicho wiosłując przepłynął na drugą stronę cieśniny okolonej dzikim borem i przycumował przy zapuszczonym, prawie nie wystającym z trzcin pomoście. Stąd zarośnięta ścieżka doprowadziła go do starej leśniczówki. Oglądał się parokrotnie. Nikt go nie śledził.

– Brawo, pełna precyzja – powiedział spoglądając na zegarek szczupły mężczyzna o krótkich, połyskliwych włosach i wąsie przypominającym przylepiony pod nosem kłębek wełny. Nie wyglądał na leśniczego, mimo że całe wnętrze wypełniały skrzyżowane dubeltówki, rogi i łowieckie oleodruki. Jeszcze raz przyjrzał się postawnej sylwetce przybysza i spytał ciszej:

– Martin Volontier, oczywiście?

– Nazywam się Michael Vernon, wybrałem się na spacer i myślałem...

– W porządku – uśmiechnął się ciemnowłosy – jestem major Omikron z Grupy Specjalnej... Poza tym, po co ja pytam? Któż nie zna twarzy mistrza Volontiera. Jeszcze w szkole zaczytywałem się pańskimi opowiadaniami. Zawsze nurtowało mnie, skąd pan bierze pomysły? A „Trzecią Planetę" znam prawie na pamięć. „Siwy Glor jednym skokiem dopadł pneumolotu..." – zacytował.

Pisarz wzruszył ramionami. Nie przybył tu na wieczór autorski. Właściwie nie wiedział nawet, po co go ściągnięto. Facet przedstawiający się jako Profesor Morris odwiedził go wczoraj przed północą. Proponował królewskie honorarium za udział w poważnym eksperymencie. Prosił tylko o pełną konspirację.

– Rozumiem, chciałby pan od razu przystąpić do rzeczy – domyślił się Omikron – zatem chodźmy.

Otworzył dwuskrzydłowe drzwi dębowej szafy. Pisarz zdumiał się, wewnątrz czekała nowoczesna kabina windy.

– Pomysłowe, prawda? – Oficer puścił gościa przodem i nacisnął jeden z dwudziestu guzików. Ruszyli. – Zupełnie jak w „Grocie syren", skopiowaliśmy nasze centrum z pańskiego opowiadania – przyznał się. – Ale przynajmniej tu możemy być pewni, że nikt nam nie przeszkodzi.

Winda zatrzymała się na poziomie piątym. Weszli do niewielkiego pomieszczenia, przy ścianie stał strażnik z rozpylaczem, w głębi nad biurkiem pochylała się chuda postać profesora Morrisa (o ile było to jego prawdziwe nazwisko). Drzwi zasunęły się automatycznie.

– Od razu zabierzemy się do rzeczy – powiedział profesor, nie tracąc czasu na jakiekolwiek wstępy. Światło przygasło, a w głębi zapłonął ekran video.

Jak okiem sięgnąć ciągnęło się przygnębiające odludzie – kraina bagnisk, karłowatych drzew i zimnych wiatrów. Ekipa geologów zwabiona wzmożonym wskaźnikiem radioaktywności gruntu pracowała ze zdwojonym wysiłkiem. Czarno-biały film pokazywał kępę namiotów, hangar ze sprzętem, wreszcie wykop. Nie było potrzeby mrozić gruntu, mimo wiosny temperatura utrzymywała się ciągle poniżej zera. Poszukiwany obiekt nie leżał głęboko, a wszystko wskazywało, że raczej został zatopiony w bagnisku niż runął weń sam... Zbliżenie, ascetyczna twarz profesora Morrisa promieniująca autentycznym podnieceniem. W końcu niecodziennie znajduje się latający talerz!

Wariant autorski

Marcin Wolski

Kosmiczny spodek wyglądał dokładnie tak, jak w standardowych nowelkach i popularnonaukowych opisach. Wykonano go z nieznanego na Ziemi stopu, niezniszczalnego znanymi metodami. Może dlatego pasażerowie nie zniszczyli wehikułu, poprzestając na zatopieniu. Bo musieli być pasażerowie. Pojazd znaleziono otwarty.

Z „meteorytem tunguskim" łączyła go tylko przyrodnicza sceneria – jego pojawieniu nie towarzyszyły żadne detonacje i kataklizmy, nie licząc pewnej liczby martwych ryb w miejscowych rozlewiskach. Ustalono datę. Zatopienie miało miejsce 19 i pół roku temu. Ówczesne obserwacje astronomów wspominały o małym świetlistym punkcie dość szybko zbliżającym się w stronę Ziemi, który uznano za meteor. Nieoczekiwanie, już blisko Ziemi, stracono go z oczu. Przypuszczano, że spalił się w górnych warstwach atmosfery. Co ciekawe, talerza nie odnotował żaden radar. Dopiero dziś, patrząc z perspektywy, lądowanie można wiązać z tajemniczym zniknięciem trzech samolotów bojowych, które odbywając rutynowy lot nad Arktyką, weszły 2 października w strefę chmur, po czym urwał się kontakt. Ostatnie słowa jednego z pilotów brzmiały: „zejdę niżej, to interesujące". Nikt nie widział od tej pory ani samolotów, ani dziewięciu żołnierzy stanowiących ekipę.

A jednak profesor Morris znalazł wewnątrz kosmicznego wehikułu nieduży płaski klucz od sejfu bankowego należący do Johna Cabindy, strzelca pokładowego jednego z samolotów. Profesor nie uznał jednak za celowe dzielić się swym odkryciem z kimkolwiek.

Inny, zlekceważony przed laty fakt, odnotowany przez ówczesną prasę: Stary kłusownik Jednooki Sam opowiadał przy wódce, że w nocy z 2 na 3 października widział grupkę dziewięciu mężczyzn w białych kombinezonach dążących w deszczu w stronę jedynej szosy w okolicy... Opowieść Sama przekazano do akt i zapomniano o niej. Kiedy jednak profesor Morris odgrzebał historię i próbując odnaleźć gawędziarza dotarł do rodzinnej osady kłusownika, dowiedział się o ciekawym zbiegu okoliczności. Jednooki Sam zmarł poprzedniego dnia, spadając po pijanemu z pobliskiego mostu. Nie żył również kierowca transkontynentalnej ciężarówki, który 3 października przejeżdżał przez ową niegościnną rubież. Wóz najwyraźniej zmienił trasę, kierując się do jednego z gęściej zaludnionych okręgów południa, gdzie po prostu na ostrym zakręcie wypadł z drogi i spłonął.

Tu Omikron przerwał na moment relację i przypomniał, że detektywistyczne poszukiwania geologa były prowadzone znacznie później niż sceny pokazywane na filmie. Wcześniej doszło do wydobycia talerza. Ceremonia odbywała się w klimacie zrozumiałego utajnienia, dopuszczono także ziemskie pochodzenie obiektu. Dokładne przeszukanie pojazdu wskazywało, że pasażerów musiało być dziewięciu, były to istoty nie większe niż pięść mężczyzny... Wszystkie ulotniły się bez śladu. Analiza magazynu i kuchni w pojeździe skłoniła naukowca do postawienia ciekawej hipotezy: ówczesna katastrofa eskadry nie była przypadkowa. Kosmici znaleźli sposób, aby sprowadzić samoloty na ziemię (o sześć mil od talerza było lotnisko, nie używane od wojny światowej), a następnie... Cóż, można fantazjować, czy możliwe jest stworzenie symbiotycznej całości z Ziemianina i przybysza z gwiazd, ulokowanego wewnątrz niego jak robak w jabłku? Morris przypuszczał, że tak. Znalazło się nawet miejsce na ulokowanie pasożyta – komora po usunięciu prawego płuca. Stąd kłączowaty system nerwowy lokatora rozprzestrzeniał się na cały organizm żywiciela, skutecznie kontrolując jego mózg i rdzeń kręgowy. Czy jednak zabiegu dokonano już 2 października, czy też sterowani hipnotycznie żołnierze dotarli najpierw ze swymi pasażerami (choćby noszonymi w chlebakach) do cywilizacyjnych centr, trudno ustalić.

Co się tyczy samolotów, musiały zostać po prostu spalone, czy też rozpuszczone nieznanym sposobem na opuszczonym lotnisku, tak że nie pozostał po nich nawet ślad spalenizny.

– Czyli – konkludował major Omikron spoglądając z niejaką satysfakcją na osłupiałego Volontiera – od blisko dwudziestu lat kosmici są wśród nas. I co pan na to, drogi autorze „Słonecznej strony planety"?

Profesor Morris był człowiekiem ambitnym. Swoje przemyślenia zostawiał dla siebie, poprzestając na użytek ekipy jedynie na oczywistych konstatacjach. Oczywiście sporządził dokładny raport i zamierzał w odpowiednim momencie przekazać go komu trzeba. Ale nagle zaczęły się dziać rzeczy dziwne. Wyższe czynniki odwołały ekipę. Znaleziskiem miała zająć się Grupa Wydzielona. Posunięcia tłumaczono mętnie względami obronności. Morris był jednak człowiekiem upartym, dotarł do Ministra i przedłożył swój raport. Okazało się, że Minister nic nie wiedział o zablokowaniu akcji, całością spraw zawiadywał jego zastępca (nazwijmy go Pułkownikiem), czterdziestosześcioletni ambitny oficer latynoskiego pochodzenia. Morris podzielił się swymi rozterkami. Minister uspokoił go jowialnie, obiecywał wszystko wyjaśnić, w tym celu mieli się spotkać nazajutrz. Opuszczając gmach rządowy profesor odczuwał nieokreślony niepokój. I słusznie.

Jeszcze tej nocy Minister zmarł w swojej rezydencji na zawał serca. W naszych nerwowych czasach zdarza się to nawet osobnikom uchodzącym za okazy zdrowia. Obowiązki szefa przejął Pułkownik.

Czasami swe życie można zawdzięczać pechowi. Któż mógł przypuszczać, że wóz profesora Morrisa zepsuje się na ruchliwej ulicy i że naukowiec postanowi iść pieszo, że w czasie mimowolnego spaceru zwichnie nogę, a spotkany przez jednego ze swych uczniów zostanie odwieziony do zaprzyjaźnionego ortopedy? A czy trzeba większego zbiegu okoliczności niż taki, że brat profesora zapragnie w tam samym czasie go odwiedzić? Nie mogąc się dodzwonić do drzwi, wyjmie klucz spod słomianki i beztrosko paląc papierosa wejdzie do środka...? Ktoś musiał nie zakręcić gazu. Fred Morris czuje jeszcze zapach, ale za późno. Huk, podmuch, deszcz padającego szkła...

Po wizycie u ortopedy profesor zasiedział się u swego ucznia. Rano dowiedział się równocześnie o śmierci Ministra i brata. Gazety zresztą podawały, że zginął on sam.

Uczniem, który wyciągnął do niego rękę był eks-policjant, eks-naukowiec, a obecnie szyszka w dowództwie wojsk chemicznych, przez przyjaciół nazywany majorem Omikronem. On właśnie skłonił naukowca, aby podjął wyzwanie losu, zgodził się przejąć rolę własnego brata.

– Bardzo ładny scenariusz, prawda? – pyta Omikron.

Twarz Volontiera jest bardzo poważna.

– Dlaczego opowiadacie mi o tym wszystkim? – mówi wreszcie.

– Dlatego, iż w świetle posiadanych danych mamy prawo domniemywać, że dziewiątka przybyszów z innego układu nie bez powodu owego pierwszego października znalazła się na Ziemi. Nie dla żartu zarobaczywiła się w ciałach pilotów, przy czym w czyich znajduje się obecnie, trudno dociec.

– Tylko?

– Tylko, mówmy otwarcie, była to grupa zwiadowcza, a może coś więcej, grupa mająca rozpoznać teren i przygotować wszystko do inwazji.



– Inwazji?! – Volontier zrywa się na równe nogi.
– Tak, dokładnie po dwudziestu latach.
– Ale to tylko hipoteza?
– Niestety, nie. Z obserwatoriów astronomicznych donoszą nam o roju świetlistych plamek zbliżających się z ogromną prędkością w naszą stronę. Wiele wskazuje, że koło pierwszego pojazdy „obcych" znajdą się w pobliżu Ziemi. Wiemy, że mają nad nami znaczną przewagę, biologicznie są niezniszczalni i pozbawieni skrupułów, że posiadają ogromne możliwości oddziaływania na ludzką psychikę.

Martin otwiera usta, by coś powiedzieć, ale nic rozsądnego nie przychodzi mu do głowy.

– Naszą sytuację utrudnia fakt obecności wśród Ziemian owych dziewięciu... Kto zresztą wie, czy nie było i drugiego zwiadu, no więc pewnej liczby agentów, którzy zagnieździli się wśród nas. Przy ich możliwościach nosicielem może być każdy. Każdy, kto zamiast prawego płuca kryje w sobie potworka dysponenta. I do licha, nie są to z pewnością szarzy zjadacze chleba.

– Przypuszczam – mruczy Volontier – dwadzieścia lat to sporo. Mam nadzieję, że udało się wam kogoś rozszyfrować?
– Mieliśmy mało czasu – wzdycha Omikron – a poza tym musimy działać sami, moja grupka ludzi, profesor, paru przyjaciół. Przecież nawet Pułkownik-Minister...
– Domyśliłem się. I jeszcze kto?
– Skazani jesteśmy na domniemania. Możemy jedynie zastanawiać się, jakie pozycje opanowalibyśmy sami, gdyby przyszło nam uczestniczyć w zwiadzie na obcej planecie. Podejrzanych są dziesiątki, może setki... Sztab Obrony Powietrznej, Wojska Rakietowe, Agencja Aeronautyczna, Wywiad, Mass-media... Problem w tym, że nie możemy, ot tak, zrobić tym wszystkim ludziom rentgena. Nie możemy wykonać kroku, który by wskazał „obcym", że jesteśmy na ich tropie... Stąd nasze centrale zlokalizowaliśmy w tych bunkrach, stąd ograniczone środki, konieczność fałszywych informacji o naszych „badaniach" wobec zwierzchników... – atak kaszlu przerywa oficerowi. Łyk piwa jednak przywraca mu mowę.

– Czy podejrzenia wobec Pułkownika są pewne – śmierć Ministra to mógł być tylko zbieg okoliczności? – pyta Martin.
– Parę lat temu zdarzyła się ciekawa sprawa. Pułkownik, wówczas jeszcze major, uczestniczył w obławie przeciwko gangsterom. Brałem udział w tej akcji, widziałem też, jak ugodził go pocisk w czoło.
– I nie zabił?
– Nawet nie drasnął, odbił się rykoszetem i zranił jednego z funkcjonariuszy schowanego za ścianą.
– Już wcześniej doszedłem do wniosku – wtrąca Morris – że „obcy", sami nieśmiertelni, zadbali o swe ludzkie skafandry. Pokryli je warstewką niewidocznego tworzywa. My nazywamy je żartobliwie „żywym teflonem"... Nosicieli nie można zabić ani zranić. Prawdopodobnie wyjątek stanowią ręce. Za często trzeba je podawać.
– Czyli badanie lekarskie mogłoby... – ożywia się Volontier.
– Zapewne tak. Ale jak je wykonać, zwłaszcza że pozostał nam zaledwie tydzień, a podejrzenia dotyczą głównie osób wysoko postawionych.

Zapada cisza. Gdzieś z głębi bunkra dociera nieprzerwana wibracja maszynerii.

– Dlaczego mnie tu zaprosiliście? – ponawia swoje pytanie Martin. Omikron robi kolejnego drinka.
– W sytuacji obecnej chwytamy się wszelkich środków. Tradycyjna nauka niewiele się przydaje. Może pomoże fantazja. Jest pan znany jako gejzer pomysłów.
– Ale tylko powieściowych.
– A czymże nasza sprawa różni się od powieści. Chcemy, żeby pan myślał. Fantazjował. Zaproponował tysiąc jeden projektów jak najbardziej nieprawdopodobnych... Oczywiście nie za darmo.
– A jeśli nic nie wymyślę?
– Spróbujemy czegoś prymitywnego. Moi ludzie palą się do dzieła, aby jako terroryści zbadać wytrzymałość rozmaitych osobistości.

W głosie oficera brzmi pełna determinacja. Volontier wierzy, że Omikron jest gotów na wszystko.

– Ile mam czasu? – pada suche pytanie.
– Powiedzmy 48 godzin. Do motelu podrzucimy panu komputer z bankiem wszystkich pomysłów, jakie dotąd powstały. Ma je zarejestrowane. Na razie jednak n o w e koncepcje musi wymyślać człowiek...
– Tylko dwie doby? Skoro pozostał jeszcze tydzień.
– Pojutrze mamy tu naradę naszego prywatnego sztabu. Musimy podjąć decyzję i przystąpić do działania.
– Czy mógłbym w takim razie otrzymać informacje o wszystkich podejrzanych?
– Pojutrze – uśmiecha się Omikron – teraz chodzi nam o pomysły teoretyczne. Jeśli pan sobie życzy, proszę dossier Pułkownika. Nic ciekawego poza informacją, że w wieku 25 lat uległ wypadkowi samochodowemu.
– A więc nie był wtedy pokryty „żywym teflonem"!
– Widać jeszcze nie był. Z kraksy pozostała mu duża blizna na lewej części pleców... Zaraz za prawym płucem... Na jakichś manewrach przed laty ściągnął koszulę... Ktoś sfotografował.

Kiedy w pół godziny później literat opuszcza leśniczówkę, major ściska go kordialnie.

– Wierzymy w pana! To będzie najciekawsze zadanie literackie, o jakim kiedykolwiek słyszałem.

Przy recepcji westchnął na temat kłopotów z naprawą samochodu, który prawdopodobnie przedłuży jego pobyt o całą dobę, wcześniej pod błahym pozorem zlecił mechanikowi rozebrać silnik. Przy barku, mijając dziewczynę w dżinsach, popijającą przez słomkę jakąś dziwaczną amarantową ciecz, lekko się ukłonił. Odpowiedzią było wyszczerzenie olśniewająco białego uzębienia. Ładna szelma!

Pokój znajdował się na pierwszym piętrze i nosił numer trzynasty. Czerwone kotary harmonizowały z jasną tonacją, widać niedawno położonych, tapet. Martin Volontier wziął się do pracy. Kartka po kartce notował, czasem rysował, konsultował się z komputerkiem, który bezbłędnie odpowiadał, jaki pomysł wykoncypował Stanisław Lem w 61, a Kurt Vonnegut w 74 roku. Zatopiony w myślach nie zauważył nawet jak otworzyły się drzwi. Zwłaszcza, że zamknął je od wewnątrz. Puszysty dywan stłumił kroki. Zorientował się dopiero, gdy poczuł, jak jego karku dotknęła czyjaś ciepła dłoń.

– To tylko ja – powiedziała dziewczyna w dżinsach. Tym razem nosiła jakieś bardzo luźne kimono. – Myślałam, że poczuje się pan samotny w taką noc.
– Pracuję – powiedział cierpko, mimowolnie wpatrując się w krzywizny, które półprzezroczysty peniuar raczej uwydatniał niż zakrywał. Teraz dziewczyna wydała mu się znacznie starsza, niż tam przy barze. – Kto panią tu przysłał?
– Mam na imię Julia – powiedziała szeptem.
– Michael – odburknął.
– To chyba na drugie, mistrzu Volontier – roześmiała się. – Ale jeśli nasza znajomość ma mieć charakter aż tak oficjalny i ja się ujawnię – porucznik Delta. Wiem, wiem, wyglądam raczej na markietankę, ale naprawdę jestem ze sztabu majora Omikrona. Mam czuwać nad tobą i udzielać wszelkiej stosownej pomocy. Wszelkiej! – podkreśliła.

Przez moment zastanawiał się, czy nie jest to pułapka.

– Czy mam ci opisać wewnętrzny układ bunkra pod leśniczówką, aby pozyskać twoje zaufanie, czy wystarczy, jeśli pójdę wziąć kąpiel... – a widząc jego lekkie osłupienie dodała – nie robię z seksu misterium ani tematu długotrwałych negocjacji – idę do łóżka z kim chcę i kiedy chcę.

Zaczerwienił się.

– Zostało mi 38 godzin – każda minuta jest droga, Julio. Jak skończę kosmitów, chętnie przystąpię do spraw ziemskich.
– To się nazywa charakter twórczy, nie bez powodu nazywają pana tytanem pracy i gigantem wstrzemięźliwości. Nie jesteś przecież żonaty?
– Nie.
– A pozwolisz sobie zrobić kawy?
– Oczywiście.

Miała jeszcze dużo czasu, by podziwiać jego hart i wytrzymałość. Nie zmrużył oka, wypił 55 kaw, wypalił zagajnik „malborough" zapisując dwie ryzy papieru. Nie rezygnując z obowiązków gosposi Julia zdrzemnęła się ze cztery razy, dla relaksu obiegła kilkadziesiąt razy motel, wypiła kilka drinków. Drugiej nocy nad ranem, kiedy sen miała lekki, Martin nagle wstał od stolika, obszedł parę razy pokój przypatrując się śpiącej, potem usiadł obok niej, poczuła dłoń autora przesuwającą się po jej gołych ramionach, piersiach. Chwyciła go oburącz i przyciągnęła. Musnął ustami jej wargi i wstał.

– Nie teraz! Muszę zapisać pewien pomysł.

Świtało. Krawędź boru wyrzynała się już z jednolitej czerni.

W południe minęła czterdziesta siódma godzina pracy. Martin zebrał papiery. Wnioski pozakreślał czerwonym flamastrem. Julia zaglądała mu przez ramię, ale niewiele mogła wywnioskować z gmatwaniny skrótów, strzałek i nazw.

– Masz coś? – spytała.

– Starczyłoby na biblioteczkę. Pójdziesz ze mną do bazy?

– Oczywiście.

Ruszyli w stronę jeziora. Właśnie zza szańców chmur wyjrzało słońce. Było jednak dosyć chłodno. Volontier musiał być zadowolony z wyników, pogwizdywał bowiem i parę razy przygarnął dziewczynę do siebie.

– Zgaduję, że masz jakiś szczególnie ulubiony wariant.

– Chyba tak.

– A możesz mi go opowiedzieć?

– Teraz mogę.

– No więc?

– Pomysł numer 24b. Nazwałem go pułapką. Wiedząc, że Pułkownik jest kosmitą należałoby go poddać dyskretnej inwigilacji, a następnie poinformować o akcji Omikrona. Prawdopodobnie spróbowałby skonsultować się z resztą. Ich siły telepatyczne działają z pełną mocą dopiero, gdy zostaną uporządkowane w jedno.

Przerwał, wpatrywał się w niebo. I dostrzegł. Maleńką kreseczkę nad horyzontem.

– Padnij!

Usłuchała. Biaława smuga przecięła niebo, docierając do drugiej strony jeziora. Ogłuszający huk dobiegł do nich chwilę później, równocześnie z wykwitem burzy dymu i ognia. Ziemia zadrżała. Od podmuchu wyleciały wszystkie szyby w motelu.

– Co to? – krzyknęła.

– Chyba odkryli nas... Zaczekaj!

Ścieżką wokół jeziora Julia pognała w stronę, gdzie powinna znajdować się leśniczka. Po co? Nie powinno zostać z niej śladu. Przy precyzyjnym uderzeniu nie ostały się i najniższe poziomy bunkra. Volontier zawołał, a potem pobiegł za dziewczyną. Dróżka była kręta. I naraz!

Rozstępowanie się ziemi pod nogami jest bezwzględnie uczuciem głupim. Martin wywinął koziołka i wylądował na dnie głębokiego dołu o stromych ścianach. Zaklął.

Nad krawędzią ukazały się twarze Omikrona, Morrisa, Julii.

– Wariant 24 pułapka – powiedziała porucznik Delta. – Zachowuj się spokojnie Michael, Martin, czy jak naprawdę nazywają cię w twojej galaktyce.

Milczał, a jego mózg pracował gorączkowo.

– Jesteście jak ludzie. Naiwność i przesadna pewność siebie. Wasza rakieta uderzyła w atrapę bunkra... – powiedział profesor – a my mamy wszystkie twoje kontakty.

– Kontakty? Jesteście w błędzie, bierzecie mnie za kogoś innego. Julia była ze mną cały czas i wie, że się z nikim nie kontaktowałem.

– Kolejny błąd. Nie zorientowałeś się, że pokój numer 13 był jedną wielką komorą czujnikową, nastawioną na wyłapywanie wszelkich emisji twego organizmu. Udając, że myślisz, nadawałeś sygnały. Ustaliliśmy falę łączności biologicznej i mamy wszystkich osiemnastu twoich kumpli, bo były jednak dwa lądowania!

– Nic wam to nie da, jesteśmy nieśmiertelni – krzyknął ochryple.

– To rzecz dyskusji i technologii – odpowiedział Omikron.

Rozległ się dziwny dźwięk, ni to hurgotu, ni plusku, i nad krawędziami dołu pojawiły się wirujące paszcze betoniarek. Niagary szarawego błota chlusnęły w dół. Pisarza ogarnęło przerażenie.

– Chcecie mnie tym zalać?

– Tak, uwięzić niczym muchę w bursztynie. Tyle, że żywego. Na wieczność, chyba, że jednak nie potrafisz się obywać bez pożywienia.

– Zostaniecie zniszczeni!!!

– Spróbuj połączyć się z kumplami. Są w podobnej sytuacji. I Pułkownik, i sztabowcy, nawet prokurator generalny.

Targnęła nim fala nagłego podniecenia, przechodzącego w zniewalającą bierność.

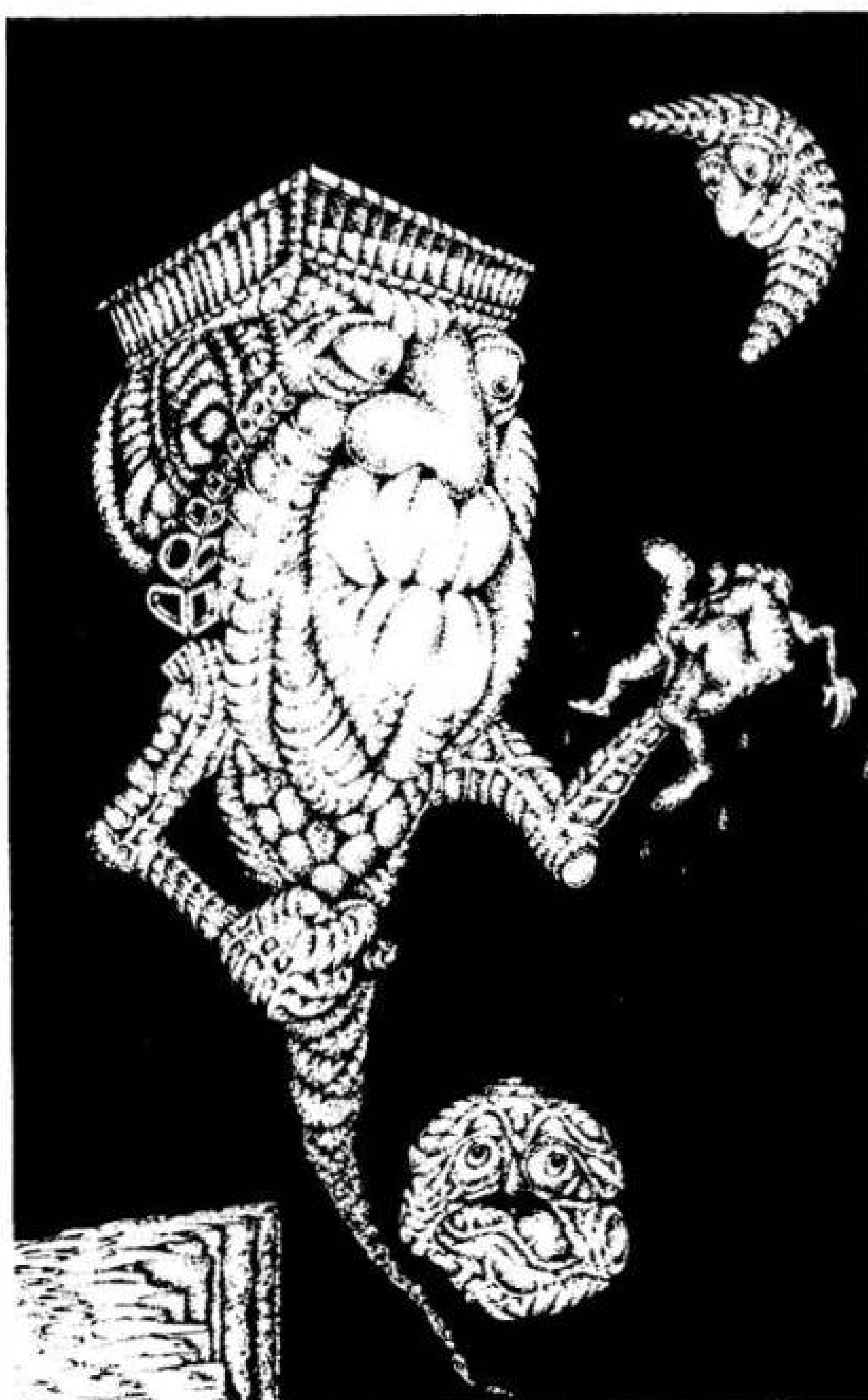
– Sięgasz po broń telepatyczną? – roześmiał się Morris. – To nic nie da! Betoniarki są tak zaprogramowane, że nikt z nas nie może ich wyłączyć...

Zresztą strach już owładnął mózgiem Volontiera. Ubezwłasnowolniające promieniowanie osłabło.

– Popełniacie błąd, cholerny błąd – bełkotał – owszem, przyznaję, mieliśmy przygotować inwazję, ale wyłącznie dla waszego dobra...

Z urywanych zdań przebijała szczerość. Grał czy mówił prawdę?

– Od dawna obserwowaliśmy Ziemię. Jedyną planetę istot prawie rozumnych w tej części galaktyki, pełną wewnętrznych sprzeczności i konfliktów sterujących nieuchronnie ku zagładzie. Jakiś czas temu nasza rejonowa baza na jednym z księżyców (ugryzł się w język, później dowiedziono, że chodziło o satelitę Jowisza) zdecydowała interweniować. Przejąć komisaryczny za-



Jerzy Hudyma

rząd nad Ziemią – uporządkować jej sprawy. Jesteście zapóźnionym i mocno zdefektowanym gatunkiem, ale chcieliśmy wam pomóc... Zlikwidować wojny, choroby, śmierć, dać wam...

– Sądzisz, że Ziemianie wytrzymaliby taką okupację, nawet dla swego dobra? Zbyt często próbowano uszczęśliwiać nas na siłę!

Volontier po pas w płynnym cemencie usiłował wspiąć się na ścianę, daremnie, piasek usuwał mu się pod palcami.

– Wstrzymajcie betonowanie – nie macie prawa zamykać mnie na wieczność w tym dole! Nie umrę, pogrążony w letargu będę... Ludzie!!!

Płynna masa sięgnęła mu po piers. Krzycząc nieartykułowane słowa (może zresztą była to jego prawdziwa mowa) rozerwał kurtkę i koszulę. Ci patrzący z tyłu mogli widzieć wyraźnie dużą bliznę. W pewnej chwili niektórym wydało się, że blizna pęka, a z rany wynurza się zielonkawy ryjek. W tym momencie jednak część ziemi osunęła się w głąb dołu. Szarawa fala przykryła autora. Chwilę trwało szamotanie pod powierzchnią...

Betoniarki warczały miarowo.

Dziennikarzom pozostawiamy relację, co działo się dalej po samozwańczej akcji majora Omikrona, który na własną rękę wyeliminował kilkunastu czołowych prominentów, zresztą unieszkodliwiając ich różnymi dowcipnymi metodami. Wspomnijmy tylko, że wkrótce zamiast wyroku sądu wojskowego sypnęły się na niego i resztę spiskowców odznaczenia, nagrody i zaszczyty. W tak zwanym międzyczasie obserwatoria doniosły o nagłym zatrzymaniu się świetlistych plamek, a następnie stopniowym wycofaniu. Zresztą konflikty międzynarodowe, epidemia cholery w Iranie i fala samobójstw w Skandynawii odwróciły uwagę od całej afery.

Tylko krasnolicy mechanik samochodowy, mimowolny uczestnik dramatu, który od pewnego czasu przerzucił się na pisanie nowel fantastycznych, opowiada, że przynajmniej raz do roku do motelu przyjeżdża wytwornie ubrana dama, a następnie z wiązanką kwiatów udaje się do lasu, gdzie podwójne zasieki pod prądem otaczają betonową plombę w leśnym poszyciu.

Marcin Wolski

Kiedy u schyłku lat czterdziestych rodził się pomysł zbiorowego tomu „polskiej noweli fantastycznej" nie przypuszczano, iż to właśnie Tuwim okaże się inicjatorem nader ciekawego przedsięwzięcia. Jego antologię zaaprobowali czytelnicy – wznawiano ją zatem co lat kilkanaście, początkowo nakładem Wydawnictwa Literackiego, później staraniem Wydawnictw „Alfa". Tym razem nie skończyło się jednak na wznowieniu. W dobie rozbudzonej wyobraźni, pośpiesznej inkubacji fantastów, gremialnego poszukiwania antenatów postanowiono kontynuować pomysł Tuwima przygotowując dalsze tomy „polskiej noweli fantastycznej". Tego niełatwego zadania podjął się Stefan Otceten i oto plon jego wielomiesięcznej pracy dotarł wreszcie do rąk czytelników (tom III – „Podróż na Księżyc").

Zwłaszcza że „Zwierciadlana zagadka" Deotymy nie grzeszy potoczystością fabuły, a naiwną powiastkę Sygurda Wiśniowskiego czyta się z lekkim zniecierpliwieniem. Trudno przypuszczać, iż cały wybór został stworzony dla koneserów, fachowców, znawców tematu (nakład 60 tysięcy egz.!). Dla tych ostatnich swego rodzaju odkryciem może być tylko pozytywistyczna historyjka Łuszczewskiej i książka Sękowskiego – streszczenia pozostałych znają z „Zaczarowanej gry" (1982) Antoniego Smuszkiewicza.

Idźmy dalej. Otceten, z godnym podziwu uporem, utrudnia sobie pracę ograniczając wybór do tekstów niewznawianych po roku 1945. Ów gest pokornej ascezy zasługuje na uznanie, pozwala przypomnieć książki pokryte kurzem historii, spoczywające od stuleci na półkach bibliotek. Lecz szczyńskim i Dziekońskim (tym nieznanym) nie miał okazji zetknąć się w wydanych dotychczas antologiach!

W jednym koncepcja „Alfy" wytrzymuje porównanie z wyborem Tuwima: w zestawieniu not o autorach, równie zwartym, co impresyjnym, nader swobodnie traktującym dobór faktów biograficznych, aczkolwiek informującym sumiennie o pierwodrukach cytowanych tekstów (niechlubny wyjątek to „Zwierciadlana zagadka" – Deotymy, która ukazała się najpierw na łamach „Kroniki Rodzinnej" w roku 1879/1–17). Jeśli chodzi o Deotymę, nieco więcej miejsca należałoby poświęcić jej zainteresowaniom historycznym, wyprawom do Włoch, Francji i wędrówkom po Polsce, wyjazdowi do Rosji u boku ojca skazanego na wygnanie za manifestacyjne zrzeczenie się tytułu

Nowela fantastyczna?

Nie jest tajemnicą, iż autor „Kwiatów polskich", po trosze wizjoner i fantasta, dokonywał wyborów nader subiektywnych zamieszczając na przykład nowele o tematyce demonologicznej. Przez wiele lat wierzyliśmy mistrzowi na słowo, ale już z początkiem ubiegłej dekady, z pierwszą falą krytyki (Skołuda, Lem, Handke, Hutnikiewicz) jego antologia okazała się nazbyt uboga. Jak wynika z entuzjastycznej przedmowy Stefana Otcetena nowy wybór pretenduje do większej obiektywności, zapowiada systematyczność, solidność, chronologię ujęcia materiału (tom III – połowa XVII wieku do lat osiemdziesiątych XIX stulecia).

No cóż – zobaczymy.

Antologię otwiera wstęp Teodora Tripplina do książki z roku 1857 „Podróż po Księżycu odbyta przez Serafina Bolińskiego". Ta niewielka nota, mająca – jak się domyślam – uzasadnić tytuł wyboru, wyrządza mu iście niedźwiedzią przysługę. Sugeruje, iż cała antologia dotyczy bez wyjątku peregrynacji księżycowych. Na szczęście, po obejrzeniu spisu treści, oddychamy z ulgą: z sześciu zamieszczonych tekstów jedynie dwa („Wojciech Zdarzyński...", 1785 – Michała Dymitra Krajewskiego, i „Podróż po Księżycu", 1858 – wspomnianego Teodora Tripplina) podejmują tematykę selenonautyczną. Pozostałe cztery to całkiem swojskie utopie, obrazki satyryczne, opowieści o niezwykłych przygodach i cudownych odkryciach. Nawet po pobieżnym przekartkowaniu owych historii widać wyraźnie, iż z pojęciem „noweli" niewiele mają wspólnego. „*Nowela*" – jak podaje „Słownik terminów literackich" – to „*niewielkich rozmiarów prozaiczny utwór epicki o skondensowanej i wyraźnie zarysowanej akcji*". Wybór Otcetena jest kopalnią wielu gatunków: traktatu, powiastki satyrycznej, romansu naukowego... ale z godnym podziwu uporem omija hasło figurujące na okładce książki. Jak widać zapowiedzi nie zawsze się sprawdzają: ani to „podróż na Księżyc", ani „nowela" fantastyczna.

Efekt wspomnianego nieporozumienia widać aż nadto wyraźnie. Otceten czynił co mógł, aby wprasować długie, nużące traktaty w strukturę 13-arkuszowej antologii, skracając i przycinając co tylko się da (skąd my to znamy!), a więc okaleczając ciekawe, nader rzadko drukowane utwory (Deotyma, Tripplin, Krajewski). Koszty takiego przedsięwzięcia okazały się nader wysokie. Jeśli nawet udało się wepchnąć do zbioru aż sześć tekstów, nie uniknięto znacznie większego niebezpieczeństwa: monotonii i jednostajności stylów, uporczywego powrotu tematów, wątków, sytuacji. Tuwim ratował się krótkimi nowelami pochodzącymi z różnych epok (I tom sięga roku 1857: „Grobowiec bez napisu nad Niemnem" – T. Tripplina). Otceten umieścił obok siebie dwie pokaźne utopie oświeceniowe i po „błyskotliwej" satyrze Sękowskiego utrzymanej w podobnym, nieco przyciężkim stylu, dorzucił trzecią, nader archaiczną utopię Tripplina. Któż to wytrzyma? znów – czy gra jest warta świeczki? Stara praktyka dowodzi, że lepiej jest mieć wszystko zebrane w kilku tomach, aniżeli uganiać się za fantastyką rozrzuconą po wydaniach autorskich, wyborach i najróżniejszych antologiach.

Nie jestem zgryźliwym krytykiem znajdującym przyjemność w podważaniu dorobku poprzedników (owszem, inicjatywa Otcetena bardzo mi się podoba). Chciałbym jednak przypomnieć, iż zasada doboru tekstów ma kapitalne znaczenie dla reprezentatywności każdej antologii, a w konkretnym przypadku zmusza do porównania z efektami ustaleń poprzednika. Niestety – to porównanie nie wypada najlepiej.

Przegląd Tuwima oferował znacznie bogatszy wybór tekstów i co istotniejsze – ciekawsze zestawienie autorów stanowiących o losach polskiej literatury. Mimo deklarowanych zastrzeżeń edytorskich antologia Otcetena nie stroni zresztą od nawiązań i powtórzeń (Wiśniowski, Tripplin). Ciśnie się na usta pytanie: jaka była naprawdę fantastyka polska XVIII i XIX stulecia? Taka, jaką ją widzi Otceten? Ależ nic podobnego! Jeśli w wyborze „Alfy" znalazły się utopie, to akurat nie te, które się znaleźć powinny: ukazujące niepowtarzalność naszej fantazji, jej odrębność na tle tradycji europejskiej. Spróbujmy wyliczyć, choć miejsca mamy mało. Ignacy Krasicki z „Mikołajem Doświadczyńskim..." – antyutopią (tak!) z roku 1776 polemizującą z ideałem „stanu naturalnego" i „umową społeczną" Jana Jakuba Rousseau. Co dalej? Zabrakło w antologii Otcetena naukowo-technicznej Baconowskiej utopii Wojciecha Gutkowskiego – „Podróż do kraju Kalopów..." pisanej na krok przed kolejnym rozbiorem Polski i upatrującej w mocy wynalazków technicznych ostatnią szansę obrony Rzeczypospolitej. Ze świecą w ręku szukać historii Juliana Ursyna Niemcewicza („Rok 3333..." – powst. 1817, wyd. 1858) i pamfletu Franciszka Salezego Jezierskiego – „Wypis z kroniki Witykinda" (1790), służącego celom doraźnej satyry politycznej. Nie pojawił się Józef Bohdan Dziekoński z romantycznym traktatem „Sędziwoj" (1845) – polskim odpowiednikiem „Fausta" J. W. Goethego. Brak w antologii popularnego za granicą (zwłaszcza we Francji) traktatu Stefana Buszczyńskiego – „Rękopis z przyszłego wieku" (1881). Irytuje rezygnacja z zachowanych fragmentów „Historii przyszłości" – (1829–1842) Adama Mickiewicza, tym bardziej, iż autor jako jeden z pierwszych Europejczyków nakreślił wizję zjednoczenia kontynentu, przewidując uprzednio wielkie ruchy społeczne, zmierzch cywilizacji Zachodu na długo przed powstaniem „imaginary history" H. G. Wellsa.

Rzecz jasna, zamieszczenie wspomnianych tekstów było niemożliwe ze względów czysto technicznych, ale strach pomyśleć co z historii naszej fantastyki zapamięta przeciętny miłośnik tej literatury, który z Krasickim, Jezierskim, Mickiewiczem, Niemcewiczem, Gutkowskim, Bu- szambelana w roku 1863; dalej – wieloletniej przyjaźni z Antonim Odyńcem, powiernikiem Adama Mickiewicza. Przy niewielkich notkach o Krajewskim i Leszczyńskim przydałaby się informacja o polskiej utopii oświeceniowej oraz nawiązaniach do europejskich korzeni gatunku. Nic nie wiemy o tłumaczeniach polskich tekstów na język rosyjski, niemiecki i francuski, a przekłady tego rodzaju były na porządku dziennym. Jeśli odnotowuje się ciekawostki z życia autorów należałoby wspomnieć, iż Sękowski wywarł istotny wpływ na utwory Adama Mickiewicza o tematyce orientalnej. Warto na koniec dodać, iż Wiśniowski był jednym z bardziej cenionych autorów okresu – twórcą współczesnego reportażu polskiego.

Publikacja pierwszego tomu „Polskiej noweli fantastycznej" w roku 1949 spowodowała żywą reakcję krytyki, falę różnego rodzaju spekulacji, na temat genezy, odrębności i stanu posiadania polskiej „fantazji". Czy antologia Otcetena stanie się okazją do podobnych rozważań? Poziom świadomości krytycznej jest dziś o wiele wyższy, wnioski z owej dyskusji byłyby nader ciekawe.

Inna sprawa, że wybór „Alfy" niezbyt do takich refleksji zachęca. Jeśli za fantastykę uznać to, co w danej kulturze uchodzi za nierealne, nierzeczywiste, nieadekwatne do obowiązujących sposobów poznawania świata – wtedy teksty wspomnianej antologii z prawdziwą, autentyczną fantastyką niewiele mają wspólnego. Oświeceniowo-romantyczne utopie przypominają pamiętniki z egzotycznych wojaży, wspomnienia globtroterów. Ich autorom zależy na wiarygodności, prawdopodobieństwie, tradycjonaliźmie formalnym; są to historie dydaktyczne, kostiumowe, a siła sugestii, zdolność przekonywania narratora zależy od intuicyjnej akceptacji jego niezwykłych przygód. Bardziej literackie są już teksty Deotymy i Sygurda Wiśniowskiego, ale fantazja i tu zawodzi, jest nader uboga, prymitywna – zaczarowana gra wyobraźni nie absorbuje uwagi czytelnika. Rację ma Otceten, kiedy stwierdza, iż jego wybór ukazuje początki polskiej fantazji naukowej, ale do tekstów Krajewskiego, Tripplina, Łuszczewskiej należy podchodzić z dużą rezerwą, ponieważ technika stanowi tu rodzaj drugoplanowego tła, rekwizytu motywującego niezwykłość przygód bohatera. Aluzyjność jest tak oczywista, że wystarczy odwrócić schemat i zastąpić topografię Srebrnego Globu wizerunkiem naszej planety, aby cała „cudowność" rozpadła się jak domek z kart.

Przed trzydziestu laty ubolewano nad brakiem polskiej fantastyki. Jesteśmy mądrzejsi o kilkadziesiąt książek, prac krytycznych, najnowszy wybór tekstów i znów czujemy się niepewnie.

Andrzej Niewiadowski

Podróż na Księżyc. „Polska nowela fantastyczna", tom 3. Zebrał S. Otceten. Wydawnictwa „Alfa", Warszawa 1984. Cena 120 zł.

Dobry początek

„Progi tolerancji", debiutancki tom opowiadań Bronisława Kijewskiego pojawił się na księgarskim rynku bez rozgłosu, a szkoda, bo mamy do czynienia z bardzo sprawnym pisarzem, który wprawdzie jeszcze nie określił ostatecznie swoich zainteresowań i próbuje fantastyki naukowej o rozmaitych smakach, ale nigdy nie obniża literackich lotów. Każde z jego opowiadań może się podobać, każde jest utrzymane w innym stylu, dzieje się w innej scenerii, ale wszystkie mają pomysłowo skonstruowane fabuły, we wszystkich debiutujący pisarz precyzyjnie wydobywa na pierwszy plan to, co było jego zamierzonym przesłaniem intelektualnym.

Ba, ale Kijewski nie tylko zamierza zajmować czytelnika rozważaniem antyutopijnych perspektyw ludzkości – ma ambicje również go bawić. Dlatego w książce znalazły się i takie utwory, jak „Formuła porozumienia", groteska przywodząca na myśl „Inwazję z Aldebarana" Lema, opowiadanie o przybyciu Innych i bezskutecznych pertraktacjach z nimi, zakończonych szczęśliwie dopiero przez przypadkową ingerencję pijaka i bimbrownika. Jeszcze bardziej ubawiło mnie opowiadanie „Ci przeklęci Polacy", które w moim odczuciu jest parodią twórczości niektórych autorów SF zarówno jeśli chodzi o jego kształt formalny, jak i myślowe przesłanie i sam pomysł fabuły. Oto Ziemia broni się przed atakiem Innych, którzy oddziałują na rakietowych pilotów telepatycznie i dopiero „duch sarmacki" Polaków przełamuje obcoplanetarne zapory obronne i nie poddaje się penetracji Innych. Przy okazji zakpił również Kijewski z polskich mitologii narodowych i naszych straceńczych wiar.

Autor „Progów tolerancji" jest generalnie pisarzem złej wiary w człowieka, przerażonym perspektywą wyprodukowania jeszcze sprawniejszych narzędzi agresji i kontroli. Właściwie wszystkie jego opowiadania są antyutopiami opisującymi skłonności ludzkie do totalitaryzmu, bezwzględnego podporządkowania sobie nie tylko „plemion galaktycznych", ale także zaprowadzenia bezwzględnego reżimu wewnątrz społeczności ludzkiej. Najbardziej drastycznie pojawia się ta problematyka w opowiadaniu „System" opisującym los człowieka wyrzuconego bez litości poza nawias społeczeństwa prawdopodobnie na skutek jakiejś pomyłki w centrum dyspozycyjnym. Zostaje mu odebrane wszystko, co jest niezbędne do życia, łącznie z prawem do pożywienia. Przy okazji opisuje Kijewski stosunki społeczne oparte nie na wielkości posiadanego majątku czy wiedzy, nawet nie na sile fizycznej, ale na „koncie energetycznym". W opowiadaniu „Posłaniec", w pogoni za substancją dającą nieśmiertelność, ludzie wymordowali się wzajemnie, lecz autor daje litościwie szansę ludzkości: ostatni ocalały człowiek opuszcza wyniszczoną Ziemię zabierając ze sobą zasobnik z „zarodkami" przyszłych pokoleń.

Bo trzeba tu zaznaczyć, że przez antyutopijne spojrzenie na przyszłość naszej cywilizacji przebija się u Kijewskiego nieśmiała wiara w człowieka, wiara, że może jednak mimo tego całego zła, które w nas siedzi, mimo wszystkich naszych parszywych skłonności, ockniemy się i opamiętamy. Bardzo to piękny akcent i wzruszający, ale doprawdy, tylko w wymyślonym świecie możliwe jest zamazanie w pamięci całej wiedzy o złych skłonnościach naszej natury. Po to jednak – między innymi – czytamy fantastykę naukową i pasjonujemy się nią, żeby na chwilę zapomnieć, oszukać się...

Leszek Bugajski

Bronisław Kijewski: *Progi tolerancji.* Wydawnictwo Poznańskie 1984. Cena 80 zł.

Mowa-trawa

Fantastyka jest modna. Biorą się więc za nią zarówno ci, którzy zamierzają przekazać coś czytelnikom, jak i ci, którzy za bujną rekwizytornią chcą ukryć brak znaczącego przesłania. W tym drugim wypadku powstają dzieła grafomańskie – doskonale konwencjonalne, spóźnione, nijakie. Mimo to, w wyniku przeróżnych nacisków, redaktorzy i wydawcy dochodzą czasem do wniosku, że powinni owe rzeczy drukować.

Mogę się natomiast tylko domyślać racji, dla których wydawnictwo „Iskry" postanowiło spolszczyć „Trawę", powieść rumuńskiego pisarza, rocznik 1939. Być może chodziło o przedstawienie fantastyki naszych południowych przyjaciół, których literatury w ogóle nie poznaliśmy w Polsce zbyt dobrze.

Jest możliwe, rzecz jasna, że próbuje Cubleşan w „Trawie" rozliczyć się z ważnych dla siebie i swego kraju wydarzeń. Ale jakich? – trudno dociec. Rzut oka do encyklopedii przekonuje, że dramatycznych faktów w najnowszej historii Rumunii nie brakowało – wydawca reklamując książkę donosi na drugiej okładce o dominujących w powieści problemach moralnych. Tak pisze się zawsze, kiedy już nic rozsądnego nie przychodzi do głowy.

Powieść opowiada (złe słowo – p r ó b u j e opowiedzieć) o kosmicznym prokuratorze, podróżującym z planety na planetę i o dopadających go jak fatum na każdej z nich wybuchach wulkanów. Na jednej z planet prokurator zażąda kary śmierci za zabójstwo w afekcie, na innej będzie apelował o ułaskawienie archeologa, którego prace doprowadziły do wybuchu zarazy. Znajdziemy w książce aluzje do wszechogarniającej obsesji szpiegowskiej i do istnienia ciężkich obozów pracy na różnych zakazanych ciałach niebieskich. Będą tam też znaczące napomknienia o dyskusjach prokuratora z pułkownikiem z Departamentu Porządku Publicznego i o szalonym naukowcu, wynalazcy aparatu do czytania ludzkich myśli. Przy końcu dowiemy się, że Ziemia ginie (stygnie, a może się rozgrzewa?), następuje z niej wielki planetarny exodus, a wszystko co na niej zostanie, zamienione ma być w muzeum ludzkiej cywilizacji. W ostatnim rozdziale nasz prokurator, który w tzw. międzyczasie został strażnikiem owego muzeum, zabija szalonego terrorystę, który fragmenty owego muzeum uparcie i systematycznie wysadza w powietrze.

Celowo odkryłem większość kart Cubleşana, bo nawet z powierzchownej wyliczanki wynika przecież, że nie były to blotki. Trochę dobrych chęci, umiejętności i dałoby się nimi zagrać partię zapierającą dech w piersiach – ułożyć parę ciągów fabularnych, impasując za ich pomocą odważne przesłania. Cubleşan absolutnie nie wykorzystuje tych możliwości. Powieść jest mętna, bohater histeryczny i zarazem nijaki, konflikty pozorne, dialogi drętwe, a materia akcji nieustannie wymyka się czytelnikowi. Autor wykracza nagminnie przeciw IX i X przykazaniu Lema (patrz przypisy do I tomu „Fantastyki i futurologii") – to znaczy każe nam podziwiać dowcip i ciętość dialogów bohaterów, których jako żywo w książce nie widać. Ukazuje bohatera bezwolnego i bezrefleksyjnego, mianując go jednocześnie człowiekiem czynu nękanym kosmicznymi problemami. Sygnalizuje istnienie podtekstów i dramatycznych insynuacji w wymianach zdań składających się z półsłówek. Udaje, że portretuje konkretne społeczeństwa, mówiąc w rzeczywistości na ich temat tylko to, że osiągnęły wysoki stopień rozwoju.

Poza powierzchowną pisarską sprawnością nie ma w książce istotnych myśli, żadna sprawa nie jest nawet zaczęta, żaden konkretny wniosek nie zostaje zwerbalizowany. Bohaterowie mijają się jak cienie we mgle, prokurator i narrator zarazem wie o sobie, o swym świecie przerażająco mało; nie ma poglądów, ideałów, celów, o których mógłby opowiedzieć czytelnikowi. Zachowaniem prokuratora władają najprostsze tropizmy, a na przykład ów lęk przed wulkanami wygląda na anegdotę bez znaczenia w dwu, trzech miejscach przyklejoną na siłę do akcji powieści. Przy końcu narrator zabija, łuski opadają mu z oczu, a on odkrywa sens swego człowieczeństwa. Przeciw komu, w imię czego, dla kogo dokonuje się to wszystko, i na czym mianowicie polega – nie wiadomo.

Mimo to nie wykluczam, że na początku skrzywdziłem Cubleşana, twierdząc, iż jego sytuacja wyczerpuje się w dylemacie – chciał coś napisać nie mając nic do powiedzenia. Intelekt przewrotny mógłby dopatrzyć się w „Trawie" demaskacji pustki wewnętrznej bohatera o określonej profesji. Może już sam ten fakt, a także naszkicowanie wymienionych wcześniej wątków odebrała rodzima publiczność Cubleşana jako pociągnięcia odważne w sumie i znaczące. Publiczność polska rozpieszczona krajową fantastyką socjologiczną jest bardziej wymagająca. Dostrzeże więc w tej książeczce przede wszystkim bezradność, dramat rozsypującego się języka i świadomości nieświadomej siebie.

Grzechy „Trawy" nie wydają się wyjątkowe, przeciwnie są częste, jeśli nie powszechne. Miłosz mówi gdzieś, bodaj w eseju o klasycyzmie, że tragedia naszych czasów polega na tym, iż ci, którzy wiedzą nie mówią, a ci, którzy mówią nie wiedzą. Książka Cubleşana leży między tymi biegunami – to znaczy autor może coś jeszcze wie, ale nic konkretnego niestety powiedzieć już nie potrafi.

Maciej Parowski

Constantin Cubleşan: *Trawa.* Tłumaczyli Janina i Mihai Cotelnic. Seria „Fantastyka-Przygoda". Iskry, Warszawa 1984. Cena 100 zł.

Jezierski Franciszek Salezy (1740–1791)

Publicysta Kuźnicy Kołłątajowskiej, pisarz polityczny, kanonik kaliski

Urodził się w roku 1740 w ziemi łukowskiej w rodzinie średniozamożnej szlachty. Był najstarszym synem Jana Franciszka, pisarza ziemskiego, i Izabeli z Kiełczewskich. Po ukończeniu kolegium pijarskiego w Łukowie wstąpił do zgromadzenia misjonarzy w Warszawie, gdzie został wyświęcony na księdza. Studia teologiczne kontynuował we Włoszech. Po powrocie do kraju otrzymał stanowisko kanonika kaliskiego i cenzora książek w archidiecezji gnieźnieńskiej. W latach 1781–1785 brał udział w reformie szkolnictwa kierowanej przez Komisję Edukacji Narodowej. 20 września 1781 został rektorem Wydziału Lubelskiego, a trzy lata później – Wydziału Małopolskiego. 1 września 1783 nadano mu, w Szkole Głównej Koronnej, tytuł doktora teologii i filozofii. Od roku 1784 był wizytatorem generalnym szkół koronnych. Wobec ujawnienia radykalnych poglądów społecznych, na wniosek konserwatywnej opinii szlacheckiej, został odwołany ze stanowiska i przeniósł się do Krakowa obejmując posadę bibliotekarza Szkoły Głównej Koronnej i kaznodziei katedralnego. W roku 1788 wyjechał do Warszawy i przystąpił do grupy radykalnych działaczy związanych z Kuźnicą Kołłątajowską. Zamieszkał w domu Kołłątaja na Solcu, przyjaźnił się z I. Potockim, A. Naruszewiczem, G. Piramowiczem, F. Barssem i J. Dekertem. Wrogowie określali go mianem „wulkana gromów" wobec ostrości problemów poruszanych w wystąpieniach politycznych. W broszurach: „O bezkrólewiach w Polszcze" (1790) i „Wzmiance krótkiej o zjednoczeniu Księstwa Litewskiego z Królestwem Polskim" (1790) protestował przeciw wolnej elekcji i nieograniczonej władzy hetmanów. O słuszności żądań mieszczańskich przekonywał w „Jarosza Kutasińskiego herbu Dęboróg, szlachcica łukowskiego uwagach nad stanem nieszlacheckim w Polszcze" (1790). Podobną tematykę podjął w „Katechizmie o tajemnicach rządu polskiego..." (1790 – był to jeden z ostrzejszych paszkwilów literackich XVIII wieku, wydawca Michał Groll nie odważył się wytłoczyć na nim swego znaku!). Podsumowanie publicystycznej działalności Jezierskiego przyniosły „Niektóre wyrazy porządkiem abecadła zebrane" (1791).

Autor „Katechizmu..." zmarł w Warszawie 14 lutego (wg Smoleńskiego) lub 24 lutego (wg Naruszewicza) 1791 roku. Został pochowany na Cmentarzu Świętokrzyskim przy Kościele św. Barbary.

Motywacją fantastyczną posłużył się Jezierski w powiastce polityczno-dydaktycznej: **„Gaworek herbu Rawicz, wojewoda sandomirski. Powieść z widoku we śnie"** (1789), która sympatyzowała z Rewolucją Francuską, ostrzegała przed konsekwencjami samowoli magnackiej kreśląc obraz dawnego społeczeństwa polskiego wolnych chłopów i rzemieślników, a tym samym czyniąc wiele aluzji do współczesnych stosunków społecznych. W **„Rzepisze matce królów, żonie Piasta"** (1790) przedstawił Jezierski wizję legendarnej przeszłości ludu polskiego stylizowaną na wzór umowy społecznej Jana Jakuba Rousseau. Fantastykę wprowadził także na karty tłumaczonej broszury z 1789 roku autorstwa księdza E.J. Siéyèsa – **„Duch nieboszczki Bastylii czyniący uwagi nad karą więzienia, niewoli i nad stanem pospólstwa francuskiego w dzisiejszej odmianie rządu"** (1790).

Jest wielce prawdopodobne, iż spod pióra Franciszka Salezego Jezierskiego wyszła broszura historyczna będąca w istocie pamfletem politycznym, zatytułowana **„Wypis z kroniki Witykinda tłumaczony przez Grzegorza á Słupia decretorum doktora opata świętokrzyskiego, który żył około roku 1375, z autografu w bibliotece na Łysej Górze najdującego się"** (1790). Jest to oskarżenie skierowane pod adresem przyszłych hersztów Targowicy, zdrajców i zaborców mienia publicznego: Adama Ponińskiego, Ksawerego Branickiego i kanclerza Młodziejowskiego. Tekst utworu krążył początkowo pod tytułem „Sąd Leszka" w odpisach rękopiśmiennych i cieszył się ogromną popularnością. Treścią pamfletu, stanowiącego fragment rzekomo autentycznej kroniki z XIV stulecia, są prehistoryczne dzieje Polski, a dokładniej typowe losy zdrajców i „złodziei mienia narodowego" grasujących za panowania fikcyjnego księcia Leszka VIII i przykładnie ukaranych przez władzę państwową. W postaciach Drapiwora, Wichropęda i Odrwimira nietrudno było rozpoznać jednak hersztów sejmu rozbiorowego z roku 1773, a w sylwetce sprawiedliwego Leszka VIII – ówczesnego króla, zwolennika reform Stanisława Augusta.

Obszerne fragmenty „Wypisu z kroniki Witykinda" podaje za „Wyborem pism" – F.S. Jezierskiego (PIW, 1952) zachowując oryginalną pisownię autora i jego odręczne przypisy (cyfry rzymskie). Uwagi późniejszych komentatorów (a zwłaszcza Z. Skwarczyńskiego do wydania powojennego) zostały oznaczone cyframi arabskimi.

Bibliografia wybrane:

– W. Berent, *Diogenes w kontuszu*, Warszawa 1937.
– J. Wojnar-Sujecka, *Franciszek Salezy Jezierski. Zarys poglądów*, Warszawa 1956.
– J. Ziomek, *Wstęp do: Franciszek Salezy Jezierski, Wybór pism*, oprac. Z. Skwarczyński, PIW, Warszawa 1952.

W mieście Gnieźnie, za panowania Leszka Ósmego[1] wnuczka Piastowego, zebrała się kupa złodziejów cnego rodu, to jest nie tych, których za małe rzeczy wieszają, ale tych, co wiele kradną, a wisieć się nie boją. Działo się to około lata pańskiego 920, właśnie w tym czasie, kiedy cesarz Henryk Wtóry[2] Węgry i Czechy z jednej strony, Rusiny z drugiej, z trzeciej zasię dzicz pruska Polskę łupiła. A gdy się swoi i do tego przymieszali, co obcy nie zabrał, to swój wydarł do reszty. Szło im wszystko do woli, póki kradli zgodnie, póki ich obcy, przewodząc nad Polaki, pod swoją dzierżyli opieką.[3] Pod ten opłakany czas Drapiwór został sprawcą dochodów państwa,[II] Wichropęd hetmanił, by wszelkie gwałty mocą zbrojną popierać, a był dozorcą pieczęci Odrwimirz,[4] by w potrzebie na foremności prawa nie zbywało, reszta czeladzi to w sprzęty, to w imiona[6], to w sreberka, a nawet z zbożnic[7] zabrane, dobrze się zamogła,[8] czekając pogody, by się znowu na taką skupić sprawę.

Ale jak mówią, po szkodzie Polak mądry, postrzegli się też ojce nasi i jęli zaradzać sobie a myślić naprzeciw tym niecnym, co na wszystko złe państwo, i pana nadstawili, a ziemię polską obcym zaprzedali. Zwołał też Leszek zjazd walny[9] do Gniezna, miasta swego stołecznego, z przedniejszych panów Rad[10], szlachty a wielkiego rycerstwa, na którym w obyczaj owego prostego wieku lubo mało kto krasomówstwem słynął, wszyscy jednak ku rzeczy mieli. Przeto zjazd ów prostym postępując sposobem, w przodku zajrzał do skarbu i wielkie w nim pustki znalazł i nakazał wziąć co prędzej najrówniejszy pobór (...). Zajrzano potem na granice, by wżdy wiedzieć, jak Pospolita Rzecz bezpieczna była, i tam wszystko szło ni w karbie.[11] Roty porozpuszczane, bo nie było czym płacić wojska, zamki, twierdze spustoszone, wstęp wolny sąsiadom ze wszech stron, jak gdyby więc tatarskim zielem[12] ogrodził kto swą zagrodę, tak wżdy był cały Polski kraj za panowania Leszka Ósmego (...).

Gdy Leszek uwiadomionym został o niebezpieczeństwie granic państwa, zachęcał panów Rad a wszystkie wojewody, aby na nowo pozaciągali roty i spisali wszelkie ziemiany, co z osiadłości swojej [13] służyć byli powinne (...). Tak to bywa, kiedy takowa i rozpustna czeladź otoczy pana, wszystko idzie ku psocie, a ku upadku pospolitej rzeczy. Było wprawdzie za co sądzić a karać, bo w tym zepsutym czasie mało kto był bez niecnych spraw, same zdrajce a pochlebce posiadali urzędy, Leszek zasię miał serce dobre, a panowie

PRZYPISY

I. Decretorum doktor – właściwie doctor decretalium (łac.) doktor prawa kanonicznego.

II. Bielski nazywa go Bogumirem, ale Vitikindus, którego kronikę tłumaczył Gregorius á Słupia, opat świętokrzyski około roku 1375, mieni go być Drapiworem. Nie można pojąć dlaczego z łacińskiego tłumaczone słowo nie zgadza się z Bielskim, ale wierzyć trzeba bardziej Witykindowi i jego tłumaczowi, bo dawniejszy.

1. Pod zmyśloną postacią Leszka Ósmego Jezierski przedstawia Stanisława Augusta.
2. Około 920 r. cesarzem niemieckim był Henryk I (919–36); Henryk II panował w latach 1002–1024.
3. Mowa o I rozbiorze Polski i działalności ówczesnego sejmu, a raczej wyłonionej z niego dla zalegalizowania rozbioru „delegacji" (1773–1775), w której decydującą rolę grał chroniony przez wojska carskie Poniński.
4. Odrwimirz – Młodziejowski, biskup poznański i warszawski, w 1767 roku został „dozorcą pieczęci", tj. kanclerzem wielkim koronnym; później był członkiem „delegacji"; znany z intryganctwa, chciwości, sprzedajności i nadużyć, pobierał stałą pensję od dworu carskiego.
5. By nie brakowało pozorów prawa.
6. Tytuły.
7. Kościoły.
8. Zaopatrzyła. Mowa tu o nadużyciach powołanej przez „delegację" Komisji Rozdawniczej, zwanej przez współczesnych „Rozdrapniczą". Komisja ta, której prezesem był Młodziejowski, a jednym z członków – Poniński, miała administrować dobrami pojezuickimi (po kasacie zakonu w 1773 r.). Przez krótki czas jej funkcjonowania (do 1776), kiedy to Sejm stwierdziwszy nadużycia przekazał majątek jezuicki bezpośrednio Komisji Edukacyjnej, Młodziejowski, Poniński, Massalski, Sułkowscy i in. rozkradli i zmarnowali znaczną część funduszów. Do sławnych skandali należała jawna kradzież pojezuickich sreber kościelnych przez członków Komisji.
9. Sejm.
10. Senatorowie.
11. Bez ładu.
12. Tatarakiem.
13. Posiadłości.
14. Młodziejowski umarł w roku 1780. Poniński – gracz i hulaka – strwonił cały swój majątek; swym bankructwem naraził na straty niezliczonych wierzycieli.
15. W początkowym okresie Sejmu 4-letniego



Andrzej Brzezicki

Wypis z kroniki Witykinda

tłumaczony przez Grzegorza a Słupia decretorum doktora opata świętokrzyskiego, który żył około roku 1375, z autografu w bibliotece na Łysej Górze najdującego się

Rad, biorąc ku rozsądkowi wszystko, patrzali przez szpary na dawne nierządy a wszelkie niecne sprawy, myśląc tylko, jakby temu na potym zapobiec i zawarować państwa koronne od złodziejstwa, nierządu, niezgód domowych, aby wżdy na potym wojsko nie zalegało, a bacznie strzegło granic koronnych.

Byłoby ku temu wszystkiemu nie przyszło, gdyby Odrwimirz nie zmarł, a Drapiwór przez swe nierządy i pijaństwa nie strwonił wszystkiego, co łakomie od ludzi powyłudzał.[14] Nie było też Wichropęda, kiedy uchwalono wojsko. Ciągnął on z ruskiej ziemi[15], gdzie, jak wieść niosła, wojskiem Olgi,[16] księżnej nowogrodzkiej przeciw Drewlanom[17], dobrym Polski sąsiadom wojował (...). Nie było dość niecnemu Wichropędowi, iż się z łap państwa zbogacił, chciał on rzekomo okrywać się dobrą sławą, aby wżdy złudził szlachtę, przyciągnąć ją na swą stronę, a potem przeciw Leszkowi i panom Rad, złączywszy się z Rusiny, chytrze uderzyć, bo mu też Olga i jej polubowiec państwo po Leszku obiecali.[18]

Krzyczysław[19], podufalec Wichropęda, co żdy między pany Rad o chlebie jego siedział, nie wiedzieć, czy z dopuszczenia bożego, czy z własnego zaślepienia powstał przeciw Drapiwórowi. Wichropęd, zuchwały a niedomyślny, rad był takiemu człeku, a to go w Radzie sadowił, by pod pozorem pospolitego dobra przeciągał na stronę jego szlachtę a pany Rad. Łaje więc Krzyczysław Drapiwora nie zdrajcę ojczyzny a złodzieja, donosi go i oskarża przed walnym zjazdem, biorą do turmy nieboraka, a współbrat jego Wichropęd, który lepszego nie wart bytu, śmieje się, a nie pomyśli, by wżdy na to samo nie przyszedł. Wykrzyknie to sędzia, między które i Wichropęd też umieszczony.[20] (...)

Skoro się dowiedział Drapiwór o Wichropęda zamysłach, stawił się co rychlej przed sąd na czas wyznaczony, a sąd ten trzymał Leszka w wielkim kole za miastem, zasiadłszy na stolcu złocistym. Niezliczony lud wyszedł z Gniezna, by wżdy dziwił się a oglądał rzecz osobliwą, sobie miłą; pana i złodzieja wielkiego, którego sądzić a wieszać miano. Przywieziono biednego Drapiwora, a skoro pomiędzy sędzie obaczył Wichropęda, głowy nie tracąc, tak swą rzecz rozpoczął:

„Miłościwy Leszku! Jam ci winien, i słusznie popadłem kaźni.[21] Nie dopuszczą jednak bogowie tej ziemi, byście wierzyli, żeby wżdy mój sędzia Wichropęd lepszy był ode mnie. Jam goły, a on bogaty, ta jest tylko między mną a nim różnica. Nie mogłem ja sam tyle złego zrobić, on mi do wszystkiego był dowódcą i pomocą; on mi dał rękojmią, że nam obom nic się nie stanie złego, on mi mawiał, że ja mam rozum, a on silne poplecznikі, a namawiał mię, bym mu pomagał brać pospolite dobro pospołu, a on mnie będzie bronił w czasy ciężkie a przykre, teraz zaś sam ma rozum (...). Żyliśmy razem, kradliśmy razem, giňmy po społu; o tę ja słuszność ciebie, miłościwy Leszku, a was, sędziowie upraszam, kórtej odmówić nie raczcie."[22]

Wszczął się natychmiast hałas i tumult, że gdyby nie powaga Leszka, Wichropęd byłby na sztuki rozsiekany, ale wielki monarcha skazał na lud[23], by się uciszył, a odchrząknowszy i poprawiwszy pasa z wielką rzekł powagą: „Nie ja, ale bogowie i ten lud was osądził, warci jesteście wisieć obadwa, jako zdrajcy ojczyzny". Lud uciszony słuchał z radością wyroku pana swego, nie zważając na groźby Wichropęda, który, gdy przyszło do prawdy, k'rzeczy, Rusinami odgrażać począł. Wichropęda i Drapiowora wraz powieszono razem,[25] a lud wesołe powtarzał okrzyki mówiąc „Niech Bóg błogosławi sprawiedliwemu Leszkowi".

Monarcha mądry sprawę tak wielką i dotąd nie słychaną w krótkim czasie zakończył; by się lepak na późne czasy kajano, kazał położyć kamień na pamiątkę przy drodze, która prowadzi od Gniezna do Łęczycy, z napisem: „Tu leży bogaty Wichropęd i goły Drapiwór, oba za to na szubienicy powieszeni, iż byli zdrajcami swego rodu; kto czytasz, szanuj sprawiedliwość Leszka, a kochaj swą ojczyznę".

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Branicki przebywał w obozie Potiemkina pod oblężonym przez Rosjan Oczakowem.

16. Olga – carowa Katarzyna prowadziła w tym czasie wojnę z Turcją.
17. Mowa o Turkach. W tym okresie polska opinia publiczna wyraźnie sympatyzowała z Turcją walczącą z Rosją, sprzeciwiającą się rozbiorowi Polski. Powszechne też było oburzenie na Branickiego za jego „ochotniczy" udział w tej wojnie po stronie Rosji.
18. W 1787 roku Branicki przedstawił Katarzynie i Potiemkinowi projekt zawiązania konfederacji przeciw królowi oraz wysłania wojska i ochotników na wojnę z Turcją.
19. Suchodolski – poseł chełmiński (później kasztelan radomski) stronnik Branickiego i Katarzyny.
20. Skład sądu Sejmowego ustalano przez losowanie. Fakt, że wszedł do niego Ksawery Branicki wywołał oburzenie i zjadliwe kpiny. Trembecki pisał:
„*Cud boski: Ksawer z łotra dziś mściciel ojczyzny Choć ich wprzód jedną było można mierzyć piędzią, Dziś nie tak: Adam więźniem, a Ksawery sędzią!*"
21. Kraj.
22. Jezierski, nawiązując do faktu, że Poniński rzeczywiście domagał się od sądu pozwania współwinnych z Branickim na czele, wkłada w usta Drapiwora szczegółowe oskarżenie hetmana.
23. Dał znak ludowi.
24. Gdy prawda wyszła na jaw.
25. Rzeczywisty proces miał inne zakończenie. Branicki, jakkolwiek ciągle atakowany w sejmie przez publicystykę i satyrę współczesną, nie został powołany przez sąd. Ponińskiego spotkał wyrok stosunkowo łagodny: jesienią roku 1790 skazany został na utratę wszystkich urzędów i dostojeństw, tytułu książęcego, szlachectwa i orderów, nazwiska rodowego, na wyrzucenie przez wartę marszałkowską poza obręb Warszawy (w rzeczywistości opuścił miasto nocą, w karecie i zaraz za rogatkami, na Powązkach wydał huczne przyjęcie) i na wieczyste wygnanie. Poniński opuściwszy z wyroku Warszawę przybrał mundur i ordery carskie i udał się do Lwowa, skąd założył protest przeciwko sądowi i całej działalności Sejmu.

Wypis z kroniki Witykinda..., 1790; tekst cytowany za: Franciszek Salezy Jezierski, Wybór pism, oprac. Z. Skwarczyński, PIW, Warszawa 1952, wybór ze stron 109–118.


Fot. Zbigniew Latała

Dr Barbara Okólska, absolwentka Wydziału Romanistyki Uniwersytetu Warszawskiego, prowadzi badania nad literaturą kanadyjską, jest autorką omówień, recenzji i przekładów tej prozy (zob. „Literatura na Świecie" 7/84). Od kilku lat zajmuje się również historią i teorią fantastyki naukowej. W roku 1982 obroniła pracę doktorską „Gatunek science fiction i jego kształtowanie się w literturze francuskiej pod koniec XIX i na początku XX wieku". Jeden z rozdziałów pracy zamieściliśmy w „Fantastyce" nr 7/83 (Esej „Science Fiction – Fantastyka – Baśń). Artykuł „Spór o science fiction" stanowi skróconą wersję referatu wygłoszonego na seminarium krytycznym w Staszowie podczas ubiegłorocznych „Dni Fantastyki". (an)

Barbara Okólska

Spór o science fiction

I

Literatura SF ma już bogatą tradycję jako odrębne zjawisko literackie i od dawna stanowi przedmiot zainteresowania krytyki. Termin „gatunek SF", przyjęty, wydaje się jednak niejasny lub wieloznaczny. Otwarte pozostaje pytanie „czym jest fantastyka naukowa", a nawet czy gatunek taki w ogóle istnieje.

Do krytyków nie uznających odrębności SF należy Pierre Versins, zdaniem którego fantastyka naukowa jest pewnego rodzaju „stanem ducha", który może przejawiać się zarówno w rozmaitych odmianach twórczości literackiej, jak też w rysunku czy filmie („Encyclopédie de l'utopie, des voyages extraordinaires et de la science-fiction", 1972). Podobne stanowisko zajmuje Jacques Van Herp, który w swej obszernej, wydanej w Belgii pracy „Panorama de la science-fiction" (1973) stwierdza: *„SF nie stanowi odrębnego gatunku literackiego, istnieją bowiem wyłącznie dzieła SF"*. Dzieła, a nie na przykład powieści, gdyż SF występuje również w teatrze, eseju filozoficznym i historycznym, w pamflecie politycznym, w operze.

Osobny problem, będący tematem wielu dyskusji, stanowi pytanie, czy do SF należą jedynie utwory prozatorskie i epickie czy również poetyckie i dramatyczne. Niektórzy tak właśnie sądzą, lecz nie jest to bynajmniej opinia powszechna. Spośród wydanych w Polsce prac wymienić można książkę Very Graaf „Homo futurus" (1975), w której autorka podkreśla, że SF jest literaturą prozatorską, pracę Andrzeja Zgorzelskiego „Fantastyka, utopia, science fiction" (1980), sytuującą SF na obszarze prozy narracyjnej, czy wreszcie „Słownik terminów literackich" (1976; hasło „SF" opracował Michał Głowiński). Ograniczenie pojęcia literatury SF do prozy narracyjnej wydaje się stanowiskiem najsłuszniejszym, jako że na przykład utwory poetyckie znacznie odbiegają od konwencjonalnych założeń wypowiedzi SF, z ich wyraźnym wątkiem fabularnym, precyzyjnym relacjonowaniem faktów i opisami realiów, zaś utwory dramatyczne, w których bezpośrednie przedstawienie akcji i ograniczenie form podawczych zawęża zakres możliwości autora w przekazywaniu informacji i opisie wydarzeń pozostają w sprzeczności z niektórymi tematami SF oraz z ogólną problematyką SF, zarówno w jej terytorialno-czasowym, jak i społecznym wymiarze.

Obszerne uzasadnienie ograniczenia gatunku SF do prozy epickiej przedstawia w swej książce „Polska proza fantastyczno-naukowa" (1969) Ryszard Handke. Podkreśla on, że *„liryce obce jest konstruowanie świata przedstawionego, który następnie można by rozpatrywać pod kątem podobieństwa do rzeczywistego, kiedy zaś elementy takiego świata pojawiają się w liryce pośrednio, ich ewentualna fantastyczność najczęściej nie ma nic wspólnego z science fiction"*. Z kolei w przypadku dramatu występuje związek formy literackiej z koniecznością dostosowania *„sposobów kształtowania fikcji do bezpośredniej audiowizualnej konkretyzacji"*, co pociąga za sobą znaczne różnice w stosunku do *„fantastyki naukowej korzystającej z pośrednictwa narracji"*. Wszelkie próby „pogodzenia" SF ze specyfiką dramatu łączą się z szeregiem trudności jak konieczność umieszczenia poza planem unaocznienia wszystkiego, co istotnie fantastyczne, lub wykorzystanie nie dającej się serio uzasadnić „swojskości" elementów fantastycznych jako elementów groteskowych (przykładem jest istota z Oriona „niezwykle podobna do normalnej baby wiejskiej" z „Wyprawy profesora Tarantogi" Stanisława Lema).

Wracając do problemu odrębności gatunkowej SF: niektórzy specjaliści starają się ściślej określić tę literaturę przez doszukanie się i precyzyjne ustalenie kilku gatunków SF. Stanowisko takie zajmują na przykład Igor i Grichka Bogdanoff w książce „Clefs pour la science-fiction" (1976). Autonomicznych gatunków SF jest według nich siedem: SF mitologiczna, space opera, heroic fantasy, hard science, politic fiction, new thing i speculative fiction. Każdy z nich (z wyjątkiem ostatniego, lecz jest to osobny problem terminologiczny) charakteryzują ściśle określone cechy tematyczne i konstrukcyjne. Tego rodzaju podział typologiczny jest oczywiście dość arbitralny: Margeuritte Rochette w swej książce „La science-fiction" (1975), wymieniając różne typy utworów jej zdaniem do SF nie należących i stanowiących niejako „tereny graniczne" zalicza do takich m.in. również utwory mityczne, heroic fantasy i politic fiction.

Niezależnie do konkretnych potrzeb analitycznych, uznanie literatury SF za kilka odrębnych, autonomicznych gatunków (podobnie jak nieuznawanie jej odrębności gatunkowej w ogóle) nie wydaje się rozwiązaniem najwłaściwszym, pomimo że istnieją niewątpliwie odmiany utworów SF, których nazwy – znane i często stosowane – funkcjonują obok całościowego określenia „science fiction". Jednakże samo zaszeregowanie tekstów często może nasuwać wątpliwości, a ponadto – wiele utworów SF wymyka się całkowicie tego rodzaju klasyfikacjom.

II

Tak więc za najsłuszniejszy wypada uznać kolejny, najczęściej spotykany pogląd, że SF stanowi odrębny i samodzielny gatunek literacki. Lecz również i takie stanowisko pociąga za sobą wiele problemów. Różnorodność utworów utrudnia całościową charakterystykę, a brak jednoznacznych kryteriów przynależności gatunkowej stanowi dodatkową komplikację. Liczne próby sformułowania uniwersalnej definicji gatunku nie przyniosły zadowalających rezultatów. Oczywiście nie wszyscy odczuwają jej potrzebę, twierdząc, jak Jacques Goimard, że choć trudno SF zdefiniować, łatwo ją wyodrębnić. Nasuwa się więc pytanie o celowość poszukiwania całościowej definicji oraz o to, czy jest ona w ogóle możliwa. Zdaje się temu zaprzeczać fakt, że pomimo różnorodnych propozycji, żadna nie jest w pełni zadowalająca. Niemożność jednoznacznego zdefiniowania SF podkreśla w jednym z wywiadów Norman Spinrad, uznając za SF wszystko to, co zostaje wydane z etykietką „SF". Stwierdza on, że nawet ci, którzy piszą utwory SF nie potrafią jej zdefiniować, co sprawia im zresztą wiele satysfakcji.

Spór o nominalną definicję SF można oczywiście widzieć wyłącznie jako jałowe teoretyzowanie, lecz trudno nie zauważyć, że wiąże się on z problemem niejasności pojęciowych i terminologicznych, będących często przyczyną nieporozumień i sprzeczności. To, co w przypadku autorów SF może być sprawą nieistotną, okazuje się często kwestią zasadniczą w wypowiedziach na temat tej literatury, próbach jej analizy czy opisu, niezależnie od samych zagadnień teoretycznych. Można powtórzyć za Jeanem Raynaud, że krytyk, nie mogąc uporać się z ze zdefiniowaniem SF, często kładzie ją na łożu prokrustowym i dopasowuje do swoich potrzeb. W konsekwencji pojawiają się takie sformułowania jak „prawdziwa SF" czy „dobra SF", które nie znaczą właściwie nic.

Współczesne definicje SF przywołują różne rodzaje kryteriów. Jednym z nich jest ogólna tematyka utworów fantastyczno-naukowych. Lecz nawet jeśli samo sporządzenie kompletnej listy głównych tematów okazałoby się możliwe, to zastąpienie jej ogólnym, całościowym określeniem wydaje się zamierzeniem niewykonalnym. Kryteria tematyczne, w odniesieniu do całokształtu SF, okazują się nazbyt ubogie, lub też – zanadto ogólne. Jednak właśnie w oparciu o nie powstaje wiele definicji – chociażby encyklopedycznych. „Encyclopédie Larousse" określa utwór SF jako *„utwór powieściowy, w którym wyobraźnia autora odwołuje się w szczególności do tematu podróży w czasie i w przestrzeni pozaziemskiej"*, które to określenie stanowi przykład rażącego uproszczenia, nie mającego żadnej wartości praktycznej.

Osobną grupę definicji stanowią te, gdzie główny nacisk położony jest na tzw. „element naukowo-techniczny". I tak na przykład Ryszard Handke uważa, że *„SF zachowuje tożsamość tylko pod warunkiem nadawania swym zmyśleniom najsłabszych choćby pozorów naukowości i zaopatrywania wszystkich cudowności w naukowe i technologiczne pseudomotywacje"*. („O pewnym materii pomieszaniu, czyli między baśnią a SF", „Teksty", 1975/5). Zbliżoną definicję proponuje Sam Moskowitz. Jego zdaniem SF jest dziedziną fantastyki wyróżniającą się przez fakt, że *„dobrowolne zawieszenie niedowierzania ze strony czytelnika"* uzyskiwane zostaje w wyniku zastosowania *„atmosfery naukowej wiarygodności"*. Z kolei Kingsley Amis widzi w utworach SF *„hipotezę jakiejś innowacji, pochodzenia ludzkiego lub pozaziemskiego, w dziedzinie nauki lub techniki"* (względnie pseudonauki czy pseudotechniki). Często spotykanym kryterium przynależności gatunkowej jest sam nowy, niezwykły wynalazek jako baza tematyczna utworu. Tego rodzaju definicje przytacza w swej książce „Fantastyka, utopia, science fiction" Andrzej Zgorzelski.

Jednakże nie wszystkie utwory SF zawierają opisy odkryć naukowych czy niezwykłych osiągnięć technicznych, nie zawsze autorzy starają się racjonalnie umotywować przedstawiane wydarzenia konkretnymi, „naukowymi" możliwościami ich zaistnienia, nie każda historia SF oparta jest na jakiejś „innowacji" naukowej czy technicznej (obecny stan nauki i techniki w zupełności umożliwia na przykład atomową zagładę Ziemi). Jak zauważa w jednym z esejów Jean-Baptiste Baronian, w wielu utworach SF wyobraźnia autora dominuje nad tzw. „elementem naukowym". Coraz częściej spotyka się opinię, że współczesna SF niewiele ma wspólnego z nauką i że elementy naukowe występują w niej raczej rzadko. Stąd chociażby rosnąca popularność określenia Speculative Fiction. Jacques Sadoul, w swej obszernej pracy poświęconej historii gatunku SF („Histoire de la SF moderne", 1973) stwierdza, że chociaż termin „science fiction" wydaje się zakładać

obowiązkową obecność elementów naukowych w każdym tekście SF, to nigdy tak w istocie nie było. W latach dwudziestych kładziono z pewnością większy nacisk na sprawy związane z nauką, lecz nie było to regułą obowiązkową, a dzisiaj można zaobserwować zjawisko wręcz przeciwne i utwory, w których nauka odgrywa rolę dominującą stają się rzadkością. Stwierdzenie to zawiera wiele słuszności, aczkolwiek nazbyt skrajnie ogranicza rolę nauki we współczesnym SF. Z kolei Henri Baudin w swej książce „La science fiction" (1971) podkreśla, że SF bynajmniej nie sprowadza się do fabularyzowanej nauki, względnie „powieści naukowej", zdominowanej uległością strony literackiej wobec informacji naukowych, lecz przeciwnie, podporządkowuje elementy naukowe elementom literackim, a przede wszystkim imaginacyjnym. Baudin dokonuje ogólnego podziału literatury SF na taką, którą charakteryzuje ogólna postawa racjonalistyczna i gdzie fikcja zostaje podporządkowana nauce; taką, w której dominuje perspektywa intelektualna i gdzie zarówno fikcja, jak i nauka podlegają zasadniczemu przestaniu o charakterze filozoficznym i moralizatorskim; oraz taką, która ma nastawienie czysto literackie i gdzie nauka jest podporządkowana fikcji.

III

Nasuwa się tu dodatkowa uwaga dotycząca samego, niezbyt precyzyjnego określenia „element naukowy". Bywa ono bowiem wiązane zarówno z zawartymi w tekście utworu konkretnymi informacjami z różnych dziedzin nauki i techniki, jak też z samym hipotetycznym problemem naukowym, „niezwykłym" wynalazkiem czy odkryciem, będącym bazą tematyczną utworu, czy wreszcie z naukowymi terminami lub neologizmami pojawiającymi się w języku narracji. Jeśli chodzi na przykład o przypisywanie „naukowego" charakteru historii, gdzie jedynym zwracającym uwagę przez swą „niezwykłość" szczegółem będzie „holowizor" na ścianie, „infor" na rogu ulicy, czy „dezintegrator" w kaburze policjanta, to wydaje się ono raczej nieporozumieniem.

Tego rodzaju określenia oraz odpowiadające im elementy świata przedstawionego nie tyle odwołują się do samej nauki, co przede wszystkim zaznaczają w sposób konwencjonalny „przyszłościowy" aspekt utworu. Wypada podkreślić, że przyszłość odgrywa w SF rolę szczególnie ważną, zarówno jako czas usytuowania akcji, czas narracji czy „postulowanego" odbioru, jak też ogólny temat utworu, czy wreszcie konwencjonalne „umotywowanie" wprowadzanych do świata przedstawionego elementów imaginacyjnych. Tego rodzaju wyróżniki – które jednak trudno uznać za jedyne i wystarczające cechy SF – sprawiają, że bywa ona określana jako „powieść o przyszłości". Autor tego sformułowania, Jan Trzynadlowski uzasadnia „przyszłościowy" aspekt nawet tych tekstów SF, gdzie cała akcja jest usytuowana w teraźniejszości, a świat przedstawiony różni się od empirycznej rzeczywistości nielicznymi, „niezwykłymi" elementami: *„to wszystko co odbiega od współczesności ze względu na stan zaawansowania nauki i techniki, czyli to, co można uznać za atrybuty przyszłości, w koncepcji utworu dzieje się współcześnie, ponadto zaś (...) staje się współcześnie. (...) Demonstracja niezwykłych osiągnięć naukowo-technicznych jest w gruncie rzeczy rzeczywistością, której jeszcze nie ma, a więc w istocie rzeczy przyszłością".* (Próba poetyki science fiction, 1963).

Przy okazji warto przypomnieć, że już w latach osiemdziesiątych XIX w. funkcjonowało całościowe określenie dla tego rodzaju utworów w postaci francuskiego terminu „anticipation" (stosowane dla powieści w wydaniu książkowym, w odróżnieniu od „przygodowych" lub „podróżniczych" powieści w odcinkach), niejako konkurencyjne dla wellsowskiego terminu „scientific romance".

Z pewnością nie wszystkie utwory SF charakteryzują się obecnością „elementu naukowego" sensu stricto. Jednakże i s t n i e j e możliwość „pogodzenia" specyfiki współczesnej SF z określeniem zaproponowanym przez Ryszarda Handkego, przez przyznanie niejako gatunkowi SF aspektu naukowo-technicznego implicite w postaci problemów oraz wyjaśnień, które niekoniecznie muszą się zawierać w samym tekście, lecz których dostarczyć może wiedza i wyobraźnia czytelnika w procesie percepcji, uwarunkowanym konwencją gatunku SF. Gatunek ten stworzył wystarczająco wiele stereotypów językowych i tematycznych, by móc poświęcić więcej uwagi problemom i tematom bezpośrednio z nauką i techniką nie związanym. W takim ujęciu należałoby raczej zauważyć nie tyle z a n i k a n i e elementu naukowego w literaturze SF, co jego e w o l u c j ę, zarówno w sensie formy, jaką może przybierać, jak też miejsca w ogólnej konstrukcji utworu.

IV

Krytycy opisujący gatunek SF często podkreślają „racjonalny" i „wiarygodny" charakter jego tematyki. Michel Butor, w eseju „La crise de croissance de la science-fiction" (z tomu „Essais sur les modernes", 1964) wyraża pogląd, że specyfikę SF określa „naukowa gwarancja" prawdopodobieństwa. Niewątpliwie autorzy SF dokładają wiele starań, by nadać swym opowiadaniom choćby pozory tego rodzaju „gwarancji". Jednak w wielu tekstach aspekt prawdopodobieństwa jest uzależniony wyłącznie od subiektywnego odczucia czytelnika bądź też staje się sprawą całkowicie drugorzędną wobec aspektu ludycznego (chociażby w niektórych utworach typu heroic fantasy czy space opera), względnie jego wymowy filozoficznej czy moralizatorskiej, gdzie sama konwencja gatunkowa może stanowić rodzaj paraboli.

Niektórzy starają się zdefiniować gatunek SF kładąc nacisk na funkcję SF jako sposobu rozstrzygnięcia nierozwiązywalnych problemów teraźniejszości. Czynią tak pisarze SF w wywiadach lub publikowanych wypowiedziach. Jedni, jak John W.Campbell, podkreślają, że fantastyka naukowa odzwierciedla nadzieje i obawy ludzkości, realizuje marzenia i przestrzega przed możliwymi zagrożeniami. Inni, jak Frederik Pohl, uznają, że pokazuje ona przede wszystkim jaki użytek zrobi człowiek z przyszłych osiągnięć wiedzy. Zdaniem Isaaca Asimova, przedmiot zainteresowań SF stanowią *„reakcje istot ludzkich na postępy w naukach i technologiach".* Z kolei Philip K. Dick podkreśla, że w literaturze SF autor dysponuje możliwością skonfrontowania jednostki ludzkiej z dowolnie wyobrażonym porządkiem społecznym, uczynienia jej jak gdyby królikiem doświadczalnym swej wyobraźni i poddania szeregowi testów. Analogiczną funkcję sygnalizuje Georges Gallet, zdaniem którego SF spełnia rolę czynnika intelektualnej stymulacji, przez konfrontowanie wartości czysto ludzkich z postępem materialnym, z monstrualną potęgą nauki oraz szokiem, jakim może być jej niewłaściwe zastosowanie. Tego rodzaju społeczne funkcje SF są dla niej niewątpliwie nader charakterystyczne i istotne, lecz stosowanie ich jako kryteriów odrębności gatunkowej jest sprawą dyskusyjną, ponieważ okazują się nazbyt szerokie i odpowiadają także innym odmianom fikcji literackiej.

Kolejne kryterium definiowania SF stanowi hipotetyczna konstrukcja utworów. Theodore Sturgeon nazywa tę literaturę „If Fiction", a angielski krytyk Brian Ash (w książce „Faces of the Future", 1975) stwierdza, że pytanie-klucz do utworu SF, to „What would happen if...", czyli: jakieś wyjściowe założenie o charakterze hipotetycznym i jego rozmaite logiczne konsekwencje. Istotnie, w wielu tekstach schemat ów występuje bardzo wyraźnie, jak na przykład w historiach o tym, co by się wydarzyło, gdyby na Ziemię przylecieli przedstawiciele innej cywilizacji („Wojna światów" Wellsa), ludzie odkryli sposób podróżowania w czasie („Patrol czasu" Poula Andersona), dany gatunek zwierząt osiągnął wysoki poziom inteligencji („Inwazja jaszczurów" K.Čapka).

Na ten właśnie aspekt konstrukcyjny zwrócił uwagę już w 1928 r. Maurice Renard, proponując dla wspomnianych utworów określenie „roman d'hypothèse". Tę samą cechę podkreśla współczesny termin „Speculative Fiction". Nie uznający gatunkowego charakteru SF Jacques Van Herp określa teksty SF jako takie, które oparte są na hipotezie racjonalnej, w przeciwieństwie do utworów fantastycznych, opartych na hipotezie irracjonalnej. Podobnym pojęciem posługuje się Pierre Versins.

Hipotetyczna konstrukcja utworów SF nie może być jednak wystarczającym i uniwersalnym kryterium ich przynależności gatunkowej, chociażby dlatego, że kryterium takie jest nazbyt ogólne, dające się zastosować wobec innych odmian fikcji literackiej, powstającej w oparciu o twórcze spekulacje wyobraźni. Nawet jeśli zostanie dodane dodatkowe określenie w rodzaju „hi-



potezy racjonalnej" względnie „wiarygodnej".

Istnieją wreszcie określenia gatunku SF oparte na sposobie konstruowania świata przedstawionego utworów oraz na stosunku tego świata do pozatekstowej, empirycznej rzeczywistości autora i czytelnika. Przykładem może być definicja Darko Suvina, publikowana na łamach „Fantastyki" (1984, 5/20). Specyfikę oraz sposób tworzenia świata przedstawionego w utworach SF omawia także Ryszard Handke („Polska proza fantastyczno-naukowa"). Jako układ odniesienia wyróżnia trzy nakładające się na siebie „modele" rzeczywistości empirycznej, odbite w świadomości percypującego i uczestniczące w formowaniu kryteriów prawdziwości i prawdopodobieństwa.

Inną metodę, nie tyle może sprecyzowania samej definicji SF ile raczej ogólnego określenia jej specyfiki, stanowi analiza porównawcza cech utworów w odniesieniu do odmian pokrewnych. Specyfikę „świata SF" w porównaniu do „świata" fantastyki czy baśni omawia w „Fantastyce i futurologii" Stanisław Lem, a do najbardziej znanych koncepcji należy teoria Rogera Caillois (esej „Od baśni do science fiction"). W 7(10) numerze „Fantastyki" z 1983 r. przedstawiłam własną propozycję tego rodzaju określenia w oparciu o analizę porównawczą utworów SF, fantastycznych i baśniowych oraz o takie zasadnicze kryteria, jak cechy charakterystyczne świata przedstawionego i jego konwencjonalne usytuowanie względem rzeczywistości pozaliterackiej.

Przy określaniu specyfiki gatunku SF niektórzy krytycy umiejscawiają go w jakiejś szerszej dziedzinie twórczości literackiej, jak Jacques Sadoul, czy Jacques Sternberg w książce „Une succursale du fantastique nommée science-fiction" (1958), albo wytyczają jego granice drogą eliminacji. Lecz i w takich przypadkach istnieją koncepcje zasadniczo rozbieżne. O ile Vera Graaf stwierdza, że *„z uwagi na swoją treść SF jest jedną z form literatury utopijnej"*, o tyle Darko Suvin uważa utopię za podgatunek SF.

V

Powyższy przegląd pozwala zauważyć znaczne zróżnicowanie poglądów na temat specyfiki SF oraz kryteriów stosowanych przy próbach jej opisu. Trudności w zdefiniowaniu gatunku wiążą się m.in. z koniecznością uwzględnienia, oprócz charakterystyki samych tekstów, stosunku ich treści oraz cech formalnych zarówno do rzeczywistości pozaliterackiej, jak i określonej tradycji literackiej i ukształtowanych przez nią konwencji. Istotny wpływ na ewolucję gatunku SF miał bowiem fakt powstawania nowych sposobów porozumienia z czytelnikiem, związanych z funkcjonowaniem społecznej świadomości gatunku SF i możliwością odwoływania się do tradycji. Autor nie potrzebuje wyjaśniać na przykład zasady działania „statku fotonowego", zjawiska „prędkości nadświetlnej" czy pojęcia „nadprzestrzeni" – zachowując całkowitą zrozumiałość tekstu. Trudno dziś sobie wyobrazić społeczny odbiór literatury SF bez posługiwania się konwencjonalnymi pojęciami, których każdorazowe wyjaśnianie przekraczałoby możliwości autora.

Powszechnie stosowane określenie „gatunek SF" nie odpowiada temu, co w języku polskim jest rozumiane pod pojęciem gatunku literackiego, lecz temu, co termin ten oznacza w języku angielskim lub francuskim. Stanowi on z jednej strony kategorię typologiczną, z drugiej zaś – konwencję, związaną z pewną odmianą twórczości literackiej, będącą elementem społecznej świadomości, w której funkcjonuje zarówno jako pewien system środków artystycznych determinujący sposób kształtowania danych wypowiedzi, jak też czynnik warunkujący sposób odczytywania ich przez odbiorców, dla których stanowi

jak gdyby oznaczenie „kodu" determinującego sposób percepcji. Tak więc, w procesie percepcji utworów SF przez czytelnika, świadomość gatunkowa decyduje niejako o ukierunkowanym odbiorze Czytelnika, a także krytyka, który czasami może niedostatecznie zdawać sobie z tego sprawę przy ocenie badanych tekstów.

Osobny problem stanowi odtworzenie genezy SF. Opinie na ten temat są bardzo zróżnicowane i można wśród nich wyróżnić dwa zasadnicze stanowiska: uznanie, że SF istniała zawsze oraz usytuowanie jej narodzin w konkretnym czasie i miejscu. Pierwsze z nich reprezentują J. Van Herp i P. Versins, zaliczając do utworów SF m.in. „Prawdziwą historię" Lukiana z Samostaty (r. 180 n.e.), a nawet „Gilgamesza" (datowanego ok. 1800 r. p.n.e.). O wiele liczniejszych zwolenników ma jednak stanowisko przeciwne, wiążące początek SF (jako autonomicznej dziedziny twórczości literackiej) z konkretną epoką lub z twórczością konkretnego pisarza. Początek ten sytuowany bywa w zasadzie nie wcześniej niż w drugiej połowie XIX w., a w dorobku literackim wieków wcześniejszych wyróżniane są jedynie teksty tworzące tradycję poprzedzającą narodziny samej SF. Za pierwszych „prawdziwych" pisarzy SF uważa się najczęściej J. Verne'a, H.G. Wellsa czy J.H. Rosny Aînégo, choć i tutaj zdania są podzielone.

Do „zwolenników" Verne'a należy Jean Gattégno, który w książce „La science-fiction" (1973) stwierdza, że „*nie może istnieć SF dopóki nie ma nauki, a nawet nauki stosowanej*", dając przykład mylenia pojęcia nauki i techniki. Częste są opinie wiążące powstanie SF z twórczością Wellsa i z pojawieniem się takich utworów, jak „Wehikuł czasu" (1895), „Niewidzialny człowiek" (1897), czy „Wojna światów" (1898). Z kolei M. Butor uważa, że Verne reprezentuje „SF pierwszego stopnia", gdzie antycypowane są tylko zastosowania rzeczywistych osiągnięć nauki, a Wells – „SF drugiego stopnia", gdzie pojawiają się już nowe, fikcyjne zdobycze wiedzy (esej o twórczości J. Verne'a w tomie „Essais sur les modernes"). Osobną grupę zwolenników posiada J.-H. Rosny Aîné – pierwszy z autorów, który stworzył niejako „fikcyjną naukę", w jakiej widzą oni istotę literatury SF. Fakt ten podkreśla m.in. J.-B. Baronian („Panorama de la littérature fantastique de langue française" (1978). Z kolei J. Sadoul stwierdza, że nie sposób określić dokładnego momentu narodzin SF; jej historię we Francji rozpoczyna rok 1905 (śmierć J. Verne'a i powstanie jego ostatniej powieści „L'Eternel Adam"), a w krajach anglosaskich – rok 1911 (publikacja w „Modern Electrics" powieści H. Gernsbacka „Ralph 124C41+").

W przeciwieństwie do zwolenników europejskiego rodowodu gatunku, wielu krytyków wypowiada się za jego pochodzeniem par excellence amerykańskim (H. Baudin czy J. Diffloth). W jednym z esejów z roku 1962 Stanisław Lem stwierdził, że SF jest zjawiskiem zlokalizowanym wyraźnie w USA, a w innych krajach pojawiła się na prawach dżinsów i coca-coli. Z kolei V. Graaf wiąże powstanie fantastyki naukowej z pisarską i wydawniczą działalnością Gernsbacka.

Rozbieżności w poglądach na temat powstania gatunku mają swe źródło w różnym rozumieniu tego pojęcia. Najistotniejszym argumentem przeciwko uznaniu SF za zjawisko o charakterze ponadczasowym jest fakt, że gatunek ów to nie tylko kategoria typologiczna, lecz określone zjawisko literackie, związane z pewnym etapem procesu historyczno-literackiego, oraz odpowiadająca mu konwencja funkcjonująca w społecznej świadomości literackiej. Nie sposób też wiązać jego początku z działalnością jednego pisarza czy określoną datą. Ukształtował się on i rozwinął w związku z pewnym etapem doskonalenia cywilizacyjnego, rozwoju wiedzy i nauki, warunkującym nie tylko nową problematykę i zapotrzebowanie czytelnicze, ale i „system motywacyjny" SF, jak go określa Jan Trzynadlowski. Pojawienie się amerykańskich magazynów SF przy końcu lat dwudziestych miało z pewnością ogromne znaczenie dla sformułowania współczesnej konwencji SF, lecz był to nie tyle punkt wyjścia dla gatunku, ile dla pewnego etapu jego ewolucji. Proces pierwotnego ukształtowania można zaobserwować o wiele wcześniej; przy czym decydująca rola przypadła tu autorom europejskim.

Barbara Okólska

1961 (dokończenie)

409. KORCZAK Janusz: *Kiedy znów będę mały.* Wyd. I powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 206, nlb. 2. 10 000 egz.
410. P'U-SUNG-LING: *Mnisi-czarnoksiężnicy, czyli Niesamowite historie o dziwnych ludziach.* Tłum. z chiń.: Bożena Kowalska [i in.]. Wstęp Tadeusz Żbikowski. Warszawa. Iskry. ss. 204, nlb.4. 10 000 egz. –Stanowi skrócone wyd. zbioru opow. „Dziwne opowieści spisane w studio Liao-Czai".
411. SAINT-EXUPÉRY Antoine de: *Mały Książę.* Tłum. [z franc.] Wiera i Zbigniew Bieńkowscy. Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 82, nlb.2 20 000 egz.
412. TOLKIEN J[ohn] R[onald] R[euel]: *Władca Pierścieni.* T.I.: *Wyprawa.* Tłum. [z ang.] Maria Skibniewska. Wiersze tłum. Włodzimierz Lewik. Warszawa. Czytelnik 8° ss. 526, nlb. 2, mapa. 10 000 egz.

Horror (W):

413. *FANTASTYCZNE opowieści.* Aut.: W[iliam] E[dmondstoune] Aytoun [i in.]. [Tłum. z ang. i franc.]. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 466, nlb.2. 10 000 egz. – Brak nazw. red. – kompilatora.
JESIONOWSKI J.: *Milion.* – zob. Utopia.
KAFKA F.: *Nowele...* – zob. AF.
414. MAUPASSANT Guy de: *Horla i inne opowiadania.* Tłum. [z franc.] Irena Wieczorkiewicz. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 218, nlb.2. 10 000 egz.

Krytyka, biografia, film (R):

415. LEŚNIAK Kazimierz: *Franciszek* [!] *Bacon.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 181, nlb.3, tabl.1, portr., bibliogr. 3 000 egz. – Myśli i Ludzie. Filozofia Nowożytna i Współczesna.

„Zagadki nauki" (MS):

GAMOW G.: *Mister...* – zob. ASF.
416. MEJBAUM Wacław: *Kłopoty z początkiem świata.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 286, nlb.1. 7 000 egz.
417. SZUMILEWICZ Irena: *Teoria śmierci cieplnej Wszechświata.* Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 133, nlb.3. 1500 egz.

1962

SF dla dorosłych (ASF):

418. *ALFA Eridama.* Wybór opowiadań fantastyczno-naukowych. [Aut.:] A[rkadij] Strugacki[j] [i in.] Tłum. [z ros.] J. Dziarnowska, M. Kumorek i E. Wołończyk. Wiersze tłum. Jerzy Litwiniuk. Warszawa. Iskry. 16° ss. 225, nlb.3. 10 000 egz.
419. BRAGIN [Vladimir]: *Niezwykłe przeżycia doktora Dumczewa.* Tłum. [z ros.] Maria Brzozowska. Warszawa. Iskry. 8° ss. 275, nlb.1. 10 000 egz. – ASF/CJSF. – Na k. tyt. imię aut.: Włodzimierz.
420. GAMOW George: *Mister Tompkins w krainie czarów.* [oraz *Mister Tompkins poznaje atom.*] Tłum. z ang. Barbara Wójtowicz-Natanson, Ludwik Natanson i Maria Nowakowska-Hurwic. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 220, nlb.4. 20 000 egz. – Biblioteka Powszechna. – Książka popularnonaukowa z elementami fantast.
421. LEM Stanisław: *Solaris.* Wyd. II. Warszawa. Wyd. MON. 16° ss. 190, nlb.4. 20 000 egz.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

422. BĚHOUNEK František: *Akcja „L".* Powieść fantastyczno-naukowa. Tłum. z czesk. Rudolf Janiček. Katowice. Śląsk. 8° ss. 250, nlb.2. 15 000 egz.
BRAGIN V.: *Niezwykłe...* – zob. ASF.
423. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Ci z dziesiątego tysiąca.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 230, nlb.2. 30 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód.
424. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Wielka, większa i największa.* Wyd. III. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 265, nlb.3. 50 000 egz. – CJSF/F.
425. BRZECHWA Jan: *Pan Soczewka na dnie oceanu.* [wierszem]. Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° knlb.16. 60 000 egz.
426. BRZECHWA Jan: *Pan Soczewka na Księżycu.* [wierszem]. Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° knlb.16. 60 000 egz.
427. [LARRI Ivan]: *Niezwykłe przygody Olka i Walerki.* Tłum. [z ros.] Janina Karczmarewicz-Fedorowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 266, nlb.2. 20 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Jan Larri.
428. UNKIEWICZ Tadeusz: *Podróże mikrokosmiczne profesora Rembowskiego.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 120, nlb.4. 10 000 egz. – Imię aut. uzup. z okł., na k. tyt. mylnie: Władysław.
429. VERNE [Jules]: [Dwadzieścia tysięcy] *20 000 mil podmorskiej żeglugi.* Tłum. z franc. Bolesław Kielski. Wstęp i koment. Zdzisław Ryłko. Wyd. V. [właśc. VI], powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 451, nlb.1. 20 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.

Utopia (U):

430. BRANDWAJN Rachmiel: *Utopia walcząca.* Wybór, oprac i wstęp... [Tłum. z ang., franc, i wł.]. Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 287, nlb.1, tabl. 12. 10 000 egz. – Utopia/R – Myśli Srebrne i Złote.
431. DIDEROT Denis: *Mistyfikacja* [oraz] *Sen D'Alemberta.* Tłum. [z franc.] Jan Kott. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 194, nlb.2. 10 000 egz. – Seria z Jednorożcem. – Imię aut. uzup. z okł.
432. DOBRACZYŃSKI Jan: *Wyczerpać morze.* Wyd. II. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 287, 10 egz. – Utopia/ASF.
433. [MAAKOVSKIJ Vladimir]: *Misterium-Buffo. Heroiczny, epicki i satyryczny obraz naszej epoki.* Tłum [z ros.] Anatol Stern. Prolog tłum. Witold Wandurski. Warszawa. CPARA. 4° ss. 44, nlb.18, tabl. 37. 1090 egz. – Na k. tyt. aut.: Włodzimierz Majakowski.
434. MROŻEK Sławomir: *Deszcz.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 150, nlb.2. 5 000 egz. – Większość opowiadań fantast.
435. VERNE [Jules]: *Tajemnicza wyspa.* Tłum. [z franc.] Janina Karczmarewicz. Wstęp i koment. Zdzisław Ryłko. T. I–II. Wyd. V powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° T. I ss. 355, nlb. 1; T. II ss. 339, nlb.1. 30 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

W styczniu 1985 r. odbyło się w naszym nowym lokalu przy ul. Lwowskiej 13 spotkanie redakcji „Fantastyki" z gośćmi ze Związku Radzieckiego. Znany pisarz SF JERIEMIEJ PARNOW oraz przedstawiciele Wszechzwiązkowej Agencji Praw Autorskich (WAAP) – SWIETŁANA MICHAJŁOWA i WADIM DUNIN dyskutowali z nami o nowej fantastyce radzieckiej i polskiej. Poniżej drukujemy zapis niektórych wątków tego spotkania.



Fot. Zbigniew Latała

JEREMIEJ PARNOW

Pióro i komputer

A. Hollanek: Porozmawiajmy o kontaktach naszych autorów i pism, o wzajemnej wymianie prozy fantastycznej, o wspólnych przedsięwzięciach, o najnowszych tendencjach fantastyki radzieckiej. Rzeczywistość nie nadąża często za planami i marzeniami.

S. Michajłowa: Czytamy się nawzajem, ale kontakty formalne to zupełnie inna sprawa. WAAP, w którym pracuję, nie jest wydawnictwem, tylko agencją. Ani Parnow, ani ja nie jesteśmy wydawcami. Możemy sobie nawzajem polecać autorów, lecz finalizowanie tych rozmów w postaci przetłumaczonych książek i opowiadań podlega komu innemu.

J. Parnow: Chciałbym przypomnieć, że nasze sytuacje się różnią. I tak w ZSRR wszystkie działania mające coś wspólnego z literaturą organizacyjnie są przyporządkowane Związkowi Pisarzy. Podobnie mamy na Węgrzech, w NRD... Po prostu w większości krajów świata umówiono się, że wszystko, każda decyzja czy inicjatywa ma swoich sponsorów. Stąd nasz zwyczaj zawierania umów ze związkami pisarzy, a nie z indywidualnymi pisarzami. Ale spróbujmy działać dwustronnie. Na przykład podpowiem naszym wydawcom sugestię współpracy, a oni zastanowią się, do czego to przywiązać. Chcemy mieć wspólny leksykon pisarzy SF, zorganizujemy więc komisję. Jeśli będzie decyzja, reszta pójdzie szybko.

S. Michajłowa: Zwłaszcza, że istnieje już nasza część leksykonu. Wasza, jak słyszę, też...

A. Hollanek: Redakcja otrzymała od przyszłego wydawcy leksykonu SF naszych krajów – wydawnictwa Móra na Węgrzech – konkretnie programy tej publikacji. Nareszcie!

W. Dunin: ...a całość, jak to pierwotnie ustaliliśmy dla wszystkich krajów naszego obozu z Peterem Kuczką, wydrukujemy... na Węgrzech.

L. Jęczmyk: Zanim ten planowany leksykon odsłoni oblicze waszej i naszej fantastyki, opowiedzcie, proszę, co nowego w fantastyce radzieckiej. Czy widzicie tam nowych interesujących autorów i ciekawe teksty do wykorzystania na naszych łamach?

J. Parnow: Już teraz, przyglądając się temu, co ukazuje się w „Fantastyce" i co drukują polskie wydawnictwa, mamy wrażenie, że wiecie sporo o naszej literaturze. Dlatego może najpierw kilka uwag ogólnych: ZSRR, jak wiadomo, jest dużym krajem, mamy fantastykę w wielkich miastach, kulturowych ośrodkach, mamy też sekcje regionalne. Tam, gdzie jest to możliwe, młodymi w takich sekcjach opiekują się mistrzowie, udzielają lekcji, pomagają debiutantom forsować barierę druku. Moskiewską sekcją pisarzy fantastycznych, na przykład, kieruje Dymitr Bilenkin. Raz do roku, zimą, w miejscowości Malejewka, 100 km od Moskwy odbywa się przez dwa tygodnie ogólnokrajowy zjazd-seminarium młodych fantastów. Trzech, czterech pisarzy prowadzi tam zajęcia w grupach, młodzi piszą, oglądają filmy, dyskutują do późnej nocy. I tam właśnie ujawniają się nowi interesujący autorzy, jak np. w ostatnich latach Babienko, Pokrowski czy Rudenko – ciekawi pisarze z własną wizją świata, piszący opowiadania, które mogłyby być dla was interesujące. Witalij Babienko sam robi wybory zagraniczne, radzieckie; kontakt z nim mógłby być dla was pożyteczny.

J. Rodek: Czy można wyróżnić nową formułę, nową tendencję młodej prozy?

J. Parnow: Radziecką fantastykę lat sześćdziesiątych tworzyli inżynierowie, ludzie, którzy przyszli do literatury ze strony nauki i którzy problemy nauki, techniki poruszali w swej prozie. Tacy byli Jefremow, Poleszczuk, Altow, tacy są Strugaccy, Bułyczow – autorzy o pogłębionej wiedzy fizycznej, inżynierskiej, astronomicznej, chemicznej czy wreszcie cybernetycznej, jak było to w przypadku Dnieprowa. Teraz notujemy wielką przewagę filologów, autorów ciekawych pod względem formalnym, ale piszących w sposób nie pogłębiony naukowo.

D. Toruń: Jakie są tematy tej nowej „filologicznej" fantastyki?

J. Parnow: Powtarza się często temat wojny atomowej. Cały świat boi się wojny i młoda fantastyka zbliżyła się do rzeczywistości, biorąc na siebie trud ujawnienia tego niepokoju. Jest parę znakomitych opowiadań podejmujących ten temat, skłamałbym twierdząc, że są one optymistyczne. Podstawowe przesłanie tekstów brzmi – wojny nie może, nie powinno być.

J. Rodek: Zmiana tonu fantastyki nie płynie chyba tylko stąd, że autorów-inżynierów zastąpili humaniści. Rzecz wynika również z kryzysu wiary w możliwości racjonalnej przebudowy i ulepszenia świata metodami wyłącznie naukowymi. U nas zaowocowało to fantastyką zwaną umownie socjologiczną, polityczną. Czy macie u siebie taki prąd?

S. Michajłowa: Myślę, że tak. Istnieją autorzy podejmujący temat filisterstwa, drobnomieszczaństwa...

M. Parowski: ...w świecie, czy również w Związku Radzieckim?

J. Parnow: I tu, i tu. Przy czym mówiąc i pisząc o drobnomieszczaństwie można je rozumieć wąsko, niejako klasycznie, albo bardzo szeroko. Trwa u nas teraz w Związku Radzieckim wielka dyskusja w związku z przygotowaniami do zjazdu KPZR, w prasie ukazują się artykuły. Istnieje silna potrzeba przebudowania świadomości społecznej i wykształcenia prawdziwie współczesnego człowieka socjalistycznej orientacji. Musimy np. zmienić swój stosunek do przyrody, do poglądów o nieograniczoności jej zasobów. Wzięliśmy od przyrody prawie wszystko. W 2000 roku może skończyć się węgiel, wyczerpują się zasoby ropy, miedzi. Środowisko naturalne jest zniszczone – woda, powietrze, nawet klimat. Trzeba wykształcić nowe realistyczne podejście do tej nowej sytuacji, wychować człowieka do życia w nowych warunkach. Powstał na przykład projekt reformy szkolnej, żeby dzieci szły do szkoły w wieku 6 lat, bo inaczej nie starczy im czasu na poznanie świata. Musimy je uczyć metod zdobywania wiedzy nieustannie, a nie tylko samej wiedzy. Fantastyka winna mieć swoje miejsce w tym wszystkim, może oddawać tę sytuację, może także próbować rysować programy. Dyskusja jest otwarta, trwa cały czas, bo zmiana odbije się przecież na wszystkich dziedzinach.

A. Brzezicki: Na te zjawiska wyczerpywania się zasobów i zagrożenia ekologicznego nakłada się jeszcze rewolucja informacyjna i informatyczna, która może pociągnąć za sobą zmiany społeczne wymykające się planom i założeniom. To wymykanie się jest także tematem fantastyki. Zjawiają się komputery. Samotność.

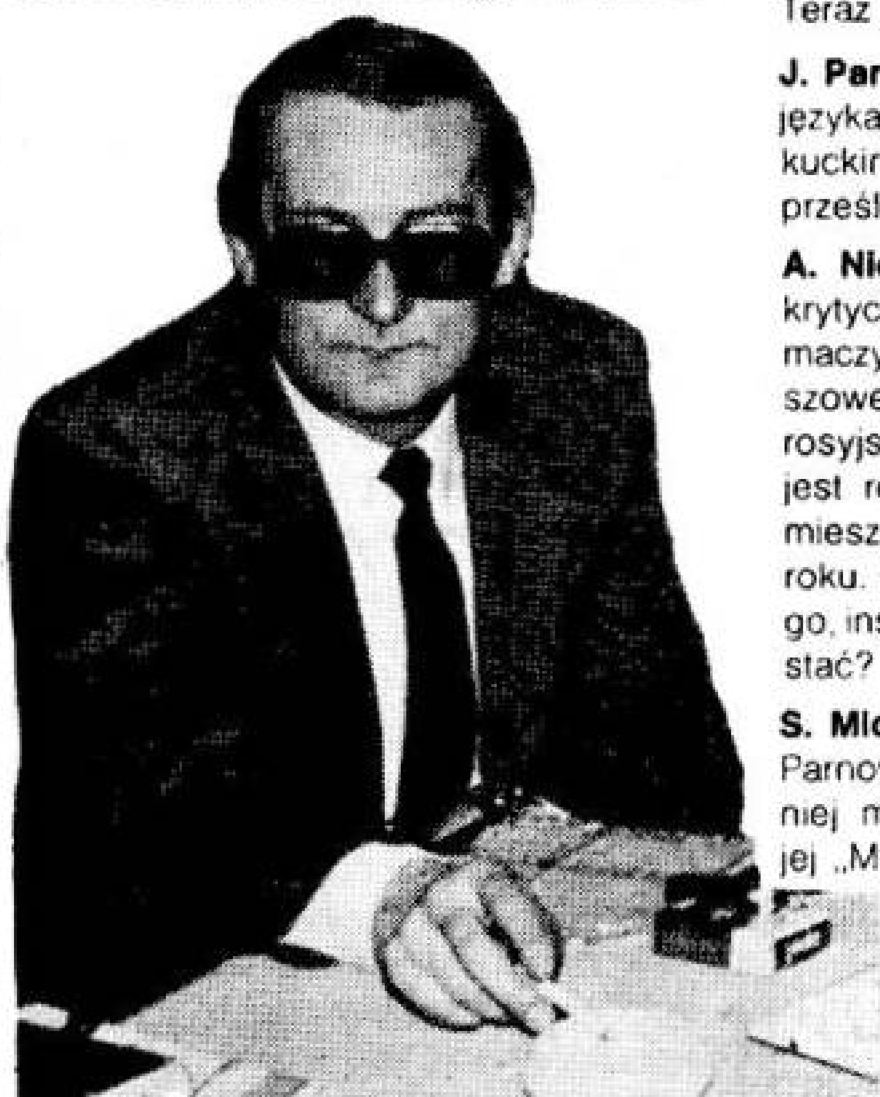
L. Jęczmyk: Istnieje wiele bardzo dobrych opowiadań amerykańskich, których nie tłumaczymy, bo byłyby w Polsce niezrozumiałe: Logika świata komputerowego jest na razie w naszych realiach nieprzekładalna.

dokończenie na stronie 62

dokończenie ze strony 61

A. Hollanek: Wbrew pozorom myślę, że różnice stanowisk wobec zarysowanych tu problemów nie są w świecie wielkie. Konieczność wyciągnięcia wniosków ze zniszczenia środowiska, z zagrożeń globalnych, z rewolucji informacyjnej godzi jakoś uczonych, pogodzi i polityków, a na pewno godzi pisarzy ze Wschodu i Zachodu.

J. Parnow: Różnica w podejściu do problemu. Pisarz zachodni pokaże indywidualną drogę dla jednostkowego bohatera, ale raczej nie pokaże rozwiązania osiągniętego skoordynowanym wysiłkiem całego społeczeństwa. U nas, że sięgnę do przykładu z rzeczywistości, dokonują się teraz reformy dotyczące 300 milionów ludzi. Taka jest skala decyzji. Jedna z nich mówi, że wprowadzamy w szkołach gry komputerowe dla wszystkich uczniów od pierwszej klasy. Państwo zachodnie nie może wprowadzać takich globalnych rozstrzygnięć.



Fot. Zbigniew Latała

WADIM DUNIN

L. Jęczmyk: Mam wrażenie, że bardzo uciekliśmy od fantastyki do rzeczywistości. Proponuję więc powrót do spraw literatury.

S. Michajłowa: Wróciłabym może na chwilę do tych młodych z seminarium w Malejewce, o których mówił Parnow. Niepokoi mnie, że na 200 uczestników ostatniego seminarium tylko jeden miał wykształcenie wyższe. Idzie za tym jakaś wtórność wyobraźni. Wszyscy młodzi umieją nieźle pisać, z wprawą posługują się maszynami do pisania, ale wtórni są znacznie częściej niż ich poprzednicy. Tylko niewielu udaje się unieść głowę tak, by były widoczne naprawdę nowe horyzonty. To jest miła, pełna entuzjazmu młodzież, lecz często jeszcze trochę dziecinna. Ale ciekawe nazwiska są: Paweł Amnuel – pisarz z technicznym wykształceniem, na pewno warto go obserwować. Mówiło się tu już o Babience, pracuje w „Technice Mołodioży" i jednocześnie pisze ciekawe opowiadania, w których udaje mu się zawrzeć własne przemyślenia i problemy mimo widocznych czasem wtórności. Na pewno interesujący jest Pokrowski. Mówiono, co prawda, właśnie przy okazji jego twórczości, że nie wolno w małym opowiadaniu poruszać „dużych" problemów. Nie zgadzam się, jemu to się właśnie udaje. Tak jest na przykład w jego „Ostatniej bombie", bardzo żywym, dobrym opowiadaniu. Ciekawy jest Borys Rudenko.

D. Toruń: Czy jest jeszcze coś szczególnego w tej prozie bądź w sytuacji całej fantastyki? Czy ulegają wasi fantaści modom? Na przykład czy macie waszą odmianę fantasy?

S. Michajłowa: Fantastyka radziecka wyszła za granice Moskwy, zjawiając się w rejonach, w których jej nigdy nie było. Ukazują się opowiadania Sinicyna po ukraińsku. Ukazują się zbiory opowiadań SF w Estonii i na Litwie. Tradycyjnie jest dużo fantastyki na Syberii, gdzie wychodzi almanach „Poisk", nadal pisze Kołupajew z Nowosybirska, ale on zaczął bardzo dobrze, teraz pisze gorzej. Była też u nas fantasy: „Poniedziałek zaczyna się w sobotę" Strugackich, opowiadania Kołupajewa, Szefnera... Teraz jest mniej fantasy.

J. Parnow: Ukazuje się wiele fantastyki w językach krajowych. Ostatnio w języku jakuckim. Przetłumaczymy to na rosyjski i prześlemy wam.

A. Niewiadowski: Co słychać w waszej krytyce gatunku? Znamy Kagarlickiego, tłumaczyliśmy G. Altowa, tekst prof. Czernyszowej z Irkucka, Britikowa – autora historii rosyjskiej fantastyki naukowej. Pan Parnow jest również krytykiem – jego prace zamieszczono w antologii poznańskiej z 1974 roku. Czy pojawiło się ostatnio coś nowego, inspirującego, co moglibyśmy wykorzystać?

S. Michajłowa: Wyszła niedawno książka Parnowa „Zwierciadło Uranii", ale krytyki w niej mało. Czernyszowej..., tłumaczyliście jej „Mit i fantastykę naukową"..., Bugrow – specjalista od rosyjskiej fantastyki mógłby coś dla was napisać. Podobnie Gakow, tylko że on raczej nie uprawia dosłownie krytyki, lecz pisze o miejscu gatunku w kulturze, o problemach, które się w nim odzwierciedlają. Choć w sumie należy przyznać, że nasi krytycy niezbyt jeszcze poważnie podchodzą do gatunku.

J. Rodek: A tak zwane szacowne, ambitne firmy bronią się jeszcze przed wydawaniem fantastyki, czy już nie?

J. Parnow: To zależy. Niedawno wydawnictwo „Sowietskij Pisatiel" wydało Strugackich i mnie. Czasem się udaje.

L. Jęczmyk: Pytanie na zakończenie: zauważyliście coś ciekawego ostatnio w polskiej fantastyce?

Goście: Wiemy, że drukuje się u was sporo interesujących rzeczy, niestety, nie czytamy was w oryginale. Ale...

M. Parowski: Mówiło się tu już o polskiej fantastyce socjologicznej. Kilka powieści tego typu ukazało się w roku 1982, właściwie wszystkie one powstały u schyłku lat siedemdziesiątych. Zupełnie ostatnio pojawiła się, na razie głównie w maszynopisach, nie w druku, fala młodej, krzykliwej i gniewnej prozy, dość jeszcze nieokrzesanej formalnie i myślowo, ale bardzo ekspresyjnej, którą obecny tu Lech Jęczmyk proponuje nazwać fantastyką w stylu Punk. Między tymi krańcami rozciąga się obszar zagospodarowany przez krótką formę bardzo literacko wyrafinowaną, różnorodną, podejmującą wszystkie właściwie tematy, ale... nie futurologiczną. U nas, podobnie jak u was, fantaści odchodzą od nauk ścisłych, podobnie jak u was jest trochę ludzi bez wykształcenia, którzy braki wiedzy próbują nadrobić wyobraźnią. Notujemy też zwiększony dopływ młodych humanistów, inżynierowie nie wiodą już prymu...

L. Jęczmyk: Czekaj... Zimniak jest doktorem chemii, nawet widać to w niektórych opowiadaniach. Oramus – inżynierem, Drzewiński – fizykiem...

M. Parowski: Ale Ziemkiewicz i Piekara, na przykład, to studenci polonistyki. Emma Popik jest anglistką. A Zimniak najlepszy bywa wtedy, kiedy zapomina o chemii, zaś fizyk Drzewiński uprawia przede wszystkim fantastykę awanturniczą, humorystyczną...

D.Toruń: No i mamy lokalny spór. Moglibyście państwo, mówię to do naszych gości, rozstrzygnąć go samodzielnie, gdybyście doprowadzili do przetłumaczenia na rosyjski i wydania u was kilkunastu nowych polskich opowiadań. Macie takie zamiary?

J. Parnow: Musicie nam pomóc. Ułóżcie tom złożony z mniej więcej 300 stron maszynopisu.

A. Hollanek: Przygotowujemy wspólnie taki tom-propozycję. Dziękuję naszym gościom za przybycie i za udział w dyskusji. ■



Fot. Zbigniew Latała

SWIETŁANA MICHAJŁOWA

Farby blakną, budowle rozsypują się w gruzy i piach, gwiazdy umierają stygnąc lub rozrywając się w fajerwerkach supernowych... Z minionego w przyszłe przesypuje się klepsydra, której w żaden sposób nie można odwrócić. Wszechświat się starzeje. To *memento mori* zawdzięczamy drugiej zasadzie termodynamiki, czyli prawu wzrostu entropii. W naszym makroskopowym świecie wielkich ilości cząsteczek entropia jest miarą nieuporządkowania elementów układu i rozproszenia energii. Im większy panuje bałagan (czyli cząsteczki są dość równomiernie rozrzucone po układzie i temperatury prawie się wyrównały), tym większa jest entropia układu. Prawo wzrostu entropii określa kierunek biegu czasu: większa wartość entropii wskazuje na chwilę późniejszą. Do tej zasady stosuje się każdy proces w makrokosmosie – aż po Wszech1wiat traktowany jako jeden wielki układ. Czas mierzony wzrostem chaosu.

Dokąd Wszechświecie?

Jarosław Włodarczyk

Wszechświat nieubłaganie podąża w stany coraz większego nieporządku. Lecz tej dążności materii nie poddaje się jeden drobny element – życie. Żywe organizmy to nieprawdopodobna plama na honorze chaosu. Węgiel, wodór, azot, tlen i inne pierwiastki połączyły się na Ziemi w złożone aminokwasy, nukleotydy, węglowodany, lipidy, aż powstał żywy organizm – uporządkowany, zorganizowany, gromadzący informację, zdolny do samoodtwarzania. Czyżby panowanie nad materią i prawami nią rządzącymi? Nie zapominajmy jednak, że wygnano nas z raju. Żywy organizm przeciwstawia się wzrostowi entropii, prowadząc bez chwili przerwy wymianę materii i energii z otoczeniem. Jako element przyrody życie podtrzymując w ten sposób wyższy stopień organizacji, zwiększa bałagan w swym otoczeniu. Prawo wzrostu entropii obowiązuje – nieporządek w całym układzie rośnie.

Żywy organizm musi mieć możliwość produkcji nieograniczonych ilości entropii. Jeśli proces wzrostu entropii we Wszechświecie kiedyś zatrzyma się, to życie przestanie istnieć. Temperatura spadnie prawie do zera bezwzględnego, a czas utraci kierunek.

Ale współczesne teorie nie przewidują cieplnego końca Wszechświata, termodynamika klasyczna stanowi bowiem zbyt ubogie narzędzie do jego badania. Dopiero uzupełniona teorią kwantową i teorią grawitacji może dawać bliższe rzeczywistości przepowiednie. Według nich życie albo zginie w wysokich temperaturach kurczącego się Wszechświata, albo będzie mogło trwać wiecznie, gdyż Wszechświat rozszerzający się nigdy nie osiągnie stanu kompletnego chaosu.

Zatem: jak potoczy się historia rozumu w zmieniającym się świecie materii? Wróżenie odbywa się z fusów astronomii i fizyki i od nich zależy, jak szczegółowe i w jakim stopniu prawdziwe przepowiednie powstaną. *„Niestety, nie wiemy zbyt wiele o prawach fizyki, a jeszcze mniej o przeszłym i obecnym stanie Wszechświata"* – mówi fizyk J.K. Lawrence. Rzeczywiście, dwie najważniejsze kwestie ciążące na przyszłych dziejach materii wciąż nie zostały ostatecznie rozstrzygnięte.

Pierwsza dotyczy zaobserwowanego już sześćdziesiąt latm temu odalania się galaktyk od siebie. Wszechświat rozszerza się nieprzerwanie od 15 czy może 20 miliardów lat, od początku nierozszyfrowanego dotąd Wielkiego Wybuchu, i nie wiadomo, czy ekspansja Wszechświata będzie trwała wiecznie, czy też zakończy się odwróceniem w powrotne kurczenie przestrzeni ku Wielkiemu Końcowi. Aby znaleźć jednoznaczną odpowiedź, trzeba odgadnąć średnią gęstość materii we Wszechświecie. Jeśli Wszechświat średnio posiada więcej niż 10^{-29} g materii w centymetrze sześciennym (tzw. gęstość krytyczna), to siły przyciągania grawitacyjnego zatrzymają rozszerzanie Wszechświata po upływie skończonej liczby lat i zacznie się on kurczyć, na początku wolno, a potem coraz szybciej. Jeśli średnia gęstość materii jest mniejsza od 10^{-29}g/cm^3, to ekspansja Wszechświata nigdy nie ustanie. Przy gęstości równej gęstości krytycznej prędkość rozszerzania będzie nieustannie malała, aż rozszerzanie po nieskończenie długim czasie zostanie wstrzymane. Wciąż nie potrafimy dać odpowiedzi roztrzygającej, w jakim Wszechświecie żyjemy (stąd uciążliwa konieczność rozważania trzech możliwości), choć zgadujemy, że średnia gęstość materii Wszechświata niewiele się różni od gęstości krytycznej: jest najwyżej dziesięć razy od niej większa lub dziesięć razy mniejsza.

Druga kwestia dotyczy trwałości materii. Otóż jeśli proponowane teorie fizyki cząstek elementarnych są prawdziwe, to podstawowe składniki jąder atomowych – protony – mogą wprawdzie żyć bardzo długo, ale nie nieskończenie długo. Protony powinny ulegać rozpadowi w czasie około 10^{31} lat. (Oznacza to, że prawdopodobnie w ciągu życia człowieka rozpada się w jego ciele jeden proton). Próby zaobserwowania rozpadu protonu trwają i być może już wkrótce przekonamy się, że materia zbudowana z atomów nie jest wieczna.

Ograniczeni niewiedzą mimo wszystko ruszamy w przyszłość w poszukiwaniu śladów życia. Rozpoczniemy od Wszechświata, który w końcu zacznie się kurczyć z powrotem.

Wszechświat, zmniejszając swe rozmiary, będzie się ogrzewał podobnie jak sprężany gaz. Moment przejścia do fazy kurczenia nie nastąpi zapewne wcześniej niż za jakieś 100 miliardów lat, więc będziemy musieli rozwiązać problem Słońca, które po około 5 miliardach lat wejdzie w stadium czerwonego olbrzyma i rozedmie się poza orbitę Ziemi, a potem, już jako biały karzeł, zacznie stygnąć. Ale jest to drobiazg w porównaniu z niespodziankami czyhającymi w gęstniejącym i ogrzewającym się Wszechświecie. Kiedy Wszechświat skurczy się do jednej setnej swych obecnych rozmiarów liniowych, promieniowanie wypełniające Wszechświat osiągnie temperaturę dzisiejszej Ziemi. W tym czasie „wyspy Wszechświata" – galaktyki – połączą się ze sobą. Kiedy Wszechświat zmaleje jeszcze dziesięciokrotnie, całe niebo będzie miało jasność dzisiejszego Słońca, bowiem temperatura promieniowania wzrośnie do około 6 tysięcy stopni. Będzie już najwyższy czas, by życie, jeśli jeszcze tego nie zrobiło, przybrało formy strukturalne wytrzymujące wielkie temperatury. Nie wystarczy zakopanie się w materii, choćby nie wiem jak głębokie. Po upływie następnych kilku tysięcy lat promieniowanie osiągnie temperaturę, jaka panuje w centrach gwiazd i gwiazdy zaczną gwałtownie wybuchać. Temperatura w miarę przyspieszania zapadania się Wszechświata będzie rosła coraz szybciej. W ciągu kilku tygodni pod wpływem miliardostopniowego upału jądra atomowe rozpadną się na protony i neutrony, a te, po kilku minutach, na kwarki. M. Rees, który prześledził ów koniec Wszechświata, konkluduje, że niechybnie czeka nas usmażenie. Chyba, że... Nikt dotąd nie udowodnił, że w kurczącym się Wszechświecie nie może istnieć fragment przestrzeni, który nie podlega ogólnemu kurczeniu. *„(...) Czy jest do pomyślenia, aby rozumnym działaniem, przemieniając materię w promieniowanie i porządkując na skalę kosmiczną przepływ energii otworzyć zamknięty Wszechświat i zmienić topologię czasoprzestrzeni tak, by tylko jej część zapadła się, a reszt zaczęła wiecznie się rozszerzać?"* – pytał się F. Dyson. Być może – tak, być może życie musi trwać wiecznie.

Wkroczmy jeszcze dalej w granice fantazji. Obecnie nie istnieje teoria, która potrafiłaby opisać zachowanie się materii w ogromnych gęstościach (10^{93}g/cm^3 i więcej!), odpowiadających chwilom bliskim Wielkiemu Wybuchowi, czy ewentualnemu Wielkiemu Końcowi. Niektórzy uczeni sugerują, że związki czasowe i przestrzenne stracą w tych warunkach swe zwykłe znaczenie. Gdyby inteligencji udało się dotrwać do tych niezwykłych czasów (życie na cząstkach elementarnych?), możliwe że doczekałoby się – są tacy, którzy w to wierzą – zatrzymania kolapsu i ponownego rozszerzania. Szacuje się, że jeśli Wszechświat rzeczywiście cyklicznie rozszerza się i kurczy, to cykli tych zdarzyło się już ponad sto. Czy za każdym razem mają miejsce zadziwiające reinkarnacje rozumu z cyklu w cykl?

Sięgnijmy po model Wszechświata ciągle rozszerzającego się (czytaj: coraz zimniejszego).

Wędrówka w poszukiwaniu światła i ciepła wśród stygnących gwiazd zakończy się, gdy Wszechświat zestarzeje się do mniej więcej 100 000 miliardów lat. Wtedy ostatnie gwiazdy wypalą paliwo termojądrowe i zasną. Jednocześnie galaktyki będą się zapadały ku swym środkom, przeistaczając się ostatecznie w bardzo masywne czarne dziury (o masach miliardy razy większych od masy Słońca). Po miliardzie miliardów lat Wszechświat wypełni się wystygłymi białymi karłami i gwiazdami neutronowymi, czarnymi dziurami oraz rozproszonym gazem. W roku 10^{30} temperatura promieniowania (reliktowego) wypełniają-

dokończenie na stronie 64

cego Wszechświat, która teraz równa jest w przybliżeniu 3 K, spadnie do około 10^{-20} K. Temperatura wygasłych gwiazd będzie zawierała się pomiędzy 3 K a 100 K (gwiazdy o temperaturze 200°C poniżej zera!).

F. Dyson rozważając biologię we Wszechświecie obdarzonym nieskończoną ekspansją, doszedł do wniosku, że organizm może zawsze utrzymać się w nim przy życiu. Trudność w udowodnieniu tego kryje się w konieczności dysponowania przez życie pewnym stałym tempem dopływu energii na podtrzymanie metabolizmu. Dyson podpowiada rozwiązanie, w którym organizm ciągle zmienia swą strukturę, aby spowalniać tempo metabolizmu. Lecz to nie wystarczy. Dopiero przeplatanie okresów aktywnego życia okresami hibernacji otwiera przed rozumem nieskończony czas życia.

Przyjdzie przy tym rozumowi mierzyć się z wieloma trudnościami, choćby wymienione przez Dysona na pierwszym miejscu problemy łączności i pamięci o nieskończonej pojemności (*„być nieśmiertelnym i mieć skończoną pamięć, to bardzo przykre"*). Dyson znajduje przykładowe rozwiązania. Utrzymywanie łączności za pomocą fal elektromagnetycznych w rozszerzającym się Wszechświecie jest możliwe przez czas nieograniczony, a najtańszym sposobem realizacji łączności jest zorganizowanie łańcucha stacji przekaźnikowych odbierających, wzmacniających i przekazujących dalej wiadomość. Pamięć cyfrową, ograniczoną liczbą atomów użytych do jej budowy, proponuje Dyson zastąpić pamięcią analogową. Podstawową jednostką takiej pamięci można na przykład uczynić kąt pomiędzy gwiazdami na niebie – pojemność jednostki pamięci, równa liczbie cyfr znaczących w mierze tego kąta, zwiększa się w miarę rozszerzania Wszechświata.

Najtrudniejszym krokiem w łańcuchu wcieleń będzie prawdopodobnie przejście od struktur opartych na neutronach i protonach do struktur elektronowo-pozytronowych. A nastąpi to najpóźniej na 10^{31} lat, kiedy ostatnie neutrony i protony rozpadną się na promieniowanie, elektrony i pozytrony (cząstki elementarne o masie elektronu i ładunku dodatnim równym co do wartości bezwzględnej ładunkowi elektronu). Ale jest nadzieja, że nasi następcy w rozumie zdołają wcielić się w plazmę elektronów i pozytronów i zorganizować ją na przykład na kształt „czarnej chmury" F. Hoyle'a. Tyle, że odległości między cząsteczkami przewyższają miliony razy rozmiary obserwowanego dziś Wszechświata.

W elektronowo-pozytronowym melanżu będą się snuły po Wszechświecie czarne dziury. Procesowi łączenia się czarnych dziur i zwiększania w ten sposób ich masy będzie towarzyszyło, odkryte przez S. W. Hawkinga „parowanie" – emitowanie promieniowania i cząstek przez horyzont zdarzeń czarnej dziury, spoza którego według teorii klasycznej nic, nawet promień światła, nie mogło się wydostać. To, na co nie pozwalała teoria klasyczna, teoria kwantowa uczyniła prawdopodobnym: czarna dziura może zniknąć, wyrzucając z siebie masę i energię; jednak „parowanie" trwa długo – około 10^{100} lat dla masywnych czarnych dziur. Ostatecznemu zniknięciu czarnej dziury będzie towarzyszyła gwałtowna eksplozja.

Powróćmy na ścieżkę entropii. Opisana przyszłość materii rzeczywiście gwarantuje, że w starzejącym się Wszechświecie wzrost entropii będzie nieograniczony. Entropia czarnych dziur podczas parowania będzie rozsiewana w postaci promieniowania. Jeśli czarne dziury wyparują co do jednej, to i tak promieniowanie będzie miało inną temperaturę niż gaz z cząstek elementarnych. Co ciekawsze rozbieżność ta wciąż będzie rosła, a zatem i wzrost entropii nie ustanie nigdy!

Odległe to czasy. Z całą pewnością nie jesteśmy w sytuacji Muminków, gdy zderzenie komety z Ziemią miało nastąpić za cztery dni i czterdzieści dziewięć minut, może cztery sekundy później. Zjedzenie tortu hiszpańskiego możemy odłożyć przynajmniej o kilkast miliardów lat, jeśli nie w nieskończenie odległą przyszłość, pocieszając się, że zawsze, gdy będzie istniało życie, będą pieczone i zjadane torty.

Jarosław Włodarczyk

Przegląd filmów

Zeszłoroczny przegląd filmów SF zorganizowany przez Świnoujski Klub Miłośników Fantastyki „Wąż Morski" według powszechnej opinii był najlepszą tego typu imprezą w roku 1984.

Kiedy więc w dniach 24–27 stycznia br. fanowie zostali ponownie zaproszeni na drugi już Ogólnopolski Przegląd Filmów SF, wszyscy spodziewali się kolejnej wystrzałowej imprezy, szczególnie, że koledzy ze Świnoujścia zapowiedzieli kilka nigdzie dotychczas nie prezentowanych filmów.

Rzeczywiście, techniczną stronę imprezy Oddział PSMF „Wąż Morski" dopiął na ostatni guzik. Wszyscy uczestnicy otrzymali starannie wydrukowane programy, mieli zapewnione dobre zakwaterowanie i wyżywienie.

Dużo słabszy jednak, moim zdaniem, był program merytoryczny. Wśród trzynastu pokazanych obrazów jedynie dwa lub trzy zasługiwały na uwagę. Reszta prezentowała słaby albo wręcz skandaliczny poziom, np. wyświetlenie na takim przeglądzie filmu „Goldorak" uważam za duże nieporozumienie. Niestety, do poziomu filmów dostroił się lektor, który mimo znakomitej znajomości języka nie potrafił jakoś dobrać odpowiednich polskich słów.

Niezbyt fortunne było także rozłożenie w czasie wyświetlanych filmów. Rano o godz. 10 odbywała się tylko jedna projekcja, natomiast wieczorne pokazy, obejmujące trzy filmy, zaczynały się dopiero o godzinie 21, a więc trwały, jak nie trudno policzyć, do późna w nocy.

Trudno mi powiedzieć, czy winą gospodarzy jest dobór tak słabego repertuaru. Być może wpłynęło na to po prostu wyczerpywanie się zapasu dobrych filmów, przez co wszystkie spotkania tego rodzaju tracą swój pierwotny rozmach. Należałoby więc chyba pomyśleć o zmianie profilu podobnych imprez. Na plus gospodarzy należy zapisać pierwszy krok w tym kierunku. Przeglądowi towarzyszyły bowiem spotkania autorskie z Markiem Baranieckim i Maciejem Parowskim, który uczestniczył także w spotkaniu naszej redakcji z zebranymi gośćmi.

Posiedzenie Komitetu Organizacyjnego Polconu 85

W czasie spotkania w Świnoujściu odbyło się także posiedzenie Komitetu Organizacyjnego Polconu 85, w którym wzięli udział przedstawiciele 14 klubów. Komitet przyjął ostateczną wersję regulaminu:

● Polcon jest to ogólnopolskie spotkanie klubów zrzeszających miłośników fantastyki.

● Polcon odbywa się tylko raz w roku (o ile to możliwe w październiku).

● Nazwę Polcon może nosić tylko to jedno spotkanie w roku.

● Na Polconie zawiązuje się Komitet Organizacyjny następnej imprezy.

● Uczestnictwo w Polconie wymaga wcześniejszego zgłoszenia i opłacenia kosztów pobytu ustalonych przez Komitet Organizacyjny.

● O nie wykorzystanych środkach finansowych każdorazowo decyduje Komitet Organizacyjny.

● Komitet Organizacyjny zbiera się w styczniu ustalając miejsce, termin Polconu, jego program, termin zgłoszeń, wysokość opłat i formy współpracy przy jego organizacji.

Tak więc inicjatywa Rady Głównej Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki dotycząca wspólnej organizacji Polconu przez wszystkie kluby przybrała ostateczną formę.

Podczas posiedzenia zatwierdzono także przyznanie organizacji tegorocznego Polconu poznańskiemu Oddziałowi PSMF.

Bliższe informacje o programie i terminie tej imprezy podamy w jednym za najbliższych numerów.

Nagroda Fandomu Polskiego „Sfinks"

W czasie spotkania w Świnoujściu zatwierdzono także przedstawiony przez Śląski Klub Fantastyki regulamin nagrody „Sfinks". Oto najważniejsze punkty tego regulaminu:

● „Sfinks" jest coroczną nagrodą w dziedzinie fantastyki, przyznawaną przez jury złożone z przedstawicieli wszystkich klubów oraz osób fizycznych, które wpłaciły na konto nagrody wymaganą minimalną sumę.

● Za klub uznaje się każdą grupę osób rekomendowaną przez któryś z klubów zarejestrowanych.

● Sfinks jest przyznawany autorowi najlepszej książki roku (odstępstwo od tej zasady wymaga absolutnej większości głosów jury).

● Do nagrody mogą kandydować wszystkie książki, których pierwsze wydanie ukazało się z datą roku nie później niż do czerwca roku następnego oraz te, które z datą lat wcześniejszych z powodów wydawniczych nie mogły dotąd kandydować do nagrody.

● Na nagrodę na dany rok przeznaczone są pieniądze wpłacone przez kluby i osoby fizyczne na konto nagrody (Śląski Klub Fantastyki, NBP I OM KATOWICE 27010–51998–132, dopisek „Sfinks") od 1 lipca danego roku do 30 czerwca roku następnego.

● Każdy klub ma prawo mieć w jury jednego delegata (delegat jest obowiązany posiadać pełnomocnictwo wystawione przez zarząd macierzystego klubu lub dowód wpłaty określonej sumy pieniędzy).

● W skład jury może wejść także osoba fizyczna, która wpłaciła na konto nagrody co najmniej 3 tys. zł (osoba fizyczna biorąca udział w obradach jury powinna mieć przy sobie dowód wpłaty na konto nagrody).

● W głosowaniu dotyczącym bezpośrednio przyznania nagrody „Sfinks" przedstawiciel klubu ma następującą liczbę głosów:

– za pierwsze 3 tys. zł wpłacone na konto nagrody – 1 głos,

– za każdy następny tysiąc – 1 głos.

Maksymalna liczba głosów jednego klubu nie może być większa niż 25% wszystkich głosów.

● Osoba fizyczna, niezależnie od wysokości wpłaty, dysponuje tylko jednym głosem.

● Każdy z jurorów może zaproponować do nagrody jedną książkę.

(mak) ■

FUNKY JUŻ ZA MIESIĄC



WRACAJĄC NA ZIEMIĘ PO UDANEJ AKCJI ZWIADOWCZEJ NA DB-4 FUNKY KOVAL OCZEKIWAŁ TRIUMFALNEGO POWITANIA.

Z POZDROWIENIAMI OD KOMANDORA DUPREE. ZA GODZINĘ ODWIEDZI PAŃSTWA OSOBIŚCIE.

O.K. – WYOBRAŹ SOBIE TE TŁUMY, BRENDA...

...TY GRATULUJĘ, PANIE KOVAL!

...ILU ICH JESZCZE ZOSTAŁO?

...GDZIEŚ WŚRÓD NICH BĘDĄ CI, KTÓRYM POMIESZALIŚMY SZYKI...

...UZNANIE W IMIENIU NIEZALEŻNYCH DZIENNIKARZY!

PRESS CONFERE

DENEBOLA FIGHTE

AIR PATRO

?

WIERZYŁEM, ŻE DACIE SOBIE RADĘ... HM, SZCZERZE MÓWIĄC NIE POJMUJĘ, JAK ZDOŁALIŚCIE Z TEGO WYBRNĄĆ???

ALE ZIEMIA PRZYJĘŁA ICH INACZEJ...